

GABRYJELA ZAPOLSKA

SZMAT ŻYCIA



LEKTOR
1922.

SZMAT ŻYCIA

DZIEŁA GABRJELI ZAPOLSKIEJ
WYDANE PRZEZ „LEKTOR" INSTYTUT LITERACKI.

A gdy w głąb duszy wnikniemy.
Antysemitnik.
Córka Tuśki (2 wyd.).
Fin de siecle'istka.
I tacy bywają.
Jak tęcza.
Janka.
Kaśka Karjatyda.
Kobieta bez skazy.
Krzyż pański.
Małaszka.
Menażerja ludzka.
Modlitwa Pańska.
O czem się nie mówi.
O czem się nawet myśleć nie chce.
Pan Policmajster Tagiejew.
Pani Dulska przed sądem.
Przedpiekle (2 wyd.).
Przez moje okno.
Rajski Ptak (2 wyd.).
Sezonowa miłość.
Śmierć Felicjana Dulskiego.
Staśka.
Szaleństwo.
Szmat życia.
We krwi.
Wieczory teatralne.
Wirujące myśli.
Wodzirej.
Zaszumi las (2 tomy).
Z pamiętnika młodej mężatki.
Znak zapytania.

GABRJELA ZAPOLSKA

SZMAT ŻYCIA

POWIEŚĆ.



WYDAŁ ODDZIAŁ LUBELSKI
INSTYTUTU LITERACKIEGO „LEKTOR" sp. z o. odp.
LUBLIN—LWÓW—WARSZAWA—POZNAŃ—KRAKÓW.
1922.

WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU ZASTRZEŻONE.
Copyright by „Lektor“ nineteen hundred twenty two.



884-3
II 78720
78720
№ 3716

SKŁADY GŁÓWNE:

WE LWOWIE:

„LEKTOR”, MIKOŁAJA 23,
(DOM WŁASNY). TEL. 525.

W WARSZAWIE:

„LEKTOR”, SIENKIEWICZA 5.
TEL. 253 — 99.

W POZNANIU:

„LEKTOR”, RATAJCZAKA 33.
TEL. 39—23.

W KRAKOWIE:

„LEKTOR”, RYNEK GŁ. 22.

W LUBLINIE:

„LEKTOR”, SZOPENA 5.

Drukarnia i Introligatornia M. Kossakowska w Lublinie, Krak.-Przed. 10.

I.

— Nie ucieknie?...

— Nie... ciotko!...

Marja przechyliła beczułkę; cienka struga cuchnącej siwuchy zasrebrzyła się w płomieniach zachodzącego słońca.

Ciotka Elżbieta wyciągnęła rękę.

— Dosyć! Cóż u djabła, chcesz rozlać po ziemi?...

Marja postawiła beczułkę i z wyciągniętą ręką, w której tkwił kieliszek, stanęła na stopniach ganku.

— Warka! — zawołała.

Z tłumu cisnących się dokoła ganku chłopów i chłopek, oderwała się kobieta bosa, wpół naga, z podniesioną wysoko nad kolana parcianą koszulą.

Zbliżyła się do ganku, po wódkę sięgnęła i, wypiwszy drobnymi łykami, usta rękawem koszuli otarła.

Marja wyciągnęła znów rękę, odebrała kieliszek i ku beczce się zwróciła.

Tymczasem ciotka Elżbieta liczyła coś na kawałku zatłuszczonego papieru.

Liczyła, mazała, znów liczyć zaczynała — siwe, małe oczy ku niebu podnosząc.

Lekki powiew wiatru, muskającego o zachodzie słońca drzewa sadu, włosy jej z pod chustki rozwiewał, jak wąskie, białe węże w kłęby skręcone.

Wreszcie... liczyć przestała i twarz obrzękłą, nalaną żółtym, niezdrowym tłuszczem, ku stojącej przed gankiem kobiecie zwróciła.

— Rubel i trzydzieści sześć kopiejek... Co?

Kobieta milczała, patrząc obojętnie przed siebie.

Ciotka Elżbieta w kupie miedziaków, leżących na stoliku, grzebać zaczęła. Wydobyła kilkanaście sztuk, przeliczyła raz jeszcze, suwając miedź w krótkich, wałkowatych palcach z jakiemś zmysłowem zadowoleniem.

— Masz! na! — wyrzekła wreszcie, podając całą garść ciężkiej monety, apatycznej i jakby zaspanej chłopce.

— Kobieta podniosła zapadłe oczy na mówiącą i patrzyła chwilę w tę twarz nabrzękłą, poprzecinaną bruzdami.

— Czy ci nie dosyć? zlicz sama! -- syknęła Elżbieta ze złością.

— Niechaj! --odrzekła Warka, ujmując brzeg swej koszuli i podsuwając się pod okap ganku, płótno rozciągnięte pod rękę Elżbiety nadstawiała.

Ciotka Elżbieta garść miedzi w koszulę wrzuciła i jakiś cień uśmiechu przesunął się po jej wybladłych wargach.

Jeden z miedziaków potoczył się po stopniach schodów i zarył się w trawę.

Kilku chłopów rzuciło się rozgarniać zarośnięte ścieżki i w masy psiego rumianku zanurzać swe zczerniałe wielkie dłonie zaczęli.

Tymczasem Warka wracała na dawne miejsce, zakładając najspokojniej brzegi koszuli za pasek fartucha. Ciemna barwa nóg odcinała się na wysokości łydek, dalej skóra miała białość anemicznej i bezkrwistej zupełnie istoty.

Marja jedna spojrzała na to ciało kobiece, odsłonięte z brutalną szczerością wśród purpurowo złotej powodzi blasków zapadającego słońca. Po twarzy chudej dziewczyny przemknął cień litości dla tych bardziej jeszcze wychudłych członków kobiety roboczej, odbierającej nędzną zapłatę za pot krwawy, który reszty sił i zdrowia zabierać musiał.

Powoli wzrok jej z nóg Warki przeniósł się na całą gromadę chłopów, oblegających ganek, czerniących ścianę domów, zalegających łany trawy, rosnącej dokoła dworu.

Stali tak z odkrytemi głowami, przez resztę szacunku, jaką mieli zawsze dla fasady dworu i obecności

samej pani. Głowy ich, pokryte pokudlonemi, nierozczesanemi włosami, miały prawie jeden i ten sam odcień myszato-rudawych włosów, jakby pokrytych warstwą białawego kurzu. Czaszki nie różniły się także: wielkie, niekształtne, uparte, jakby czworograniaste. Szyje cienkie, jakby poprzecinane masą żył, prawie do pół obnażone, źle okryte rozpiętą na piersiach koszulą. Plecy przygarbione, wypukłe, okryte nędznemi płóciennemi świtami. Koszule na płaskich biodrach wiszące wolno, prawie bez śladu jakichkolwiek kształtów, nogi pokaleczone, bose, całe czarne od wrośniętego kurzu.

Kobiety, mało różniące się od mężczyzn, zapadłe, bez linji, bez piersi, bez bioder. Owinięte całe w szmaty płócienne, z głowami okręconemi zniszczonemi chustkami. Tu i owdzie błysnęła świeższa twarz młodszej dziewczyny, gdzieniegdzie pierś zaznaczyła się wypuklej pod rozchyloną koszulą.

Były to wyjątki, nieliczne zresztą zupełnie. Przeważnie wszyscy ci ludzie mieli w sobie płaskość i zanik kształtów, uplastycznienie nędzy moralnej i fizycznej, coś smutnego w pochyleniu ku ziemi głów i coś dziwnie upartego w błysku szarych oczów.

Owiani dymem kurnych chat, nawet wśród świeżej woni skoszonego siana, płynącej z sąsiedniej łąki, mieli w fałdach swych brudnych płócien jakiś ostry zapach nędzy i trywjalnego pożywienia.

Tymczasem ciotka Elżbieta liczyła znów cyfry na zatłuszczonym kawałku papieru.

Ręka jej drżała.

Od czasu do czasu opierała łokieć prawej ręki na lewej dłoni i odpoczywała chwilę, patrząc w szarzejące powoli niebo.

Miejsce Warki przed gankiem zajął młody chłopak, w krótkiej, przepasanej czerwonym pasem koszuli. Świtkę zdjął z ramion i przerzucił przez rękę, a oparłszy się o cienki, lecz silny pręt leszczynowy, stał, pociągając co chwila nosem w charakterystyczny sposób.

W niekształtnych jego rysach przebijała się jakaś zuchwałość, z pod nierówno przystrzyżonej ciemnej grzywy widać było dwoje oczu dość bystrych, biegających pod frendzlą zupełnie białych rzęs. Białe miał

również brwi i nikły zarost na górnej wardze, z pod której widać było jeden ząb, kieł biały, wytarty na chlebie razowym i odcinający się na sinawej prędze ust, jak ząb mopsa.

Wypił wódkę jednym haustem i, skinąwszy głową Marji, stał teraz, oczekując zapłaty, ślizgając wzrokiem po kupie miedziaków, w której promienie słońca zapalały czerwonawe iskierki.

Ciotka Elżbieta podniosła wreszcie głowę.

— A no! to masz tak. Dwa ruble, kopiejek osiem.

Lecz chłopak żachnął się niecierpliwie.

— Nie tak! — wyrzekł ochrypłym głosem.

Ciotka Elżbieta poruszyła się niespokojnie.

— Jakże nie? — spytała — według mego rachunku tyle ci się należy.

— U was tak, u mnie nie!

— A ile?

— Dwa ruble, dwadzieścia kopiejek!

Ciotka Elżbieta porwała się z miejsca.

— A! dwadzieścia kopiejek? — wołała — i zaraz! a we czwartek, kto odjechał od zwózki o godzinę wcześniej ze swoją parą? Kto? jak nie ty, Orchim?

Orchim ramionami wzruszył.

— Ta ja... no... — zaczął.

Lecz Elżbieta dokończyć mu nie dała.

— To ja mam za twoje próżnowanie płacić? Ty mi powiesz, że ci pilno było do swego? To się do roboty nie gódź! dosyć rąk jest; Niemców od kolonji cały huk, cała przepaść, a lepiej robią od was. To wiadomo!

Pomiędzy chłopami powstał nagle szmer.

— Niemcy od kolonji!...

Lecz ciotka Elżbieta nie zdawała się zwracać najmniejszej uwagi na obudzenie się drzemiącej gromady.

Tak! tak... Niemcy robią lepiej i prędzej, to wiadomo. Chłop, jak siądzie do strawy, to gotów jeść dzień cały, ale o zapłatę upomnieć się umie. A gdy mu uwagę zrobić, by prędzej jadło pchał, odpowiada: „niechaj się uleży!“

I, ująwszy się pod boki, przedrzeźniała ochrypły

głos ludu, chowając podbródek w węzeł chustki, okalającej jej głowę.

Z pod ciemnej grzywy Orchim spoglądał na nią w dziwny sposób.

— Dajcie!

Wyciągnął rękę po pieniądze.

Lecz ona, podniecona, uderzała się teraz po bokach, czyniąc sobie ulgę w wylaniu całego potoku słów na skulone głowy, czerniące się przed nią zbitą masą.

— Tak! tak! z Niemców przykład brać winni, z Niemców, którzy zimują w jamach, jak zwierzęta, i budują sobie chaty bez niczyjej pomocy. Z Niemców, którzy karczują las, wyrywając pazurami korzenie drzew i pnie całe...

Lecz Marja pociąga ją za połę męskiego żakietu, który plecy ciotki okrywał.

— Ciotko! płać i skończmy tę pracę! Za chwilę się ściemni. Kolację podadzą!

Elżbieta urywa i, schwyciwszy odliczone miedziaki, sypie w nadstawione dłonie Orchima.

— Idź, idź próżniaku!—mówi w formie pożegnania.

Chłop odwraca się powoli od ganku, z za pazuchy wyjmuje szmatę płótna, nieokreślonego koloru. Miedziaki do szmaty wsypuje i, związawszy, znów za koszulę chowa.

Poczem miesza się z gromadą i, splunąwszy w bok, szepce:

— Lichwiarz!...

Powoli miedziaki ubywają i każdy chłop z kolei przystępuje do ganku, wywołany kolejno przez panią.

Każdy odchodzi, milcząc, czasem tylko spluwając ukradkiem, czasem z chwilowo zapaloną iskrą w oku.

Za chwilę jednak iskra gaśnie, pieniądze dzwonią za pazuchą, wydymając koszulę tuż przy pasie i obciągając fałdy.

Kobiety zostawiają pieniądze w podołku, a gdy odchodzą, za każdym krokiem aż hen ku bramie słychać brzęk miedzi, podrzucanej przez spiczaste i skręcone ku sobie kolana.

Wreszcie trawnik opróżnia się zupełnie. Powoli jeszcze od ścian domów odrywają się starczychy, owi-

nięte płatami sierawego sukna, z siwemi dołami, zwieszającemi się na zżółkłych piersiach. Oparte na kijach, wloką się zgarbione po zapłatę, dzwoniąc masą medalików, zawieszonych pod koszulą.

Stara Jewdocha, postępując, zawija w róg zapaski odebrane pieniądze, drżącą ręką plącząc płótno w niekształtny węzeł.

Gdy piła wódkę, zakaszlała, chwiejąc się na bosych, wielkich i płaskich stopach.

Marja szybko zeszła ze stopni ganku i, odbierając kieliszek z obciągniętych suchą skórą palców — wyrzekła:

— Oj, matko, czasby wam już odpocząć!

Staruszka spojrzała na mówiącą do niej dziewczynę przez bielmem zasnute źrenice.

— A czas! — powtórzyła.

Poczem, dawnym obyczajem, z wysiłkiem Marję pod kolana obejmując:

— Przyjdę wam się o domowinkę pokłonić — dodała.

I — odeszła.

Marja śledziła ją długą chwilę, patrząc jak zgarbiona, powłócząc nogami, wlokła się z szumem wśród masy rumianków.

Ścieżki bo nie było.

Wszyscy deptali dziedziniec w rozmaitych kręcąc się kierunkach. Trawa rosła bujna, przecięta żółtą masą jaskrów, lub śnieżną bielą rumianku. Koło rozwalonego płotu ciemniły się pęki pokrzywy i lebiody, tu i owdzie z tej ostrej zieleni szerzały bodjaki, gdzieniegdzie przecięte liljowo-czerwoną plamą.

Jewdocha ciemniała, jak szara bryła, posuwając wolno swój grzbiet, suknem okryty, wśród fal zieloności.

Doszedłszy do bramy rozwalonej i nawpół przegniłej, zatrzymała się chwilkę, przykładając rękę do oczów.

Widząc w głębi, ponad brzegiem pola, bielejące gromadki chłopców, przestąpiła próg bramy i zlała się powoli w jedno z szarą ścieżką ziemi, snującą się wzdłuż ścierniska.

Wtedy Marja oderwała swój wzrok od starczychy

i wstąpiła na ganek, ścierając fartuchem rozlaną na stole wódkę.

Ciotka Elżbieta znikła w głębi domu, unosząc z sobą resztki pozostałych miedziaków.

Młoda dziewczyna powoli oparła ręce o stół i znów patrzyła przed siebie, a w wielkich jej czarnych oczach przebijał się nieokreślony smutek i zniechęcenie.

Przed nią wszakże, poza łanami jaskrów i rumianku, ciągnęło się wielkie, szeroko otwarte pole, całe żółte od pokładającej się prawie ku ziemi pszenicy.

Złoto tej fali mieniło się, jak mora, w trochę czerwonawe smugi, ciemniejąc ku górze, gdzie się pole z początkiem lasu stykało.

Wśród pola — sterczał wielki, szary krzyż, ściągając ku sobie cztery ścieżki, przecinające fale czerniawemi bruzdami. Poza pszenicą, olbrzymi, ciemny wał lasu, wał sosen masztówek, całych zda się czerniawo-aksamitnych, od wierzchołka płonących w purpurze.

Purpura ta zda się wytryskać z poza wału leśnego, oblewając brzegi podłużnych szarych chmur, tuż prawie nad wierzchołkami sosen rozciągających swe wydłużone, wąskie cielska.

Już ponad łanem pszenicy, niebo całe i powietrze przybiera barwę złotą, w której kąpią się ramiona, krzyża, ponad jaskrami i rumiankami niebo bieleje jakąś mleczną barwą opalu.

Z poza lasu, z poza szumiących drzew sadu, na których opiera się kontur dworu, płyną odgłosy supiłki i nawoływania.

— He! he!

Przeciągły ryk powracającego bydła i drewniane kołatanie łączy się z tym krzykiem, ciągnącym się w powietrzu.

— He!... he!...

Marja wyciągnęła ręce, pierś jej podniosła się nagle, jakby stłumionym łkaniem.

Oczy przymknęła i pozostała tak nieruchoma, znacząc się, jak wąska, szarawa plama, w powietrznej przestrzeni ganku.

Tymczasem od strony maluchnej oficynki, przy-

kurczonej do ziemi, ciągnął w górę prosto wąziutki słup dymu.

Mały staruszek, w długim kitlu płóciennym wyszedł przed oficynkę i, przykładając rękę do zaczerwienionych oczu, spojrzał ku dworowi.

Postał tak chwilkę i zwrócił się ku drzwiom wchodowym, poza któremi mignęła głowa starej kobiety, ubranej w mantynową zieloną pelerynkę i siatkę z filozeli w rudawym odcieniu.

— Nic! — wyrzekł staruszek drżącym głosem.

— Nic? — powtórzyła kobieta — przecież już ósma!

W okienku oficyny pokazała się znów stara, gładziutko uczesana kobieta.

— Nic? — zapytała niespokojnie.

— Nic, Leosiu.

— Czekajmy!

Westchnęli wszystko troje i zniknęli we wnętrzu oficynki.

Lecz przez pęki rumianku przedzierał się ku dworowi teraz stary żyd, z długą, siwą brodą i w wytartym chałacie. Szedł, założywszy ręce za pas, mrugając zaczerwienionemi i pozbawionemi rzęs powiekami. Śpieszył się i snać gorąco mu było, bo ocierał pot z czoła, z którego zdjął zatłuszczoną czapkę z ceratowym daszkiem. Z pod nóg żyda, tuż obok kęp macierzanki, wyskoczył rudawy kot i, przeciągając się, zniknął w lebiodach. Żyd splunął i szedł ciągle, aż dotarł do ganku i chrapliwym głosem Marję pozdrowił.

— Dobry wieczór panience!

Dziewczyna drgnęła, jakby ze snu zbudzona.

— Dobry wieczór, Szmulu!

— Ciocia w alkierzu?

— Nie wiem; czy trzeba ją zawołać?

Żyd wszedł na trzeszczące stopnie ganku.

— Jabym bardzo prosił!

Marja odwróciła się, aby ku drzwiom postąpić, lecz już ciotka Elżbieta właśnie na ganek wchodziła.

Zobaczywszy Szmula, ujęła się pod boki.

— Jesteś, żydowska cytryno?

Szmul kiwnął głową.

— Dobry wieczór, jaśnie pani! Niech jaśnie pani żarty idą na zdrowie!

— Ii!... pewnie, że na zdrowie — odparła — ale to na Szmula utrapienie. Wolałbyś, żebym do lasu zaglądać nie mogła?

Szmul wzruszył ramionami.

— A co mnie za szkoda z tego, że sobie jaśnie pani po lesie chodzi. Czy tak, czy tak, te werszki, co kupiłem, wywiozę!

— Ale gdybym po lesie nie chodziła, tobyś ty nietylko werszki wywoził, Judaszu!

Szmul cmoknął i podłużną, krogulczo zagiętą ręką po brodzie pogładził.

— Aj jaj!... Szmul na cudze własność nie łakomy. Ale ja tu przyszedł o dzierżawę Łagiewnik... jaśnie pani wie!...

Na twarzy Elżbiety wystąpiły sine plamy.

— Niedoczekanie twoje! — krzyknęła, uderzając pięścią w słupek ganku — wydzierżawię, komu zechcę; twojej kurateli nie potrzebuję!

— Mój Iichim właśnie dzierżawy szuka... — bąknął od niechcenia Szmul, ocierając czoło.

— Iichim? Taki sam, jak i ty. Nie chcę! Dajesz dwa tysiące, kiedy Mandelsburg daje dwa tysiące pięćset!

— Mandelsburg? — przeciągle powtórzył Szmul— ten paskudny żyd? on ziemię zniszczy i wyssie, jak rude cielę krowę...

— Niech wyssie! — odparła Elżbieta — to nie twoja rzecz!

Lecz teraz Marja patrzyła prosto w twarz ciotki i w tych uparcie wlepionych oczach w tłuste rysy starej kobiety było tyle milczącej nagany, iż Elżbieta, silnie zdenerwowana, napadła na siostrzenicę, chcąc na nią gniew swój spędzić.

— Czego oczy wybałuszasz! — zawołała gniewnie — co ci do moich interesów? pilnuj lepiej swojej roboty. Beczułkę z wódką zatocz pod drzwi alkierza!

Marja pochyliła się nad beczką.

— Pusta! — odrzekła, dotykając obręczy.

— Nic nie szkodzi. Zatocz i przed drzwiami zo-

staw. Przyda się jeszcze w dobrej chwili. Ty marnowałabyś wszystko!... Księżniczka!

Marja powoli, schylona, uniósłszy cokolwiek swą beżową zniszczoną sukienkę, toczyć przed sobą beczułkę zaczęła. Wystające łopatki w pochyleniu grzbietu znikły pod cienką tkaniną stanika, lecz zato uwidoczniła się cała kolumna pacierzowa, źle suchą skórą obciągnięta. Drobne biodra odpychały spódnicę w miarowym ruchu nóg. Nędzna to była dziewczyna; źle ułożona, źle odżywiona i opóźniona w rozwoju swej kobiecości.

Ciotka śledziła ją chwil kilka, poprawiając nerwowo chustkę, która ją tarciem swem w szał nieledwie wprowadzała. W ogóle ta cała wełna, w jaką Elżbieta ciało swe, reumatyzmem pokręcone, obwijała, drażniła ją i wprawiała w stan bezustannego podniecenia.

Szmul stał ciągle, milcząc, oparty o słup ganku, poddając swe nagie czoło pod chłód wieczorny.

Zdawał się zapominać, gdzie się znajduje i po co przyszedł, cały pogrążony w ciszy go ogarniającej, z maską starego patrjarchy, oszpeconego trędowatemi wyrzutami skóry.

Elżbieta spoglądała na niego, szukając jakiego słowa, które znów rozmowę nawiązać by potrafiło.

Wreszcie Szmul powoli od słupa się odczepił.

— Dobranoc jaśnie pani! — wyrzekł, nakładając czapkę.

— Gdzie cię niesie? — burknęła Elżbieta.

— Jankiel jedzie ot! oździe drożyną!... Podwiezie mnie... Stary Szmul nie zdąża tak chodzić.

Elżbieta spojrzała poza łany rumianku i lebiody.

— Jedzie! — powtórzyła. — Kiwnij na niego; trzeba, żeby mi kogo do smolarni sprowadził. Ten... Adruszewski, bałwan, bańki powinien puszczać, a nie smolarnię prowadzić!

Wąską ścieżką, przecinającą pszenicę, czerniła się bieda żydowska, zaprzęgnięta w małą, rozczochraną szkapę.

Na biedzie siedział żyd, pochylony naprzód i z wytężeniem na dwór patrzący.

Szmul zaczął czapką powiewać i rękoma machać. Bieda dojechała do krzyża, poczem w jedną ze ścieżek,

prostopadle ku dworowi wiodącą, skręciwszy, znów z pośród pszenicy wynurzać się zaczęła.

— Jak myślisz, Szmul—zapytała znów Elżbieta — z Andruszewskim kontrakt zerwać można, skoro nawet palaczy dopilnować nie umie... Jankiel mi kogo nastręczy?

— On-by sam mógł! — wtrącił stary żyd, patrząc na wjeżdżającą przed bramę biedkę.

Elżbieta ramionami wzruszyła.

— On? gdzież znowu! Jeszcze by mi smolarnię rozrzucił swojem gospodarstwem

Tymczasem Jankiel zeskoczył z biedy i, zarzuciwszy szkapie lejce za hołoblę, przez strugi kwiatów i trawy ku dworowi iść zaczął. Koń pociągnął pomiędzy lebiodę i stanął tam, okrywając się płachtą potarganych i pełnych ściernia kłaków. Jeno chude biodra sterczały mu, znacząc się jaśniejszemi linjami na rudawej sierści wytartej skóry.

Na widok Jankla jakaś chmura przesunęła się po twarzy Elżbiety.

Zasunęła brodę w węzeł chustki, jak ślimak w skorupę i oczy przymrużyła, jakby nie mogąc znieść blasku, bijącego z tej pięknej żydowskiej twarzy.

Jankiel przysunął się do stopni ganku.

— Wieczór dobry jaśnie pani! — wyrzekł dźwięcznym głosem.

— Jak się macie, piękny Janklu — odparła kobieta—rzadko was widuję teraz u siebie.

— Czasu niema. Roboty dość!—odparł żyd, spoglądając na ojca, który gładził brodę i wciąż po czole się macał.

— Jeździliście koło smolarni? co robi Andruszewski?

Jankiel uśmiechnął się i dwa rzędy białych, jak perły, zębów błysnęły wśród złocistej, falowanej brody.

— Co ma robić? chodzi sobie po lesie i witeczką macha.

— Smolarnia dziś nie idzie?

— To jaśnie pani nie wie, że kocioł, ten lewy, się znaczy?

Na twarz Elżbiety wystąpiły płomienie.

Szmul przestał gładzić brodę i na lamentującą kobietę spojrzał.

— Jaśnie pani Szmula o radę nie pytała, jak z Andruszewskim kontrakt spisywała. Jaśnie pani kurateli Szmula nie chce, a teraz... kocioł się znaczy, Andruszewski z witkiem po lesie chodzi...

Pani Elżbieta zdawała się przybita.

— Djabli go wiedzieli! mówił mi: mechanik jestem, na rzeczy się znam! Dziś wygnać go trza, koniecznie... koniecznie!...

Jankiel pokręcił głową.

— Kontrakt ma.

— Ej Jankiel — odparła kobieta, ku żydowi się przysuwając — już tam kruczek jakiś wynajdzie się, jeśli tylko obaj zechcecie. Jeśli mnie opuścicie przyjdzie mi chyba pójść z torbami!

Ręce rozłożyła, oczy w niebo wzniosła.

— Z torbami! — powtórzyła.

Obaj żydzi stali nieporuszeni, nie spoglądając na siebie, jakby w ziemię wrośli.

Teraz powoli wszystko w przestrzeni szarzało, ciemny wał lasu w czarną plamę zlewać się zaczął.

Elżbieta znów o kilka kroków ku żydom się posunęła.

— Chodźcie do pokoju, porozmawiamy trochę, tu robi się chłodnawo; dla nas obojga, Szmulku, chłód, to niebezpieczna rzecz...

— Późno już, do domu trza — odparł Szmul, spoglądając w górę.

— Traficie jeszcze na czas, coś z tą smolarnią zrobić musimy.

— Jak jaśnie pani każe!

Elżbieta odwróciła się i przez próg domu przestąpiła.

Za nią na skrzypiący ganek wstąpili obaj żydzi, którzy za jej plecami zamienili ze sobą długie spojrzenie.

Wszedłszy do sieni, pełnej woni grzybów, Elżbieta ujrzała Marję, klęczącą koło dzieży, pełnej świeżo zakwaszonych ogórków.

Dziewczyna obnażoną ręką sięgała w dzieżkę, wyj-

mując ogórki i układała je na talerzu. Całe gałązki kopru i bobkowych liści czepiały się na ramieniu dziewczyny.

Elżbieta przystanęła, sapiąc i spoglądając uważnie na wnętrze dzieżki.

— Pięć, pięć... dosyć! — krzyknęła — po co wyjmujesz szósty? zmarnuje się z pewnością.

Dziewczyna trzymany w ręku ogórek wrzuciła do dzieży.

— Myślałam, że pan Brunon przyjedzie — odparła, zamykając dzieżę wieczkiem i kładąc na wierzchu kamyk.

— Jak przyjedzie, to wtedy będzie dość czasu, a wreszcie może się obejść bez ogórka ten skąpiec obrzydły.

A zwróciwszy się ku stojącym na progu żydom, dodała:

— Chodźcie do salonu, suszą się tam maliny, ale to nic nie szkodzi.

Marja powstała z ziemi i gotowała się wyjść na ganek.

— Idę dzwonić na oficynę.

Elżbieta wzruszyła ramionami.

— A idź i zwołaj te pasibrzuchy. Zwołaj i owszem.

I nagle, jakby potrzebując wylać pasję, która ją dławiła, krzyknęła płaczliwym głosem:

— No, no! pójdę z torbami!

Trzasnęła drzwiami i znikła w głębi domu.

Za nią posunęli się na palcach żydzi, owijając się o drzwi, jak czarne duchy, i tylko blada twarz Jankla mignęła wśród cienia, zalegającego kąty sieni.

Marja wyszła teraz znów na ganek i stała chwilę, jakby zdziwiona tą szarą barwą, która w oddali ciemniała w fioletowe tony. Wszystko się zlewało i nikło, pszenica przedstawiała się jak obrus brudno - biały, a krzyż, przed chwilą jeszcze widoczny, znikł bez śladu.

Poryki bydła, nawoływania pastuchów, kołatanie dzwonków, wszystko umilkło.

Od czasu do czasu tylko koń Jankla, posuwający się wpośród lebiody, rozdzierał z szelestem liście i łamał pod kopytami z chrzęstem pokrzywy.

Poza oficynką stróż rąbał drzewo, uderzając systematycznie siekierą o pniak.

Marja ujęła za sznurek, zwieszający się pomiędzy dwoma słupami ganku i poruszać nim poczęła.

Przeciągle zajęczał dzwonek, płosząc z pośród rumianków żółtego kota, który pomknął szybko w pole, pozostawiają za sobą jasną, szybko znikającą smugę.

Z oficyny wybiegła stara kobieta, ubrana w watowany kaftan i mająca żółtą chustką obwiązaną głowę. Siwe kosmyki spadały na jej twarz gąbczastą i pełną zmarszczek. Biegła żwawo, podnosząc brudnemi piętami długą spódnicę, która zapadała jej się na brzuchu i co chwila przeszkadzała w biegu.

Kobieta trzymała w ręku durchszlak i machała nim bezustannie.

— Podawać? — krzyknęła, o kilkanaście kroków od ganku się zatrzymując.

— Możecie — odpowiedziała Marja, za sznur znów ujmując.

Lecz opóźniła się z powtórnem zadzwonieniem.

Coś turkotało na drodze poza rozwalonym płotem. Żydowska szkapa podniosła uszy, a wstrząsnąwszy łbem, rozrzuciła pokudłaną grzywę.

Dziewczyna wytężyła słuch, jakby chcąc rozróżnić tętent kopyt i turkot kół.

Wreszcie ramionami wzruszyła.

— Naturalnie on! — wyrzekła półgłosem — któżby mógł być inny w chwili, gdy kolację na stół podają!...

I, pociągnąwszy sznur, dzwonić znów zaczęła.

I prawie równocześnie przez bramę wjazdową, podskakując, przeleciała niewielka bryczka, kilimkiem wysłana, w trzy chude białe konie zaprzężona. Konie te potrząsały łbami i stawiały z góry powykręcane dziwnie nogi. Były to wielkie szkapy, wyranżerowane z pułku huzarów, zaniedbane, wychudłe, z grzywami potwornych rozmiarów.

Dwie z tych apokaliptycznych bestji wysuwały języki długie, płaskie, fruwające za każdym krokiem, jak dwie chorągwie z purpurowego sukna.

Ekwipaż ten zajechał przed ganek i z bryczki wylazł mały, krępy jegomość, ubrany w rodzaj spódnicy kobiecej, z rękawkami i związanej dokoła szyi.

— Cioteczka w domu?—pytał, zdejmując kapelusz.

Marja uśmiechnęła się lekko.

— W domu, niech pan wejdzie... kolację podają.

— Ja tylko na chwilę — tłumaczył się nowoprzybyły, przyklepując ręką poczernioną i starannie pocerowaną perukę — na chwilkę! przejeżdżając z miasteczka do siebie.

Marja nic nie odpowiedziała, tylko dzwonek jęczał znowu, poruszany jej ręką.

Mężczyzna tymczasem zdjął z siebie wierzchnią odzież i ukazał się w garniturze, zrobionym z kobiecej, jedwabnej w kraty sukni.

— Ty, Kuliczku! — wyrzekł, obracając się do bryczki — koników nie odprzęgaj, ale tu ich troszkę na dziedzińcu zostaw. Ot tam, gdzie się tamten konik pasie. Idź, Kuliczku! idź, mój synu!

Z kozła bryczki podniosło się coś nakształt człowieka, z głową rozczochraną, z plecami okrytemi podobną, jak u pana, spódnicą, tylko bardziej wytartą i zrudziałą.

— Co, panie grafie?

— Idź tam, koło płotka — powtórzył mężczyzna, pokazując ręką w kierunku szkapy.

Kulik podciągnął nosem, poskrobał się po głowie i, machnąwszy biczem, ruszył z kopyta.

Husarskie konie podniosły wysoko nogi, machnęły językami i wpadły w morze rumianku, szarpiąc bryczkę na prawo i lewo.

Tymczasem od strony oficyn ku dworowi ciągnąć zaczęły zgarbione postacie ludzkie, idąc jedna za drugą wpośród wilgotnej trawy.

Pierwszy szedł mały staruszek, zamiatając ziemię połami zniszczonego kitla. W ręku trzymał mały jakiś sprzęcik, migocący jaskrawemi kolorami.

Poza nim dreptała staruszka, w mantylce zielonej mantynowej i siatce sznelowej, z twarzą szczupłą, zapadłą i pobielałą od wieczornego chłodu. O kilka kroków dalej płynęła, podniósłszy wyszarzaną spódnicę, stara kobieta o płaskich piersiach i gładko przyczesanych włosach. Usta miała wąskie, zaciśnięte i brodę spiczastą, nos orli i spłowiałe błękitne źrenice. Z poza głowy, poprzedzającej ją staruszki wyciągnęła szyję

i dojrzała krępą postać pana Brunona, stojącego przed gankiem.

Chwilę stanęła, jakby dla nabrania oddechu, poczem, opuściwszy spódnicę na obute w płaskie prunelowe pantofle nogi, wolnej już za drugiemi podążać zaczęła.

Marja stała ciągle na ganku, jakby wyczekując na dojście do dworu tej smutnej, pochylonej procesji, wolno wśród traw drepczącej.

Pan Brunon perukę wciąż przyklepywał i krótką a pomarszczoną kamizelkę obciągał. Wreszcie staruszek wszedł pierwszy na stopnie ganku, pochylając głowę.

— A... pan Bukowski! — mruknął Brunon.

Z kolei staruszka w pelerynce przesunęła się zwolna.

Ta trzymała głowę sztywno i zaledwie lekkiem zmrużeniem powiek przywitała gościa.

— *Bonsoir madame!* — wycedził Brunon.

— *Bonsoir* — odparła, niknąc w głębi sieni.

Płaska i gładko przyczesana kobieta trwożliwie na stopnie ganku wstępować zaczęła.

— Co, ciociu Leosiu — zapytała Marja — jakże tam twoje zdrowie?

Kobieta podniosła spłowiałe oczy.

— Tak... nieźle... — odparła przyciszonym głosem, poczem, ku Brunonowi się zwracając, dodała jeszcze ciszej:

— Witam pana!

On ukłonił się dość grzecznie i odwrócił głowę, jakby nie chcąc spotkać się ze wzrokiem kobiety.

— *Cet animal Kulik* nawet koniom uczciwie wypocząć nie da! — wycedził przez zęby, patrząc w stronę wózka, który chwiał się pomiędzy lebiodą, czerniąc się kadłubem, a bieląc cielskami koni.

Chciał iść nawet do bryczki i już złożył na stopniach ganku swój wytłuszczony kapelusz, okolony kawałkiem czerwonego aksamitu, oberwanego jak wieść niosła, z biskupiej karety, w której raz pana grafa odwożono do domu, gdy nagle drzwi od sieni otworzyły

się z łoskotem i wypadł przez nie Szmul, wytrącony z wnętrza domu ręką Elżbiety.

— A idź na złamanie karku i niech cię więcej nie oglądam, ty zmoro mojego życia! — wołała pani domu drżącym ze złości głosem.

Szmul, znalazłszy się na ganku, poprawił pasa, obciągnął chałat i uśmiechnął się lekceważąco.

— Dobra pani, ale trochę prędka! — wyrzekł do Leontyny, stojącej wciąż na stopniach i śledzącej wzrokiem Brunona, poczem, zwróciwszy się do Marji, dodał przyciszonym głosem:

— Jakby mnie ciocia potrzebowała, to ja jeszcze będę kręcił się koło dworu z godzinę — potem wrócę do karczmy!

Dziewczyna zmarszczyła brwi i skrzywiła się znacząco.

— Najlepiej Szmul zrobi, wracając zaraz do domu. Ciocia sama sobie da radę i pewnie po Szmula nie pośle.

Żyd pokiwał głową.

— Albo to prawda! — wyrzekł — ciocia bezemnie się obejść nie może. Panienka wie o tem dobrze!

Marja westchnęła i zwróciła się ku Leontynie:

— Chodźmy, ciociu, niepotrzeba, aby na nas czekano!

Zwracając się zaś do Brunona, dodała:

— Proszę pana!

Wszedłszy do sieni, minęli się z wyniosłą postacią Jankla, wychodzącego z dalszych pokojów. Żyd spokojnym zupełnie głosem życzył im wśród ciemności „dobrego apetytu!“ Nikt mu nie odpowiedział i w milczeniu zupełnem wsunęli się wszyscy do sali jadalnej.

Sala ta dziwny przedstawiała widok.

Wielkich rozmiarów, budowana, jak zresztą dwór cały, *grandioso,* robiła niezwykłe wrażenie pustki i zimna białością swych nagich wysokich murów, na których włóczyły się teraz już wieczorne cienie. Pod ścianami, jedne na drugich spiętrzone, stały krzesła, stoliki, szkielety kanap, półek i etażerek. Krótki szpinecik z porwanemi strunami, wyciągnięty cokolwiek na środek

pokoju, nosił na swym delikatnym grzbiecie maluchnę biureczko z połamaną i potłuczoną szafeczką.

Pod oknami, wychodzącemi na ciemny prawie, w tej chwili, sad, stał długi sosnowy stół, oparty na krzyżakach, okryty płachtą ceraty. Dokoła wąskie krzesełka, obite zrudziałą włosienią, z wystającemi i wypadającemi sprężynami.

Na ceracie poustawiano porcelanowe, dość cienkie talerze, malowane w błękitne muszki, grube szklanki, cynowe łyżki i widelce, olbrzymią karafkę z wodą i sól grubo tłuczoną.

Przed miejscem pani domu: cukierniczka, zamknięta na kluczyk, i puszka z herbatą, sitko, imbryk i mała łyżeczka.

Poza stołem, z ręką na cukiernicy, pani Elżbieta z miną groźną, chmurną, drżąca jeszcze ze złości po świeżej przeprawie z żydami. Widok pana Brunona nie wpłynął korzystnie na jej usposobienie.

— Kochany pan... znów na minutkę, w przejeździe — zaczęła syczącym głosem.

Brunon dłoń ku niej wyciągał, drugą ręką kamizelkę na dół obciągając.

— Wracając z miasta. Kulik już z nałogu nawrócił.

Elżbieta ramionami wzruszyła.

— Widzisz hrabio, u nas dziś kolacyjka skromna, ot — kluseczki wołyńskie, nic więcej.

Hrabia pomacał perukę.

— Co Bóg da! — odparł, szurając nogami.

Tymczasem, powoli, jak automaty, pozajmowali miejsca swoje zwykli mieszkańcy oficyny. Pan Bukowski, przedtem jednakże, przed talerzem Elżbiety postawił rodzaj małego ołtarzyka, artystycznie ulepionego z tektury i kawałków papieru.

— Dla dobrodziejki! — mówił, przysiadając do ziemi.

Elżbieta arcydzieło to pracy i cierpliwości w grube dłonie schwyciła i do światła podniosła.

— Ki djabeł? — spytała.

— Ołtarzyk, dobrodziejko, ołtarzyk według brygickiego ulepiony — odparł Bukowski, przysiadając jeszcze niżej.

Elżbieta usta wydęła.

— I po co to asan czas i pieniądze marnujesz? — zaczęła wyniośle—do czego to takie fanfraluszki lepić? czy to nie lepiej iść w pole, ludzi doglądać, albo za proso pieniądze odbierać? Ha?

Bukowski poczerwieniał i zaczął poły płóciennego kitla gnieść.

— Stary jestem... nie zdążam! — wyrzekł przyciszonym głosem.

— Stary? — żachnęła się Elżbieta — młodszyś asan odemnie, a ja robię za trzech mężczyzn... bo muszę! bo mi nikt gotowej strawy pod usta nie podsunie i poprostu torby mi pozostaną, jeśli tak dalej pójdzie...

Staruszka w zielonej pelerynce utkwiła w mówiącą oczy, jakieś groźne i gniewem błyszczące. Czuła w tej chwili podwójne upokorzenie, swoje i męża, który stał w postaci winowajcy z głową siwą, spuszczoną na zapadłą pierś, okrytą szarą koszulą.

I gdy wreszcie Bukowski usiadł na swe miejsce, staruszka, porwawszy go za rękę, wpiła mu w dłoń swe długie, spiczaste paznogcie, sprawiając w ten właściwy histeryczkom sposób ulgę swej tajonej wściekłości. Bukowski nie drgnął nawet, snać przyzwyczajony do podobnych wybryków charakteru swej żony, lecz ciotka Elżbieta przeczuła postępek Bukowskiej.

Złośliwie uśmiechnięta, wpatrywała się w twarz staruszki i, nic nie mówiąc, kiwała głową.

Przez nawpół otwarte drzwi, jak bomba, wpadła bosa kobieta, która odebrała od Marji rozkaz podawania kolacji. Za nią wlókł się chłopak w krótkiej siermiężce i z konopiastą grzywą. Oboje trzymali w rękach półmiski, na których leżały niewielkie porcje mięsa i szarych hreczanych klusek.

Marja półmiski odebrała i, stawiając je na stole, ku ciotce podsunęła.

— Władysławowo! przynieście samowar!

Władysławowa przekręciła na bakier chustkę, uderzyła w kark drapiącego się w głowę chłopca i wypadła jak bomba, dudniąc bosemi nogami po podłodze.

Na ten hałas Bukowska skrzywiła się nieznacznie.

Po twarzy ciotki Elżbiety przesunął się uśmiech.

— Pani Bukowska cierpi na nerwy? — spytała układnie — najmocniej przepraszam za moją służbę. Co chcecie, ordynarny naród, na droższych a delikatniej drzwi zamykających mnie nie stać.

Pani Bukowska nerwowo szarpała końce mantylki; znać było, że każde słowo Elżbiety sprawia jej dojmującą przykrość.

— Cóż robić — ciągnęła Elżbieta, sięgając do półmiska z mięsem, które zgniławą woń roztaczało do koła — cóż zrobić, trzeba znosić, moja Bukosiu, i to znosić... bez skrzywienia, nerwy w kieszonkę schować. My, ludzie biedni, nie mamy prawa być wybredni i pieścić się... Prawda, panie hrabio?

Brunon nabrał na talerz sporą porcję mięsa, nie zwracając uwagi, że Leontyna nieśmiało widelec swój wysuwa.

— Święta prawda, droga sąsiadko! — odparł z pełnemi usty.

Tymczasem Marja powstała od stołu i zbliżyła się do wpadającej znów, jak bomba, Władysławowej.

— Proszę was — wyrzekła suchym, urywanym głosem — wchodźcie ciszej, nie stukając drzwiami. Słyszycie?

Ciotka Elżbieta piorunującym wzrokiem spojrzała na dziewczynę, która ze swej strony nie spuszczała powiek.

Chwilę te dwie pary oczów gorzały, jak gromniczne świece, naprzeciw siebie zapalone. Wreszcie Elżbieta pierwsza spuściła wzrok i wlepiła go w pusty już półmisek.

Chwilę zapanowało głuche milczenie.

Brunon jeden pożerał nędzne szmaty gotowanego mięsa, rzucając przytem wzrokiem na prawo i lewo, poprawiając od czasu do czasu perukę. Leontyna pozostawiła na talerzu nietknięty kawałek i z oczami wlepionemi w obrus, z wypiekami na chudych i zapadłych policzkach, siedziała, prostując się co chwila na twardem krzesełku.

Bukowski kręcił machinalnie jakieś filarki z ośrodka chleba, a żona jego z oczyma łez pełnemi i drżącym

podbródkiem tłumiła w sobie rozdraźnienie nerwowe, szarpiąc widelcem łykowate, cuchnące mięso.

Ciężka, przygnębiająca panowała tu atmosfera, coś, co głowy ludzkie stufuntowym ciężarem do ziemi tłoczyło, pomimo balsamicznej woni, jaka z otwartych okien do pokoju wpływała.

Powoli niebieskawe cienie włóczące się po kątach występowały ku środkowi, zajmując coraz więcej przestrzeni. Niebieska ta barwa przybierała stalowy odcień i zamieniała się jakby w smugi dymu ku środkowi dążące.

Jedynie pani Elżbieta występowała jeszcze w jaśniejszym szmacie światła; siedząca obok niej Leontyna już miała niemal na twarzy odcień ziemisty, a odwrócony plecami do okna Brunon, na gładkiej powierzchni peruki poruszał refleks białawego światła.

Bukowscy i Marja tonęli prawie w cieniu i tylko talerze kładły białe plamy na ciemnej powierzchni ceraty.

W głębi pokoju czerwieniła się podstawa samowara, od czasu do czasu wypadł z sykiem purpurowy węgielek i zagasł na tacy. Pani Elżbieta przysunęła do siebie półmisek z hreczanemi kluskami i szybko łyżką zaczęła ser i słoninę zgarniać na swój talerz. Czyniąc to, z uśmiechem spoglądała na Brunona, który niespokojnie śledził ruchy gospodyni domu.

Dwoje tych skąpców zdawało się wydzierać sobie z ust nędzne pożywienie, zapominając o istnieniu innych, przy stole siedzących istot.

Wreszcie Elżbieta odsunęła półmisek i, zwracając się do Brunona, powtórzyła z uśmiechem:

— Kluseczki?

On westchnął i widelec swój w czarnej masie zanurzył.

— Kluseczki! — powtórzył.

Półmisek prawie pusty ku końcowi stołu posunął.

Nikt nie wyciągnął ręki.

Bukowski ogryzał łupiny ogórka, żona jego siedziała teraz przybita, łamiąc sobie palce pod stołem.

Elżbieta jakby z triumfem spojrzała ku ciemnej stronie stołu.

Zdawaćby się mogło, że widok spuszczonych głów

i nerwowo zaciśniętych ust sprawia tej kobiecie jakąś przyjemność.

Podniecona, zwróciła się ku Brunonowi.

— Dużo pan hrabia krówek nałapał?

— *Grâce à Dieu!...* szesnaście!

— I wszystkie w galerji?

— Wszystkie, co do jednej, sam zamknąłem na klucz, jutro będą wykupywać.

— Pan hrabia sam w nocy pilnuje?

— A jakże, z Kuliczkiem i Kuliczkowa krówka na przynętę się pasie!

Pani Elżbieta wybuchnęła śmiechem.

— Wyborne! — zawołała — wyborne! Hrabia masz pyszne pomysły; na przynętę jedna krowa, to wyborne! Prawda Marjo?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

— To nieuczciwe! — odrzekła dobitnie.

Brunon przymrużył oczy.

— Eh! eh!... To tak napozór. Ale później, gdy krówki już do galerji zapędzę, Kuliczkowi święcie jego krówkę oddaję i nie zajmuję, nic, nawet za zjedzoną trawkę nie liczę! A przecież za tę łączkę pod miastem drogo zapłaciłem, oh! *les yeux de la tête!...*

Elżbieta zmarszczyła brwi.

— Nie zważaj pan na nią! — zawołała z pasją. — Ma bzika i lubi udawać. Hrabia kolonizujesz?

Brunon po resztę klusek rękę wyciągnął.

— Naturalnie. To świetny interes. Niemcy, jak czarodzieje, nieużytek na rolę zamieniają. Widziałem, jak pani Elżbietówka rozrasta się i rozszerza. Po czternastu latach wszystko do pani należeć będzie. A jakie budynki! a jakie to czyste, ładne, miluchne!

Resztę klusek na talerz zgarnął i pożerać zaczął.

Marja powstała od stołu i, podszedłszy do samowara, herbatę nalewać zaczęła. Odurzający zapach taniej, brodzkiej herbaty rozszedł się dokoła.

Elżbieta, cukierniczkę do siebie przysunąwszy, kluczyk przekręciła i wieczko otwarła.

— Spodziewam się — wymówiła powolnym, jakby leniwym głosem — nowego transportu Niemców, których osadzę w Zagajowie. Mam tam sporą część lasu

zdatnego do wykarczowania. Powoli w ten sposób osiedlę wszystkie przestrzenie, po wyciętych lasach pozostałe.

Do stołu podeszła Marja i, postawiwszy na nim tacę ze szklankami, o krawędź się oparła.

— W Zagajowie chcesz ich znów osadzić, ciotko? — spytała.

Elżbieta podniosła głowę.

— Naturalnie, ciebie się o pozwolenie pytać nie będę.

Ręką do cukierniczki sięgnęła, wydobyła mały kawałeczek cukru i w szklankę jedną wrzuciła.

— Zanieś pani Bukowskiej!

Lecz Marja nie poruszyła się wcale.

— W Zagajowie? i tam będą Niemcy? — spytała — po co? nie powinnaś robić tego, ciotko!

Elżbieta prawie uniosła się z krzesła z gniewu i podrażnienia.

— A do stu djabłów! jakiem prawem się mieszasz w moje sprawy, zuchwalico jedna! — zawołała, bijąc pięścią w poręcz fotelu — jeśli zechcę, sprowadzę muzułmanów i w Zagajowie osadzę, a ciebie z torbami wyrzucę!

Marja stała ciągle koło stołu nieruchoma, tylko wielkie swe oczy w twarz ciotki utkwiła, oczy spokojne dominującej nad innemi istoty.

— Sprowadź muzułmanów!—odrzekła wreszcie — sprowadź nawet samojedów, lecz pamiętaj, że ta zamiana lasu na rolę toć zguba, i strata oczywista. Piasek bo masz pod spodem, piasek, w którym sosny się gnieździć mogą, i gdy Niemiec ci ziemię pazurami zorze, nie pozostanie ci się nic po nim, jak wydma piasczysta!

I, ująwszy szklankę z herbatą, dziewczyna odeszła na ciemny róg stołu, przeprowadzona gniewnym wzrokiem Elżbiety i trwożliwem spojrzeniem Leontyny, która zdawała się dziwić, skąd Marja mieć może tyle odwagi i stawić czoło tyrance, przed którą ona, w roli ubogiej krewnej, na łasce siedzącej, drżała.

Tymczasem Elżbieta, nie mogąc znaleźć odpowiedzi na słowa Marji, powstała nagle od stołu i, chwyta-

jąc pod pachę cukierniczkę, wyszła z pokoju, zatrzaskując poza sobą drzwiczki tak zwanego alkierza.

W drzwiczkach tych wykrajany mały otwór i założony szybką pozwalał widzieć tej dziwnej kobiecie, co się w jadalnej sali dzieje.

Przed drzwiami alkierza stała pusta beczka od wódki, zatoczona tu przez Marję, i stary worek od soli, zczerniały i wilgotny.

Głuchy łoskot zasuwanego rygla zwiastował obecnym, że pani Elżbieta zamknęła się już na noc całą i że nie pokaże się aż jutro przy porannej herbacie.

Powoli wszyscy zaczęli wysuwać się z sali, dążąc do swych legowisk.

Bukowscy wyszli pierwsi, milczący, cisi, i tylko od czasu do czasu rodzaj stłumionego łkania z pod zielonej pelerynki wydzierał się z piersi kobiety.

Idąc, jak wśród morza traw, ku oficynce, bielejącej w nocnej pomroce, wydawali się jakby dwoje tułaczów, w noc letnią powracający do swego domostwa.

Na ganku stanęła teraz Leontyna i Brunon oczekujący na Kulika, który zdrzemnął się na bryczce.

Kobieta, oparta o słup, z rękoma splecionemi na zapadłej piersi, zdawała się wyczekiwać jakiegoś słowa ze strony mężczyzny. Lecz on milczał uparcie, odsuwając się na drugą stronę ganku, zdenerwowany, zaniepokojony sąsiedztwem towarzyszki, milczącej i w cień spowiniętej.

Stali tak długą chwilę, nie widząc się prawie pomimo bliskiej odległości, nie patrząc na siebie, a przecież ciężąc sobie wzajemnie i szarpiąc nerwy.

Wreszcie bryczka zaturkotała, białe cielska koni zamajaczyły przed gankiem.

Brunon, nie oglądając się, ze stopni ganku zstępować począł.

Wówczas Leontyna pochyliła się i cichym, drżącym głosem rzuciła pytanie:

— Przyjedziesz jutro?

On wstępował już na stopień bryczki, owinięty w fałdy spódnicy, którą mu Kulik podał. Usłyszawszy szept kobiety, zmarszczył poorane czoło, skrzywił bezzębne usta.

— *Peut-être!* — rzucił przez ramię.

Leontyna zaczęła zstępować ze wschodów.

— Jedź z Bogiem i dobrze!

On rękę do kapelusza przyłożył i poruszył się na siedzeniu. Kulik machnął batem, konie szarpnęły bryczkę i cały ten nędzny ekwipaż przez łany rumianku przedzierać się zaczął. Na ganku pozostała sama Leontyna i, przymknąwszy oczy, stała tak długą chwilę, wsłuchana w turkot odjeżdżającej bryczki.

Zdawała się gonić myślą tego starca w peruce, trzęsącego się w tej chwili na nędznej wiązce siana w takt galopu huzarskich koni, zbierających pokrzywione nogi pod batem Kulika, wśród cieni letniej nocy.

Nagle — drgnęła, jakby ze snu zbudzona.

Ktoś położył jej rękę na ramieniu i delikatnie w pół objął.

— Nie piłaś, ciociu, herbaty?

Z kluczykiem w ręku drobna postać dziewczęcia stała.

— Nie, moje dziecko! — odparła Leontyna—wiesz, cukru mi nie dała!

Marja głowę na ramieniu ciotki położyła.

— Biedna ciociu! to przezemnie, ja ją rozgniewałam; zemściła się na was.

Leontyna obejrzała się niespokojnie.

— Pst!... — wyszeptała — może jeszcze nie śpi. Posłyszy! a! niech Bóg zachowa!

Stuliła głowę, jak obity piesek; dreszcz wstrząsnął jej delikatnem ciałem.

Marja pocałowała ją w czoło.

— Idź ty spać, ciotko! — wyrzekła, jakby z odcieniem litości — chłód wieczorny źle działa na twoje zdrowie; idź spać!... proszę cię!

Leontyna podniosła głowę i wciągnęła silnie powietrze w płuca.

— Jak pachnie, — wyszeptała.

— Ot, jak ziemia nasza! — dorzuciła Marja.

Stały jeszcze tak chwilę, oddychając głęboko. Cała gama zapachów, ostra woń macierzanki, mdły zapach rumianku, niewyraźna woń lebiody, cała masa

aromatów ziół i świeżego skoszonego siana płynęła teraz w przestworzu.

Nagle ciotka Leontyna odwróciła się ku Marji.

— Pójdę! — wyrzekła krótko.

Coś ją dławiło w gardle. Chwila jeszcze, a łzy napłynęłyby jej do oczów, czuła to doskonale.

I poszła ku swej oficynce, unosząc wysoko zniszczoną sukienkę i zbierając ze źdźbeł trawy krople rosy na swe rozdeptane pantofle.

Teraz Marja pozostała sama i odetchnęła pełną piersią.

Szybko rzuciła się w morze rumianku, depcąc żółte jaskry, które ze złamanych łodyg sączyły płyn biały i lepki. Dzika cykorja łamała się z łoskotem pod nogami dziewczyny, a puszyste trawy, kiście swe delikatne, jak koronki ku ziemi gięły.

Jak strzała, przebiegła Marja dziedziniec i wydostała się na drogę. Przeskoczyła rów i pogrążyła się do połowy w złocie pszenicy, zmieszanej, zwłaszcza przy brzegach, z pękami kąkolu.

W tej chwili z poza drzew sadu, wypłynął na ciemnawe, lekko tylko posrebrzone nad domem, niebo, księżyc i oblał srebrnawą strugą szumiący łan pszenicy. W tej srebrnej powodzi zabłysnęły szare ramiona krzyża, okolonego czterema płaczącemi wierzbami, których drżące lekko listki białe prawie były i jakby szronem pokryte.

Marja zwolniła kroku i wzrokiem cały ten przepych srebra ogarnęła, zatrzymując się na czarnej ścianie lasu, która od góry miała jakby błękitnawą smugę, zwolna w cień przechodzącą.

Cisza panowała dokoła, cisza przerywana jedynie ćwierkaniem polnych koników i zdaleka na skrzydłach nocy niesionem rehotaniem żab.

Dziewczyna doszła do krzyża i na wzgórku pod nim przysiadła, obejmując kolana splecionemi rękami. Biała była i blada w tej światłości nocnej, która jej srebrnawy ton w blond warkocze kładła i jakieś jasne bruzdy po zapadłych policzkach znaczyła.

Przed nią poza morzem pszenicy wiła się czarna wstęga drogi, okrążająca pole dokoła jak wąż drzemią-

cy. Poza drogą dwór wznosił się pusty, odrapany, smutny, przyduszony czarną masą dachu, zlewającą się ku górze z ciemnemi gałęźmi drzew w sadzie rosnących. Na prawo jedna topola sterczy samotna, czarna, prosta jak grecka kolumna i długi wąski cień rzucająca.

Marja oparła głowę o podstawę krzyża i zdawała się kąpać w tej ciszy, spokoju, srebrze światła i woni, wydzierającej się z ziemi tłustej, niedawnym deszczem zwilżonej.

Był to odpoczynek prawdziwy, to milczące, półsenne marzenie wśród woni i blasków księżyca. Zmęczenie dnia całego ustępowało z ciała dziewczyny, a tylko rozrzewnienie wielkie i spokój ogarniały ją całą.

Siedziała tak uśmiechnięta, spokojna, milcząca, znając każdy szmer, każdy odgłos, rozróżniając zapachy ziół i kwiatów, chłonąc w siebie cudne efekta świateł i cieni.

Nagle, wśród ciemnego tła drogi, powoli jakieś istoty posuwać się zaczęły. Szły milczące, trywjalne, naprzód pochylone, zbite w niekształtną gromadę, ze skrzypieniem wózków, poszczekiwaniem psów i nawoływaniem chrapliwych głosów.

Gromadki te kroczyły wolno, ciężko, depcąc ziemię, która zdawała się jęczeć i uginać pod ich ciężarem. Ludzie ci szli z minami zdobywców, z fajkami w ustach, plując brunatną śliną w złote morze pszenicy, patrząc obojętnie na srebrne blaski, w jakich kąpało się wszystko dokoła.

Wreszcie, stanąwszy na drodze, spojrzeli po sobie i wyjąwszy fajki z ust zaryli grube obcasy w ciemną ziemię.

— *Es scheint, das es hier sein soll.*

— *Jawohl!*

Marja podniosła się teraz, jak z jednej sztuki wykuta i, mimowoli, jakby do obrony, wyciągnęła ręce. Lecz ręce jej opadły i tylko w srebrze blasków w ciemnych oczach dziewczyny zaświeciły łzy. I szumu brzóz płaczących słychać nie było, bo głuszył je skrzyp kół wózków wiozących bety, naszczekiwanie psa i ochrypłe, trywjalne basowe dźwięki...

II.

Pałacyk tonął jeszcze cały we mgle porannej, drzewa powoli odwijały się z szarawej obsłony i, wstrząsając liśćmi, chłonęły w siebie światło poranku. Z tafli stawu, błyszczącego w dali i objętego w ramy zieleni, płynęły opary i, czepiając się wysokich liści tatarakowych, ginęły w przestrzeni. Z okien chat dobywały się sinawe smugi dymu, a drzwi otwierały się co chwila, przepuszczając w pół nagie kobiety, śpieszące z wiadrami po wodę.

Tu i owdzie błysnęła serżowa zapaska dziewczyny, wracającej z łąki z całą płachtą trawy na plecach. Od strony dworu, parobek w koszuli, ze spodniami wysoko zagiętemi na muskularnych nogach, siedząc na koniu, kierował się w stronę stawu.

Koń kulał i machał długim czerwonym językiem, wywieszonym z białego pyska. Dotarłszy do brzegu, z łoskotem i szumem zanurzył się w wodę. Człowiek pochylił się na grzbiecie zwierzęcia i, ręką czerpiąc, chciwie wodę pić zaczął. Koń pił także i od czasu do czasu podnosił łeb w górę, a z pyska lały mu się srebrne strugi, migocące niepewnemi blaski. Koń posunął się dalej, rozpychając białą piersią całe płaty zielonej, kropkowanej rzęsy, przeciętej gdzieniegdzie szeroką płaszczyzną bronzowo-czerwonych liści okrzycy.

Rzęsa, jak rama z aksamitu, obejmowała teraz cielsko zwierzęcia, lecz człowiek żachnął się niecierpliwie i żylastą a opaloną ręką delikatną powłokę przedzierać począł.

Zaklął niecierpliwie, spluwając w wodę.

Niebo z szarego robiło się powoli bladawo-liljowem z lekkim różowawym odcieniem.

Poza stawem ciągnęła się olbrzymia, szmaragdowo-zielona łąka, obramowana białym śniegiem sołdackich pałatek, które zlewały się w oddali w jedną śnieżną całość. Poza pałatkami majaczała we mgle szarawej, zwolna w dół opadającej, czarna masa zamku, z poza którego różowe promienie, w złocistą barwę przechodzące, tryskały.

Od strony wsi dolatywał bezustanny skrzyp żórawia, pomieszany z tym dziwnym niepokojem porannym, w którym zlane w jeden chaos głosy ludzkiej gwary, ryku bydląt, gdakania ptactwa, szumu drzew, jak hymn triumfalny budzącego się życia, płyną coraz głośniejsze, coraz śmielsze, coraz silniejsze w świetle poranku; od strony obozu, jak wąż przez warstwy powietrza prześlizgiwał się głos trąbki, lub miarowy, turkot bębnów.

Z bocznych drzwi pałacyku, wyszedł teraz pan Brunon i stał chwilkę, patrząc w przestrzeń przymrużonemi oczyma. Łysa głowa, nie okryta peruką, narzucona była podartą fularową chustką, związaną w duży węzeł pod brodą. W obramowaniu tej purpury, twarz Brunona, spuchnięta od snu, pomarszczona, ze smugami czernidła wzdłuż brwi, ust i brody — miała pozór starej gąbki, którą starto świeżo rozlany atrament.

Przepyszna woń, tylko tej ziemi właściwa i o poranku całą gamą zapachów w górę płynąca, otoczyła go nagle, walcząc napróżno z wonią tabaki i potu, jaką ubranie Brunona napojone było.

Lecz on przymrużył oczy i przez zczerniałe nozdrza wciągał w siebie tę woń ożywczą, brzydki, śmieszny, brudny w tym przepychu świateł i barw, drgających coraz silniej na szarem niedawno tle horyzontu.

— Dobre! — wyrzekł, gładząc się po brzuchu — dobre i smaczne bardzo.

Nozdrzami poruszył znowu i językiem spieczone wargi oblizał.

— Jakoś mi niewyraźnie! — szepnął znowu i oczyma po białej kuchence, stojącej opodal dworu, powiódł.

Z komina wydobywał się wąziuchny pasek dymu.

Brunonowi rozjaśniła się twarz, jakby pod wpływem jakiejś rozkosznej wiadomości. „Kuliczkowie wstali gotują — chwała Bogu! będzie można dzień jako tako spędzić!“

I, złożywszy ręce w trąbkę, skąpiec ochrypłym głosem krzyczeć począł.

— Kuliczku!... Kuliczku!... a pójdzi serce do pana grafa!

Przez okno kuchenki wylazł Kuliczek, okryty jed-

wabną w kratki peleryną i w chodakach, ze sznurów utkanych, na nogach chudych, pokręconych. Wiatr pelerynę rozwiewał, ukazując ohydne kształty skarlonego chłopa, okryte zaledwie zgrzebną koszulą. Kulik, idąc, potrząsał bezustannie rozwichrzoną czupryną i nosem pociągał, krzywiąc się w nadzwyczajny sposób.

Doszedłszy do pana grafa, kornie się skłonił i łamanym językiem mówić zaczął:

— A to żonka się pyta, co ma ugotować na południe panie grafe?

Brunon pokręcił głową.

— Nic, nic Kuliczku mi nie trzeba! Pojedziemy do Horodyszcz, tylko się z żydami rozprawię.

Kulik podrapał się w głowę.

— Ha? — wrzasnął nadstawiając ucha.

— Po-je-dzie-my do Horodyszcz! — powtórzył głośniej Brunon.

Pod skudlonemi kłakami Kulik uśmiechnął się ironicznie.

— Zakładać? — zapytał.

— Chwileczkę, chwileczkę jeszcze; sam cię zawołam.

I pan graf, skinąwszy brudną ręką, odwrócił się od swego woźnicy i ku lewemu skrzydłu pałacu kroki swe skierował. W skrzydle tem mieściła się galerja, a raczej coś nakształt galerji oszklonej małemi, drobnemi szybkami. Wiele z tych szybek wytłuczonych pan graf własnoręcznie pozaklejał papierem lub kawałkami ze spódnic świętej pamięci pani senatorowej. Spódnice te do tej pory ubierały Brunona i Kulika, służyły za kołdry, obrusy, firanki, szyby. Cały dom ten szeleściał od chrzęstu starych, kratkowanych materji lub szumiał mieniącą się morą mantyny. Nawet Kuliczkowa przy dojeniu swej krowy, wiązała nogi upartego bydlęcia szmatą jedwabną, na której wisiały jeszcze strzępy białej blondyny.

Podług głuchych wieści, obiegających dokoła pałacu, w piwnicach miały być zakopane jeszcze całe paki pełne sukien, mantyl, pelerynek, fiszutek, berł, trzewiczków i wszystkich niemych świadków triumfów balowych matki Brunona. Skrzynie te gniły w ziemi



razem z pakami gobelinów, starych makat, pudeł z korecką porcelaną i pasami słuckimi. Całe zastawy stołowe, olbrzymie wazy wyzłacane wewnątrz w formach urn starożytnych, amfory delikatnie cyzelowane, puhary bez nóżek, z kołeczkami do przywiązywania tradycjonalnej myszy, talerze płaskie o złoconych obwódkach, filiżanki, bombiaste z monogramami, herbem i koroną, całe to srebro mieszane z kryształem, przecinane złotemi żyłami, przeznaczone do odbijania tysiąca świateł sturamiennych kandelabrów podczas obiadów nieskończenie długich w atmosferze odurzającej wyniosłej sali jadalnej — wszystek ten metal zbytkiem i przepychem przekuty — Brunon zamknął w podziemie, sam spoconemi i drżącemi rękami kopiąc grób dla niego w chwili panicznej trwogi o swoje mienie, gdy na horyzoncie zbierały się groźne chmury.

Biały, czysty i smukły wznosił się pałacyk Zabijanika, kryjąc w swem wnętrzu bogactwa istotne.

Jak mauzoleum, otoczony dokoła przeczystą zielenią drzew — bielał cichy, milczący, wyrzucając od czasu do czasu z pod swej kolumnady na wpół przetrawione starością, a żyjące jeszcze cielsko egoisty, którego pierś wydymała się od jedwabnego worka, napełnionego stosem banknotów. Brunon pieniądze bieżące, jakie wpływały mu niemal codziennie, nosił przy sobie, zaszywając co chwila rozpruwany worek, czarny od brudu i tłuszczu, a przymocowany do krępego torsu mężczyzny czterema kawałkami mocnego szpagatu.

Ostre, grube sznury, wpijały się poprostu w cielsko starca, znacząc siną pręgą krzyż na skórze pleców i kalecząc ramiona, on jednak zaciskał węzły z coraz większą zaciekłością, czując rozkosz prawie zmysłową w tym ostrym bólu, krającym mu ciało. Gdy, ubrany, wstępował na stopnie swego wózka, lub schodził z nich, sznury wpijały mu się w skórę i krew przylepiała grube płótno koszuli do ciała. Brunon uśmiechał się wtedy, uśmiechał rozkosznie. Uścisk księżniczki Hohensteigen Sigmeringen, która podobno jeszcze za życia pani senatorowej raczyła przez kilka dni zaszczycać młodego grafa swemi względami, nie był mu droższym nad ten namacalny dowód istnienia pieniędzy!

Pieniądz!... rubel... dla Brunona był wszystkiem. Z galerji, szczelnie na kłódkę zamkniętej, dobywały się teraz ryki krów żydowskich, złapanych w nocy na łące Brunona. Pan graf stał przez krótką chwilę uśmiechnięty, szczęśliwy, dumny z posiadania tej szmaragdowej łąki, która mu niemal co noc tak dobre korzyści niosła.

— Siedem! siedem krówek! — mówił, zacierając ręce.

Lecz już koło stawu, na drodze, prowadzącej do pałacyku, pojawiać się zaczęły długie, ciemne postacie, idące gromadkami i gestykulujące żywo.

Brunon rękę do oczu przyłożył.

— Idą! — zawołał i zachychotał radośnie.

Poczem szybko, z pod krzaków okalających galerję, począł ciągnąć mały, koszlawy stolik o trzech nóżkach, który przed laty służył pani senatorowej do rozmowy z duchami. Z szufladki wyjął kawałek kredy, położył na stole, przysunął pniak, poprawił rodzaj małego pomostu, maskującego trzy schodki do galerji i ułatwiające pojmanym krowom wejście lub wyjście z więzienia i, usiadłszy na pniaku, oczekującą postawę przyjął. Tylko małe oczki latały mu z radością i palce nerwowo po powierzchni stołu przesuwały kredę.

Ciemne postacie powoli pod dwór zbliżać się zaczęły, z początku nieśmiało, nieufnie, jakby skradając się milcząco.

Niedługo jednak wiatr zaczął rozwiewać wytarte i rude chałaty, lub wąskie i ciemne spódnice. Żydzi szli teraz prędzej, dostrzegłszy Brunona, siedzącego na pieńku. Idąc, cmokali i pochylali głowy, lecz szli już wprost do galerji, w której bydło porykiwało co chwila.

Brunon, przyczajony, z rękami wyciągniętemi, z uśmiechem powitał nadchodzących.

— Dzień dobry panom kupcom! — wymówił, świszcząc przez rzadkie i spruchniałe zęby.

Nikt mu nie odpowiedział na to uprzejme pozdrowienie, tylko z grupy żydów, otaczających teraz stolik, wysunął się młody, chudy mężczyzna ubrany w szare spodnie, długie buty i chałat o zielonawym odcieniu.

— My o krowy! — wymówił wreszcie, zakładając ręce za pasek od spodni.

— Są! są wszystkie krówki! w galeryjce zamknięte i zebrane. Rubelek od sztuki, jak zawsze!...

Młody żyd skrzywił się pogardliwie.

— Rubel to za drogo! Pan graf należny wiedzieć, co nasze krowy za rubla zjeść nie zdążyły!... Pan graf!...

Lecz Brunon porwał się nagle z pniaka.

— Co się kłócisz? co? rubla dawaj! a nie, to idź do sądu, albo do sprawnika! Tymczasem krówka tu przezimuje.

— Krowa ledwie dziubnęła trawy! — odezwał się w gromadce płaczliwy głos kobiecy.

— Mnie nic do tego! krowy zająłem, mam prawo, moja łąka! moja trawa, moja pasza!

Rękami po stole nerwowo bić począł. Na jego suchej i zawiędłej twarzy wystąpiły nagle rumieńce, jak dwie plamy, i silny postronek z żył przeciął mu czoło.

Codzień powtarzała się ta sama scena, codzień żydzi usiłowali wytargować zniżenie kary na swą korzyść, codzień Brunon ciskał się jak szalony, bijąc pięściami deski duchów pośrednika. Stolik jęczał przechylając się na prawo i lewo, wbijając chyboczącą się nóżkę w lepką ziemię, porosłą rzadką trawą.

Tymczasem żydzi coraz głośniej szwargotać poczynali, kupiąc się w zbitą gromadkę, bezsilni wobec drzwi dobrze zamkniętych, poza któremi porykiwało bydło.

Brunon czekał, przysiadłszy znów na pniaku z rękami nerwowo zaciśniętemi koło szyi. Czekał i zielonawemi oczkami z pod przymkniętych powiek wpił się w zawiędłe twarze szwargocących żydów.

Wreszcie najpierwszy z całej gromady wysunął się znów młody żyd w zielonym chałacie i, czapkę z głowy zdjąwszy, do stolika postąpił.

— Pan graf pozwoli, my popłacimy po 75 kop.

— Rubel! — mruknął Brunon.

— Po 80 kop.

— Rubel!

— Po 85 kop.

— Rubel!

— Na moje sumienie, my więcej nie mamy!

— To idźcie do djabła!

Nastała chwila milczenia.

Jakiś ptak zatrzepotał nagle skrzydłami i, na krzaku ożyn przysiadłszy, jagody dziobać począł.

Brunon ręką machnął.

— A kysz! kysz! rabusiu! — zawołał.

Ptak sfrunął z gałęzi i, świergocąc, zaczął koła w powietrzu zataczać.

Młody żyd czapkę na uszy wciśnął i z kieszeni wyjął garstkę srebra i miedzi. Garść tę monety na stole położył, splunął i stał, czekając, aż Brunon skończy liczyć.

— Brakuje czterech groszaków!

Żyd splunął znów i trzymane w ręku cztery grosze na stolik rzucił.

Brunon monetę zgarnął w rodzaj długiej jedwabnej sakwy, którą nagle z pod kamizelki na biodra, obsunął i, wyjąwszy z kieszeni klucz, ku galerji się skierował.

— A która to króweczka? — zapytał, stojąc już na pomoście.

— Ja pokażę! — odparł żyd, posuwając się kilka kroków.

Lecz Brunon podniósł ręce do góry.

— Niepotrzeba, serce! niepotrzeba! już tylko opisz, ja ci ją sam przyprowadzę, grzecznie, ładnie, jak pannę w tańcu!

W dobrym humorze będąc, zacierał ręce i po sakwie się macał.

— Jakaż ona ta krowa? co? Srulu, duszko?

— Jaka ma być? — odparł ponuro Srul — jak krowa, z pyskiem, z ogonem, z rogami!

— Ale kolorek?

— Biała, z ciemnym łatem na trzeciej nodze!

Brunon klucz w kłódce przekręcił i wszedł do galerji, starannie drzwi za sobą przymykając.

Zaduch panował tu wszechwładnie. Kilka wiązek słomy, porozrzucanych pod ścianami, o które opierały

się marmurowe karjatydy, służyły za podściółkę zbitym w kupę bydlętom.

Krowa Srula stała najpierwsza z brzegu, bieląc się olbrzymim tułowiem w półzmroku, zalegającym galerję. Część szyb wybita i oklejona kawałkami ciemnych materji, reszta szkła, szarozielona od brudu i kurzu na zewnątrz budynku, nie przepuszczała tu wiele światła.

Krowy stały zbite w masę, z pyskami oślinionymi, przerażone, ogłupiałe tem więzieniem, w które się nagle dostały z zieleni łąki i zapachu ziół, wśród letniej spokojnej nocy.

Brunon poszedł do krowy i, ująwszy ją za rogi, na środek galerji pociągnął.

Szedł na palcach ostrożnie, lawirując zręcznie pomiędzy plamami nieczystości i gruzami ozdób sufitu.

Zatrzymał krowę i w kąt galerji się zwrócił. Stamtąd wydobył zardzewiałą blaszankę i, przykucnąwszy przy zwierzęciu, doić je począł. Sinawe, cieniuchne strugi płynęły z wymion chudej krowy, która niespokojnie podnosiła nogi, uderzając z łoskotem racicami o posadzkę.

Wreszcie Brunon się podniósł i powoli, z uśmiechem, mleko z blaszanki pił, gładząc się po piersiach. Wypił połowę płynu, a resztę postawił w kącie, gdzie już stało kilkanaście rozmaitych naczyń, napełnionych zsiadłem i kurzem przysypanem mlekiem.

— Na wieczór — szepnął sam do siebie z zadowoleniem.

Poczem na rogi krowy postronek założył i ku drzwiom silnie pociągnął.

Doszedłszy do drzwi, otworzył je na rozcież i, oparłszy ręce o zad krowy, popychał na pomost opierające się i przerażone zwierzę.

W tej chwili właśnie słońce z całym triumfem wypłynęło z poza ruin zamkowych i, otoczone szarawym wieńcem drobnych chmur, rozlało kaskadę światła na białe dachy „pałatek“, gładką zieleń łąk, jasną taflę stawu i w żółtawy ton wpadającą kolumnadę pałacyku. Oświeciło ciemne, zniszczone chałaty żydów, kładąc na

twarze kobiet żółte plamy i zapalając iskry w rudych brodach mężczyzn.

Nagle, wyprowadzona z półcieniu galerji krowa, cofnęła się i, oparłszy silnie na tylnych nogach, wyciągnęła szyję, z której spadała długa żylasta skóra. Poruszyła wilgotnemi nozdrzami i zaryczała długo, radośnie, jakby na powitanie słońca, które różowe, złociste, płynęło w górze razem z chłodem poranku.

Srul zbliżył się szybko i krowę za rogi pochwycił.

— Kim ałte! — wyrzekł — kim!

Brunon z poza cielska zwierzęcia się wysunął i, drzwi znów szczelnie zamknąwszy, do stolika się zbliżył.

Na desce leżała już kupka pieniędzy, a z rękami opartemi o stolik stała Tolce, żona krawca Herssza, sucha, chuda, zawiędła kobieta, w perkalowej chustce i peruce ze wstążek bronzowych na ogolonej głowie.

— Dawaj pan krowę — zaczęła niskim głosem, suchym, jak uderzenie deski — i niech Pan Bóg ciężko pokarze za nasze krzywdy i za krzywdy moich dzieciów! My na takiego rubla, co go nam pan z pod serca wydziera, nocami ślepić musimy, my z Herszem do szabasu mleka w gębę nie tkniemy... A bodajcie pokręciło, a bodaj przez siedem dni twoje usta chleba nie tknęły! Ach!... Ty Grafes, ty krowołapnikes:

I, za głowę się schwyciwszy, powtarzać przeciągle poczęła:

— Ach! ty krowołapnikes!

Teraz z gromadki żydów i żydówek rozszedł się cały szmer głosów:

— Ach! ty krowołapnikes!

I liście leszczyny szumiały dokoła, jak echo tych przeciągłych, jęczących głosów:

— Ach! ty krowołapnikes!

Lecz Brunon z uśmiechem wlepił swe zielone oczki w szemrzącą gromadę.

— Łaj, łaj! a rubelka daj! — zaśpiewał w odpowiedzi.

I zachychotał rozkosznie, zgarniając miedź i srebro do sakwy, która pęczniała powoli, obciągając sznurki,

na których zawieszoną była. Powoli ubywało ludzi w gromadce i bydła w galerji.

Wreszcie ostatnia krowa zeszła z pomostu, stukając silnie kopytami, i ostatnia żydówka powtórzyła, plując na trawę:

— Krowołapnikes!

Brunon wstał, odstawił w krzaki stoliczek, który zachybotał nóżką, jakby duch pani senatorowej wyrażał swe niezadowolenie wyrodnemu synowi i szybko, jak kula, potoczył się w stronę kuchenki.

Na progu siedział Kulik i onuczkami z jedwabnej mory, niezdecydowanego koloru, pokrwawione i czarne nogi owijał.

Brunon zbliżył się do kuchenki, przelazł przez niski drąg, odgonił dwie kaczki, które mu do nóg przypadły, powąchał płyn, rozbełtany w skorupie hładyszki, który piły gąsięta, i wreszcie już w progu na Kulika utknął.

Ten zgramolił się z belki i na przyzbie usiadł, wlokąc za sobą cały stos gałganków.

Brunon strzęp mory podniósł i do światła przeglądać zaczął.

— A... skąd ty to wziął? — zapytał, pochylając się nad chłopem.

— Pan graf dali — odparł Kulik.

— Serce, kłamiesz! ja takiego kawała jedwabiu dać ci nie mógł. Ty go wziął sam, synu!... a na drugi raz nie rób tego, bo ci paluszki poprzetrącam!

Szmatę w sakwę wcisnął.

— Baczysz? — dodał, wchodząc do kuchni.

— Baczę! — odparł Kulik płaczliwym głosem.

W kuchni, przy niskim, szerokim piecu, krzątała się mała, brudna i rozczochrana baba. Gotowała w wielkim saganie jakąś ciecz, po której pływały kawałki łykowatego mięsa.

Pod oknem stał stół; na nim leżało kilkanaście płatków czarnego zupełnie ciasta, a z tych niektóre zwinięte nakształt trąbki były.

Brunon już od progu na stół spojrzał i ślinę przełknął.

— Pomagaj Bóg! — wyrzekł patrjarchalnie od progu.

Baba nos w garść utarła i, głowę skłoniwszy, drewnianą kopystką mieszać w garnku zaczęła.

Brunon do pieca przystąpił, w garnek zajrzał.

— Krupniczek? — zapytał, uśmiechając się rozkosznie.

Baba nie odpowiadała nic, tylko z coraz większą pasją mieszała wrzący płyn, tak, że krople syczały na rozpalonej blasze...

— Hm!... ładnie pachnie!—wyrzekł wreszcie Brunon — ładnie i wygląda wcale smacznie.

Ku oknu postąpił.

— A... świstuny?

Jeden płatek ciasta w brudne palce ujął.

— Świstuny!...

I nagle obrócił się ku ciągle milczącej babie.

— Wiecie Kuliczkowa? nie pojadę już dziś nigdzie! Czuję się niezdrów. Dacie mi na obiad coś ze swego, mały talerzyk krupniczku, troszkę!... ot, tylko na posmakowanie! I ze dwa świstunki... Dobrze?

Baba głową skinęła, lecz w siwych jej oczkach wściekłość zagrała.

Brunon udawał, że tego nie widzi. Jedną ręką skubał ser, przygotowany na deseczce, i pozostawiał na nim ciemno-sine obrączki.

— Albo... dacie mi cztery świstunki — dorzucił, zabierając się do wyjścia.

— Do widzenia, Kuliczkowej — rzucił już na samym progu — do widzenia!

Ręką zrobił ruch wielkopański, na wzór pani senatorowej, żegnającej tłumy, zebrane w jej salonach na posiedzeniach spirytystycznych.

Baba przy piecu ani drgnęła, tylko pochylona nad garnkiem, siwe swe dole kąpała w krupniku.

Brunon, wyszedłszy z kuchni, dostrzegł przywiązanego do kołka płotu siwego, dość chudego konia.

— Ki djabeł? — zapytał Kulika.

— Pan posesor... o! oździe!

— A, a!

I Brunon przez płot ostrożnie przelazł, trzymając

się zdaleka od konia, który ku niemu swój długi pysk wyciągnął, dzwoniąc żelazem wędzidła i strzemion.

— No! wreszcie pana widzę!

Od strony pałacu zarosłą i źle wygracowaną drogą szedł młody człowiek, wysmukły i doskonale zbudowany. Na pierwszy rzut oka zdawało się, że głowa jest zamałą do całej postaci, lecz pochodziło to zapewne z tego, że włosy czarne i lśniące nosił gładko przyczesane i przylegające do czaszki. Zdjął czapkę szarą, beżową z ceratowym daszkiem i szedł tak z odkrytą głową, doskonale się rysując na jasnem tle ścieżki. Ponad nim drzewa, zwłaszcza lipy, łączyły się w arkadę, przepuszczając jednak przez gałęzie strumienie złotawo-zielonego blasku.

I pełno było tego blasku dokoła mężczyzny, pełno tych jasnych przez liść przepuszczanych i przefiltrowanych tonów, które kładły zielono-złote plamy na czarną barwę jego włosów, przeciętych u czoła białym jak śnieg promieniem, na dość wąskie, lecz kształtne czoło, doskonały nos o nozdrzach cokolwiek rozdętych, poczciwie uśmiechnięte usta, ocienione czarnym, długim wąsem i szyję potężną, kształtną, choć dość suchą, szyję nerwową silnego mężczyzny, odsłonioną śmiało w niskim wykroju różowej koszuli.

Jasna beżowa kurtka z kieszeniami wypchanemi po obu bokach, czarna kamizelka, szare spodnie, wsunięte w długie buty, nadawały tej sympatycznej, młodej postaci cechę wiejskiego zaniedbania, a pochylenie ramion, chód ciężki, opuszczenie rąk i wahadłowy ich ruch, byłby wymownem świadectwem abnegacji form.

Pan Brunon stał teraz oparty o płot, czekając aż posesor zbliży się do niego dostatecznie.

Wybrawszy odpowiednią chwilę, zrobił znów wahadłowy ruch rączką i powtórzył z oznaką niezadowolenia:

— Szczęściem pana widzę!

Młody człowiek wzruszył ramionami.

— Przecież częściej tu przyjeżdżać nie mogę; mam dość do czynienia w Horce. Robotnika ani weź, dostać nie mogłem. Sam po sadybach chodzić musiałem i prosić.

Brunon oczki zielone wytrzeszczył.

— Za pieniądze?

— A naturalnie... za pieniądze iść nie chcą. Wolą na leżakach gnić. Co pan chcesz, taki naród!

— A Niemcy?

Posesor machnął ręką.

— Sobą zajęci... chałupy stawiają, ziemię karczują, a zresztą co?... starych dwoje, a reszta drobiazg w każdej chacie. Zresztą... Niemców nie chcę! Chłopi się z niemi źrą! wiecznie nad karkami stój i rozbrajaj! Trudno się na dziesięć rozerwać!

Uśmiechnął się, pokazując dwa rzędy białych, jak mleko, zębów.

— Ot, niedawno poszło im o co? Niemcy przyszli do roboty w kamizelkach z zegarkami! To naszych w oczy zakłóło, dalej śmiać się i przekpiwać. Doszło do tego, żem Niemcom do Turemny iść nazad kazał. Co pan chcesz! Nie lubią się! I racja w tem jest... Prawda?

Lecz Brunon nie odpowiadał. On sam miał chęć wielką swój Korczyn Niemcom sprzedać, a nawet już pertraktacje o to rozpoczął.

— Ale ja tu do pana w trzech sprawach — zaczął posesor po chwili milczenia.—Po pierwsze: musisz pan się zająć naprawą owczarni, bo owce dziurami wyłażą i idą sobie na spacer... do lasu...

Brunon podskoczył i za głowę się złapał.

— A pan co sobie myślisz? skąd ja pieniędzy na to wezmę? może jeszcze owczarnię nową postawić?

— Zdałoby się — mruknął posesor.

— Pan jesteś dobry, panie Antoni! z panem to możnaby zbankrutować do reszty. Owczarnia dziurawa? Mój Boże!... taka śliczna owczarnia; mama senatorowa ją sama stawiała! Sama mama senatorowa nieboszczka!...

— To nie przeszkadza, że przez trzydzieści siedem lat zniszczyć się mogła, zwłaszcza, że ściany poprostu z chrustu spleciono.

Nastała chwila milczenia.

Brunon nerwowo mrugał oczyma i sakwę pod połami mantyli ukrywał. Antoni, uśmiechając się, szpicrutą pokrzywy ścinał.

— Rób pan co chcesz — wysapał wreszcie skąpiec — ja nowej owczarni nie postawię! Zresztą... ja tam do Horki poślę Kuliczka, on to naprawi, bo to majster, jakich mało!

I, odwróciwszy się w stronę kuchni, zawołał:

— Baczysz, Kuliczku?!...

— Baczę, pane grafe! — brzmiała odpowiedź.

— Polikarpowi konie ukradli — ciągnął dalej Antoni — ukradli mu w mieście, gdy u Soroki kupował tasiemkę dla żony. Zostawił je koło zajazdu, zszedł na chwilę i ot... przepadły bez śladu.

Bruno głową potrząsł.

— Pan mu wierzysz? — zapytał.—Może łże chamska dusza, żeby u pana nową parę dostać? ha?

— Polikarp wie dobrze, że u mnie dostać nie może, bo sam jestem biedny i ta moja chabeta, co ją pan widzi, to wszystko, co w stajni posiadam. Konie ukradła szajka Szmula z Sieniatycz, tego arendarza od pani Elżbiety...

— Skąd pan wiesz?

— Mam list od złodziei!

— Pisali?

— Wczoraj... w miasteczku list wrzucili, do mnie adresując. Żądają od Polikarpa trzydziestu rubli i każą je położyć na uroczysku w Wołochowie.

Brunon usta otworzył.

— Polikarp da?...

— Naturalnie!... Musi! Konie warte więcej, czortopchajka także prawie z Tepileckim z Nadgajec pomieniana. Dać musi. Będzie miał naukę, czemu się nie opłacił!

— A pan?

Antoni roześmiał się serdecznie.

— O! moją chabetę przyjaźń broni!...

— Jakto?

— Szefem bandy, po Szmulu, jest Malina, a to mój szkolny kolega... Dał mi słowo, że mojej chabety ani folwarcznych nie ruszy!

— Pan masz szczęście!

— Naturalnie. Ale... tu jest o panu wzmianka. O, proszę, niech pan czyta!

I, wyjąwszy z kieszeni kurtki kawałek zmiętego, ordynaryjnego papieru, zakreślonego grubem pismem, podawał świstek ten Brunonowi, który odwracał się z przestrachem i przylepiał do płotu.

— O mnie?... Cóż może być o mnie?...

— Niech pan sam przeczyta.

— Za nic!

— Kiedy... bo...

— Czytaj pan!

— Ależ... niepodobna!...

— Czytaj pan, ja o to proszę...

— Ha, skoro pan każe!...

I, rozwinąwszy kartkę, czytać zaczął:

— „Co zaś do tej starej małpy z Zabijanika...

— Ha? — przerwał Brunon.

— „Co zaś do tej starej małpy z Zabijanika, powiedz pan, że tak, jak on nam krowy łapie, tak my jemu, temu grafu, jego trzy szkapy złapiemy i sztandary im obetniemy.“

Brunon drżącą rękę wyciągnął.

— Jakie sztandary? — zapytał.

— A no! języki.

— A! języczki! och!...

— „A co do niego...

— Nie czytaj pan! nie czytaj dalej!... Aj!... kurcze mnie chwytają!... Co oni chcą odemnie te łajdaki. Krowy mi łąkę zjadają, a oni mi koniki moje chcą kaleczyć i unieszczęśliwić. Aj! aj! co robić?

— Zapłać pan im ratę roczną, zostawią pana w spokoju.

Brunon wstrząsnął się cały.

— Ani grosza, ani kopiejki, ani fenia, ani złamanego szeląga!... — wyrzekł z mocą.

Antoni list zwinął i do kieszeni kurtki schował.

— To może pan ma pomiędzy nimi jakiego szkolnego kolegę?

Brunon nagle się wyprostował.

— Mój panie! — wyrzekł, uderzając się w piersi — mnie mama senatorowa przy sobie i w domu chowała. I to mnie uchroniło od kontaktu z chamami i ludźmi złego towarzystwa, tak, jak ten pan... Malina.

— Jak pan chcesz. Obowiązkiem moim było ostrzec pana, a teraz przystępuję do trzeciej sprawy. Co zrobi się z dożynkami? Czy ludzie z Omelna, z Zabijanika, z Modliszcz, słowem wszyscy chłopi pana przyjdą do Horki, tak, jak przeszłego roku?

Brunon skrzywił się i głową pokiwał.

— Bale! dożynki!... Panu zawsze w głowie egzaltacje! a rób pan sobie, co chcesz. Wódki dam trochę, więcej nic.

Antoni ramionami wzruszył.

— A toż wiem — odparł — wiem, że z panem trudna sprawa, tylko musiałem poznać wolę pana. To mój obowiązek.

Drzwi kuchni skrzypnęły i ukazała się w nich Kulikowa, chmurna i zamorusana, niosąca w obu rękach garnuszek krupniku i miseczkę pełną świstunów.

Kulik dźwignął się od przyzby, lecz ona odepchnęła go nogą i szła prosto w stronę pałacu, wiodąc za sobą sznur gąsiąt i kaczek.

Brunon poruszył się niespokojnie.

— Obiadek — wyrzekł półgłosem.

Antoni już cugle od kółka odwiązywał.

— Odjeżdżam. Pan nie ma nic więcej do rozkazania?

Brunon zawahał się chwilę; coś nakształt zawstydzenia przemknęło po jego brudnej twarzy.

Antoni trzymał cugle w garści i konia bokiem ustawiał.

— Oto — bąknął wreszcie Brunon — mógłbyś mi pan mówić: hrabio! Wszyscy mi tak mówią.

Antoni roześmiał się serdecznie.

— Ale i owszem, skoro to panu robi przyjemność... Do widzenia, panie hrabio!

Szybko na siodło wskoczył, cugle zebrał, szpicrutę pod pachę wetknął.

— A z koniokradami? — zapytał.

— Już wiem, co zrobię: koniczki zamknę w galerji i na noc drzwi szafą zastawię. Na szafie położę Kuliczka, gdyby kto drzwiami szarpnął, szafa się przewróci, Kuliczek spadnie i obudzi się... Tak, tak będzie najlepiej.

Antoni dusił się ze śmiechu.

— Pan hrabia ma genjalne pomysły — wymówił, kłaniając się ironicznie — nie wiem tylko, czy Kuliczek je zaaprobuje. A teraz żegnam pana hrabiego.

Czapeczką w powietrzu koło zakreślił i, śmiejąc się ciągle, konia lekko nogą w bok trącił. Koń szarpnął się, parsknął i drogą pod lipami pomknął, topiąc kopyta w miękkiej, tłustawej ziemi.

Brunon tymczasem w ślad za babą, niosącą krupnik, dreptał, mlaszcząc językiem i gładząc się po piersi.

Gdy wreszcie Antoni z pod arkady lip na szeroką drogę się wydostał, odetchnął pełną piersią, na strzemionach się poprawił i, nieznacznie kolana ścisnąwszy, z kłusa w kurc-galop konia przeprowadził. Czapkę zwinął, w kieszeń od kurtki wsadził i z całą rozkoszą poddawał swą twarz i szyję, spaloną jak u cygana, pod jasne światło słoneczne.

Przez wieś przejechał szybko, rozganiając stada gęsi, wlokące się w stronę stawu.

Koło kuźni ręką skinął gromadce chłopów, zbitych koło karej szkapy, której kowal, odziany w czarną koszulę, nogę wysoko podnosił i kopyto oglądał.

Tu i owdzie z poza płotu podniosła się na tętent konia i postać kobieca i mignęła pąsowa chustka, związana z tyłu głowy.

Pomiędzy zagonami kapusty, buraków i kartofli, kucały dziewczęta — pochylone, obciśnięte w swych długich koszulach, okryte płachtami serży, w ciemne, brunatne paski.

Całe łany tytoniu szumiały dokoła płotów, żółte słoneczniki ku słońcu swe płaskie, złotemi strzępami otoczone, tarcze zwracały.

Dzieci, z białemi jak len włosami, wpółnagie, siedziały u progów chat, trzymając w opalonych rękach łyżki, lub kawałki chleba.

Jakiś czarny, obrosły kundel wyrwał się z pomiędzy chałup i Antoniemu drogę zabiegł, szczekając cienkim, przenikliwym głosem.

Od strony starej, rozwalonej kuchni żołnierskiej szła młoda kobieta, niosąc wiadra na poprzecznym

drągu. Na szyi miała kilka sznurów korali, które, podrzucane ruchem, dzwoniły za każdym krokiem.

Antoni z konia się pochylił i w wiadra zajrzał.

— Pełne? — zapytał.

— Pełne, paniczu, — odparła kobieta, podnosząc swą twarz opaloną, dziwnie odbijającą od białego płótna namitki.

— To idźcie!

Antoni konia zatrzymał, kobieta przeszła drogę i ku małej, podpartej drągami chatynie się zwróciła.

— Boże dopomóż! — rzucił za nią Antoni.

Ona już przez próg przelazła i powoli w ciemnej sieni zniknęła, znacząc po sobie srebrną strużkę wody, która z przepełnionych naczyń się lała.

Teraz Antoni znów konia wypuścił, dążąc na pole, w stronę namiotów żołnierskich, które jak stado gołębi bieliły się na tle zieleni. I, minąwszy kilka grusz dzikich, rozpościerających się poza chatami wioski, znalazł się nagle na otwartem polu, oblanem dokoła czystą masą powietrza, błękitniejącą po skrajach, siniejącą w oddali.

Jak wąż srebrzysty, w tysiącznych wijąc się zakrętach, biegł Styr, pomiędzy namiotami i żółtem cielskiem drewnianych stajen, aż na czystą łąkę się wydostawszy, wił się w harmonijnej linji coraz dalej, wlekąc za sobą kępki krzaków i wodnej łoziny, przyczepionej do brzegów.

Mienił się cały srebrno-błękitną łuską, spokojny, leniwy, w swem miękkiem, wygodnem łożu, nawpół dziki, a pełen wdzięku, krając, jakby cienkiem ostrzem noża, tłustą, pełną pierś łąki, która z rozkoszą niewolnicy poddawała się tej bolesnej pieszczocie.

Antoni powiódł okiem poza tą lśniącą rozpadliną, w której migotały przejrzyste blaski i, śledząc kapryśne jej linje, wzrok swój w ślad za Styrem posłał.

Lecz rzeka ginęła w oddali, zlewając się w jeden ton z płaszczyzną łąk i tylko dzwonniczki cerkiewek pobliskich wiosek wyskakiwały ku górze, i tylko droga topolami sadzona, czerniła się jak dwa rzędy olbrzymiego płotu, szpiczasto zakończonego.

Antoni cugle ściągnął i, powoli wstępa przeszedłszy,

jechał teraz spokojnie, wsłuchany w dźwięk trąbki, dolatujący z pomiędzy namiotów, i miarowy łoskot bębna.

Dwa długie sznury koni, pod linję ustawione, migotały w słońcu gładko wyczyszczonymi zadami. Iskry paliły się w stali bagnetów, ustawionych w kozły, lub opartych o tarcicowe barjery. Wszędzie czerniły się mundury, jak plamy ciemne na tle łąki. Z pod nawpół uniesionych ścian namiotów szarzały porzucone na ziemię posłania. W kilku zagonach w ziemi wykopanych długich dołów, siedzieli rzędem żołnierze, oczekując na jadło.

Od strony kuchni, dwóch sołdatów w czerwonych koszulach, z rękoma obnażonemi, niosło olbrzymi sagan, z którego dobywała się gęsta, biała para.

Antoni przez obóz szybko przemknął i, pozostawiwszy na lewo miasteczko i ruiny zamku, w drogę wysadzoną topolami, wjechał. Droga przytykała z jednej strony do brzegów Styru i Antoni z uśmiechem na zielonawo-srebrną rzekę spoglądał, w której odbijały się gałęzie karłowatych wierzb, rosnących przy brzegu.

Z wody tej wydobywał się jakiś zapach mokrzycy świeżo rozwiniętej, coś z irysów tylko co zerwanych i nawet z wody nieotrząśniętych.

Drobne liljowe kwiateczki bramowały brzegi, przetykane płatami niezabudek. Gdzieniegdzie pęd tataraku szumiał cicho, dając przytułek całej gromadzie drobnych białych motyli.

Rzeka płynęła tymczasem równo, spokojnie, niekiedy tylko szarpnięta przewaloną przez środek gałęzią wierzby, nawpół już przegniłą, z liśćmi niemal bronzowymi, o zielonych prawie korzeniach. Z szumem woda przelewała się wzdłuż gałązek i szła dalej, triumfalna, pełna światła, połyskująca iskrami słonecznego złota, które w mokrem jej wnętrzu przemieniało się w srebrnozielone odblaski.

Antoni wstrzymał bieg konia i z rozkoszą wciągał w siebie tę balsamiczną wilgoć, z migocącej łuski Styru bijącą. Z usposobienia dość sentymentalny, zrodzony z matki anemicznej, obnoszącej swą twarz wybladłą w ciasnych izdebkach ekonomskiej chałupy,

miał chwilami porywy niemal dziecięce i duży ten, szeroko rozwinięty człowiek, tarzał się nieraz wśród świeżo skoszonej trawy, gryząc zwilżone rosą masy macierzanki, lub, jak szalony, przypadłszy do brzegów Styru, pił z niego chłodną woń wilgotną, która mu porywy jego temperamentu gasiła.

Prostak, niewiele umiejący — skończył tylko cztery klasy, i to z niemałym trudem — rzucił się cały w powódź świateł, woni barw i przestrzeni. I wśród tej bezbrzeżnej piękności pozostał uczciwym, sentymentalnym głupcem, grającym podczas nocy księżycowych na harmonji pod daszkiem ganku „Ständchen“ Schuberta!

Był to dziwny posesor, gospodarujący dobrze, lecz z krzywdą dla siebie, pozostawiający w spokoju dziewczyny horeckie, zawsze milczący, zamknięty w sobie, mający coś z melancholijnej natury matki ekonomowej, która cała pobladła i drżąca z anemji, oglądała nogi indyczą, lub, głowę na piersi zwiesiwszy, wydawała otręby na zaprażkę dla prosiąt.

On, jako mężczyzna mocnej budowy i niemałych sił żywotnych, pracę swą fizyczną spełniał energiczniej i chętniej, lecz od czasu do czasu musiał się pławić poprostu w jakiejś uczuciowej powodzi, przywiązując się do woni łąk, do barwy malw, do pewnego oświetlenia horeckiego dworku, do ciemnego uroczyska wołochowskiego, do srebrnej łuski Styru, do swej harmonji wreszcie, zużytej, zniszczonej, biednej, którą zabrał z domu ojca razem ze starem siodłem i zepsutą żniwiarką.

Potrzeba tego sentymentalizmu ogarnęła dziś w dziwny sposób duszę Antoniego. Woń rzeki i potok słonecznego światła nie wystarczały mu jeszcze na zapełnienie tej pustki, którą nagle w piersi swej uczuwał. Po widzeniu się z Brunonem, uczucie to ogarniało Antoniego w bardzo silnym stopniu.

Poowijany szmatami, ten żyjący trup egoisty, macający sakwę pod złotemi plamami słońca i ciemną arkadą lip, sprawiał na nerwowem usposobieniu posesora silne wrażenie brudu i nędzy moralnej. Wyjechawszy z Zabijanika, potrzebował Antoni światła i przestrzeni. Zda-

wało mu się, że nagle wśród orgji woni i blasków nadeptał na cielsko ropuchy. Z wrażenia tego otrząsnąć się pragnął i na Styr teraz patrzył, starając się w tej migocącej błękitem, srebrem i zielenią wstędze utopić wspomnienie pana grafa, który, mając tyle, nie czynił nic, stając napoprzek biegowi czasu, zawalając, jak pniak wypróchniały drogę, po której sunęły powoli tłumy, dążące do wspólnego polepszenia bytu.

I z prawdziwą przykrością ujrzał teraz Antoni, że rzeka skręca nagle, ostro, brutalnie, jakby zagniewana i idzie w głąb łąk, odłączając się od linji topolowej, która, ciągnąc się jeszcze, urywała się nagle zamknięta i jakby zakończona nawpół rozwaloną bramą.

— Turemno! — wyszeptał.

Lecz koń już bramę przestępował i, wzdłuż płotu biegnąc, dwór odrapany, smutny, z oknami, deskami zabitemi, poza sobą zostawiał.

Antoni brwi zmarszczył i na drzwi się obejrzał. I ten sterczał jak grobowiec, zamknięty, smutny, czerniąc się plamami opadłego tynku, ze słupami ganku pokrzywionemi, z kominem wystygłym, w gruzy się walącym.

I tu ktoś stanowisko opuścił, pozostawiając za sobą kupę gruzu, desek, smutny szum lip i roztrzaskane przez piorun topole. Antoni dwór ten znał, dziecinne swe lata, podkradając się do ogrodu pańskiego, przebył. Ojciec jego był długi czas ekonomem w Turemnem, i Antek, w płóciennych majtkach, zawieszonych na jednej szelce, często drogę od folwarku do dworu przemierzył. Lata przeszły, chłopak wyrósł, Turemno nabyli Niemcy i dwór deskami zabili. Ten, który część wraz z dworem nabył, miał tu browar stawiać, lecz ociągał się jeszcze, nie mając dosyć pieniędzy. Podobno mu miano odpowiedni fundusz nadesłać... skąd? Niemiec milczał i fajkę ślinił.

Dość, że na pieniądze czekał.

Teraz kopyta końskie zadzwoniły nagle i Antoni uczuł twarde uderzenia siodła, które go zupełnie z zadumania zbudziły.

Poza dworem rozciągała się nie wieś, lecz osada,

zakrawająca na miasteczko, przecięta wybrukowanemi ulicami, których linje biegły wzdłuż piętrowych domków.

I nagle z nad Styru, z nad szmaragdowych łąk przestrzeni, z powodzi woni i światła znalazł się Antoni w systematycznej niemieckiej osadzie, zabudowanej gontem pokrytemi domkami, z których okien wywieszone pierzyny i piernaty w kolorowych wsypkach, kładły ostre plamy na jednostajne tła ścian i dachów.

Przed każdym domem jakiś szmat zieleni, ogrodzonej parkanem, okrytej szarawą płachtą suszących się prześcieradeł.

Przed domami, w ogródkach lub w oknach, kobiety chude, płaskie, ubrane w niebieskie spódnice i takież staniki, szczelnie pod szyję zapięte.

Koło spódnic kobiecych gromady dzieci, żółtych, o głowach upartych, z rybim wyrazem oczu, z rękoma w kieszeniach barchanowych spodni.

Tu i owdzie na dachu domu mężczyzna w kamizelce z fajką w ustach, obrosły, ponury, wykończający pokrycie dachu z małpią jakąś zręcznością.

U drzwi „resursy“, nieco większego domu, odróżniającego się purpurową płachtą firanek, poza szybkami czerwieniejących, kilku opóźniających się na robotę mężczyzn, z butą trywjalną pod boki się podparłszy, stało, rozmawiając niskimi, przeciągłymi głosami.

Słowem cały szmat ciężkiej niemieckiej ziemi, nagle w jasną zieleń Wołynia wciśnięty i z zuchwalstwem się rozpierający. Jakaś szara smuga kamieni, dymu fajczanego, ciemnej tkaniny kobiecych spódnic, ponurych spojrzeń i ostrego gardłowego charkotu, pośród przepychu blasków i wonnej jasności letniej.

Coś, co nagle przed oczyma, jak chmura, zamajaczyło i, nagle piersi tłocząc, dech tamowało...

Był to liść łopuchu, cicho rozkładający się na równiance macierzanki i blado-liljowych dzwonków, plama na strudze słonecznego światła, rozpadlina ciemna w aksamicie mchu skalnego.

Antoni konia popędził i szybko przez uliczkę Turemna przemknął.

Stojący przed resursą Niemcy obejrzeli się za jadącym.

— Horhaskerl! — wymówił jeden z nich, wzruszając ramionami.

Inni pluli w milczeniu, usta na lewą stronę opuszczając, w tem ohydnem skrzywieniu maski nałogowego palacza zakrzywionych fajek.

Wydostawszy się poza Turemne, Antoni biegu nie zwalniał, jakby chcąc się poza granicę posiadłości niemieckich jaknajprędzej wydostać.

Pokrajana systematycznie w wąskie szmaty ziemia rozkładała się dokoła, zmęczona, wyciągając swe poszarpane do dna łono, z którego, jak z ran, płynęły ciągle soki, ssane ustami chciwości i jaknajwiększego zysku.

Napozór uprawiana zupełnie poprawnie, miała w sobie blizny ran świeżo niezagojonych, i w milczeniu zdawała się skarżyć na swą niedolę, ból i opuszczenie.

Wielkie, ciężkie teutońskie ręce, obrosłe włosem i poprzecinane postronkami żył, przewracały te skiby bez miłości, rwąc brutalnie czarne, tłuste ciało ziemi, depcąc ją grubemi podeszwami swych butów, ssąc ją i dręcząc, aby wyżartą i wyschłą porzucić i pójść dalej, wlokąc za sobą stosy betów, gromady dzieciaków i ponure zniszczenie.

Gdy Antoni rów graniczny ujrzał, odetchnął swobodniej, i z rozpogodzonem trochę obliczem na grunta Siemiatycz wjechał. Słońce teraz już wzbiło się wysoko, i jak wielka purpurowa plama na środku nieba świeciło.

Dzień był upalny, Antoni pot z czoła ocierał, starając się wybierać trochę zacienioną drogę, nurkując po pod gałęziami dzikich grusz, rosnących koło rowu.

Jakiś wóz, skrzypiąc, przejechał, koło niego.

— Z *widki?* *) — zapytał Antoni, zaciekawiony chudością koni.

— Z Omelna! — odkrzyknął chłop, idący z batem koło wozu.

Antoni machnął ręką i uśmiechnął się pod wąsem.

---

*) *Z widki* znaczy *skąd.*

Omelno — było jedną z wiosek pani Elżbiety.

To wystarczało.

Konie mogły być jeszcze chudsze.

I nagle Antoni rozśmiał się serdecznie.

Przez umysł przesunęła mu się myśl małżeństwa Brunona z Elżbietą. Piękna para tych dwoje skąpców, śpiących na pieniądzach, drących się o każdy grosz lub kawałek szmaty, a tak bogato uposażonych!

Raz wpadłszy na tę myśl, zaczął się nad nią zastanawiać.

Dlaczego Brunon nie ożenił się z Elżbietą? dlaczego Szeniewiecki, ten hulaka, utracjusz został jej mężem? Wprawdzie na krótko, bo we trzy lata umarł, uwalniając od swego tabesu młodą, naówczas kobietę.

Antoni słyszał to wszystko z opowiadań matki, którą zwykle dzieje „państwa“ mocno zajmowały, znał więc dalsze losy pani Szeniewieckiej, jej rozwijającą się manję skąpstwa, odosobnienie, zaniedbanie, i dziewicze wdowieństwo.

Słyszał również o jakiejś długiej, nieskończonej miłości Brunona i Leontyny, ubogiej kuzynki Elżbiety, o tym romansie, przerwanym brutalną interwencją Szeniewieckiej i szybkim odwrotem pana grafa, zadowolnionego z przerwania tej długiej nici, zadzierzgniętej za życia mamy senatorowej i bez jej wiedzy.

Zapewne i w tem mogła być przyczyna, choć gdy szło o połączenie takich dwóch fortun, Brunon nie wahałby się przejść po sercu ubogiej kuzynki.

W każdym razie byłoby to śmieszne małżeństwo, i Antoni uśmiechnął się na myśl o tym monstrualnym i wstrętnym związku. Tymczasem — koń sam, prawie niekierowany, zwrócił się na lewo, ominął ściankę lasu, wciskającą się trójkątem w pole, i wydostał się na olbrzymi łan żyta, na którym czerwieniały spódnice kobiet i bielały koszule mężczyzn.

Całe rzędy zwróconych do drogi tyłem ludzi postępowały miarowym krokiem, schylając się wśród fal lekko pochylonego żyta. Od czasu do czasu podnosiła się jedna postać i, ręce w górę wyciągnąwszy, sierpem w słońcu błyskała.

Około drogi gromadka Czeszek z kolonji, w żół-

tych chusteczkach, na brodach związanych, potrząsała żyto i składała je w równe zagony.

Po prawej stronie łan cały stał jeszcze nietknięty, szemrząc cicho i nakrywając złotem kłosów purpurę maków i szafir bławatków.

Tymczasem po lewej stronie szereg ludzi posuwał się triumfalnie, kładąc u bosych nóg całe potoki szemrzącego złota, prezentując w dziwacznem skróceniu ciała, jakby zanurzone w masie żyta.

Tuż przy drodze, pod dziką gruszą, skarlałą i skrzywioną, stał Bukowski, doglądający niby żeńców, a w istocie drzemiący w cieniu drzewa.

Staruszek miał kitel rozpięty, głowę spoconą i wargę obwisłą. Z kieszeni kitla wystawał filarek z tektury, oklejony bordiurką złotą i popryskany farbką dla imitowania marmuru. Mały wózek, zaprzężony w jednokonną szkapę, wlókł się powoli za żeńcami. Na wózku siedziała właścicielka Siemiatycz, ubrana w olbrzymią pasterkę z zieloną woalką i okryta wigoniowym, brudnym szalem. Koń utykał wzdłuż bruzd i zagonów. Elżbieta, podrzucana na wózku, machała batem i pokrzykiwała ciągle, naganiając robotników do pracy.

Koń Antoniego, puszczony wolno, nagle się zatrzymał, czem zbudzony młody człowiek, cugle zebrał i żywiej jechać począł. Około rowu przydrożnego spostrzegł nagle postać kobiecą, idącą w przeciwnym kierunku. Szara sukienka kobiety zlewała się w jeden ton z szarawą masą kurzu, podnoszącego się dokoła. Tylko pąsowa, perkalowa chusteczka, zarzucona na głowę, zapewne w celu ochronienia się od promieni słonecznych, kładła jaskrawą plamę w jednostajność barw.

Antoni konia popędził i z idącą się zrównał. Ona podniosła głowę i uśmiechnęła się przyjaźnie.

— Dzień dobry panu! — wyrzekła, zatrzymując się.

— Gdzie pani idzie, panno Marjo?—zapytał.

— Idę do Pustki. Ciocia mnie tam posłała.

— Po co?

— Zobaczyć, czy Janklowa synowa tam jeszcze siedzi, czy się już wyprowadziła.

— I cóż?

— Siedzi jeszcze. Mówi, że chora, wynieść się nie może.

Antoni roześmiał się po swojemu.

— Ciocia nie będzie zadowolona.

Marja ramionami wzruszyła.

— Zapewne, choć tak wielkiej krzywdy oni jej tam nie robią. Biedni są, aż przykro patrzeć. Żal mi ich, choć żydzi.

— Nie lubi pani żydów... dlaczego?

— Nie wiem, to już... wrodzone! — odparła z prostotą — wiem, że pomiędzy nimi są dobrzy ludzie. O! Szmul, ten nasz herszt koniokradów, dużo dobrego zrobił i w ciężkiej chwili nie jedną przysługę oddał, a jednak... jednak...

Antoni głową pokręcił.

— Aj, panno Marjo!... Panno Marjo!... jeżeli pani czegoś uzasadnić nie potrafi, to już źle, źle bardzo.

Dziewczyna ciemne oczy na mówiącego podniosła; pod purpurowym daszkiem chustki, którą obiema rękami nad głową przytrzymywała, wydawała się cała jakby oblana pąsowym, migocącym blaskiem.

— Dlaczego? — spytała.

— Bo w głowie pani tyle porządnej logiki się mieści, że poprostu wyobrazić sobie nie mogę, aby z czegoś sobie sprawy zdać nie potrafiła.

Marja uśmiechnęła się smutnie.

— Przeceniasz pan to, co mam w mej biednej głowie. Ot! jeśli czasem zdaniem jakiemś pana zadziwię, to dla tej prostej przyczyny, że po mamce mojej odziedziczyłam chłopski rozum. Pan go masz także, i to w niezgorszej ilości, tylko...

— Tylko? — podchwycił.

— Tak pan, jak i ja, jesteśmy jeszcze za młodzi, i dlatego wiele rzeczy, jak pan powiada, „upodstawnić“ nie umiemy!

Antoni machnął ręką.

— Już ja tam wiele rozumu nie nabiorę.

— Zapewne! — zaśmiała się dziewczyna — skoro

pan tak z odkrytą głową na słońcu stać będziesz, umrzesz młodo z przepalenia mózgu. Koń pana się niecierpliwi — dodała, głaszcząc łeb konia opaloną i zniszczoną ręką.

— Głodny!

— Pan także?

— Nie, tylko umieram z pragnienia!

— Skręć pan do Pustki, dadzą panu blaszankę wody. Przyniosłabym panu trochę kwasu ogórkowego, który żeńcy piją, ale nie chcę, aby ciocia mnie wyśledziła. Lepiej, że nie wie o naszej znajomości. Skończyłyby się nasze poobiedzia wołochowskie. Nie ujrzałbyś mnie więcej w swojem uroczysku i obojgu nam przykroby było. Prawda?

— Prawda! — powtórzył Antoni.

Teraz ona, rękę na szyi konia oparłszy, patrzyła mu prosto w oczy, przytrzymując koniec chusteczki zębami.

On dłoń swoją szeroką, niekształtną, na jej ręce położył i z całą serdecznością w twarz dziewczyny się wpatrzył. Lecz nie było w tem spojrzeniu, tak z jej, jak z jego strony, najmniejszego cienia miłosnej pieszczoty, zalotnego starcia się dwóch płci pod promieniami letniego słońca.

Spokojnie poważnie patrzyli na siebie, jak dwoje starych przyjaciół, gawędzących bezpiecznie o swych domowych stosunkach.

— Przyjdziesz pani w niedzielę do Wołochowa?

— Przyjdę!

— Ale z pewnością. Bo to ja przeczytałem Murdelja i są rzeczy, których ani weź zrozumieć nie mogę!

— Już ja panu wytłumaczę!

— A więc do widzenia!

— Do widzenia!

Uścisnęli się za ręce silnie, jak dwóch studentów, rozstających się na świąteczne ferje, obejrzeli się raz jeszcze na siebie, uśmiechnęli, i koń Antoniego ruszył z miejsca, wyrzucając z pod kopyt tumany czarniawego piasku.

Gdy Antoni w ścieżynkę do lasu skręcił, pomiędzy

rzadkiemi jeszcze skrajowemi drzewami, ujrzał małą, do ziemi przysiadłą karczemkę, nędzną, pochyloną, o jednem maluchnem okienku i drzwiach, lekko na zardzewiałych zawiasach się trzymających. Dokoła karczemki nie było nikogo i tylko krzaki szumiały, oplatające pnie pokrzywionych, szarych sosen.

Antoni pod samą karczemkę podjechał i, wstrzymawszy konia, w ciemną sionkę zajrzeć usiłował.

— Hop, hop!... jest tam kto?

Nagle w czarnem tle ramy stanęła młoda żydówka i, zaspane oczy podnosząc na Antoniego, zapytała:

— Czego?

Antoni doznał jakby olśnienia.

Miał przed sobą, na tem czarnem tle cuchnącej sionki dziewczynę wspaniale rozwiniętą, przepysznie zbudowaną, o małej, owalnej twarzyczce, obramowanej pękami czarnych, jak smoła włosów. Włosy te kręcone w drobne i grubsze zakręty spadały na czoło w formie krzywo uciętej grzywy i wiły się po plecach, jak płaszcz z czarnych drutów skręcony. Olbrzymie oczy, zielonawe, troszkę zezowate, ocienione długą frendzlą rzęs, przypominały oczy czarnej pantery, zamkniętej w żelaznej klatce i o pręty łapę swą ocierającej. Opalona, czarna, z wargami spieczonemi, poza któremi błyszczały dwa rzędy drobnych zębów, miała w sobie urok czystej krwi rasowej, dochowanej przez wieki całe, bez domieszek krwi obcej.

Stała na progu, oparta jedną ręką o ramę drzwi, drugą założyła za pasek odstającej na wydatnych biodrach spódnicy. W uszach żydówki błyszczały wielkie koła złotych paciorek na cienki drucik nawleczonych. Antoni wpatrzył się chciwie w czarny gąszcz włosów dziewczyny.

W tem otoczeniu leśnem, chmurna, złocąca się bronzową, spaloną skórą ramion i rąk, wydała mu się zjawiskiem niezwykłem, pełnem dzikiego, niespotykanego wdzięku.

Żydówka podniosła na przybyłego wielkie, wspaniałe oczy, jakby trochę zdziwione i mgłą jakąś pokryte.

— Pan, czego? — zapytała gardłowym, niskim głosem.

Antoni zmieszał się dziwnie.

— Wody... prosiłbym!

Dziewczyna spojrzała nań przeciągle, głowę w tył przechylając, i rzecz dziwna, Antoni uczuł nagle, jakby ktoś go równocześnie ku niej popychał, siłą nieokreśloną pociągał...

Poprawił się na siodle i potrząsnął głową, jakby dla odgonienia czaru.

— Panienka będzie tak grzeczną i poda mi wody!

Panienka palcem na konia ukazała.

— Koniemu? — zapytała.

Czar prysnął.

Błąd zabił urok piękności. Wrażliwy temperament mężczyzny drgnął, jakby brutalną ręką szarpnięty.

— Dla mnie!

Dziewczyna wysunęła się do sieni i po chwili powróciła, niosąc w pogniecionej blaszance wodę. Dla podania naczynia zbliżyła się do Antoniego, ocierając się prawie o jego nogę. Dotknęła strzemienia i stała tak przy nim, podnosząc w górę ręce, mokre jeszcze od świeżo naczerpywanej wody.

Antoni uczuł znów, że wdzięk tej dziewczyny go podbija i o błędzie zapomnieć każe.

— Dziękuję panience — rzekł.

Blaszankę próżną wyciągnął.

Ona — blaszankę ujęła, lecz nie odstępowała od konja.

— Jak pannie na imię?

Ona usta otworzyła, w uśmiechu zęby drobne ukazując,

— Trejne!

Milczeli znów chwilę i tylko w piersi Antoniego biło szybko serce, a krew do głowy nabiegała.

— Panienka tutejsza?

— Janklowa córka.

— Wnuczka Szmula z Siemiatycz?

— Tak z Siemiatycz.

Chwilę nań popatrzyła, aż oczy jej w zez zaszły i spytała:

— A pan z Horki?

— Znasz mnie!

— Znam. Nieraz pana widziała, i łoszadź też.

Z wnętrza karczmy doleciał przeciągły jęk kobiecy.

— Trejne! Trejne!

Ona nie ruszała się z miejsca.

— Moja siostra chora — wyrzekła wreszcie — tak się rozdziera. Pan do domu?

— Tak, Trejne, do domu.

Nastąpiła znów chwila milczenia.

Trejne wzrok w oczach Antoniego wlepiła, a on nie odwracał już oczów.

— Panna tu... mieszka? — zapytał wreszcie urywanym głosem.

— Nie, ja tylko na czas bolenie siostry się tu przyładziłam. Jak ona umrze, albo ozdrownie, ja do taty wrócę.

Koń rwał się znów do drogi, niecierpliwie ziemię kopytem grzebiąc.

— Żegnam panienkę... za wodę dziękuję!

Czapki uchylił i chciał konia skręcić, lecz dziewczyna oparła się teraz całym swym ciężarem na boku konia i powoli poruszając głową, w oczy mu patrzyła.

— Pan tu naźrzy jeszcze? co?

— Zajrzę.

— Trejne mieć zawsze będzie dobrego słowa dla pana... Nu, niechaj pan jedzie!

Od konia się oderwała i, do sieni cofnąwszy, o ramę drzwi oparła.

Czarne włosy spadły jej na piersi ciężką masą. W oprawie drzwi, w otoczeniu zieleni posępnej, ponurej, stała tak ciągle patrząc na wolno odjeżdżającego mężczyznę, aż jej migocące źrenice ku sobie się skłoniły i w zez zaszły.

III.

Od samego rana pani Elżbieta miała humor nawskroś zdenerwowanej i niezadowolonej z siebie kobiety. Dzień upalny, ociężały, pełen niepokoju, działał dziwnie na jej histeryczne usposobienie. Wczoraj jeszcze po

skończeniu żniw miała silny zatarg co do liczby snopów z Warką, która zawsze milcząca, podburzona przez Orchima stawiła się nagle przed gankiem rozgoryczona i kłótliwa. Pani Elżbieta, wstrząsnąwszy głową, w flanelę owiniętą, odparła potok słów dobywających się z zapadłej piersi chłopki, niemniej wszakże ten bunt istoty wiecznie uległej i do kolan się słaniającej był jakby zapowiedzią całego szeregu zuchwalstw, minujących od dawna tę gromadę pełną upartych, chytrych i dzikich prawie postaci.

Przytem teściowa Jankla ciągle pod pozorem choroby zalegała karczemkę w lesie i niepodobna było przymusić ją do opuszczenia tej pustki, do której nie zajeżdżał już teraz nikt ze względu na koniokradów, zbierających się o późnej nocy w tym zapadłym kącie.

Nowy arendarz na karczemkę znaleźć się nie mógł, odkąd banda Jankla objęła ten budynek w swoje posiadanie. Bano się Jankla, o którym niedobre dokoła krążyły wieści. Zresztą, od kilku tygodni na progu karczemki zjawiła się stara, jak grzyb obszarpana i pomarszczona żydówka, która, podnosząc do zaczerwienionych powiek kilka zardzewiałych drutów, robiła z przerażającą szybkością pończochę.

Znaczyło to wiele. Przechodzący uśmiechali się lub kiwali głowami. Jankiel wynajął starą Ruchlę, wdowę po parczyku z miasteczka, aby mu próg „zasiedziała. Wiadomo, co to znaczy takie „zasiedzenie". Już teraz nikt się na karczemkę łakomić nie może. Gdyby ktoś chciał Janklów podkupić i wyrugować, spłonie z całym swym dobytkiem, ot, poprostu, jak pudełko zapałek...

Szczegółów tych dostarczył Elżbiecie przy kolacji Bukowski, pragnąc czemkolwiek przysłużyć się dobrodziejce.

Ten zubożały i do nędzy doprowadzony posiadacz ongi piętnastu „dusz", osiadły teraz jako rezydent, usiłował ciągle stawać się użytecznym, płaszczący się, nędzny, sponiewierany w swej biedzie.

W ciągłej gorączce zapracowania na chleb rzucany mu z łaski, chleb twardy, suchy i jak ość dławiący, zbierał drżącemi od starości rękoma smolaki poroz-

rzucane dokoła kuchni, zgięty wpół szukał poziomek lub czernic, gdy nadeszła pora i znosił do dworu wszystkie wiadomostki, jakie zasłyszał po drodze.

Dlatego to Elżbieta, chmurna i drżąca ze złości, zwlokła się o poranku niedzielnym z posłania. Przeliczyła się co do dni „lasowych", chłopi odrobili prędzej swą pracę i dzień jeden pozostał bezużyteczny. Mocą bowiem wieczystej ugody Elżbieta pozwoliła w lasach swoich zbierać chłopom poziomki, czernice, kamieniuchy, maliny, ożyny i grzyby, i wynosić je ze wsi na targ do miasteczka, lecz wzamian cała ludność Siemiatycz obowiązana była przez trzy dni pracować w polu bez zapłaty ze strony dworu.

Wieś szemrała czas jakiś, wola jednak pani była nieugięta: pochwytano zapaski babom, hładyszki i sita dziewkom, wypędzano z lasu dobremi kopnięciami ostro kutych leśniczych butów i powoli cała wieś zgięła kornie głowy. Płacono roboty za poziomki, jak za chrust, zbierany do łatania płotów lub chlewów.

Tego roku wszakże pani Elżbieta, mająca prawo wyznaczyć dzień „darmochy", przeliczyła się i pozostała z dniem jednym na czysto zżętych zagonach.

Teraz przemyśliwała, w jaki sposób odbierze od gromady swą należność.

Bała się opozycji.

W umowie najwyraźniej był wymieniony czas żniw. Szło teraz, aby zaprzędz wieś do zbioru siana, zwózki, lub częściowo użyć przy oziminie albo w sadzie.

Przecież dnia całego pani Elżbieta darować nie mogła.

Jak ślimak ze skorupy, tak powoli wysunęła się ze swej pościeli narzuconej na wielkiej skrzyni drewnianej, zamkniętej na dwa wielkie i ciężkie skoble. Pościel ta składała się z kilku watowanych kołder, starego liberyjnego płaszcza i poduszki powozowej pod głowę wciśniętej. Ponad skrzynią wisiały palmy zeschłe, żółte, nabite puszystymi, szarymi kotkami i obraz Matki Bożej Ostrobramskiej żółty, bezbarwny niemal, otoczony dokoła wieńcami grzybów. Na wielkim haku tuż ponad głową pęk kluczy i świdrów. U stóp skrzyni cała kupa żelastwa, gwoździ, podków, zębów od bron,

połamanych grac i pokrzywionych a rdzą zjedzonych sierpów.

Na piecu, zajmującym pół alkierza, sterczał zbiór słoi, flaszek, lamp olejnych, blaszanek, pomiędzy któremi kurzem i brudem pokryte leżały dwie maluchne figurki z saskiej porcelany. Tu i owdzie zgnieciony, przedarty stary sztych angielski wydostawał się z pod ciężkiej masy brudno-czerwonego odłamu miedzi lub z połamanych podków i szufnagli. W kącie stare pruchniały grabie, szczerząc pokryte rdzą zęby na ciemnawem tle ściany. Kilka słoików pijawek, ciemnych, skłębionych w brudnej wodzie, bieliło się pokrywą papierosów. Na ścianie rozwieszone szory, w kącie rzucone chomąta i stare siodła, spodnie nieboszczyka Szeniewieckiego żółte nankinowe, kilka cybuchów, książka Dunina, oprawna w skórę, trochę poszarpanych kalendarzy i kilka numerów „Tygodnika Ilustrowanego", stara miednica, cztery lub pięć ołtarzyków, lepionych ręką Bukowskiego, korowaj, jeden tom „pana Podstolica" wieniec ślubny pani Elżbiety i cała masa rozmaitych sprzętów, gratów, odłamków, szczątków, pozbieranych ręką pani domu i porzuconych w ten kąt, pełen kurzu, pająków i śmiecia.

W pośród tej powodzi prawdziwej, w krótkiej flanelowej spódnicy, suto watowanej, zupełnie niezdecydowanego koloru, ukazując nabrzmiałe nogi, obciągnięte sukiennemi pończochami, stała Elżbieta i drżącemi rękoma próbowała ułożyć naokoło czoła tak zwaną „kolej" z drobnych, silnie splecionych w warkoczyki włosów.

Robota ta szła jej niesporo. Palce drżały nerwowo, szyja nabrzmiewała. Elżbieta dławiła się poprostu własną wściekłością.

Noc całą nie spała, pragnąc do karczemki pośpieszyć i teściową Jankla za drzwi wyrzucić. Nad ranem usnęła i obudziła się wbrew swemu zwyczajowi dość późno.

Dreptała teraz po alkierzu, bijąc i kalecząc własne ciało, mszcząc się za te nędzne starania, które z łaski mu rzucała. Każda flanela wrzucona, każda chustka na

głowie zawiązana podwajała jej wściekłość, ostra tkanina podbudzała jej krew do szybszego obiegu.

Wreszcie ubrana zupełnie stanęła na ciemni alkierza, jakby wahając się chwilę. Spoglądała na rozrzucony barłóg, wreszcie ku skrzyni się rzuciła. Z pod poduszki wyjęła chustkę, w którą związała całą garść banknotów. Na kołdrze watowanej przysiadłszy, banknoty na kupki dzieliła.

— Rubel, trzyrublówka, a tutaj dwadzieścia pięć — mówiła, rozprostowując brudny, szmaciany papier.

Wreszcie kołdrę z banknotami na ziemię zsunąwszy, za klucze schwyciła i skoble odkręcać poczęła.

Z wysiłkiem wieko uniosła i, oparłszy je o ścianę, sama we wnętrzu skrzyni się pół ciałem zanurzyła.

Chwilę długą wisiała tak przez deskę przewieszona, z rękami zanurzonemi w stosy pieniędzy, ułożonych porządnie na dnie skrzyni. Pleśń starego papieru i wilgotnych gałganów, owiewała ją całą, ona woń tę chciwie piła, znajdując w niej ochłodę i uspokojenie.

Tak! tak — były tam wszystkie dochody z tych Siemiatycz, których pszenica rodziła się, jak nigdzie wokoło, a ziemia ciekła, zda się, tłustością czarną i pożywną.

Wszystkie dochody od lat trzydziestu, od chwili śmierci Szeniewieckiego, którego marnotrawstwo szarpało serce kobiety, leżały w tej atmosferze, zgnilizny, przygniecione niejako ciężarem ciała Elżbiety, rozleniwiałego w przymusowem, a niewytłumaczonem wdowieństwie.

Zrażona w dziwacznem pojmowaniu małżeńskiego pożycia, znosząca z przymusem obecność męża, po powrocie z cmentarza, świeża jeszcze i pełna temperamentu pod welonem wdowy, zaczęła rozwijać w sobie zwierzę chciwości, dozwalając rozrosnąć się tej namiętności do potwornych rozmiarów. Dławiąc w sobie burzę krwi, zbierała grosz do grosza, wysysając z ziemi, co się ssać dało, nie ulepszając nic, z pomiędzy próchna łowiąc złoto, biorąc do pomocy żydów i Niemców, gdy sama już w pracy ustawała, lub zakątek ziemi odpoczywający znalazła. Cały burzliwy temperament bru-

netki i zmysłową żądzę dobrze zbudowanej i rozrosłej kobiety w szeleście rubli topiła, bezużyteczną kłodą będąc tam, gdzie dąb rosnąć winien przy dębie, zdrów, cały, pełen soków pożywnych i strawy, aby stawić odporne czoło wichrom lub naparciu obcych żywiołów.

Cała w flanele i samolubstwo spowita, zatraciła formy kobiece i poczucie społecznych obowiązków. Jak Brunon, zasklepiona w brudzie i nieużytku, garnęła szeleszczące pieniądze pod siebie, a kładąc się co noc na wieku dobrze zamkniętej skrzyni, miała pozór starego psa, dogorywającego na wiązce słomy.

W milczącej kontemplacji pochylona, nie czuła teraz krwi bijącej jej wrzącą falą do głowy. Lat trzydzieści spędziła w tym cieniu zasunięta, rozwijając się w tłuszcz niezdrowy pomimo nędznego posiłku, jaki przyjmowała. Z tłuszczem razem rosła w niej skorupa egoizmu, oddzielającego jej duszę od walki w nędzy bliźnich.

— Każden dla siebie! — mówiła, ściągając kąciki wybladłych, drżących warg.

Obecność Bukowskich i Leontyny był to dla niej ciężar straszny i niewypowiedziany.

Marję znosiła chętniej, widząc w niej siłę roboczę; patrząc na oficynkę, pieniła się ze złości.

Wygnać wszakże na rozstaje nie mogła, choć nieraz już i to uczynić chciała.

Gdy się od skrzyni oderwała wreszcie, granatowa była cała z krwi nabiegu. Szybko zaczęła zdzierać flanele z głowy i rozpinać guziki kaftana. Raz jeszcze na dno skrzyni spojrzała i, powoli wieko zatrzasnąwszy, do skobli się dobrała.

W tej chwili do zaryglowanych drzwi alkierza zapukano nieśmiało.

Elżbieta drgnęła.

— Kto tam? — zapytała.

Za drzwiami dało się słyszeć szeptanie.

Elżbieta na skrzyni przysiadła, jakby skarbu swego broniąc. Z małego, zakratowanego okienka promień słońca wprost bił jej w oczy, złocąc bladą twarz kobiety.

— Kto tam? — zapytała powtórnie.

— To... my, siostruniu.
— Czego?...
— Z powinszowaniem.
— Ki czort?
— Dziś... urodziny siostruni!
— Urodziny dobrodziejki!

Elżbieta ramionami wzruszyła i szybko ku drzwiom alkierza podeszła.

Ręką silną jeszcze skobel szarpnąwszy, do sali jadalnej się wsunęła i drzwi starannie za sobą zamknęła.

Tuż przy progu, Leontyna, jeszcze bledsza i mizerniejsza, niż zwykle, stała z rękoma wzdłuż bioder obwisłemi. Obok niej Bukowski,, trzymający w ręku nowy, złocony z filarkami ołtarzyk i Bukowska gniewna, zacięta, darmo wiecznie oponująca i niezadowolona.

Koło stołu stała Marja z rękawami zawiniętemi po łokieć i przesuwała całą masę suszonej herbaty, rozpostartej na kilku arkuszach papieru. Z pewnym odcieniem ironji spoglądała na grupę ludzi, stojącą koło progu alkierza. Gdy ciotka ukazała się we drzwiach, Marja na chwilę roboty swej zaprzestała i, oparłszy ręce o krawędź stołu, patrzyła.

Elżbieta szybko odsunęła całującą ją w ramię Leontynę.

— Cóż was dziś ukąsiło?
— Toż narodziny, serce, siostro, Elżusiu!
— To i cóż stąd?
— Feta rodzinna.

Elżbieta ramionami wzruszyła.

— Także... wybrali się z gratulacjami, kiedy mnie djabli wprost biorą! Czy wy nie wiecie, że mi torby grożą przez te parszywe bestje? Urodziny! ta i cóż z tego? Czegóż winszować? takiej nędzy i turbacji jak moja?... Im pstro tylko w głowach świta; nie widzą, że ja łbem o ścianę walę i ot, zda się, co chwila duszę wyzionę!...

Pod boki się podparła, rada, że folgę dać może złości, która ją dławiła.

— Wam dobrze do góry brzuchem leżeć, ta o jutro się nie troskać, kiedy to ryż i stokfisz do gęby spada, ale ja sama ledwo koniec z końcem złatam i opędzać

się muszę naokoło, jak ten dzik, przez ogary za uszy ciągniony!... Ta idźcie do djabła z waszą gratulacją, mam ja tu lepsze wiązanie, kiedy o karczmie i tym psubracie Janklu pomyślę! Ale dziś już z niemi skończę i na Matkę Ostrobramską klnę się, jak nie poduszę, to łby poukręcam!

Ręce w górę podniosła, głos jej charczał w gardle, Leontyna odsunęła się, patrząc w ziemię, Bukowski rękę z ołtarzykiem wyciągał, niezważając, że żona z oczyma łez pełnemi, schwyciwszy go za drugą rękę, paznogcie mu w ciało wpijała.

Elżbieta szybkim ruchem rękę Bukowskiego odepchnęła.

— Na czorta mi jegomość klecisz te bawidełka! Lepiej było w polu dobrze ludzi doglądać, nie drzemać pod gruszą... ot, co!

Starzec głowę spuścił i, na bok się usunąwszy, wolne przejście dla Elżbiety zostawił.

Jak huragan przesunęła się przez salę jadalną, rzuciwszy pełnemi złości oczyma na spokojnie o stół opartą Marję.

Koło progu będąc, zatrzymała się chwilę.

— Herbatę po ziemi sypiesz! — zawołała, wyciągając rękę.

Lecz dziewczyna uśmiechała się lekko.

— Przecież ja nie składałam ci życień, ciociu, czego więc chcesz odemnie?

Głos jej brzmiał spokojnie zupełnie, oczy patrzyły pogodnie w nabrzmiałą twarz Elżbiety.

— Zawsze masz zuchwalstwo w odpowiedzi — mruknęła Elżbieta i, szarpnąwszy gwałtownie klamką, wybiegła do sieni.

W sali zapanowało głuche milczenie. Leontyna przysiadła na krzesełku i szybko oczyma mrugać zaczęła. Bukowski stał oparty o ścianę, z wyciągniętą ręką, w której bielił się ołtarzyk, prawdziwe arcydzieło cierpliwości i pracy. Bukowska, puściwszy rękę męża, atak złości spędzała na zielonej pelerynce, rwąc szybko frendzle z długiego jedwabiu. Marja, pracę swą skończywszy, wzrokiem po tych ludziach powiodła i w ener-

gicznem jej sercu wzbudziła się litość wielka dla tych niedołężnych i sponiewieranych istot.

— Czemu ciocia znów w tym roku rozpoczęła swe powinszowania? — zapytała, zwracając się ku Leontynie.

Stara panna podskoczyła, jakby na sprężynach.

— Jakże chcesz, serce, duszko, Maryniu, aby w dzień imienin z komplementem nie przyjść... Wreszcie ja nie chciałam już szczęścia tentować; to pani Bukowska zaopinjowała, że to rzecz nieodzowna.

Bukowska wargi wydęła.

— Wychowano mnie w tych pryncypjach — odezwała się pompatycznie — mankować konwenansom i *sawuarwiwrowi* nie mogę!

Za oknami zaszumiało gwałtownie. Marja podniosła głowę i w sad spojrzała. Wiatr gałęzie giął i ku ziemi chylił.

— Burza będzie niedługo — wyrzekła — trzeba bieliznę z płotów pozdejmować. Chodź, ciociu.

Ale Leontyna twarz w dłonie ukryła.

— Burza!... o, Boże miłosierny! — wyjąknęła — pioruny... gdzież się chować? gdzie?...

Marja zaśmiała się wesoło.

— O! ty, mały tchórzu! — wyrzekła; potem, zbliżywszy się do okien i, zamykając je powoli, wciągała z rozkoszą w siebie tę woń przedburzową, gorącą i pełną tajemniczych zapachów i szmerów.

Bukowska ku drzwiom zmierzała.

— Idę do siebie... *imaże* święte w okna powstawiać. Pannie Marji radzę to zrobić także!

Marja pokręciła głową.

— A choćbym chciała, ani rusz takich konduktorów tu nie znajdę... W całym domu obrazka ani poświeć.

Bukowska zmrużyła oczy i ironicznie się uśmiechnęła.

— Naturalnie wyrzekła, za klamkę ujmując — tu rubel zastępuje Najświętszą Pannę Loretańską! Rubel!... radzę ruble na oknach ponalepiać!

— *Monsieur Bukowski! suivez moi!*

Monsieur Bukowski od ściany się oderwał i wślad za żoną podążył.

Mijając Marję, rękę ku niej z ołtarzykiem wyciągnął.

— Może pani raczy go wziąć, skoro dobrodziejka wzgardziła — wykrztusił nieśmiało.

Lecz już żona skoczyła ode drzwi i chwytając ołtarzyk w suche i kościste palce, szybko filarki łamać zaczęła, rzucając tekturę i złote figliki na ziemię.

— *Non! non!...* — zawołała — kiedy ominęła destynacja, niech lepiej szczeźnie. Tak chcę!

Wyprostowała się i dumnie mantylkę pociągnęła.

— *Monsieur Bukowski! suivez moi!*

Starzec powlókł się do sieni, oglądając się z żalem na strzępy swej nocnej, forsownej dłubaniny.

Skoro drzwi się za małżeństwem zamknęły, Marja wzruszyła ramionami i, przykląkłszy na ziemi, sprzątać zaczęła.

— Warjatka! — wycedziła przez zęby.

Leontyna poruszyła się niespokojnie.

— Serce, Marysiu, źle o niej sądzisz: nie warjatka to, tylko arystokratka. Hetmanównę Wyhowską ma w rodzie i z Ilinem spokrewniona. Co chcesz?

— To nie przeszkadza, droga ciociu, że ma stanowczo małego szusa w głowie!

— Ot, nieszczęśliwa!

— Któż jej winien?

— Bóg raczy wiedzieć. Panna z wysokiego rodu poszła za takiego, co na piętnastu duszach siedział. Teraz jej ciężko przywyknąć do takiej poniewierki.

Marja brwi zmarszczyła.

— Któż jej każe poniewierkę znosić? — zapytała z ziemi powstając — na chleb jeszczeby pracować mogła, o, jeszcze lat kilkanaście!

Leontyna szeroko oczy otworzyła.

— Serce, Maryniu, pracować? służyć? taka, co ma hetmanównę Wyhowską w rodzie? Co tobie dziś się stało?

— Nie dziś, ani wczoraj — znasz mnie od dziecka i wiesz, jak się próżniactwem brzydzę. Gdyby nie to przeświadczenie, że pracuję tu ciężko i cały ład do-

mowy na plecach dźwigam, to nie spałabym ani jednej nocy pod tym dachem! Gdy siadam do obiadu, wiem, żem nań uczciwie zapracowała temi oto dziesięcioma palcami!

Śmiejąc się, wyciągała swe opalone, ale kształtne i smukłe ręce ku siedzącej ze zwieszoną głową kobiecie.

— Łatwiej mi przez to znosić ciężkie obejście ciotki, bo gdy ona w rozdrażnieniu mówi o darmozjadach, to ja tego do siebie nie biorę. Ja chleba tu nie jem darmo: ot, pracuję na swą ordynarję ciężej od każdego parobka. Wolę jednak tu pracować u swoich, niż cudze kąty wycierać, choć w potrzebie nie ulęknę się niczego!...

Leontyna westchnęła ciężko.

— U swoich! — szepnęła zdławionym głosem — u swoich!... A toż i ja służyłam, jak ty dziś, u siostry Elżbiety! Młodą i świeżą pracować tu zaczęłam. Krzątałam się tu dzień cały! Szwagier nazywał mnie mrówką, tak wszędzie znać było moją drobną pracę! Nie czyniłam wprawdzie tego, co ty czynisz, serce, ale smażyłam konfitury, drelowałam agrest, ścierałam kurze, gości grą na szpinecie bawiłam, a często gęsto koronki siostruni na butelce wyprałam! Zdrowia było nie wiele, i tę odrobinę straciłam, a dziś! Żal pomyśleć, na co ja tu zdatna. Ot!... gdyby nie święta wiara i jeszcze jeden węzeł, co przy ziemi trzyma, toż śmierci-by życzyć przyszło, nic więcej!... nic więcej!...

I dwie łzy, z pod powiek jej zaczerwienionych spłynąwszy, powoli po bladych policzkach toczyć się zaczęły.

Marja, do kolan jej przypadłszy, za ręce ją ujęła.

— Aj, ciociu!... I pocóż wspominać dawne dzieje, skoro się nie wrócą. Energji trochę, siły!

Leontyna uśmiechnęła się smutnie.

— Energji? siły? — powtórzyła. — Oj! nie miałam jej nigdy, przez to mi życie złamali i na wieczny smutek skazali. Żebym ja wiedziała, co to znaczy wyraz „siła“, nie siedziałabym teraz, na stare lata, jak żebraczka, na łasce siostruni!

Ożywiała się stopniowo. Zawiędła jej twarz pokryła się ceglastemi plamami.

— Siła! — zaczęła znowu — toż to, serce, słowo niby drobne, ale trzeba mieć odwagę nie lada, aby ją ze siebie wydobyć. Ja, nieraz, gdy mi wielką krzywdę czyniono, wiedziałam, że powinnam się postawić i bodaj pazurami tego, co moje, co serdeczne, co kochane... obronić, ale cóż!... kiedy wszystko się w proch rozsypywało, jak tylko siostrunia powiedziała swoje: „chcę!" O!... ona!...

Drżącą rękę do góry podniosła i z dziwnym akcentem w głosie powtórzyła raz jeszcze:

— Ona!...

Grzmot oddalony zahuczał nagle, gałęzie lip, kołysane wiatrem, o szyby zadźwięczały.

Leontyna głowę w ramiona skurczyła.

— A słowo stało się ciałem! — wyszeptała.

Marja od kolan jej się porwała.

— Bieliznę zebrać muszę, zanim burza nadciągnie! — zawołała.

W tej chwili żółtawa jasność mignęła gzygzakowato, w kilkanaście sekund łoskot nierówny spadł gniewnie jak huk oddalonego działa:

Leontyna za suknię Marję porwała.

— Nie odchodź! nie odchodź! — prosiła.

Marja uśmiechnęła się z litością.

— Muszę, chodź ze mną, ciociu!...

— Piorun mnie zabije!...

— Nic ci nie będzie, chodź prędko.

— Bukowska się pewnie izolowała, szczęśliwa! ma tyle szklannych kawałków! Mąż jej ulepił kloszyk, pod którym siedzi. Widziałaś, serce?

— Widziałam, ale śpieszmy się, bo lada chwila deszcz zacznie padać!

Szybko wybiegły obie na ganek.

Przeciąg wyrywał im klamkę z rąk i drzwi zatrzaskiwał z hałasem.

Na dziedzińcu — ciemnawo, szarawy panował cień; rumianki i macierzanka pełzały przy ziemi, drzewa gięły się z szumem, tuż przed gankiem w zawrotnym wirze kręciło się trochę wiórów i jakiś list podarty na strzępki. Na płocie dokoła domu rozkładały się białe szmaty bielizny. Koło nich Władysławowa, ze spód-

nicą, podniesioną powyżej kolan, w butach i z gołą głową, szamotała się z wiatrem, rzucając na ziemię mokrą masę płótna.

Marja szybko, jak strzała, pomknęła do płotu i, wyjąwszy szpilkę ze stanika, sukienkę swą podniosła i z tyłu zapięła. Na ciemnem tle płotu, błyskała teraz różowa podszewka jej świątecznej sukienki, jak plama jaskrawa wśród ponurych szarych barw przedburzowej chwili.

Leontyna, obiema rękoma przytrzymując spódnicę, przez łan rumianku dreptała ku obydwom kobietom, zbierającym porozwieszane koszule, spódnice, czepki, prześcieradła, kaftany, przytrzymywane przez kołki i chrust, a podrywane wiatrem.

Teraz całe niebo zaciągało się powoli skłębioną masą chmur, które na zachodzie zlewały się w czarniawo-fioletową całość. Na wschodzie widniał jeszcze mały szmat błękitnego nieba, otoczony dokoła pierzastymi, białawymi obłokami. Obłoki te łączyły się już z chmurami, które swe groźne, brzemienne cielska powoli w przestworzu suwały, od czasu do czasu rozdzierając swe wnętrza, aby zdaleka, prawie na nieboskłonie, mignąć wspaniałą purpurą, nażyłkowaną czystą złotą siecią.

Kilka jaskółek upadło na dziedziniec i, zataczając coraz niższe kręgi, dotykało w przelocie niemal włosów kobiet. One pracowały szybko, chłodząc rozpalone ręce w mokrych fałdach bielizny. Od czasu do czasu Marja podnosiła głowę i spoglądała w górę, uśmiechając się do groźnej, czarnej masy, zawisłej, hen wysoko nad jej drobną głową.

Tymczasem, błyskawice stawały się coraz częstszemi, gzygzaki płomieniste przebiegały równolegle z chmury do chmury, jakby niepokojąc się i przygotowując do walki.

Od strony lasu dolatywał szum przeciągły, krzaki gięły się, zamiatając gałązkami ziemię, zżęte i łyse pole miało na swej żółtawo-szarej przestrzeni odbłyski drżenia podskórnego; tylko krzyż stał spokojny i nieruchomy wśród szalejących gałęzi lip, tylko stara topola, dawno piorunem roztrzaskana, ofiarowywała swe bez-

listne, rozdarte łono, jak Niobe już w najcięższym bólu milcząca.

I na chwilę uspokoiło się nagle wszystko, a ciężka, ołowiana zapanowała cisza.

Jaskółki znikły pod dachem dworu, czepiając się nerwowo wystających belek, i tylko na górze od zachodu migały ciągle purpurowo złote blaski, odcinając się oślepiająco na granatowem tle nieba.

Władysławowa przerzuciła przez plecy zebraną bieliznę i, migając nagiemi kolanami, biegała szybko ku kuchence.

Leontyna przysiadła na ziemi, zasłaniając drżącemi rękoma twarz ze strachu pobladłą. Tuż koło niej przemknął żółty kot, jeżąc sierść i migając zwężonemi źrenicami.

Marja oparła się o płot i wprost przed siebie patrzała, znajdując rozkosz w tej kąpieli niepokoju, jaki zdawał się przejmować całą atmosferę. Ponad drogą unosiły się kłęby kurzu i szybko przeturkotał wózek, w tumanach piasku ukryty.

W otworach poddasza oficynki migała ręka Bukowskiego, zabijającego goździkami małe tarciczki dla uniknięcia przeciągu. Chwilę przed domkiem zamajaczyła Bukowska, żegnając cztery strony świata trzymanym w ręku krzyżykiem.

Wiatr spódnicę jej rozwiewał i zdzierał z pleców mantylkę... Zagrzmiało silniej, Bukowska, machnąwszy raz jeszcze krzyżem, uciekła, trzaskając drzwiami.

Nagle Marja wzrok od ciemniejącego horyzontu oderwała.

— Ciociu — zapytała z niepokojem — czy nie wiesz, gdzie ciotka Elżbieta poszła?

Leontyna ramionami wzruszyła.

— Bóg ją raczy wiedzieć, serce Maryniu — wyszeptała — nie widziałam... pojąć nie mogę.

Marja potarła czoło.

— Ale ja się domyślam — wyrzekła, brwi marszcząc — do karczemki Janklowej poszła; mówiła o tem wczoraj, że dziś rano z żydami koniec zrobi. Iść tam musiała!

— Jezus, Marja! — zajęczała Leontyna — taż zginie

siostrunia w taki czas, w gąszczu i między choinkami, co to pioruny w siebie ciągną.

Marja poruszyła się niecierpliwie.

— Ha! no, to iść po nią muszę — wyrzekła stanowczo, i szybko spódnicę sukni podniósłszy na głowę, koło twarzy sobie zapinać poczęła.

Leontyna porwała ją za fałdy sukni.

— A ja? a ja? — pytała płaczliwym głosem.

— Ty, ciociu? pójdziesz do siebie, zapuścisz firanki, zapalisz świecę i czekać będziesz zmiłowania Bożego— odparła Marja, przez płot przeskakując — ja biegnę, nie mam chwili czasu do stracenia.

Znalazłszy się na drodze, dziewczyna oczy od kurzu ręką osłoniła i, pomyślawszy chwilkę, wprost pole przecinać zaczęła. Za każdą błyskawicą mimowoli mrużyła źrenice, wpatrując się teraz w ciemną ścianę lasu, ku której zmierzała.

Gorący wicher podrywał jej odzież, siekąc nogi badylami ostów. Całe kłęby gorącej, wilgotnawej pary opadały teraz ku ziemi, wlokąc się powoli przez gałęzie drzew. Las szumiał potężnie, jakby całą gamą szatańskiego śmiechu, który w jęk przechodził. Gałęzie krzaków ze świstem na ziemię się kładły, aby za chwilę poderwać się gwałtownie razem z tumanem zwiędłych liści i masą drobnych gałązek. Po pniu zwalonej sosny skakało w drodze do swych kryjówek całe stado wiewiórek, machając puszystemi ogonami.

Marja przedzierała się prosto przez gąszcz, pozostawiając poza sobą wydeptane ścieżki, po których wicher szalał, jak fala, znajdująca przekopane kanały. Rękoma twarz zasłaniając, z naprzód podaną piersią, deptała dziewczyna suche badyle i poplątane osty lub smukłe leszczyny. Chwilami krzak cały bodiaków chwytał dół jej spódnicy, jak w szpony, aż szarpać musiała gwałtownie i odrywać liljowe kolczaste kulki od szaro-zielonych badyli.

Ziemia, sucha i spieczona, zdawała się pękać pod pokryciem mchu zczerniałego. I tylko cała masa sosen masztówek wznosiła swe proste, nieruchome pnie, wierzchami zda się chmur ołowianych sięgając. Stały

tak rzędami, nieugięte, opuszczając ku dołowi czarny baldachim gałęzi, na których delikatne igły drżały...

Szum lasu powoli przeszedł w ryk — jakby ten olbrzym prastary gniewał się na niepokój, który z ogniem i hukiem ponad nim ciężył i spokój mu zakłócał. I ryk ten mieszał się z odgłosem grzmotów, które coraz częściej nierównym, porwanym turkotem w gąszcz czarną spadały.

Teraz — purpura i złoto wpadły nagle w ciemnicę leśną i migały olśniewająco pomiędzy pniami, zataczając srebrno-złote gzygzaki. Marja mimowoli oczy zamykała, nie mogąc znieść tych oślepiających blasków. Spokojna, lecz energiczna, natura dziewczyny nie lękała się ryku i świstu burzy, wreszcie myśl o spełnieniu obowiązku górowała w niej ponad wszystkiem. Obowiązek nakazywał jej iść w ślady ciotki i starą tę kobietę przed burzą możliwie ochronić. Jak puklerz przed sobą — niosła to słowo i niem się od trwogi broniła.

Stanęła chwilę, pragnąc rozejrzeć się wśród gąszczu i zmiarkować, czy daleko się znajduje od Janklowej karczemki, lecz nagły prąd wiatru cisnął ją o pień sosny. W tej samej chwili purpurowa łuna oblała dokoła krzaki i prawie równocześnie straszny łoskot wstrząsnął nią całą. Rzuciła się naprzód, nieprzytomna, wyciągając ręce i, okręciwszy się dwukrotnie, do ziemi przysiadła...

Gdy po krótkiej chwili otwarła oczy z wysiłkiem najwyższym ze mchu się podniosła, rozgniatając dłonią jakąś porzuconą na ziemi i nawpół napełnioną jagodami krobeczkę.

Zdawało jej się, iż naokoło głowy ma obręcz metalową, ściskającą skronie, w uszach huk dzwoniący, ciągły i jakąś żelazną rękę, ściskającą jej gardło.

Stanąwszy na nogi, zachwiała się kilkakrotnie i, czepiając się krzaków, powlokła się dalej; nagle stanęła z oczyma szeroko rozwartemi, pełna grozy i trwogi przed obrazem, jaki się jej oczom przedstawił.

O kilkaset kroków od niej, na brzegu łysej i wyżartej polanki, jak słup ognisty ku niebu sterczący, płonęła sosna napół z gałęzi ogołocona. Na czarnem tle

lasu wstęga ognia odcinała się ostro, oślepiając purpurą przecinana złotemi żyłami. Trochę ptactwa krążyło dokoła, z niepokojem szukając nowego schronienia.

Wiatr zawiał silnie, deszcz iskier po lesie sypiąc. Purpurowa wstęga pochyliła się i rozpadała teraz na całe setki płonących żużli, zapalając krzaki i cienkie sosenki dokoła rosnące. Tu i owdzie migały na gałęziach płomyki, dym płasko rozpościerał się nad wierzchami i po gałęziach rozwłóczył. Las zaryczał z wściekłości, jak zwierz w czoło zraniony i sosny poruszyły się niespokojnie. Tymczasem sosna płonęła, rzucając żarzące iskry dokoła, u jej stóp buchało morze drobnych urywanych płomyków, liżących spieczoną ziemię polanki. Zwalona wichrem, nawpół spróchniała choina, cały grzbiet miała zapalony, a małe gałązki opadały dokoła, jak cienkie ogniste węże...

Trzask suchy, urywany łączył się teraz z bolesnym chychotem lasu, całe masy liści z gałęzi wyrwanych przebiegały polankę, gnane siłą wichru i wpadały w stos płomieni.

Marja stała teraz niezdecydowana, nie chcąc iść przed siebie z obawy pożaru, lękając się, czy nie zabłądziła, idąc tak bez pamięci pomiędzy gąszczem leśnym. Całe plecy pokryte miała potem i z trudnością najwyższą władała członkami. Senność ogarniać ją zaczynała, senność, której sobie wytłumaczyć nie mogła. Razem z uderzeniem piorunu zdawało się jej, że ktoś odebrał jej całą siłę i energję. Iść dalej pragnęła, a mimo to, jak zahypnotyzowana, patrzyła w siatkę płomieni, które powoli zaczynały obejmować cały brzeg polanki, liżąc wyniosłe pnie sosen ognistemi wstęgami.

I nagle poza ścianą purpurowych płomieni z łoskotem i krzykiem ukazała się postać kobiety, wlokącej za sobą cały płaszcz czarnych jak noc włosów. Kobieta owa stanęła chwilę, poczem zebrawszy włosy w jeden gruby węzeł, a spódnicę, dokoła nagich nóg opiąwszy, jak zwierzę szybka i zwinna w trzeszczące badyle wpadła i przez drobne płomienie przeskakując, na polankę się wydostała.

Marja, z oczyma szeroko rozwartemi, zjawisku temu się przypatrywała i gdy to wpół nagie ciemno-

bronzowe ciało z purpurą płomieni się łączyło, wyciągnęła nagle ręce, jakby ratować pragnąc. Lecz smukła postać mignęła szybko, ostro zarysowując pełne kształty na złotem tle ognia i w tej chwili kobieta opuszczała już krótką spódnicę, a włosy pokudłane, czarne, spadły jej na pierś ledwo okrytą i ciasny, bronzowy kaftanik rozsadzającą.

Marja zbliżyła się teraz do tej kobiety, tak nagle z poza ognistej ściany ku niej dążącej.

— Hej!... kobieto!... a chodź no tu! chodź, prędzej!

Kobieta szybko falę, włosów brudnemi rękoma odgarnęła i na Marję spojrzała.

— Ha? — zapytała.

Głos jej był gardłowy, dziki.

— Daleko do karczmy Janklowej?

Kobieta kilku susami znalazła się obok Marji.

— Ondzie! — wyrzekła, w las palcem wskazując.

Zaczęła iść, skacząc wśród krzaków. Szamotała się z niemi i z wiatrem, od czasu do czasu charcząc gardłowo, a przed błyskawicami ócz nie spuszczając. Czarna fala włosów, w których poprzyczepiane tkwiły bodiaki, biegła za nią, odskakując od bioder, ledwo podartem płótnem spódnicy okrytych.

Marja, wzrokiem po tych biodrach i masie włosów powiódłszy, poznała Trejnę, córkę Jankla, i szybko ku niej poskoczyła. Trejne wracała pewnie do karczemki, a chowana w lesie, jak dziki zwierz, nawet przy świetle błyskawic i przy huku grzmotów, do legowiska swego trafić musi.

I zaczęły teraz iść razem, torując sobie wspólnie drogę, krwawiąc sobie ręce i parząc nogi o ziemię rozpaloną. Żydówka szła pierwsza, twardą swą piersią przecinając poplątane krzaki, z czołem hardo ku górze wzniesionem, dzika, naga, przepyszna; cała, zda się, skąpana w gorącu i złocie. Żar, który ją otaczał dokoła, zdawał się wypływać z jej ciała, którego doskonałość na czarnem tle lasu rysowała się harmonijnie, a grzmot huczący w pobliżu towarzyszył łoskotowi jej stóp bosych, bronzowych, od kostki prawie czarnych, z palcami krogulczo podwiniętemi.

Słysząc, szelest za sobą, obejrzała się, a ujrzawszy Marję, stanęła.

— Wy gdzie? — zapytała.

— Do was!

— Do karczmy?

— Tak.

Popatrzyła chwilę nieufnie z pod masy gęstych włosów.

— Śladujcie! — wyrzekła wreszcie, znów w gąszcz się zagłębiając.

Marja, znużona, potem oblana, szła już teraz jak automat, wciąż w czarną falę włosów Trejny wpatrzona. Przez ciemne sklepienie sosen przelewały się od czasu do czasu złote strugi i kładły na chwilę purpurowe blaski w tę masę potarganych włosów. Trejne migała wtedy krwistą purpurą jak leśne wpół dzikie zjawisko, w świetle piorunów ujrzane.

Marja mimowoli ręce ku piersiom przyciskała. Sądziła się zawsze silną i pełną energji i hartu. Trejne, idąca wśród huraganu, tumanów kurzu, wycia wichru, ryku rozwścieczonego lasu i oślepiających błyskawic, niewzruszona, harda, pełna jakiejś pogardy dla szału przyrody, wydała się w oczach Marji... dziewczyną z bronzu wykutą, pyszną olbrzymką o cygańskich oczach i twardej piersi, jakby wyzywającej szyderczo ogniste węże dokoła latające

Teraz wzrok Marji, jakby hypnotycznie do Trejny przykuty, już się od postaci żydówki oderwać nie mógł. Czuła, że wola jej słabnie i głos jakiś za śladem nóg czarnych, o złotawych połyskach, iść każe. Wlokła się drogą przez żydówkę przedartą, wlokła się, oddychając ciężko. Gałęzie za ciałem Trejny się zamykające, siekły twarz Marji, plącząc i wydzierając jej włosy. Ona nie broniła się, jakby zmuszona przyjmować tę chłostę, którą nagie ręce Trejny poza siebie rzucały. Cała jej słaba strona duchowa objawiła się teraz w chwili osłabienia ciała. Straciła wolę i świadomość możliwości własnej obrony. Wlokąc się za płaszczem rozczochranych włosów żydówki, już nie zamykała oczu przed gorącym blaskiem błyskawic, otwierała je szeroko, chłonąc w siebie kontury idącej przed

nią dziewczyny, która, jak demon, co chwila purpurową oblewała się barwą.

Nagle, oślepiająca, prawie biała, rozlała się dokoła światłość. Ryk jakiś, dziki, straszny, zawirował w powietrzu. Trejne zdawała się płonąć cała, jak gorejąca pochodnia. Głowę w górę podniosła, jakby ją pod spadający grom poddając. Z gardła jej wybiegł zwierzęcy, dziki krzyk. Skąpana w blaskach i piekielnych tonach, na tle gnących się ku ziemi gałęzi, stała niewzruszona silnie oparta na swych z bronzu zda się wykutych stopach. Tylko purpurowe usta w uśmiechu rozwarła, charcząc niezrozumiale.

Marja przez sekundę jedną krwawe to zjawisko w siebie wchłonęła i pod wrażeniem ryku gromu, na ziemię upadła, twarz kryjąc w rozpalone dłonie.

Gdy zmysły odzyskała, siedziała oparta o pień drzewa, a przed nią na mchu przyklękła Trejne, z ciekawością się w nią wpatrując.

— Co wam? — zapytała, widząc, że Marja powoli otwiera zamglone oczy.

— Nic... już przeszło...

Dziewczyna podnieść się usiłowała. Trejne podała jej rękę.

— Usprzyjcie się.

Marja dłoń Trejny ujęła.

— Dziękuję ci!

Podniosła się z trudem, uśmiechając się na myśl, że to już po raz wtóry upada na mech, kalecząc się o pniaki i obalone gałęzie.

Sądziła się o wiele silniejszą, tyle przecież ciężkiej roboty wykonywała w domu ciotki, wychowana ostro, wśród obcych, nie znała pieszczoty ciała. Dziś uczuła, że zrównać się nie może z tą wpół nagą dziewczyną, w blaskach gromu uśmiechniętą.

— Chodźmy!

Posuwały się teraz razem, chrześcijanka, oparta o silne ramię żydówki, która nogami krzaki kopała z jakąś zawziętością niezwykłą.

Marja szła, przełykając ślinę i czując dziwne gorąco, płynące z ciała Trejny... Ramię, które ją otaczało, piekło ją poprostu żarem, cały bok, do którego żydówka

ciałem swem się dotykała, miała rozpalony, jakby od dotknięcia gorącej blachy.

Ręka Trejny od czoła Marji odgarniała gałęzie.

Na czwartym palcu żydówki migał pierścionek niewielki, w kształcie węża z rubinowem oczkiem. Marja, mimowoli, wzrok swój w ten pierścionek utkwiła.

Widziała go przecież i to widziała jeszcze niedawno. U kogo? Kto nosił przedtem ten zczerniały i zniszczony klejnocik?

W jaki sposób znalazł się na palcu tej dziewczyny?

I nagle przed umysłem Marji zaświtała prawda. Ten wąż z oczkiem rubinowem był do niedawna własnością Antoniego.

Widziała go nieraz na palcu posesora, gdy w popołudnie niedzielne siedzieli razem na uroczysku wołochowskiem, czytając lub wiodąc rozhowory.

Tak! tak, nieraz o zachodzie słońca, gdy z nad Styru zaczęły się unosić sinawe opary, a niebo mieniło się barwą opalu, Antoni ujmował jej rękę w swe szerokie dłonie i tak, milcząc, w dal, przed siebie patrzyli. Wówczas Marja w ciele swem czuła zimno metalu, ręce ich splatały się znowu. Marja unosiła na swych palcach odcisk konturów złotej gadzinki.

I szybko do Trejny się zwróciwszy, spytała:

— Skąd ty idziesz Trejna?

Dziewczyna ramionami wzruszyła.

— Z niedaleka.

— Horki?

Żydówka ani drgnęła.

— Nie!... — odpowiedziała.

— A pierścionek ten... powiedz, od kogo masz?

Ramię, otaczające Marję, opadło nagle. Żydówka odsunęła się o kilka kroków, chmurnie z pod masy włosów spoglądając.

— Powiedz — nalegała Marja.

Lecz Trejna brwi zmarszczyła i ręce kurczowo koło gardła zaplotła.

— Może... wy... zmówieni! — zacharczała nagle, prostując się wyzywająco.

— Wy i... on!

Marja chwilę milczała, wpatrując się w Trejnę. A więc to ona? ta wybrana, o której niedawno, bo przeszłej niedzieli, mówił z takim zapałem Antoni, prosząc o pozwolenie zatajenia na czas jakiś nazwiska.

I serce Marji doznało nagłego ściśnienia. Nie była to zazdrość, o! nie, wcale. Marja i Antoni nie mieli pomiędzy sobą ani jednej chwilki ekstazy miłosnej. Nie! nie, prócz wielkiej serdecznej przyjaźni, zrodzonej wśród szmeru nadbrzeżnej trzciny i ciepłych wilgotnych zapachów z łąk płynących, a mimo to Marja uczuła ból dojmujący na widok tej dzikiej istoty, noszącej na swych, czarnych, pokrytych ziemią palcach, ślad bliższej z jej przyjacielem znajomości, jakiegoś zbliżenia przed nią utajonego i rażącego jej dziewiczość brutalnością zmysłowego cienia.

I chwilę długą stały tak obie naprzeciw siebie: Trejne chmurna, nieufna, dzika, spowita w cieniu swych włosów, cisnąca do piersi błyszczące cacko; Marja smutna, nagle przybita, niepojmująca niepokoju, który duszę jej szarpał i bólem nawskroś przeszywał.

Tymczasem huragan wył z najwyższą wściekłością, szarpiąc gałęziami drzew i spódnicami kobiet, odrywając liście i witki z krzaków i rozwiewając dokoła czarne włosy Trejny. Błyskawice, które ustały na chwilę, zlały się już teraz w nieprzerwaną łunę, piorun następował po piorunie, las dyszał cały wściekłością, rykiem stu tysięcy wierchów, kłonionych ku ziemi, opierając się brutalnej przemocy. Jak szata czarownicy rozlała się teraz czerń nieprzenikniona ponad wierzchami drzew, szarpiąc je niewidzialnemi szponami olbrzyma. Las dyszał jak zwierz raniony grotami i czoło podnosił ku górze, wyzywając zuchwale dręczącą go potęgę. Z wnętrza lasu wydobywały się dziwne głosy, czasem warczące groźnie, to znów w jęk przechodzące.

Na tem tle Trejne ciemniała teraz z dziwnie zczerniałą twarzą, z zaciśniętemi gwałtownie ustami. Wpatrzona w Marję miała w czarnych swych oczach stalowe błyski rozwścieczonej i nagle w gnieździe swem stropionej wilczycy.

Długą chwilę milczały obie, mierząc się oczyma. Wreszcie Marja pierwsza przerwała milczenie.

— Dlaczego patrzysz na mnie tak dziko, Trejne— wyrzekła z siłą, a wiatr słowa jej głuszył i po lesie miotał — wiem, że pierścionek ten dał ci pan posesor, prawda?...

Trejne szarpnęła się gwałtownie.

— Tak co? — zapytała.

— Chcę ci powiedzieć, że on... zmówionym mi nigdy nie był i że... wolnym jest i swobodnym najzupełniej.

Trejne ręce z piersi rozplotła.

— Nie kłamiecie? — spytała nieufnie.

Marja mimowoli uśmiechnęła się smutnie.

— Nigdy nie kłamię, Trejne, zapamiętaj to sobie. Pan Antoni jeno przyjacielem mi jest. Ale... po co ty, Trejne, do Horki chodzisz? po co? powiedz do czego cię to zawiedzie? nieszczęście sobie napytasz, więcej nic!

Trejne głowę dumnie podniosła.

— Tak co, że chodzę? — podjęła gorączkowo.— Tak co? — Wola moja i hołowa moja! Szczo sobie napytam, ny, to moje dzieło. Pan kolco dał, to ja wzięła. Wam do tego nic! nic! Moja sprawa i mój pan!

Gwałtownie za szyję się schwyciwszy, stanik, dławiący ją, rozdarła i paznogcie w pierś wpiła.

— A jakby wy zechcieli mnie u niego krzywdę zrobić — to ja!... no!...

Pięść w górę podniosła i w świetle błyskawicy błyszczały jej zęby, jak u młodej wilczycy.

Lecz Marja nie cofnęła się i, nie rozumiejąc dlaczego, silnym głosem odparła:

— Ja także o krzywdę swoją potrafię się upomnieć, Trejne!...

Pięść żydówki opadła.

Chwilę znów patrzyły na siebie i obie pary ich oczu przeszywały się wzajemnie. Było to jakieś milczące rozpoczęcie walki, w tej czerni burzliwej, przecinanej siecią błyskawic. Obie dziewczyny, jedna, złagodzona tchnieniem cywilizacji, zakuta w fiszbin i guziki, pełna delikatniejszych dążeń i porywów — druga,

dzika potężna w swej nagości, zmysłowa i pełna niehamowanej niczem brutalnej namiętności.

Nagle zaszumiało w górze jakby tysiące orłów porwało się do lotu.

Gałęzie ugięły się pod ciężarem nawałnicy, strumienie wody bić w zielone wierzby zaczęły, kaskadą ku dołowi opadając.

Jak strzała od pnia oderwała się Trejna i, potrząsnąwszy włosami, biec szybko poczęła. Za nią podążyła Marja, potykając się co chwila o tysiące poplątanych pod jej stopami korzeni.

Gąszcz ustał i las stawał się teraz rzadszy, a nawet mchy ginęły i tylko brunatny pokład nawpół przegniłych igieł i szyszek rozciągał się dokoła. Tu i owdzie migała jeszcze czerwona plama muchomora lub niewielki krzak purpurowej kamieniuchy. Czasem paproć przyczaiła się do ziemi, z liljowymi dzwonkami mieszając się. Całe masy oblamanych gałęzi leżało dokoła; przed samemi nogami Marji zwaliła się mała krzywa choinka, uderzając zmoczonemi łodygami kolana dziewczyny.

Przez konary drzew przeciekała teraz z szumem woda i oblewała całą głowę, ramiona Marji, mocząc ją do bielizny. Buciki jej tonęły na śliskim gruncie, w który woda z trudnością wsiąkała, tworząc na powierzchni błyszczące kałuże. Pomimo tej wody, całą falą z góry płynącej, powietrze było ciągle rozpalone i duszące. Szum deszczu, rwącego całemi ścianami przezroczystemi, jak ze szkła w miejscach, od drzew swobodnych, mieszał się z rykiem gromów, słabnących już powoli. Tylko błyskawice olśniewały ciągle, migocąc w strumieniach wody, przecinających powietrze.

Na skręcie wreszcie lasu ukazała się karczemka, na którą całą potęgą biły fale wody, płynąc po jej słomianej strzesze pochyłej i poszarpanej. Połamane i pogniecione krzaki leszczyny i ożyny leżały dokoła, jak trupy tych, którym sił do walki zabrakło.

Trejne w kilku skokach drzwi karczemki dopadła i we wnętrzu sieni znikła, po chwili jednak napowrót się ukazała i, do lasu wpadłszy, o pień drzewa się oparła i tak pozostała nieruchoma, nieczując strug wo-

dy, które, z głowy jej płynąc, włosy do ramion jej przylepiały i spódnicę dokoła nóg opinały.

Teraz Marja do karczemki dobiegła — wzrokiem ciotki szukając, lecz z przerażeniem w drzwi spojrzawszy, stanęła, jak wryta, głosu nawet dobyć nie mogąc.

Na progu karczmy, tuż pod samą ścianą, na rozmoczonej przyzbie, na którą strugami woda się lała, leżała jęcząc blada i chuda, jak szkielet żydówka. Głowę miała osłoniętą chustką perkalową, na zgarbionych plecach rodzaj kilimku, który na zapadłą pierś drżącemi rękami naciągała. Koło niej, jak pisklęta z gniazda wypłoszone, tuliło się dwoje brudnych bachorów w podarte łachmany ubranych, z bosemi nożętami, tonącemi w kałuży wody.

U stóp ich leżały roztrzaskane niecki, stołek, szaflik, kilka garnków, hładyszek i parę poszarpanych krób ek do noszenia poziomek. Nieco dalej roztrzaskane walały się deski tapczana i trochę brudnych betów czerwieniało, jak plamy, wśród ciemnej ziemi. Tuż koło progu rozlewały się całe kałuże brunatnej, czarnej i białej farby; w nich maczały się pętle różnej wielkości, kształtu i szczotki do czyszczenia koni. Pęki brudnych i zabłoconych szmat do obwiązywania kopyt końskich, snopy fałszywych grzyw i ogonów, cała ta część dekoracyjna rzemiosła koniokradów, wyrwana z ciemnego kąta alkierza, mokła teraz w świetle błyskawic, ujawniając tajemnicę pilnie w głębi tej samotnej pustki strzeżoną.

Okno, wyrwane z zawiasów, z rozbitemi szybami z trzaskiem rwane wiatrem opadało na ścianę, brzęcząc ostatkami szkła w kicie jeszcze tkwiącego.

W sieni, pani Elżbieta, purpurowa, straszna z rękami pokrwawionemi od wystających z desek gwoździ, mocowała się z drzwiami, pragnąc wyrwać je z zawiasów i na dwór wyrzucić. Nieprzytomna z gniewu niszczyła gniazdo, chcąc zeń w ten sposób zwierza wypłoszyć. Z kącików jej ust płynęła piana, oczy krwią nabiegły, zęby dygotały, uderzając jedne o drugie, ręce konwulsyjnie desek się czepiały, wstrząsając całą futryną, z której glina sypać się teraz zaczęła.

Siedząca na przyzbie żydówka jęczała cicho, kili-

mek na siebie naciągając. Bachory z oczyma szeroko rozwartemi stały milczące, pod strugami wody całe drżące...

Teraz Marja zrozumiała całą ohydę postępku ciotki. Szybko porwała się i do sieni wpadła, rękę Elżbiety chwytając.

— Ciotko!... na Boga, co robisz? Ciotko!...

Głosu jej nie stało, gdy nagle w tę zapienioną twarz spojrzała, straszną od wściekłości i krwi nabiegłej. Palce Elżbiety kurczowo we drzwi się wpiły.

— Rozbiję!... jak Boga kocham, rozbiję! — charczała Elżbieta — krew mojąby wypili... mnie z torbami puścili... ha!...

Grzmot zagłuszył jej słowa.

Siedząca na przyzbie żydówka z jękiem ukryła głowę w dłonie, bachory przypadły do jej kolan. Marja ramię Elżbiety schwyciła.

— Puść te drzwi, ciotko!—wyrzekła rozkazująco— puść i pozwól tej kobiecie wejść pod dach razem z temi dziećmi. Hańba i wstyd na twą siwą głowę! hańba!...

Cała wściekłość Elżbiety ku Marji się zwróciła.

— A i ty, gadzino, jesteś przeciw mnie? — syknęła od drzwi odskakując — ty, która chleb mój jesz...

— Nie twój, ciotko, lecz mój, bo pracuję nań krwawo!

— Żydów bronisz?...

— Słuszności bronię.

— Siedzieć tu prawa nie mają.

— Podczas burzy schronić się mają prawo nawet do twego alkierza. Zresztą... ta kobieta chora.

Elżbieta powoli uspakajać się zaczęła.

— I ja jestem chora! — wyrzekła, niewiedząc prawie co mówi.

Marja głową wstrząsnęła.

— Zapewne, musisz być chora, skoro się dopuścić mogłaś takiego postępku!

— Warjatką mnie zrób, tego mnie brak!

— Mów sobie, co chcesz, tymczasem daj mi to złe naprawić, które uczyniłaś!

— Co chcesz zrobić?

— Kobietę tę i dzieci napowrót pod ten dach wprowadzić.

Elżbieta ręce rozłożyła.

— Nigdy!

Marja spojrzała jej bystro w oczy.

— Ciotko! — wyrzekła powoli — nie doprowadzaj mnie do ostateczności i nie chciej, abym, zapomniawszy o twych siwych włosach, powiedziała ci to, co o tobie w tej chwili myśleć jestem zmuszona? Sama byś się cofnęła przed tą szkaradą, przed bezdenną ohydą twego postępku! Spójrz na tę nędzę, rękami twemi rozbitą, temi rękami, które codzień pieniędzy tyle zgarniają. Spójrz!... i zapłacz nad sobą, tak, jak ja w tej chwili płaczę nad ohydą postępku twego!

I dwie, wielkie palące łzy zawisły na rzęsach dziewczyny, potem powoli stoczyły się na jej blade i nędzne policzki.

Nagle Marja ku przyzbie postąpiwszy, jedno z dzieci na ręce porwała i, szybko z niem do sieni wszedłszy, rozkazującym ruchem usunąć się ciotce kazała.

Przed tą dziewczyną, spłakaną, a przecież groźną i tem dzieckiem wpół nagiem, drżącem i przemokłem, usunęła się powoli Elżbieta, jak zwierz dziki przed pogromcą w kąt klatki wpędzony.

Postawiwszy dziecko na ziemi, zbliżyła się teraz Marja do chorej żydówki i troskliwie ją kilimkiem otulając z wysiłkiem pod ramię ujęła.

— Chodźcie! — wyrzekła łagodnie — chodźcie do izby; wy chorzy, tu siedzieć nie można!

Żydówka swe wielkie, ciemno-zielone, załzawione źrenice w twarzy dziewczyny utkwiła.

— Aj, aj!... — zajęczała — co ona zrobiła!...

I głowę swą na ramię Marji skłoniwszy, podnieść się usiłowała.

— My to naprawimy — uspakajała ją Marja.

Teraz już deszcz padał cieńszemi strugami, błyskawice ustały zupełnie, a grzmot huczał coraz słabiej. Powoli czarne cienie nikły, włócząc się jeszcze pod drzewami, z których gałęzi lały się całe promienie wody.

Po chwili, z drzwi karczmy wyszła Marja i roz-

tłuczone kawałki niecek i garnków zbierać poczęła. Przykładała skorupy jedną do drugiej, deski do deski, szukając gwoździ w rozmoczonej ziemi. Poskładawszy skorupy na przyzbie, po deski tapczana się schyliła i, na jednej z nich przykląkłszy, z betów wodę wyżymać zaczęła.

Nagle z poza chmur, nieśmiało przebił się bladawy promień słońca i rozlał dokoła klęczącej dziewczyny niepewną, białawą jasność...

Z lasu biła woń świeżej wilgoci, ożywionej zieleni, wiatr jeszcze gałęziami kołysał, strząsając resztki wody. Deszcz padał ciągle, a krople jego srebrzyły się w białym blasku z góry płynącym.

Tylko pod cieniem olbrzymiej sosny, o czarny pień oparta, stała wciąż Trejne, chmurna, milcząca, w czarną masę swych włosów spowita, które jej przyległy do ramion, jak płaszcz z aksamitu utkany... stała i czarne swe, błyszczące źrenice, w przestrzeni utkwiwszy — patrzyła...

IV.

Dworek do ziemi przysiadł nisko, dachem się szarym czerniąc wśród całej masy jasnych, zielonych gałęzi.

Maleństwo to było, z gankiem na świeżo wyciosanych kolumnach opartym, z czerwonemi firaneczkami, majaczącemi w szklannej połowie drzwi wejściowych.

Na ganku dwie ławeczki drewniane, żółte, strzępiaste, źle wyheblowane, na nóżkach krzywo osadzonych i świeżo z kory obdartych. Pod jedną z ławek porzucony harap, na którym wsparta głową, drzemała zwykle wyżlica.

Poza dworkiem sad czarny od gąszczu, z kilkoma pniami, okrytemi słomą, dokoła których uwijały się pszczoły. Sad ku dołowi powoli opuszczał się, ogrodzony grubym żywopłotem agrestu i malin. Przez niskie pnie grusz i jabłoni rozłożystych przeciskało się słońce, złocąc aksamit trawy, równo skoszonej. Od czasu do czasu spadła z drzewa zielona robaczywa grusz-

ka i w trawie utkwiła, zagłębiona do połowy w puszystą ziemię. Odsunięte, nie zmieszane z tłumem, sterczały samotnie śliwy, okryte srebrno-popielatymi liśćmi. Małe ścieżynki wiły się tu i owdzie, zaledwie pogracowane, już prawie przez noc zarosłe, osadzone dokoła delikatnymi krzakami porzeczek. Tu i owdzie ciemne plotły się jeżyny, aksamitne, pełne soku, zwieszając grona. Sad opuszczał się ku dołowi, tworząc potrójny taras, bramowany trawą. W trawie tej liljowe dzwonki i polne bratki tkwiły. Zaplątane jakimś cudem irysy, pręgowane fiołkowo, drżały pod wpływem chłodu od dołu wiejącego. Dalej, w ramię zieleni ujęty błyskał Styr, srebrząc się u stóp sadu, który w wilgoci, z rzeki płynącej skąpany, ożywcze, płodne swe łono otwierał miłośnie ciemnem ramieniem szemrzącej rzeki ujęty.

Tuż nad rzeką, pomiędzy kępami niezabudek i tataraku, zwolna siłą fali poruszana, kołysała się łódka niewielka, rogóżką wysłana. Złamane jakieś wiosło poniewierało się niedaleko wśród trzcin, z których łątki wzlatywały co chwila, zataczając w kręgi, całe błękitne i w srebrze skąpane.

Antoni na ganek wyszedł i sukę z harapa spędziwszy, do kuchenki, wołyńskim obyczajem, zdala od domu postawionej, skierował się. Z komina kuchni dym w górę szedł siny, gorący. Przed kuchnią leżały drzazgi porzucone.

Trzech ludzi w koszulach zgrzebnych i spodniach białych tarcice piłowało. Mały wyrostek z konopiastą czupryną wysokie kołki ciosał, starannie je równając.

— Szczęść Boże! — wyrzekł Antoni, po drzazgach depcąc.

Na chwilę piszczenie piły ustało. Ludzie rękawami spocone ocierali czoła.

— Będziecie aby gotowi? — spytał Antoni.

— Na południe wszystko stanie! — odparł jeden z robotników, piłę w rękę chwytając.

I znów zabrali się do roboty, pracując z zapałem, jakby podnieceni.

Antoni postał jeszcze chwilę i do kuchni wszedł, z której hałas dochodził niemały.

Klucznica, dwie dziewki i stróż nocny do wielkich

kotłów mięso kładli, pierogi gnietli, ser w misce rozrabiali, kręcąc się w piekielnej atmosferze żaru i dymu.

Setki pierogów przewijanych leżało wszędzie: na tapczanie, na ziemi, na szlabanie, na przewróconej do góry dnem balji. Sama klucznica miesiła ciasto na pampuszki, oblepiona cała hreczaną mąką, z chustką przekręconą na bakier. Jedna z dziewek wyjmowała z pieca wielkie bochenki chleba jasnego, nadzianego jabłkami i obsypanego czarnuszką. Skwarki smażyły się w osobnym rondlu; w donicy, pełnej miodu i maku, tkwił wałek oblepiony ciastem. Część kuti gotowej w wielkiej hładyszce od mleka już na stole stała. Kilkadziesiąt bochenków razowego chleba w kąt kuchni zwalono.

W sieni otwarte beczki kwaszonych ogórków rozlewały dokoła ostry zapach kopru i bobkowych liści. W cieniu majaczyły cielska olbrzymich poplecionych korowajów, trochę od weselnych kształtem się różniących. Z resztek ciasta poskubane rękami dziewek figliki, posypane makiem, aż na ubitej z ziemi podłodze złożono. Na przyzbie zsypano gomółki kminkiem przetykane, żółte i twarde, jak kamienie. Na desce, z okna wystającej, stygło kilkaset sztuk hreczuszek płaskich i czarnych.

Klucznica, zobaczywszy Antoniego, nawet głową nie skinęła, tak bardzo była zajęta przerąbywaniem olbrzymich płatów mięsa.

Antoni podszedł ku niej i, silną ręką udo cielaka uchwyciwszy, do przerąbania go dopomógł.

— Twarda? — zapytał, chwytając drugi pośladek i na stół go rzucając.

— Jak krzemień, jaśnie panie — odparła kobieta — ten szelma Srul takie dostawia. Mój chciał mu rano zęby tem wybić, ale bestja uciekł przed czasem!

Antoni uśmiechnął się wesoło.

— Ludzie zdrowe zęby mają, zjedzą i to... prawda?

Kobieta siekierą błysnęła.

— Ta zjedzą, oj! czemu nie... oniby kamienie zgryźli, byle dać!

I dalej rąbała mięso.

Antoni dopomagał jej ciągle, zanurzając palce w żylaste, oporne mięso, lub chwytając silnie kości. Wzrokiem tymczasem wodził po tej niskiej kuchence, pełnej wyziewów, pary i ostrych zapachów czosnku i kwasu, porozlewanego dokoła. Dziewki uwijały się ciągle, dudniąc bosemi nogami po ubitej ziemi, kucając koło ławek, ciągnących się wzdłuż ściany, spinając do półek na których hładyszki, garnki, czerpaki, sita, stały poustawiane rzędem.

Antoni na niższą, pękatą, tęgą, częściej spoglądał, bawiąc się zakłopotaną miną, z jaką dziewka mieszała krupnik w olbrzymim saganie, używając do tego drąga od miotły.

— Hanka! — zawołał wreszcie — a masz czas?

Dziewczyna nagle podniosła głowę.

— Nie mam, paniczu! — zaśmiała się wesoło, pokazując białe zęby na razowym chlebie wytarte, czyste i zdrowe.

Teraz śmieli się wszyscy. Antoni, klucznica, druga dziewka, boć wiadomo wszystkim, że Hanka, ostatnia próżniaczka, nigdy na nic czasu nie ma.

I cała kuchnia rozbrzmiewała teraz wesołością.

Pod oknem śmieli się tracze, odganiając całe masy kur, skaczących koło przyzby, na której leżały gomółki.

Antoni, podniecony, wesoły, oddychał pełną piersią, czując w sobie całą masę siły i krwi szybko w żyłach krążącej.

Wyciągnął rękę, kroczek jeden z deski schwycił i szybko pić zaczął.

Klucznica, na stół siekierę odłożywszy, pod boki się ujęła i uśmiechnięta w twarz pana patrzała.

— A, z Bogiem, jaśnie panie... i na zdrowie!

Dziewki roboty zaprzestały i, chychocząc się cicho, trącały się łokciami.

— Dobre! — wyrzekł wreszcie Antoni, ręką usta obcierając.

Na progu kuchenki zamajaczyła czarna wysoka postać męska.

— Szczęść Boże!

Antoni szybko ku drzwiom spojrzał.

— Jak się masz, Polikarpie! dobrześ zrobił, wcześniej przychodząc.

Polikarp próg przestąpił. Smukły, opalony, z głową kształtną, małą, okoloną ciemnemi blond włosami, był typem chłopa wołyńskiego, trochę oskrobanego z pleśni wiekowej. W swej ciemnobrunatnej, krótkiej świtce, przepasanej wełnianym zielonym pasem, miał pozór młodego dąbczaka, jakby z tych lasów, których dnie całe przepędzał, zapożyczył barwy i smukłości kształtów.

Na widok leśniczego, Hanka, jak burak poczerwieniawszy, pilnie coś pod szlabanem szukać zaczęła.

Druga dziewka chychotała się cicho, kułakiem usta zatykając.

— I cóż Pan Bóg dał? — zapytał Antoni, ręce o fartuch klucznicy obcierając.

— Nic, jaśnie panie! — odparł Polikarp z uśmiechem.

— Z wyrębu wracasz?

— Tak, jaśnie panie!

— Daleko poszli?

— Całą ścianę zwalili!

Antoni brwi zmarszczył.

— Jakto całą?

— Krzywiznę nawet tną, mówią, że przez pomyłkę.

— Dlaczegoś pozwolił? ha?

Antoni ku leśniczemu postąpił, który nagle się zmieszał.

— Ja?... jak Boga ukrzyżowanego kocham, cały dzień sobaczę, ale co mi przeciw takiemu Szmulowi z Siemiatycz iść! Soroka i Cytryna też przyjechali, bo to wspólniki. Orchim, ten szubrawiec, robotę wiedzie. Co im sosnę wyznaczę, użeraj się z nimi dzień cały. Ot!... wprost zaprzepaszczenie!

— Ale znaczone tną?

Polikarp milczał chwilę.

— Ta niby — wyrzekł przyciszonym głosem.

Antoni żywo ku niemu postąpił.

— Jakto? niby? — zapytał. — Klejm masz od tego byś sosny znaczył. Polikarp, co tobie?

Polikarp w głowę się podrapał.

Antoni jeszcze raz go bystrem spojrzeniem obrzucił i, próg kuchni przestępując, rozkazująco wyrzekł:

— Chodź.

Wyszli obaj z kuchni, Polikarp tak zafrasowany, że nawet nie uszczypnął Hanki, choć mu lazła pod oczy, znacząco zęby szczerząc.

Na dziedzińcu ludzie tarcice pilować skończyli i do sadu powoli je wynosić zaczęli. Tylko wyrostek jeszcze wciąż pale i kołki ciosał, dysząc ciężko i obcierając pot z czoła.

Antoni do sadu powoli schodzić zaczął, za nim szedł Polikarp z głową odkrytą, ceratową czapkę w ręku niosąc. Weszli na pierwszy taras, gdzie tracze ustawiali po pod drzewami długie stoły, wbijając w ziemię pale i pokrywając je tarcicami. Nieco niżej urządzano ławki, które nagle wśród trawy żółciły się barwą świeżo zheblowanego drzewa.

Antoni postał chwilę i po zarosłej ścieżce ku rzece spuszczać się zaczął. Polikarp szedł ciągle w ślad za panem, miętosząc w ręku trzymaną czapkę. Doszli tak nad brzeg wody, na której kołysała się łódka.

Wówczas Antoni obrócił się i, patrząc prosto w twarz leśniczego, wyrzekł:

— Co wiesz, gadaj!

Polikarp obejrzał się dokoła.

— Fałszywy klejm mają! — wyszeptał, ku przodowi się pochylając.

Antoni ramionami wzruszył.

— Cóż znowu?

— Napewno, jaśnie panie; drzewa w nocy klejmują, a tak szelmy mądrze to ukuli, że ani weź rozpoznać niepodobna.

— A ty wiesz skąd?

Polikarp uśmiechnął się tajemniczo.

— Ja, jaśnie panie, wiem, jak w lesie trawa rośnie, a nie jak żyd fałszywy klejm do sosny ciśnie. Ja wiem!

Antoni zastanowił się chwilę.

— Jutro obławę na nich zrobić musimy, dziś od domu odchodzić niepodobna. Do jutra czekać trza.

Polikarp głową skinął.

— Tak, jaśnie panie, do jutra!

Nagle coś w krzakach zaszumiało. Polikarp obejrzał się trwożliwie.

— Ki djabeł?—zawołał, ku krzakom się posuwając.

Lecz już w podskokach biegła wyżlica, pana swego węsząc.

— Cytra!... a pójdź tu, suczysko poczciwe — wołał Antoni, ku łódce zmierzając.

Suka w kilku podskokach po trawie się stoczyła i, do ziemi przypadłszy, po piasku pełzać zaczęła.

— A chodź do łódki!

Pies szczeknął, porwał się i w łódkę wskoczył, bryznąwszy dokoła wodą.

Antoni łańcuch od kółka odczepił.

— Czego ty się, Polikarp, zląkł? — zapytał z uśmiechem.

Polikarp się w głowę poskrobał.

— Djabeł nie śpi, — wyrzekł powoli — mógł kto podsłuchać, potem ja by grzbietem nałożył. To już tak zwyczajnie.

— Tchórzem ty podszyty leśniczy, mój drogi, kiedy się szelestu krzaków boisz! Przy tobie ja czuwać muszę, bo inaczej las na marneby poszedł!

Chwilkę milczeli obaj, w dal patrząc.

— Jaśnie panie — pierwszy zaczął Polikarp — na marne i tak idzie, boć siekiery dokoła grają, i czy już tam żyd jedną sosnę więcej wywiezie — toć już chyba tem lasu nie ocalę!

Opalona jego twarz pociemniała jeszcze od purpury, co mu do skroni nabiegać zaczęła.

— Z lasem ja się zrósł — mówił dalej, a Antoni, oparty o wiosło, słuchał i w dal sinawą patrzał — z lasu ja prawie wylazł na świat—ot takim dzieckiem!... Z lasu ja obyczaje, mowę i głos przejął — a ot teraz, żydowska albo niemiecka siekiera mi sosny moje rąbie, na ziemię wali, młódź trzebi i jeszcze potem z ziemi korzenie szarpie. Toż teraz, gdzie ja miał gąszcz, prost łysa polana się ściele i Niemcy się grzebią jeden po drugim. Co robić? ręce mi z chęci opadły, bo już

ani szumu, ani mojej zieleni! Ot — choć siadłszy — płacz!... Zaprzepaszczenie wprost!

Antoni głową potrząsł.

— Pan Brunon tak chce, nie nasza to ziemia, Polikarpie; wiesz sam, pan każe, sługa musi!

Chłop żachnął się niecierpliwie.

— A już też sprawiedliwości Bożej niema chyba nad nami, kiedy takie niszczenie odbywać się może. Ot, jaśnie panie serdeczny spójrz! Ta, jak wał ten szmat dąbczaków, co go ondzie widać na krajuszku, a taki pan hrabia już go z Cytryną oglądał i po dębach pukali, co jeszcze takie młodzieńkie, ot, jak parobczaki, co im lat niewiele. Ja za nimi z musu szedł, ale aż zęby ściskał, jak nieczysta dłoń się dębu dotknęła! Temu mnie już ani siły, ani chęci, ani woli do pilnowania nie staje. Jak się na koronę tę zieloną spojrzę, to wiem, że niedługo ziemię zamiatać będzie... Ot!

Ręką machnął i stał chmurny, zapatrzony w ciemny wał lasu, który po drugiej stronie Styru poza łąkami na wzgórzu majaczył.

Tymczasem ludzie zajęci ustawianiem stołów, już się na drugi taras wydostali i tu tarcice rozkładać zaczęli.

Antoni usiadł w łodzi i wiosło silnie ujął.

— Ostań tu! — wyrzekł do leśniczego — pilnuj, aby tak wszystko urządzono, jak przeszłego roku, ja niebawem wrócę.

— Gdym przez trakt jechał, widziałem gromadę z Modliszcz, jak ciągnęła polami — odparł Polikarp.

— Muzykanci będą.

— Zamówiłem ich w miasteczku.

— A tych, co pierwsi przyjdą, pilnuj, aby się do wódki nie dobrali, aż wrócę!

Polikarp zaśmiał się głośno.

— Już dam ja im radę, jaśnie panie. To ani Niemcy... ani — żydy! — dorzucił ciszej, oglądając się dokoła.

Ale już Antoni kilkoma uderzeniami wiosła wypłynął na środek rzeki i szybko pruł srebrno-złote fale. Sad za sobą zostawił i teraz miał po obu brzegach całe masy wierzb, niskich, pękatych, osadzonych na poplątanych, czarną ziemią pokrytych konarach.

Pomiędzy wierzbami temi płynął czas jakiś, wciągając w siebie wilgotną woń mokrzycy, co przy brzegach rosła, zmieszana z masą błękitnych niezabudek.

I nagle z pośród wierzb tych na płaską zieloną łąkę się wydostał, na której kilkanaście krów porozrzucanych jasne plamy wśród zieleni znaczyło. Z pośrodku łąki ku niebu płynął wąski pasek dymu białawo-sinawego. Kilkoro dzieci w zgrzebnych koszulach dokoła ognia na brzuchach leżało, pięty bose w górę podnosząc. Nad brzegiem mała dziewczyna, w rozpiętej na piersiach koszuli, w czerwonej długiej spódnicy, wzrokiem ścigała mknącą po rzece łódkę.

— Szczęść Boże! — krzyknął Antoni — lecz napróżno czekał na odpowiedź. Dziecko pozostało nieruchome, ani jeden muskuł nie zadrgał na jego twarzy.

Antoni ramionami wzruszył i wciąż pilnie wiosłował, spoglądając od czasu do czasu ku górze. Niebo było ciemne, lazurowe, bez śladu obłoków, czyste, wspaniałe. Słońce dobiegało szczytu, promienne, gorące, złociste. Zdaleka majaczyły wzgórza, pokryte ciemną zielenią drzew.

Pomiędzy niemi nikła srebrna wstęga Styru, Antoni mimowoli myśleć zaczął o ujrzanej przed chwilą dziewczynce.

Nie odpowiedziała mu nawet na pozdrowienie ta dzika, wpółnaga istota. Czuł na sobie spojrzenie jej wielkich błękitnych oczu; w oczach tych był cień smutku, ludowi właściwy. Ze smutkiem tym Antoni spotykał się w spojrzeniu każdego niemal chłopa, gdy jeszcze dzieckiem w Turemnem od ojca do wsi się wykradał. I smutek ten, melancholja ta ciągnęła jego wrażliwą i subtelną mimowoli naturę ku sobie. Zdawało mu się, że pod temi płowemi grzywami znajdzie całe przepaście uczuć i tęsknoty, omylił się jednak. Życie mu wykazało pomyłkę ciężką i nieraz, smagając dotkliwie iluzjowe zasłony z ócz darło. Powoli Antoni począł cenić chłopów, jak siłę roboczą, pełną sprytu i wiecznej nienawiści, i nie szukając bohaterów, do dna dusz tych nie sięgał.

V.

Gdy z zadumy swej się ocknął, łódka już między wzgórza wpłynęła, wzgórza Wołochowem zwane, głośne swą mogiłą wisielczą. U rozstaju ścieżyn, pomiędzy pagórkami się wijących, sterczała duża mogiła kamieniami narzucona. Według podań, na wieczornicach wysnutych, chłop, który, ojczymem będąc, pasierba z sadyby wygnał, *niesamowitym* został i na rozstaju, wśród strasznej wichury, się obwiesił. Wrzucony do tej mogiły na uroczysku Wołochowskiem, ludzi nocą straszył, aż, kamieniami przywalony, spokojnie w ziemię legł.

Antoni, dostawszy się pomiędzy wzgórza, z uśmiechem je powitał. Snać miłe wspomnienia budziły w nim te drzewa, czerniące na prawie prostopadłych bokach jarów. Aksamitne czarne były wgłębienia tych wzgórzy, bezustannie łączących się z sobą. Wierzchołki jaśniały zieloną, wesołą barwą drzewek drobnych, niemal karłowatych sosenek, jedna w drugą wtulonych. Cały łańcuch tych drobnych gór ciągnął się dokoła, wyrastając zda się, jedna z drugiej, kładąc się u podstawy szerokiemi, rozłożystemi masami.

Na jednem z tych wzgórzy, na czarnem tle zieleni, tuż koło mogiły wisielczej, stała Marja, ostro się jasną linją swej świątecznej sukni odcinając. Antoni w łódce powstał i, wiosło w muł wpychając, do brzegu się kierował. Cytra ze snu zbudzona, przysiadła, wesoło w stronę czekającej dziewczyny naszczekując. Twarz Antoniego promieniała teraz wielką radością. Czarne jego oczy obejmowały życzliwie smukłą postać dziewczyny, która, przed promieniami słońca się kryjąc liść paproci nad głową niosła.

Łódka przy brzegu zchybotała, w muł się wbijając. Antoni umiejętnie ją pomiędzy większe głazy skierował, aby spokojnie stać mogła i, szybko po kamieniach skacząc, ku Marji biec zaczął. Za nim, szczekając, sunęła, Cytra, cała biało różowa pod promieniami słońca.

Marja, nie poruszając się z miejsca, z uśmiechem

na przyjaciela swego oczekując, rękę ku niemu wyciągała. On do ręki tej wreszcie przypadł i gorąco ją ściskać począł, patrząc w twarz dziewczyny, oblaną zielonawym blaskiem, filtrującym się przez cienkie liście paproci.

— A nie widzieliśmy się już dwa tygodnie — zaczął — burza przeszkodziła, ale przecież od południa ustała. Dlaczego pani nie przyszła? Ja tu czekałem do zachodu słonka. To niepoczciwie!

Ona śmiała się wesoło.

— Miałam robotę niezłą — odparła, na głaz mchem porosły osuwając się. — Ciocia dobytek teściowej Jankla zniszczyła, a więc ja...

— A pani do późnej nocy pierzyny zszywałaś i szyby łatałaś... a prawda?

Marja szeroko otworzyła oczy.

— Skąd pan wiesz o tem?

Antoni usta przygryzł.

— Słyszałem... mówili mi...

— Kto?

Na twarz Antoniego wybiegł silny rumieniec, dosięgnął czoła, szeroki kark oblał i zniknął za kołnierzem niebieskiej koszuli.

Oboje teraz milczeli, nagłem zdjęci zakłopotaniem; pomiędzy niemi, wśród tych blasków słońca i powodzi zielonej, mignął nagle czarny płaszcz włosów żydówki i przesunęła się jej postać o złotawo-gorących połyskach nagiego ciała.

Wreszcie Marja pierwsza milczenie przerwała.

Źle z nami — wyrzekła powoli, z niedostrzegalnem drżeniem w głosie — jakieś tajemnice się plączą, ot coś, co nam słowa w gardle więzi. Że nie moja w tem wina, to pewna. Od lat dwóch spędzamy ze sobą popołudnie niedzielne i zdawało mi się, że znamy najdoskonalej uczucia nasze i myśli zakątki. Lgnęłam do pana, do tej przyjaźni, duszą i sercem całem, bo... choć się nigdy nie skarżę i staram się mieć dla innych twarz pogodną i wesołą, toć każdemu przyjdzie chwila ciężka, gdzie się mimowoli szuka przyjaznej twarzy i pragnie ten ciężar z duszy wspólnemi siłami zrzucić.

Umilkła na chwilę, jakby czekając na jakieś słowo

z ust mężczyzny, który wszakże milczał, głowę na piersi zwiesiwszy.

— I dobrze nam tu było — zaczęła znowu — dobrze nam tu było pomiędzy tą zielenią i z tą srebrną rzeką u dołu się wijącą. Oboje otwieraliśmy przed sobą przeszłość, biedną naszą, przeszłość dwojga biedaków, którzy się w słońcu chowali, lecz mało słońca w duszy mieli. Wymienialiśmy pomiędzy sobą zdania, staczali walki, bujali w dziedzinie marzeń, bawili się w chłopomanję, aby potem spaść na ziemię razem i już bez ułudy naokoło spoglądać. I dobrze nam tu było z tem zapomnieniem o różnicy płci naszej, o tem, żeś ty — mężczyzną, ja — dziewczyną, ot!... dwóch chłopców, błąkających się w czas wakacyjny po polu, a czasem znów dwoje dziewcząt, w błękit nieba wpatrzonych... Lecz teraz... coś się zmieniło, i ty oczy przedemną spuszczasz, wzrokiem po krzakach błądzisz, a ja...

Urwała nagle, nie umiejąc określić stanu swej duszy, cała podniecona jakąś smutną gorączką, która ją od tygodnia trawiła.

Lecz on teraz słowa jej podchwycił i, u stóp jej usiadłszy, powtórzył:

— A pani?

Ona brwi zmarszczyła, jakby niemile tem pytaniem dotknięta.

— Nie o mnie tu chodzi — odezwała się dość szorstko — nie ze mnie płynie, to co przyjaźń nam psuje; jeśli jest coś we mnie to jest prostym wynikiem naszego obecnego położenia. No!... bądź pan szczerym, wyznaj mi, o co tu chodzi?

Antoni pot kroplisty z czoła otarł.

— Nie o co, możesz pani powiedzieć, lecz o... „kogo“ — wyrzekł wreszcie z wysiłkiem.

— Tak! — podjęła porywczo Marja „o kogo“... o nią — o tę dziewczynę — o... Trejne!

Antoni szybko głowę podniósł i w oczy Marji pytająco spojrzał. Ona się uśmiechnęła ironicznie.

— Dziwisz się, skąd wiem o tej wielkiej tajemnicy, którą starałeś się strzedz z taką siłą! Mówiłeś mi przecież, niedawno, po chwili rozmarzenia, że znalazłeś wreszcie istotę, której pragniesz oddać swe serce, du-

szę, czy ja wiem wreszcie — wszystko!... Zdawało ci się, że zdołasz przedemną do czasu ukryć imię tej kobiety, lecz—instynkt mój... instynkt nie zawiódł mnie bynajmniej! Tą wybraną twą — Trejne! Trejne!... O!... Antoni!

W głowie jej brzmiała wymówka gorzka, ręką nerwowo liść paproci szarpała, rzucając strzępy dokoła.

— Dlatego właśnie imię jej taiłem, bo wiedziałem, że nienawiść wrodzoną dla rasy jej żywisz!

— Dla rasy jej? –przemówiła Marja gwałtownie— nie dla rasy; mylisz się! Nie wahałam się wszakże z błota wydobywać ich pościeli, czyścić i gniazdo im lepić: lecz ta dziewczyna ma jakieś dziwne spojrzenie, i cała wydaje mi się być złym duchem, po lesie biegającym.

Antoni uśmiechnął się nieznacznie.

— Przyjaźń dla mnie cię zaślepia, droga moja przyjaciółko! Trejne ma dziwnie nerwowy i ognisty temperament, lecz to już właściwość krwi, która w jej żyłach płynie... Lecz są chwile, w których uległą i łagodną jest, ot, wprost jak gołąbka. A przytem jest taka piękna!

Usta Marji zadrgały nerwowo.

— Piękna!... oto słowo zagadki! Piękna!... i dlatego, nie zważając na jej wpółdzikość, głupotę, niski stan jej serca i umysłu, zaprzepaszczasz się w niej bez pamięci. O, Antoni, Antoni!...

— Synem ekonoma jestem.

— Och! nie o to tu chodzi, lecz o to, co za przyszłość dla siebie i dla niej gotujesz, powiedz...

Antoni przygryzł wargi.

— To... nasza tajemnica!—odparł wreszcie przyciszonym głosem.

Marja brwi zmarszczyła.

— Wasza... tajemnica!—powtórzyła powoli—więc znów tajemnica, i to wasza... przede mną. Och! wdzierać się w nią nie będę! I tak zawiele o sprawie tej mówię. Czuję, że źle robię, ale to już silniejsze odemnie. Pamiętaj pan jednak, ażebyś kiedyś nie pożałował skarbów swej serdecznej, poczciwej duszy, tak marnie pod stopy tej dzikiej żydówki rzuconych!...

Milczeli oboje długą chwilę, patrząc w przestrzeń. Przed nimi, po drugiej stronie rzeki, piętrzyło się wzgórze, tworzące w odstępach, zapełnione zielenią, głębokie szczeliny. Olbrzymie bukiety paproci, przeplatane masą liljowych dzwonków, kładły jasne, przejrzyste wachlarze na czarne tło gąszczu. Po obu stronach wąwozu jaśniała wąska, olśniewająca smuga światła, którego podstawą były fale rzeczne, mieniące się bezustannie morą srebra i błękitu. Ostra woń roślin wilgotnych, tłustych, w cień zapadłych, przepełniała powietrze. Cisza panowała dokoła prawie jak w świątyni. Chmary małych, żółtawych motyli kręciły się dokoła, na dzwonkach przysiadając. Woda tylko z szumem po kamieniach rwała, których tu dosyć z brzegów się stoczało, szarych poprzecinanych brunatnemi żyłkami...

Wreszcie Marja pierwsza z kamienia się podniosła.

— Iść mi już trzeba — wyrzekła, fałdy sukienki poprawiając.

Antoni na klęczkach u jej stóp pozostał.

— Gniewasz się pani na mnie?—zapytał nieśmiało.

— Ja?—odparła dziewczyna—za co? Jesteś przecież wolnym i przyjaźń moja nie może wiązać ci serca. Czyń, co uznajesz za stosowne i do szczęścia twego potrzebne; a jednak, powtarzam ci, że ja w tem szczęścia twego nie widzę.

Usta teraz zębami przycięła, wyniosła i zimna. Nie znając podniecenia zmysłów, zrozumieć nie mogła miłości Antoniego dla tej dziewczyny, której ramię podczas wędrówki opasywało ją na chwilę, jakby ogniową obręczą.

Trwogę, wstręt i żal czuła do Trejny, żal za zakłócenie tej spokojnej przyjaźni, która tu, w głębi uroczyska ukryta, była jedyną jeszcze gwiazdą na smutnem tle jej życia.

Ze smutkiem więc ukrytym, wzrokiem cały jar ogarnęła. Zdawało się jej, że po raz ostatni widzi wachlarze paproci, aksamit drzew i srebrną łuskę Styru.

Antoni z miną skruszonego winowajcy klęczał wciąż u jej stóp.

— Wstań pan! — wyrzekła porywczo.—Co robisz

u nóg moich? Nie zbłądziłeś przecież wobec mnie samej. Rozerwałeś tylko nić, którą oboje snuliśmy od tak dawna! Sądziłam, że jesteś silniejszy, oto wszystko!...

Z piersi Antoniego wyrwało się westchnienie.

— Silnym jestem, panno Marjo — odparł, z ziemi się podnosząc.—Pani wiesz najlepiej... niczego się nie ulęknę, a jednak... Z tem walczyć niepodobna! Tak człowieka weźmie za łeb i duszę mu ściśnie, jak w kleszcze!...

Zaciśniętą pięścią po wypukłej piersi się uderzył.

— Ot... jak opętanie, pozbyć się ani weź! Męka to... och, jaka!...

Marja spojrzała nań zdziwiona. Miał rzeczywiście wygląd człowieka udręczonego bardzo, bo oczy podsiniałe, policzki zapadnięte, usta niespokojnie drżące... Więc to była... miłość? Ach, nie! Sto razy nie! Ona nie podda się nigdy takiej torturze, zwłaszcza dla ułudnej mary!

I siłą swą zbrojna, ciągle zraniona w swej dumie dziewiczej, zaniepokojona w półśnie letargicznym, z którego ocknąć się jeszcze nie chciała, cała przerażona brutalnością niezrozumiałego dla niej uczucia, które jej czystą szatę nieświadomości plamiło, rzucała chłodne i wyniosłe spojrzenie na zgnębionego mężczyznę.

— Nie wierzę, aby przy silnej woli pozbyć się takiego dobrowolnego wroga z serca niemożna było — wyrzekła powoli, ku dołowi pomiędzy gęstwinę roślin schodząc.—Gdybyś pan zechciał, powróciłaby ci dawna swoboda myśli i uśmiechu. Dziś jesteś pan już cieniem dawnego Antoniego, którego śmiech rozlegał się tak wesoło, lub który mi tu śpiewał „Hrycia“, akompaniując na swej harmonji. Straciłeś pan swobodę, a ja... straciłam przyjaciela!

On porwał ją za fałdy sukni, przytrzymując już prawie nad brzegiem rzeki.

— Nie mów pani do mnie w ten sposób — zawołał prawie rozpaczliwie.—Jak Boga kocham, nie z mojej winy ta rzecz się stała. Wszystko to na mnie spadło, jak burza i dosyć się nadręczę sam po nocach, ot, jak pies nieraz wyjąc do miesiąca. Jeszcze teraz pani

odbierasz mi swą przyjaźń. Cóż teraz począć mi na bożym świecie!...

Marja odwróciła się ku niemu, prosto mu w twarz patrząc.

— Nie lubię ludzi słabych — wyrzekła, drżąc prawie z jakiegoś wewnętrznego wzruszenia, z którego sobie nie mogła zdać sprawy.—W tej chwili przedstawiasz mi się, panie Antoni, zanadto słabym i bezwłasnowolnym. Ja, kobieta, nie dałabym się nigdy opętać takiemu uczuciu! Odchodzę. Gdy nic znów przyjaźni naszej rwać na strzępy nie będzie, zejdziemy się tu znów, by patrzeć na Styr, na paprocie, i śpiewać: „Nie chody Hryciu!“

I szybko brzegiem rzeki iść zaczęła, chłodna, wyniosła dziewica, głowę oblaną złocistą aureolą słoneczną, wysoko i dumnie niosąc.

Antoni nie biegł za nią, czując instynktownie, że zmysłowa miłość jego dla Trejny kala poniekąd zamkniętą w swej nieskalanej czystości dziewczynę.

Długo śledził ją wzrokiem, patrząc jak szła, objęta z obu stron ciemnemi ścianami wąwozu, migając bladawą sylwetką w błękitnawym blasku rozpadliny.

I nagle smutek wielki ścisnął mu serce. Zdawało mu się, że wszystko, co miał najlepszego w życiu, oddalało się od niego razem z odchodzącą dziewczyną.

Chciał biedz, wołać, lecz nie śmiał.

Marja szła bowiem ciągle prosto, nie oglądając się poza siebie. Wreszcie, zaczęła zlewać się powoli z masą błękitną, przepełniającą ujście wąwozu, chwilę jeszcze majaczyła w słońcu, wreszcie... znikła zupełnie.

Teraz Antoni pozostał sam jeden w tym wąwozie, po którym tyle razy głos jego śmiechem nabrzmiały płynął, a drugi głos dziewczyny, świeży, młody, mu odpowiadał.

Obejrzał się na wisielczą mogiłę, która hen, daleko białymi kamieniami błyskała, cała dzikim bluszczem i łopuchem okryta, i serce mu się ścisnęło boleśnie, a nawet myśl o purpurowych ustach Trejny boleści tej odegnać nie mogła. Marja, przypadkowo przezeń w tym jarze pewnego niedzielnego popołudnia spotkana, wyciągnęła ku niemu dłoń przyjazną i jego, prostaka, do

siebie przygarnęła serdecznie, towarzyszem swych chwil wolnych czyniąc.

On przyjaźń tę przyjął i, sam prosty, niemal dziecinny, w dziewczęciu tem znalazł wdzięk wielkiej kobiecości z niepospolitym umysłem złączony. Nie olśniewała go wiedzą, boć sama jej nie miała, lecz podniecała w nim chęć zbadania rzeczy, dla niego dotąd niedoścignionych. Oboje więc razem szperali w książczynach, przez Antoniego w miasteczku znalezionych, szperali, dopomagając sobie wzajemnie. Kobieta wzięła tu na siebie rolę przewodnika, instynktem się kierując, on, jak pies wierny, u nóg jej legł, zasłuchany w słowa, z bladych ust jej płynące. Chwilami, porwani oboje pięknem, nagle z poszarpanych kartek się ku nim wyłaniającem, milkli wpatrzeni w ciemną zieleń jaru, lub srebrną wstęgę wody; chwilami ręce ich w gorącym łączyły się uścisku, i siedzieli tak długo, z tą zadumą Wołyniaka w ciszę, o wieczorze letnim się ścielącą, wpatrzonego.

Ani na chwilę nie zadrgały w nich zmysły, pomimo krwi młodej, która im w żyłach płynęła. Ręce ich splatały się i rozplatały spokojnie, jak gałęzie jednej i tej samej rośliny. Byli sami, we dwoje, w ciemnej zieleni ukryci, jeno paprocie słały im się pod stopy i Styr szemrał, po kamieniach bieżąc. Oni, zasłuchani w ciszę, siedzieli, czując niewypowiedzianą rozkosz w tem przeświadczeniu, że są obok siebie i mogą w każdej chwili głos swój posłyszeć, jakąś myśl zamienić, zapytanie rzucić...

Antoni zwłaszcza w tej spokojnej, równej, nie szarpiącej się przyjaźni, znajdował słodycz niezrównaną. Skłopotany gospodarskiemi udręczeniami, wiecznie o grosz się troszczący, drżący z obawy przed gradem lub posuchą, przed mrozem lub trzydniówką, przesiąkły atmosferą stajen, owczarni, mający jeszcze w uszach przekleństwa parobków, ocierający się co chwila o trywialne miłostki dziewek, poza folwarkiem się kryjących, dążył do uroczyska wołochowskiego z radością, z myślą o tem smukłem, miłem dziewczęciu, które, uśmiechnięte, w swej biednej wytartej sukience, stojąc

wśród mchu i zieleni, spracowaną rękę ku niemu wyciągnie i dobrem słowem powita...

Antoni łódkę od brzegu odepchnął i powoli na pełną wodę się wydostał. U nóg jego leżała „Cytra“ i wciąż łeb wykręcała w stronę, którą odeszła Marja, ciemno-błękitnemi ślepiami w przestrzeń patrząc. Wreszcie zawyła długo, przeciągle, jakby z żalu za tą, która odeszła, dumna, surowa i dla błędów innych — nieubłagana...

Łódka płynęła teraz z biegiem rzeki.

Antoni wiosło w łódź cisnął i sam z ławki na rogoże się osunął, głowę w dłonie ujmując.

Odkąd w karczemce, w lesie, ujrzał czarny płaszcz włosów Trejny i poczuł dotknięcie jej gorącego ciała, przestał być panem siebie. Z początku sądził, że miłostka ta przeminie, jak każda inna z Hanką lub Paraską o szarej godzinie zawiązana. Lecz Antoni w oczy żydówki w złą chwilę spojrzał i, war gorący w żyłach poczuwszy, jak topielec w tę czarną bezdeń ciągnął. Powrócił do karczemki raz i drugi, czując się bezsilnym wobec tej półdzikiej dziewczyny, która, oparta o pień sosny, stawała przed nim, złotawem swem ciałem z pośród łachmanów błyskając. Wpół żartobliwą mową wyciągał z niej harczące, gardłowe dźwięki i łamane, poplątane słowa. Przymilała mu się z pośród gąszczu swych włosów, jak czarna kotka, grzbiet swój o pień sosny trąc. Lecz gdy się do niej nagle przybliżył i, w drżące ramiona ją schwyciwszy, ustami do opalonej szyi przylgnął, z harczeniem i przekleństwem z rąk mu się wyrwała, ugryzłszy go przedtem silnie w kark, z koszuli się odsłaniający.

I odtąd trzymała go ciągle na uwięzi, pod oczy mu podchodząc.

On — prawdziwy mężczyzna, raz dotknąwszy jej ciała, wolę stracił, i teraz, gdy czarną postać żydówki, koło dworu snującą się widział, wybiegał gorączkowo, aby ją wewnątrz domu wprowadzić i tam napawać się dziwną pięknością jej rysów, bogactwem i pyszną linją kształtów, złoto-bronzowym kolorytem jej cery.

Ona szła z pokoju do pokoju, dotykając z ciekawością ubogich, dla niej wspaniałych sprzęcików, za-

trzymując się przed niewielkiem zwierciadełkiem, które nad włosianą kanapą wisiało. W milczeniu wpatrywała się w odbicie własnej postaci i tylko cienkie jej wargi zacinały się w półokrągłem skurczeniu.

Z piersią podaną naprzód, z oczyma w taflę szkła wlepionemi, stała pogrążona w kontemplacji własnego ciała, zdając się nie dostrzegać obok siebie znajdującego się Antoniego, który z czołem gorącem, z rękami lodowo zimnemi, z karkiem potem oblanym, oddychał ciężko, w milczącą dziewczynę wpatrzony.

I, czując, że rozszalałe zmysły główną w tej sprawie grają rolę, Antoni starał się wynaleźć idealniejszą stronę swego zaślepienia. W smutnych oczach Trejny dopatrywać począł skargi na niedolę i niesprawiedliwość ludzką. Z matki zaczerpnięta egzaltacja dopomagała mu w tem usilnie. Nie mogąc tej dzikiej istoty rzucić sobie w objęcia—zaczął ją stawiać na piedestale świętości, odkrywając w niej najdoskonalsze strony, które z własnej duszy czerpał i w tę istotę przelewał.

Ona u nóg mu kucała, ośmielając się powoli, jak obłaskawione kocię, które pazury w aksamit swej skóry chowa, cukru dostać pragnąc. I oczy jej miały zielone błyski, gdy wreszcie, dostrzegłszy silne w jej wzroku pragnienie, pierścionek z palca zdjął i darował jej mówiąc:

— Weź; to pamiątka odemnie!...

Odtąd — codziennie do dworku przybiegała, drobiazg jakiś z niego wynosząc. I miała podobieństwo do czarnego kruka, za świecidełkiem goniącego. Antoni drobiazgi jej te dawał, znajdując w jej upodobaniu do błyskotek dziecinną stronę charakteru.

Ona to zrozumiała i, teraz, chcąc coś otrzymać, wyciągała krogulczo zagięte palce, mrucząc:

— A kindele!

Powoli przecież czarna ta dziewczyna zaczęła wrastać w krew mężczyźnie. Jak pijak potrzebuje wódki, tak Antoni potrzebował ujrzeć jej drobną twarz, obramowaną masą czarnych włosów. Czasem, nocami gryzł swą skórzaną poduszkę i szarpał sznurek nocnej koszuli, który mu się aż w szyję wpijał. Czuł, że mu coś w kleszcze serce bierze i do omdlenia ściska. Czuł,

że równowagę traci i w życie jego spokojne, życie ekonomczuka, na posesora wyrosłego, jakaś mara ciemna się wciska i cień rozpościera. Napróżno zwracał się do pracy, w zamiłowaniu swem do ziemi siły czerpiąc, za sierp chwytał, idąc z żeńcami na wyprzódki, las obchodził, w chłodzie swe czoło nurzając, zajmował się sprawami wsi i starał się wzbudzić w sobie dawno już wygasłą swą miłość dla ludu. „Kość z kości — chłop jestem“ — mawiał wtedy, ze starszyną narady wiodąc. Lecz i to pomóc nie mogło. Gdy pozostał sam, pierwsza myśl, jaka mu mózg przeszywała, było wspomnienie Trejny i gorące pragnienie ujrzenia jej jaknajprędzej, posłyszenia jej gardłowego głosu, wywołania na twarz jej, zwykle ponurą, promiennego uśmiechu.

Łódka płynęła ciągle, powoli się naprzód posuwając. Uroczysko znikło już oddawna i tylko wzgórza majaczyły, ziemną masą pokrywając płaszczyznę.

Antoni ręce od twarzy odjął, w górę spojrzał, porę dnia badając.

— Późno jest — pomyślał, za wiosło chwytając— ludzie już ściągnąć musieli; śpieszyć się trzeba.

Po kilku chwilach znów myślą ku Marji wrócił.

Dziwna dziewczyna! Odeszła z urazą w sercu, jakby nie mogąc zrozumieć, że miłość jego dla Trejny w niczem ich przyjaźni osłabić nie może. Owszem, gdyby mu pozwoliła wyspowiadać się szczerze, serdecznie, odkryć cały stan duszy walką tą skołatanej, byłby jej wdzięcznym bezgranicznie. Lecz ona zamknęła się w sobie, rozżalona, dumna, obrzucając go pogardą i przybijając jednem słowem:

„Nie lubię ludzi słabych!“

O! on słabym nie był i czuł wielką siłę do walki z życiem, jaką już prawie od dziecka toczył. Lecz to, co go ogarnęło, silniejszem było od niego samego. Walczyć z tem... napróżno; lepiej już zostawić tak rzeczy, jak są!

„Cytra“ niespokojna na dnie łódki się poruszyła.

Antoni ocknął się z zadumy.

Znalazł się już przed swoim dworkiem, na stoku

sadu. Pomiędzy drzewami bielało od ludzi, świątecznie przystrojonych.

Snadź mieszkańcy Modliszcz, Zabijanika, Omelna i Horki już nadciągnęli.

Korczyńskich chłopów widać było tu i owdzie, jak się z poza rzeki ku dworowi przybierali, na prom czekając. Zdało się nagle, że cała łąka zakwitła purpurą spódnic, bielą świt, jaskrawą pstrocizną chustek. Gromadami nad brzegiem ludzie siadali, buty na bose nogi wdziewając. Kobiety świeże namitki na głowę wiązały, śliną dole skręcając...

Antoni do brzegu przybił i raźno z łódki wyskoczył. Całą troskę, gniewem Marji i miłością dla Trejny sprowadzoną, usiłował z siebie otrząsnąć, stając się w tej chwili gospodarzem, przyjmującym w gościnę swych sąsiadów. Nie za co innego bowiem mieli się ci wszyscy ludzie, ciężkiemi butami trawę sadu depcący. Sąsiedzi dworu, i to sąsiedzi często z góry na ten biedny dwór patrzący! Kurna chata powoli brała górę, strzechą swą dachówkę ku ziemi gniotąc...

Szybko przemknął Antoni pod drzewami i do dworu wpadł, aby za chwilę na ganku się ukazać. Już na dziedzińcu, opłotki okrążając, walił się cały tłum ludzi, śpiewających niskimi, ochrypłymi głosy. Biało było od parcianek, czysto wypranych, świt z siwego sukna, czarnemi plecionkami wyszywanych koszul, harasówką pod szyję związanych, zapasek perkalowych wąskich, na które czerwone pasy, z włóczki dziane, spadały. Jak purpurowe plamy, tak się płoniła na tem tle przeczystem, krasna serża fartuchów i kaszmir wiązanych chustek. Słońce zapalało złote iskry w paciorkach, spadających na piersiach kobiet, mieniło się purpurą w sznurach korali, zakończonych całą masą zczerniałych medalików.

Na przodzie tego tłumu dwie dziewki, rosłe, tęgie, zdrowe, o spadzistych ramionach, wydatnych, biodrach, niosły na głowach olbrzymie wieńce, przetykane pstrocizną różnokolorowego papieru. Szły obie równo, wysuwając naprzód olbrzymie nogi obute w czarne wysokie buty, na które spadał gruby haft koszul, z pod płatów czerwonego sukna się wysuwających.

Płaty te opinały ciała dziewczyn, pod górę się wznosząc, przytrzymane pasami z zielonej wełny i pokryte białym perkalem zagiętych na bok fartuchów. Koszule mocno u stanu ściągnięte, lekko włóczką zahaftowane, z kołnierzami szeroko odwiniętemi, obdziergane w ząbki białą bawełną, dozwalały widzieć szyje, silne i opalone, przecięte podwójną linją, właściwą tylko zdrowym kobietom.

Dziewki pod boki się ujęły i śmiało do ganku zmierzały patrząc z trudnością poprzez masy kłosów, które im na oczy spadały. Zwłaszcza ten pszeniczny wianek, ciężki, pełen bogatych ziaren, ku ziemi się giął, swem doskonałem rozwinięciem brzemienny. Dziewka, niosąca go, Opanasowa Hapka, zielone oczy mrużyła, cała oślepiona tem uderzaniem ciężkich kłosów, które ją po policzkach za każdym krokiem biły. Olena, wdowy Chimki córka, wyżej głowę niosła. Żyto wiadomo, lżejsze, choć go chyba z dziesięć snopów na ten wianek użyto. Wielki bo był i piękny nad podziw.

Antoni, na ganku stojąc, czekał i patrzył na ten tłum, białą masą dziedziniec zalewający. Była ich moc niemała, mieszkańców tych czterech wiosek, którzy ciągle jeszcze ścieżynami nadciągali, jak małe strumyki górskie z wielką falą się łącząc. I wpół zgięte staruchy na kijach oparte, strasznie, pomarszczone, ot, wprost wiedźmy po nockach się kołacące, wlokły się, bezzębnemi szczęki ruszając i oczy czerwone, wypłakane, od słońca osłaniając. Koło nich szły gromady dzieci, w czystych koszulach, z głowami okrytemi szarobiaławemi włosami, w schodki ponad czołem przyciętemi. Tu i owdzie widać było matkę z dzieckiem w płachcie, przez plecy przerzuconej, z drugiem, wiszącem u spódnicy, z trzeciem, bosych nóg się czepiającem.

Byli tu i mężczyźni, wymyci, czerwieni i spaleni słońcem, silnie na nogach osadzeni, z krzyżem wygiętym, z piersią zapadłą; starcy — pokurczeni, do ziemi się chylący, w czerwonych świtach, w łatanych koszulach. I wszędzie odzież za szeroka, świty olbrzymie, dokoła ciała wlewające jakiś brak ciała tam, gdzie

go najwięcej być powinno, zanik członków, kształtów, znikczemnienie i karlenie się rasy. Tu i owdzie kilka posągowo pięknych twarzy kobiecych, kilka par oczu, czarnych jak węgle, w obramowaniu czarnych, jak smoła warkoczy. Lecz zaraz usta zwiędnięte, powieki rzęs pozbawione, skóra spalona i twarda... jakieś smutne pochylenie wyniosłej postaci, to coś, co zwiastuje zatracenie ostatków piękna i prawidłowych form ciała.

Pieśń, przez tłum śpiewana, wysoko w przestrzeni się wzbijała, gardlanem przeciąganiem w płaczliwe zawodzenie przechodzącem. Chłopi szli, kołysząc się zwolna, głowami takt znacząc. Antoni pieśń tę od dziecka umiał, i nieraz ją w Turemnem, z tłumem się zmieszawszy, śpiewał. Każde słowo w duszy jego oddźwięk znajdowało. Lat już tyle, taką białą falę ludu, płynącą do dworu, widział, lat już tyle pszeniczne kłosy i żytnie kiście, na głowach dziewek, w słońcu mu się złociły.

Wreszcie Olena i Opanasowa Hapka pod ganek podstąpiły, wianki z głów zdejmując. Antoni od każdej wianek odebrał i na ławie złożył, wzamian dziewkom po trzyrublowym papierku, owiniętym w pięć łokci purpurowej wstążki, podał.

Dziewczyny za dar podziękowały, za kolana panicza ujmując i wsunąwszy wstążki w zanadrze, ze śmiechem i chichotem, w tłum się rzuciły.

Antoni z ganku zstąpił i wprost do Kandziuby, najstarszego wiekiem gospodarza, podszedł, a ująwszy go pod ramię, do sadu wprowadził.

Za nimi rzucili się chłopi, krzaki łamiąc, druzgocąc malwy, gniotąc bluszcz, rozrzucając dachówki, któremi klombiki obramowane były.

W sadzie Polikarp, stróże, pastuchy, dziewki z piekarni, koło stołów się kręcili, jadło znosząc i na tarcicach kupami układając. Więc ogórki kwaszone ociekały z sosu, całe oblepione jeszcze koprem i bobkowemi liśćmi, gomółki bieliły się tu i owdzie, z bochnami chleba pomieszane. Hreczuszki, świstuny, olbrzymie hreczane pierogi, nadziane kapustą i serem, kraszone skwarkami w misach się rozkładały, a tu i owdzie banie z mlekiem w hładyszkach na ławach poustawiano.

Całe kupy łyżek drewnianych, nowych, powiązanych sznurkami, leżały na brzegach, z obwarzankami, posypanemi anyżkiem, się mieszając. Blaszanki większe i mniejsze, napełnione wódką, stawiali pastuchy na stołach, łokciami sobie drogę wśród tłumu torując. W olbrzymich kotłach na trawnikach buchał białawą parą barszcz z boćwiny, w którym tu i owdzie mięso pływało.

Antoni pierwszą blaszankę ze stołu ujął i, w górę podnosząc, zawołał:

— Za wasze zdrowie!

Tłum głośnym krzykiem odpowiedział, a Kandziuba, z siwej głowy czapkę zdejmując, blaszankę z rąk posesora przyjął i do beczki, koło której stał Polikarp, podszedł.

— Natoczcie! — wyrzekł, blaszankę podstawiając.

Polikarp czop wyciągnął, kran otworzył i srebrna struga przecięła powietrze.

Do Kandziuby teraz Oponas, ojciec Hapki, się podsunął, cały czerwony, gubiący się w fałdach olbrzymiej świty, i rękę po blaszankę wyciągnął.

Tymczasem tłum cały stał nieruchomy, zbity w jedną masę, a słońce kładło na białe płótna odzieży jasne, bogate plamy.

Dziewki, w kąt zbite, kułakami gęby zatykały; mężczyźni stali z głowami podanemi naprzód, w postawie wyczekującej, w beczółki wpatrzeni. Pod jedną z lip, Ewa Dziubenka, starucha osiemdziesięcioletnia cała drżąca i tak blada, jak zapaska, którą sobie na plecy włożyła, osunęła się na ziemię, w trawie kucając. Kilka kobiet się ku niej pochyliło, o zdrowie pytając; stara bezzębne usta otwarła, murmocąc coś z cicha, lecz głos jej w tłumie się gubił i tylko słychać było od czasu do czasu jej suchy i urywany kaszel.

Antoni po tłumie spojrzał i żwawo się pomiędzy ławkami przeciskać zaczął. I, ująwszy za ręce kilka bab o siwych dolach, do jadła zachęcał, do mis ciągnąc. Wiedział, że początek w tych razach bywa najtrudniejszy. Chłop, raz do miski zasiadłszy, skórę milczka zrzuca i radości się oddaje. Powoli jednak tu i owdzie już blaszanki w rękach kobiet błyskać za-

częły. Mężczyzni trzymali się jeszcze ciągle opornie, z pod grzyw chmurno patrząc. Kobiety piły wódkę małymi haustami, rękoma się zasłaniając Wreszcie to jedna, to druga zaczęła w ręce mężczyzn miarki wciskać i do gomółek i ogórków się dobierać. Antoni gorąco do jadła zachęcał, teraz, pomiędzy gromadą parobków stojąc i wódkę do nich przepijając.

Gdy się obejrzał, już ławy pozajmowane namitkami kobiet, bieliły się. Mołodyce, poopierawszy łokcie na stołach, powoli pierogi z mis wyciągały, dzieciom je wtykając. Łyżki z klekotem rozwiązywano, parobcy sunęli ku dziewkom, które kukurydzę gryzły, lub chrupały obwarzanki białemi, jak ser, zębami. Starczychy koło Polikarpa krążyły z pustemi blaszankami. On, spocony, kran coraz częściej odkręcał, na pieńku przysiadłszy.

Nagle zaszumiało od krochmalnych spódnic i z pośród drzew, gromada Niemców i Niemek ku stołom sunęła. Chłopi obejrzeli się z nienawiścią i skłębili, jakby przed napaścią wroga. Niemcy jednak szli spokojnie, stawiając wysoko nogi, obciągnięte niebieskiemi wełnianemi pończochami. Niektórzy byli ubrani wytworniej, przeważnie jednak wszyscy mieli kaftany beżowe lub płócienne i kamizelki w kwiaty. Kobiety chude, płaskie, w spódnicach bawełnianych, kaftanach barchanowych i chustkach, powiązanych pod szpiczastemi brodami. Szli wolno, nie mając nic wspólnego z tym białym tłumem chłopów, który stał lub siedział, cały zielonawym oblany blaskiem, płynącym przez delikatny sufit liści.

— Korczyńska kolonja!—rozszedł się szmer w tłumie chłopów.

I szybko do ław rzuciło się teraz wszystko, jakby chcąc intruzom odebrać kawałek deski, na którym spocząćby mogli. Z klekotem łyżki latały, z rąk do rąk przerzucane, blaszanki silne odciski palców unosiły...

Antoni przybyszów dostrzegł i podążył ku nim.

Najstarszy wiekiem, Johann Schulz, czerwony, obrosły siwą szczeciną, a silny w ramionach starzec,

dość hardo posesora pozdrowił, na uprzejme jego zaproszenia odpowiadając:

— *Wir werden nicht lange bleiben... ist weit nach Hause...*

Antoni przygotowaną beczkę piwa i stos obwarzanków im wskazał. Usunęli się zaraz, pod pniami jabłoni się rozkładając. Beczkę wzięli pomiędzy siebie i pili w milczeniu, plecami do chłopów odwróceni.

Tymczasem chłopi, podnieceni obecnością „kolonji", rozgrzani pierwszemi blaszankami wódki, już coraz weselej bawić się zaczynali. Szarą kurtkę Antoniego widać było wszędzie, nawet koło Jewki Dziubenki, która drżącemi rękoma do wybladłych warg wódkę niosła.

Przykląkł przy niej, nie pozwalając, aby się podniosła i, na liściu łopuchu hreczuszka jej podając, pytał:

— A co wam, matko? chorzy?

Stara zastękała, spoglądając w twarz Antoniego bielmem zasnutemi oczyma.

— A... niezdużam, jaśnie panie.

— W domu było ostać!

— Sama jedna w sadybie? oj!... nie!

— Czemu!

— Strach mi!

W zapaskę tulić się zaczęła, fałdy płótna do siebie zgarniając.

Antoni powstał.

— Chorzy jesteście — chcecie, to wam zięcia zawołam?

— Mewtoda?... o! nie — nie!

Trwogą twarz jej zaszła. Niespokojnie poruszała się, bojąc się gniewu zięcia, który chciał ją koniecznie w Modziszczach zostawić i na „bal" wziąć się wzbraniał.

Niedaleko od starczychy siedział znów pod drzewem mężczyzna bosy, ubogo ubrany i smutny. Długa czarna broda spadała mu na piersi. Dwoje małych dzieci, palce w usta wetknąwszy, stało obok przestępując z nogi na nogę. Podarte koszule odsłaniały żółtą chudość ich ciał anemicznych. Patrzyły na stoły, łykając ślinę, lecz zbliżyć się nie śmiały.

— Ułas — zapytał, nadchodząc Antoni — a co ty w kącie siedzisz, cur do ciebie przystąpił?

— Ułas porwał się z miejsca i nie odpowiadał, palce w stawach wyłamując.

— To idźże do stołu — jeść dzieciom daj — nie chcesz? czemu?

Ułas nic nie odpowiadał, oczy ku ziemi spuściwszy.

W kącie Horki mieszkał ten znachor czarnowłosy, mięsem kociem siebie i dzieci żywiąc. Krew zamawiał, od wścieklizny ziołami leczył, urok zdejmował, a za bosemi piętami jego całe armje szczurów ze śpichlerzów do rzek wędrowały. Mimo to, trzymał się zawsze na uboczu, mając w swej pięknej o surowych rysach twarzy jakiś smutek niekłamany, tajemniczy. Czasem tylko z sosnami na rozdrożu wiódł rozhowory. Antoni, Hankę przywoławszy, znachora jej pod opiekę zdał i sam, grupę Niemców minąwszy, na pierwszy taras się wdrapał i przed siebie spojrzał.

U stóp jego, wśród masy zieleni, rozrzucony tłum cały ożywiał się coraz więcej, rozsypując się i łącząc naprzemiany. Wyciągnięte pod linję ławy, obsadzone gęsto ludźmi, zaznaczały się jasnemi kreskami na zieleni trawy. Szkarłatne zapaski, purpurowa serża, ostre kładły plamy na blady ton dominującej barwy. Koło beczek tłok już był teraz, a wyrostki zaciągnęli w krzaki niedokończoną beczułkę, przy której leżąc, wódkę powoli sączyli. Jakiś gorący powiew przebiegł ponad głowami, a ostry zapach siwuchy mieszał się z wonią dziegciu i macierzanki.

Gwar setek głosów, razem zmieszanych, głosów ochrypłych od kurzu, wódki i nawoływania bydła unosił się w powietrzu. Pochylone nad stołami, czerwone, z dolami spadającemi na świty, cienko piszczały baby, trącając się ciągle blaszankami. Dziewki, zbite w masę jak owce, ogryzłszy kukurydzę, teraz kolbami na parobków rzucały, chichocząc się radośnie. Olena i Opanasowa Hapka, dumne trzyrublówkami, które czuły w zanadrzu, rej wiodły, co chwila jak młode szczenięta zęby szczerząc. Polikarp z poza głów ludzkich Hankę śledził, cały wzburzony na widok Hrycia, opa-

lonego jak cygan blondyna, który dziewczynę przyparł do pniaka jabłoni i w szyję łyżką łaskotał. Obok nich po drugiej stronie drzewa trzęsła się stara Jewka, gomółkę gwałtem sobie w usta pakując. Gromady dzieci do stołów z wrzaskiem się cisnęły, zlizując miód, którym posmarowano całe masy surowych ogórków. Cytra wśród tłumu błądziła, wreszcie, do nóg znachora przypadłszy, już przy nim pozostała, rozkładając się wygodnie na trawie. Pomiędzy drzewami pobrzękiwała drumla, szałabajka i dzwonił bębenek. Dziewki, rozgrzane, czerwone, chustki z włosów zdejmowały, na gałęziach je wieszając. Tymczasem słońce powoli ku zachodowi ciągnęło, złoty swój blask w purpurę przemieniwszy. Chmury rozpalały się, niby metal jasny, i wszystkie tęczowe przechodziły odcienia. Woda Styru ciemniała, złotemi iskrami gdzie niegdzie zapalona. Nad brzegiem dzieci, po brzuch w wodzie brnąc, z szumem tatarak rwały, aby z niego „duszę" wyciągnąć, zjeść, a potem na rozłupanej zieleni grać i zawodzić cienkim, piskliwym głosem.

Lecz już teraz chór głosów pomieszanych swobodnie pod drzewa płynął, coraz gorętszy, coraz pełniejszy i namiętniejszy. Siwucha, w żyłach chłopów krążąc, podniecała sztucznie ich dość leniwe i ciche usposobienie, powoli nienawiści budząc, urazy przypominając. Stojący na wzniesieniu Antoni uczuł teraz jakiś prąd namiętny, płynący z dołu, jakieś gorące tchnienie setek piersi, oddychających przyśpieszonem tempem. Schylone grzbiety rozprostowywały się powoli, uparte głowy przechylały w tył, z ust wpół otwartych płynęła woń wódki i tysiące bezładnych, na wiatr rzucanych, wyrazów.

Tylko grupa Niemców cicha i surowa siedziała wciąż naokoło beczki, okrążona sinawemi wstęgami fajczanego dymu. Nawet dzieci w błękitnych barchanowych majtkach siedziały sztywno, nogi na trawę wyciągając. Kobiety milczały, ręce na zapadłych brzuchach zaplotłszy.

Nagle zaturkotało przed dworkiem i Antoni szybko udał się na ganek. Spodziewał się tych odwiedzin, jednakowo co rok się powtarzających. To Brunon

zjeżdżał na dożynki kosztem swego posesora wyprawiane. Zjeżdżał jako pan i właściciel majątku, niechętnie przez chłopów witany. Antoni prostem obejściem, szarą kurtką i opaloną twarzą nie krępował ich, sam dziecko ekonomskie, od niemowlęcia prawie pomiędzy nimi się błąkając.

Pan graf był dla nich czemś niezrozumiałem, bez zewnętrznej formy i blasku dworskiego. Pan, nie pan, śmieszny, zły, znienawidzony...

To też, gdy wygramoliwszy się ze swej bryczuszki, skinieniem ręki Antoniego przywitał i do sadu się skierował, gromada „starszych", pana ujrzawszy, dźwignęła się od stołów powoli, z marsem i skrzywieniem, a ustawiwszy się w linję, czekała. Kobiety, z ławek się nie ruszając, na „niesamowitego grafa" patrzały, zaprzestawszy jedynie oblizywać palce i ucierać rękawami usta. Dziewki chychotały z cicha, podniecane przez żarty parobków, którzy szeptali im w kołnierze koszul:

— Ot... projawa!

Brunon jednak z godnością po trawie deptał, tu i owdzie ukłony ręką przesyłając. Zdawało mu się, że nawet w chwili tańczenia poloneza z księżniczką Hohensteigen-Sigmaringen nie mógł mieć dystyngowańszego obejścia. Jedwabna w kratki pelerynka fruwała z szelestem dokoła, o krzaki zawadzając.

— Jak się macie! jak się macie, dobrzy ludzie! — wymówił wreszcie, do starszyzny podchodząc—jedzcie! pijcie! bardzo proszę!... bardzo proszę!...

Na twarzach chłopów pojawił się ironiczny uśmiech, a dziewki, aby nie wybuchnąć, całe zapaski w usta pakowały.

Brunon odwrócił się w stronę kobiet.

— A... panie gospodynie! — mówił, lornetką machając — a!... a!... witam.

Baby z ławek się dźwigały, głowy skłaniając.

Teraz graf koło dziewek przechodził.

— Panienki!... a!... ładne!... ładne!... któraż tam przodownica... ha?

Opanasowa Hapka, trochę już pijana, bez chustki, z kosą na ramiona rozpuszczoną, postąpiła, kłaniając

się nisko. Olenka za dziewki inne się kryła, za boki ze śmiechu się trzymając.

— A ja, jaśnie panie!

Graf na pochyloną przed nim dziewkę spojrzał. Kark miała silny, opalony, głowę dużą, ale dość kształtną, gęstym ciemnym włosem pokrytą. Zapach młodości bił od niej.

Zmarszczona twarz Brunona drgnęła na chwilę. Rękę z lornetką do oczu przytknął i uśmiechał się, usta wykrzywiając...

— A... więc to panienka!... ha? a jakie imię!

Dziewka głowę podniosła. Cała masa śmiechu pod skórą jej drgała.

— Hapka!

— A Hapcia!... Hapcia!... — powtórzył Brunon— panna Hapcia... tak, tak, Hapcia!

I, przypomniawszy sobie, że przodownica na podarek czeka, wykręcił się nagle tyłem i odszedł, pod górę do dworku się gramoląc.

Gdy znikł już na najwyższem wzniesieniu, wesołość wybuchnęła niepomiarkowanie. Śmiały się baby, rozkładając łokcie na stół i otwierając szeroko usta, śmieli się parobcy, bijąc się po udach i nogi w górę podnosząc, kucały na trawie dziewki, a nawet starszyzna głowami kiwała, rozweselone twarze w świtki kryjąc.

I ze zdwojoną radością rzucono się teraz do jadła i napitku. Wódka płynęła z trzech beczek, przy których Polikarp ustawił Hrycia i Mewtodja. Bębenek i szałamajka dzwoniły już coraz głośniej, a dziewki niecierpliwie nogami trawę siekły, do „tropaka“ się gotując. Z pomiędzy liści płynęły gorące, purpurowe blaski, ukośno pod pnie się ścieląc. Twarze chłopów, od wódki rozpalone, nabierały krwawych refleksów w tej łunie, z nieba potężną barwą sunącej. Żółte chustki dziewek, na gałęziach poczepiane, miały także w sobie ogniowe blaski—miedź kotłów, blacha miarek, korale mołodyc, paciorki i medaliki dziewcząt, wszystko mieniały w sobie migocące iskry.

Coraz częściej widać było niepewnym krokiem słaniające się postacie. Jeszcze niewielu było pijanych—

wszyscy jednak prawie już mieli w „czubku". Nawet dzieci małe chwiały się na cienkich, wykrzywionych nożynach, wódkę z tarcic źle heblowanych językami zlizując. Małe dzieci, w płachtach, u gałęzi jabłoni uwiązane, opiwszy się wódki, spały. Matki, coraz czerwieńsze, z namitkami przekręconemi na bakier, z koszulami na piersiach rozchylonemi — pożerały ogórki, pierogi, hreczuszki, bezustannie rozhowory wiodąc. Wśród ławek przechadzał się „starszyna", z łańcuchem i medalem na wierzchu koszuli. Trzeźwy był i głowę wysoko nosił, cały przejęty ważnością swego urzędu.

Lecz już Kandziuba, zupełnie pijany, z oczyma bielmem zasnutemi, do niego podchodził, blaszankę z wódką mu podając.

— Do was, panie starszyno!

Symeon Sycz chwilę z pożądliwością na siwuchę spoglądał, lecz chęć utrzymania się na stanowisku przemogła. Ręką blaszankę uchylił i, założywszy palce za pas, szedł dalej milczący, surowy, godności pełen.

Nagle podniósł się krzyk straszny.

Wyrostek Onufrego Bulby do kotła z barszczem podszedł i, nagą rękę we wrzącą zupę wsadziwszy, mięsa kawał chwycił. Lecz wrzące jadło oparzyło go strasznie, tak, że z krzykiem przeraźliwym od kotła odskoczył i na twarz upadł. W purpurowej ręce trzymał zaciśniętymi kurczowo palcami szmat mięsa i, tarzając się z bólu po ziemi, zdobyczy swej nie wypuszczał. Przemocą zaprowadzono go do piekarni, gdzie mu klucznica rękę oliwą smarować zaczęła.

Na drugim tarasie była niewielka polanka, zupełnie od pni wolna. Tam Polikarp ustawił muzykantów, kłody im za siedzenie podając. Przeciągły, monotonny odgłos porwał dziewki z miejsca. Rozczochrane, śmiejące się, ku polance się rzuciły, popychając się wzajemnie. Za niemi biegli parobcy, pasy czerwone na koszulach ściągając.

I za chwilę, w dwa rzędy ustawieni, siekli drobniusieńko, naprzeciw siebie, tropaka, przysiadając, na biodrach się kołysząc. Dziewki tylko prosto, jak świece się trzymały, silnie rękoma złączone, z oczyma w zie-

mię spuszczonemi. Tańczyli i tańczyli bez przerwy, cali oblani krwawą łuną już zapadającego zupełnie słońca. W dali, nad łąką i z rzeki podnosiły się opary, białe, smukłe, pochylone.

Powoli łąką ku lasowi szedł teraz Ułas zgarbiony, do domu zmierzając. Przy nim dreptały dzieci, czepiając się jego parcianki, ze złotemi błyskami na płowych, drobnych główkach. Wreszcie, w białą mgłę wszedłszy, zniknęli wszyscy troje, jakby w tej mgle się rozpłynąwszy...

Dokoła tańczących tworzyło się małe kółko widzów. Kandziuba tu przywędrował, poprzedzając beczułki z wódką, które Hryć i Mewtodi na polankę toczyli. Baby, ująwszy się pod boki, swarząc się, godząc i całując, także suwały, zwabione brzęczeniem bębenka. Ta i owa, idąc, siekła drobno nogami, zręcznie się wykręcając. Starczychy wlokły się, oparte na kijach, uśmiechnięte, przypominając sobie jaśniejsze chwile swego gorzkiego życia. Poza wszystkiemi, słaniając się, potykając, jak trup nadnaturalną prowadzony siłą, wlekła się Ewa Dziubenka, zielona cała i jakby ziemią przysypana...

Do polanki się dostawszy, przypadła do starej lipy, rozciągającej szeroko swoje konary. Oparłszy się plecami o pień, ręce szeroko rozłożyła i siedziała tak, oddychając coraz ciężej, chrapiąc prawie — coraz bledsza, z sinemi cieniami dokoła ust i skroni.

Lecz nikt nie uważał na nią. Wszyscy weseli, podpici, pełni tej niezdrowej, smutnej wesołości, właściwej ludziom, ciągle nieszczęśliwym, zdawali się myśleć tylko o sobie, wykrzykując, rękoma machając, potrącając się wzajemnie. Tu i owdzie wybuchały sprzeczki, pięści zaciśnięte dokoła twarzy latały, zwierzęcość brała górę, rozkładając panowanie swoje.

Na tarasie Niemcy, czując wzrok chłopców, nienawiścią drgający, na siebie zwrócony, wymykali się cichaczem, na dziedzińcu dworskim w grupy się łącząc. Poczem, gdy już się wszyscy zebrali, ku kolonji milcząc ciągnęli, opici piwem, z ociężałem pijaństwem w oczach.

We dworku, przy zapalonej lampie i spuszczonych

roletach, Brunon zapijał herbatę i objadał się kurczętami swego posesora. Antoni, nad wyraz wszelki znużony i zdenerwowany, zdawał sprawę staremu skąpcowi ze słów Polikarpa, odkrywając szachrajstwa Cytryny i Szmula z Siemiatycz.

Brunon oczy mrużył, po peruce się uderzał, zrozpaczony, ohydny pod światłem jasno płonącej lampy.

— Jutro pojadę do miasta! — mówił, cukru sobie do herbaty nakładając.

— Przedewszystkiem fałszywy klejm złapać pan musisz, — odparł Antoni. — Cytryna może pana o fałszywe posądzenie oskarżyć.

Brunon nic nie odpowiedział, tylko jadł coraz łapczywiej, niemal kości kurcząt połykając.

Antoni wstał od stołu i podszedł do okna, a uchyliwszy rolety, w sad wyjrzał.

Zciemniało już prawie zupełnie. Na południu niebo na perłowem tle miało jeszcze fioletowo-czerwoną chmurę, ku północy w jednostajno-czerwony ton się rozpływającą. Pozorna anarchja barw składała się na potężną harmonję kolorów i odcieni.

Księżyc blady jeszcze i bezbarwny, z za lasów wypłynął i wisiał wysoko, jakby niezdecydowany i niepewny, w białawym kręgu jasnej plamy.

Od strony drugiego tarasu, krzyk chłopów rozlegał się teraz, jakiś dziki i coraz namiętniejszy. Bębenki biły ze zdwojoną siłą. Łagodny rytm trepaka w brutalną przechodzi farandolę. Z pomiędzy drzew błyskały światła powoli zapalanych smolnych pochodni, w błyskach tych migały białe koszule dziewek i płótnianki parobków, w cienie dążących.

Antoni stał tak długą chwilę, o ramę okna oparty. Dzień dzisiejszy był dla niego ciężkim nad wyraz wszelki. Utrata przyjaźni Marji zarysowała mu się teraz z całą brutalną dokładnością w tej ciemni, przecinanej jaskrawem światłem palącej się smoły. Złączone pary chłopów, snujące się pod drzewami, rozkładały przed nim z bezczelnością zupełną swe żądze zwierzęce. Antoni w żyłach swych miał krew gorącą, miłością dla Trejny podnieconą, a przecież nigdy chyba nie uczuł tak zdrowego wdzięku chwil, w uroczysku

spędzonych, jak tej nocy, pełnej gorących szeptów i prądów, zda się liście z gałęzi jabłoni strząsających.

Nagle pod oknami zamajaczyło coś w cieniu.

Jakaś czarna postać, smukła i giętka, pod murem się snuła, do okna zmierzając.

Antoni uczuł pchnięcie gorącego żelaza w piersi.

Pochylił się naprzód, ręce wyciągnął i szorstką dłoń Trejny uchwycił.

— To ty! — wyszeptał radośnie.

Zdawało mu się, że instynktem wiedziona, przyszła odegnać od niego smutek i zniechęcenie.

— To ty! — powtórzył z naciskiem.

Trejne wspięła się na podmurowaniu.

— Pan mi co da! — wyrzekła proszącym głosem.

Antoni przygryzł wargi.

— Nie mam nic dla ciebie, Trejne, dziś przynajmniej; jutro pojadę do miasta, przywiozę ci jaki drobiazg.

Chwilę uczuł chłód i wrażenie wielkiej pustki, lecz Trejne, uczepiona ramy okna, twarzyczkę swą ku niemu podsuwała.

— Broszę... dać! — wyrzekła, dziwnie akcentując pierwszy wyraz.

Od pewnego czasu tombakowa broszka z niebieskim kamieniem była szczytem jej marzeń.

— Broszę — powtórzyła raz jeszcze, wdzięcznie głowę w tył przechylając. Czarne jej włosy, z tyłu głowy spadały, prawie kolan sięgając.

— Dam broszę, Trejne! — wyrzekł Antoni, powoli równowagę znów tracąc.

Przed nim, uczepiona na ramie, kołysała się wciąż Trejne, jakby w takt, coraz szybszem tempem dzwoniącej muzyki. Blada postać Marji zacierała się powoli w umyśle mężczyzny; żydówka brała górę, doskonała w swej ponętnej, pełnej zmysłowych pokuszeń pozie.

— Trejne! — wyrzekł wreszcie stłumionym głosem Antoni — o, Trejne!

Słów mu brakło; wreszcie o czem miał mówić z tą lasów mieszkanką dziką, a mimo to swej potęgi świadomą!...

Ona kołysała się ciągle, zmrużonemi oczyma w twarz mężczyzny patrząc...

Tymczasem na dole wszyscy już prawie pijani z wściekłą zaciętością deptali trawę drżącemi i niepewnemi nogami. Ostry, namiętny głos bębenka i szałamajki rzucał drażniące tony, rozdzierające powietrze. Z palących się pochodni kapała płonąca smoła, spadając na ziemię. W ciemnym gąszczu drzew od czasu do czasu padała na ziemię z bełkotem jakaś postać nieprzytomna, z pięściami zaciśniętemi, z twarzą krwią nabiegłą i pozostawała tak nieruchoma, naglym snem zdjęta.

Nagle zrobił się ruch w gromadzie.

Ktoś, potknąwszy się o Jewkę Dziubenkę, poczuł pod rękoma chłód trupi. Przyniesiono pochodnię i sprawdzono, że staruszka nagle zmarła. Uwiadomiono o tem Mewtodja i Paraskę, zięcia i córkę zmarłej, lecz Paraska, nieprzytomna, dawno spała na brzegu polanki, głowę w trawę zarywszy. Mewtod' splunął i cały rozpłomieniony od wódki, ani się od beczki ruszył.

Pan Polikarp kazał wódki pilnować i nalewać; on przecież beczki zostawić nie może.

Bębenek bił już teraz ze zdwojoną wściekłością.

Zmieniono tempo, czeberjaczka wabić ku sobie zaczęła. I szybko, jakby jedną poruszeni myślą, chłopi rwąc gałęzie, gromadzili masą liście, któremi trupa okrywać zaczęli. Pod tą zieloną osłoną, w czerwonym, migocącym blasku pochodni, Jewa Dziubenka znikała cała ze swą twarzą straszną, nieruchomą, z oczyma w słup wlepionemi. I prędko urosła nad trupem wielka mogiła, na którą lipa, szemrząc, swe liście strząsała.

Teraz czeberjaczka zatoczyła swe kręgi naokoło polanki, ucieszając chłopów i dziewki w szalonem a ponurem tempie. Z blaszankami wódki w rękach, oblani purpurą ognia, podskakiwali w górę mężczyźni, rozwiewając dokoła białe płótno koszul. Dziewki, spętane w swych wąskich płatach, wiły się jak węże. W blaskach migały białe zęby, półprzymknięte oczy i szmaty ciała gorącego pod płótnem koszul białych. Z piersi tańczących wydzierał się krzyk, w jęk prawie przechodzący. Brutalna potęga wódki i zmysłów szalała do-

koła. Jak wicher przelatywali teraz coraz szybciej, bez pamięci w przestrzeń pędząc...

I tylko, pod liśćmi ukryty, trup starczychy sztywniał, sam jeden, zimny i beznamiętny.

VI.

Jak ulewa deszczowa tak teraz spadały liście z drzew i po ziemi słały się z suchym chrzęstem. Żółte były z zielonawym ośrodkiem, a niektóre bronzowe i jakby przez robactwo stoczone. Jesień nadciągała, zimna, ponura, bez promieni słońca, chyląc sterczące dokoła niemieckich domostw malwy, kwitnące szerokiemi czarnemi i różowemi płatami. Gdzie niegdzie jeszcze pęk astrów liljowych, zmarzniętych, smutnych, tulił się do płotu, powiewając ściągniętemi w trąbkę listkami. Drzewa powoli czerniły się gałęziami ciemnemi, wilgotnemi, do góry sterczącemi. Drobne gałązki wicher łamał, na ziemię je rzucając. Szare, ołowiane barwy snuły się po powietrzu, od czasu do czasu zimny deszcz bił o szyby, siekł zwiędłe kolce bodjaków i pastwił się nad kępką zszarzałej macierzanki.

Pomimo jednak tego smutku, opadającego szarą płachtą na całą wołyńską ziemię, na Styr ciemniejący wśród ogołoconych z zieleni brzegów — Marja oddychała teraz pełną piersią, jakby uspokojona i znacznie weselsza. Miała ona bowiem pod względem wpływu jesieni odmienną od innych kobiet naturę.

Na wiosnę płakała często, nagłym smutkiem zdjęta. Jesień witała spokojnie, odradzając się prawie w tej powodzi rozpaczliwej, która z góry płynęła. Właściwość to istot smutnych od kolebki, czujących własną nędzę, wobec złota i wesela natury. Szum spadających liści działa łagodniej, identyfikując się niejako z usposobieniem dziewczyny. Wobec nędz wszechświata, Marja czuła się jeszcze szczęśliwą. Oddychała, żyła... Wszystko dokoła niej się kładło do grobu, zamierało bez promieni słońca! Ona jedna deptała silną nogą ścielące się martwo pod jej stopy liście; bezlistne, wilgotne gałęzie lip ponad jej głową tworzyły całun z czarnej

koronki—ona gałęziom tym przesyłała uśmiech, w którym drgała wiedza przekonania o własnej żywotności.

Po rozstaniu się z Antonim, ani na chwilę nie przemknął żal przez jej umysł dumny i nieugięto dziewiczy. Człowiek ten skalał gorącem tchnieniem żydówki czystość ich wzajemnego stosunku. Miłości Antoniego dla Trejny nie umiała sobie przedstawić inaczej, jak w brutalnem złączeniu dwojga istot, wykluczających wszelkę duchową stronę podobnego stosunku.

Kilkakrotnie spotkała Trejnę, czy w lesie, czy na drodze, wiodącej do karczmy. Żydówka zmieniała się powoli, ubierając się staranniej, choć zawsze brudno i nieschlujnie. Tylko teraz ciemno-czerwony jersey opinał jej piersi silnie pod tkaniną trykotu zarysowane, tylko spódnice, z jakiejś taniej kolorowej wełny, snać w domu w nocy zszywane, miały krzywo poprzyczepiane falbany lub kawałki ordynarnej koronki. Tombakowe broszki, kolczyki, świeciły się z daleka, bransoletka z paciorek ciemne i spalone ramię objęła. Tylko włosy, zawsze potargane, szerokim płaszczem na biodra spadały, tylko nogi małe, nerwowe, bose były i pokaleczone.

Dzika dziewczyna znieść obuwia nie mogła, pomimo usilnych prób, jakie czyniła w tym kierunku.

Marja szybko wymijała Trejnę, która ze swej strony na widok „panny ze dworu“ prostowała się, jakby czując zbliżenie się ukrytego nieprzyjaciela. Czasem oczy dwóch dziewczyn krzyżowały się przez chwilę i Marja doznawała jakby olśnienia pod wpływem gorącego spojrzenia Trejny.

Cały dzień później czuła gorąco przeszywające jej źrenice; niespokojna, wzburzona, milczała, zajmując się zwykłą codzienną pracą, której miała niemało. Gdy wróciła wieczorem do swego pokoiku, zacisznego kąta, który zdołała uczynić miłym i czystym przytułkiem dziewczęcym, nie kładła się spać, lecz, roztworzywszy okno, wpatrywała się długo w ciemnię, rozścielającą się dokoła dworu.

Maluchnem dzieckiem w kołysce utraciła oboje rodziców. Tułając się wśród obcych, zakosztowała doli

sieroty. Oddawana z rąk do rąk, chwytała trochę wiedzy w przelocie, zgadując to, czego już schwycić nie mogła, połykając kartki książek, porzuconych w szkolnym pokoju jej bogatych kuzynek. Utworzył się w jej głowie pewien chaos pochwytanych wiadomości, które napróżno ułożyć usiłowała Probowała, lecz daremnie i pozostała już w tej masie nagromadzonej ukradkiem, czerpiąc, w razie potrzeby, w zasobach bezładnie poczynionych. Z walki ze swą sierocą egzystencją wyniosła silną wolę i wielką prawość charakteru, szlachetność nieskalaną. Nie była to wszakże istota z jednej sztuki ukuta, bez słabostek kobiecych i chwil zwątpienia. Przychodziły na nią często, lecz dumna, kryła się wtedy, jak zwierz zraniony, wstydząc się tych momentów, które bezwiednie ją ku ziemi chyliły.

Gdy wreszcie dostała się do domu Elżbiety, jako najbliższej swej krewnej i naturalnej opiekunki, chwyciła energiczną ręką ster domowej gospodarki, wyznaczając sobie w ten sposób stanowisko uczciwe wobec starej egoistki.

Wolała rankiem wczesnym wstawać, śpiesząc do obory i dopomagając Władysławowej, wolała po dniu znoju pełnym w towarzystwie wielkiego kundla Medora w nocy dwór cały obejść, skoble stajni, chlewu, przybudówki obejrzeć, do wrót dotrzeć, niż błąkać się, jak dawniej, z garderoby do niszy, nosząc na swych zgarbionych plecach przydomek „biednej kuzynki", lub... „darmozjada".

Zrodzona z rodziców starszych wiekiem i matki skrofulicznej, nie rozwinęła się zbytecznie cieleśnie, była jednak dość silna i zdrowa, jeno blada zawsze, trochę anemiczna i przez to w rozwoju swym kobiecym leniwa.

Gdy stała tak przechylona przez ramę okna, biała cała od chłodu, z koszulą grubą i w przyramkę ściągniętą dokoła chudych ramion, miała pozór jakiejś dziewicy-kapłanki, skazanej od dzieciństwa na brak wszelkich porywów gorących.

A przecież, pomimo tego wystygłego, choć młodego ciała, oczy jej, oczy duże, marzące, w dal wpa-

trzone, miały chwilami jakąś tęsknotę i pragnienia nieznane.

Może to był odblask płonących źrenic Trejny, który mącił jej zwykle spokojne i chłodne spojrzenie; może to ta burzliwa namiętność przyjaciela dla tej wpółnagiej, rozczochranej dziewczyny, kładła w jej oczy jakieś migotliwe błyski?

W każdym razie od chwili rozstania się z Antonim, Marja czuła, że coś w życiu jej się zmieniło, że na dnie jej serca coś porusza się bezustannie, rwąc jej spokojną egzystencję prawie na kawałki.

Dotąd jej troską najwyższą było postępowanie ciotki, która, jak Wandal, sama niszczyła własną ziemię, szarpiąc ją i obcym przybyszom w brutalne ręce oddając.

Troską jej serdeczną były te gromady Niemców, stające co chwila pod gankiem dworu, jakby wyrosłe z pod ziemi, ciągle napływające, łakome szmaty ziemi, na którą spadali z szumem i łoskotem szarańczy.

Elżbieta w potwornym egoizmie swoim, lasy w pień wyciąwszy, resztę piasku rwać pozwoliła, nie sięgając w przyszłość, cała uszczęśliwiona chwilowym zyskiem, który się jej korzystnie przedstawiał.

Majątki jej taki przedstawiały widok.

Dokoła lasów, jak gromady robactwa, koloniści niemieccy przeważnie i trochę Czechów, nędznych, chmurnych, za ziemią swą tęskniących. W lasach siekiery Szmula, Jankla i Cytryny grały rozpaczliwie, szumowi jękliwemu sosen urągając. Po wsiach, jako posesorowie — żydzi, rozkładający swoje bety w dworkach z gankami, na rozstajach przyczajeni koniokradzi, w karczmach całe bandy rodziny Szmula, rozpajającej rozzuchwalonych i drwiących ze dworu chłopów.

Marja stan rzeczy cały doskonale obejmowała, cierpiąc srodze w miłości dla ziemi, którą kochała bałwochwalczo, oddychając aromatem jej ziół, depcąc czarną, tłustą glebę, całą ozłoconą od ciężkich kłosów pszenicznych.

Nieraz długo w nocy, wpatrzona w migocące światełko w zakratowanem okienku alkierza ciotki, z goryczą najwyższą myślała o dziwnych losu zrządzeniach,

dających w ręce egoistki całe błamy ziemi, przebogatej w skarby, po to, aby te skarby na pieniądz stopione, znikały bezpowrotnie, pozostawiając po sobie pustkę i cmentarne opuszczenie.

Pies jakiś wył poza drogą przeciągle, jękliwie. Deszcz zaczął padać powoli, z miękkim łoskotem o ziemię bijąc.

Marja stała ciągle w oknie nieporuszona, chłonąc w siebie wilgoć listopadowej nocy, czarnej, ponurej, melancholji pełnej.

Nagle koło dworu zamajaczyło coś tuż pod oknem alkierza Elżbiety. Marja wytężyła wzrok i słuch. Wyraźnie ciemna postać słaniała się wzdłuż murów i kroki bosych nóg po rozmoczonej ziemi pluskały.

Dziewczyna, bez wahania przysunąwszy krzesło, na okno weszła, a później ramę silnie ująwszy, na ziemię się opuściła. Stanąwszy na gruncie, ku ciemnej postaci podeszła, nie czując najmniejszej trwogi w spełnianiu obowiązku.

— Kto tu? — zapytała silnym głosem.

Ciemna postać nagle przykucnęła, poczem, w bok się rzuciwszy, szybko uciekać zaczęła.

Marja pozostała na miejscu, usiłując cośkolwiek rozróżnić w cieniu. Zdawało się jej, że przez krótką chwilę w świetle, padającem z okienka alkierza, poznała żółtą głowę Orchima i jego wysokie pochylone ramiona.

— Medor! — zawołała, w stronę kuchni się zwracając.

— Medor! sa tu, do pani!

Z sieni kuchenki wylazł powoli stary kundel i po błocie kopać się zaczął. Szedł wolno, ze spuszczonym łbem, cały zaspany i niechętny.

Marja oczekiwała nań o mur oparta.

— Ksa! ksa! Medor!... szukaj złodzieja.

Lecz pies powoli ogonem zakręcił i stał nieruchomy, w czarną głębię wpatrzony.

Nazajutrz rano Marja zdała sprawę z nocnej swej przygody pani Elżbiecie.

Ta jednak wybuchnęła śmiechem.

— Djabła zje ten, kto się do mnie dostanie! Kraty i kraty! Samego antychrysta się nie boję!

— Tem lepiej — odparła dziewczyna uspokojona.

Do obiadu przyszli wszyscy.

Brakowało tylko Leontyny.

— A cóż się tak panienka spóźnia? — spytała z przekąsem Elżbieta — tualetę robi? powiedzcie jej, że niema do kogo; pan Brunon dziś do Waśniakowa na wyżerkę pojechał.

Bukowska z godnością głowę podniosła.

— *Mademoiselle Leontine est malade!* — wyrzekła, usta sznurując.

— Lat ma sześćdziesiąt z okładem — odparła Elżbieta, śmiejąc się ironicznie.

Bukowska ze złości drżeć zaczęła.

— Mówię, że panna Leontyna jest chora!

— A to mów pani po ludzku, nie jakimś zamorskim językiem, którego nikt nie rozumie...

— Każdy dobrze wychowany człowiek — zaczęła prawnuczka Wyhowskiej, lecz już Marja, wiedząc do czego podobna sprzeczka zmierza, szybko przerwała słowa rezydentki, oznajmując, że sama ciocię Leosię odwiedzi i o stan zdrowia zapyta.

— A idźże, idź — odrzekła Elżbieta, oczy mrużąc — i zapytaj, czy melisy, czy pastylków miętowych, czy komarowego sadła jejmościance potrzeba?

Pani Elżbieta w wybornym była dziś humorze.

Dopięła swego, wyrzuciwszy ostatecznie synowę Jankla z karczemki; na jej miejsce wszakże, nie zjawił się nikt, i długi czas pustką stał budynek wybitemi szybkami świecąc.

Od wczoraj wszakże zjawił się Szmul z nowym kontrahentem, bladym, wymokłym żydkiem, który ugodę podpisał, prawie milcząc, i wieczorem bety miał znosić.

Żydek ten był naturalnie podstawiony.

Synowa Jankla wprowadziła się tryumfalnie, dwie różowe pierzyny, Trejnę i dwoje bachorów ze sobą prowadząc.

Liczono, że jesienią i zimą pani Elżbieta do pustki nie zajrzy i Jankiel upierał się bardzo, aby w lesie

mieszkać, w Siemiatyckim lesie, którym wszystkie bandy koniokradów nocą przeciągały. Przytem z Orchimem miał teraz ciągłe konszachty, po ścieżynach włóczyli się obaj, szepcząc, oglądając się dokoła. Często Jankiel wybuchał gniewem, pięścią w stronę dworu grożąc. Zemstę jakąś knuł za sponiewieranie swych wnucząt, cały dyszący nienawiścią plemienną, od wieków dławioną. Orchim chychotał, od czasu do czasu słowo podrzucając.

Tymczasem wiatr jesienny z drzew liście obrywał, igły strząsał, szyszkami miótł.

Oni obaj, zasłuchani we własne słowa, szli ciągle ścieżynami wśród boru, obsypywani gradem żółtych płatów.

I liście im pod nogami szeleściły, i wiatr zimny twarze siekł, a oni szli wciąż wśród tej pluty jesiennej, jakby gnani jakąś wspólną myślą, żyd i chłop, dwójka wiecznie zrosła i od lat tylu do siebie przykuta!

Pani Elżbieta nie wiedziała jednak o sprowadzeniu się synowej Jankla i tegoż z Orchimem tajemniczych naradach.

Wstała od rana wesoła i pełna sarkazmu. Gdy Marja z pokoju wychodziła, pani Elżbieta, rozparta w swoim fotelu, wyciągała na słówka panią Bukowską, całą zarumienioną w swej jedwabnej pelerynce.

Pomiędzy niemi, z głową spuszczoną, w poczuciu własnej bezsilności, siedział Bukowski, gałki z razowego chleba w palcach gniotąc...

Już od drzwi, Marja smutnym wzrokiem ten obraz obrzuciła.

Deszcz w szyby bił, strugami po nich spływając. Ciemnawe, szare światło po pokoju się snuło, smutne i przytłumione.

Pani Elżbieta wzrok Marji dostrzegła.

— Cóż tak się skrzywiłaś — zapytała — jak środa na piątek?

Dziewczyna nic nie odrzekła, tylko drzwi cicho przymknąwszy, gankiem i dziedzińcem ku oficynce pobiegła.

W maluchnym pokoiku, urządzonym z wzorową

prawie czystością, w fotelu, obitym zniszczoną ceratą, siedziała Leontyna, owinięta olbrzymim tureckim szalem.

Niepewny zapach lewandy i kamfory przepełniał tę małą przestrzeń, wśród której stara panna lat tyle spędziła, więdnąc, jak kwiat bez słońca. Niewielkie łóżko, czyste, porządnie zasłane, dziewicze, surowe w swych białych pikowych osłonkach, wyciągało się prostą linją pod ścianą, na której rozpinał się niewielki dywanik kanwowej roboty. Jakieś potworne róże majaczyły na czarnem tle, robionem pracowicie, uczciwie, w „jednę stronę". Na dywaniku przypięte dwa obrazki święte, palma, różaniec i serce z różowej bibułki za szkłem, obwiedzione dokoła cierniową koroną. Pod drugą ścianą komódka, zastawiona drobiazgami, szkatułeczkami, nesesorkami, flakonikami pustymi od perfum piżmowych i werwenowych. U okna firaneczki, zrobione z batystowej spódnicy, związane kawałkiem wypłowiałej, błękitnej mory.

Za otwarciem drzwi, ciotka Leosia, drzemiąca lekko, poruszyła się niespokojnie.

— Kto tam? — zapytała zmienionym głosem.

Marja weszła cicho i, zbliżywszy się do chorej, przy fotelu uklękła.

— To ja, cioteczko, przychodzę się dowiedzieć, czy ci czego nie trzeba?

Leontyna podniosła na nią zamglone oczy.

— Nic mi nie trzeba, serce, Maryniu, nic!

— Ale przecież... herbatę tu ci przyniosę!

— Dziękuję ci, to dla ciebie fatyga!

— Och! żadna; obowiązkiem moim jest usłużyć ci w chorobie. Siedzisz źle, niewygodnie; pozwól poduszkę ci pod krzyż podłożę.

Powstała i, przeniosłszy poduszkę z łóżka, pod zgarbione plecy chorej podsunęła.

Wtedy dopiero dojrzała, iż na kolanach Leontyny spoczywa mała szkatułeczka otwarta i napełniona kawałkami zżółkłego, zapisanego papieru, wstążkami i zeschłemi liśćmi.

Leontyna szybko szkatułeczkę .zamknęła, zakrywszy ją szalem.

Marja usunęła się na bok, tajemnicę biednej staruszki szanując.

— Czy czujesz się gorzej, niż zwykle, cioteczko?— spytała.

— Trochę! — odparła Leontyna — ciężko mi jakoś oddychać, sił coraz mniej...

Urwała, w okno patrząc.

— To pewnie przez tę szkaradną jesień!—dodała.

— Tak! przez jesień!—jak echo powtórzyła Marja.

— Dawniej dla mnie pora roku była jedna — ciągnęła chora, jakby chcąc próbować siły głosu—dawniej, czy wiosna, czy jesień, panna Leosia przefruwała po prostu z dworku do oficyny, a nieboszczyk Szeniewiecki napatrzyć się nie mógł, jak byłam lekka i zwinna... Minęło wszystko!... dziś... ot, byle ulewa... już oddychać trudno!... Wprost łzy w oczach stają.

Marja znów przy fotelu przyklękła.

— Przejdzie słota jesienna, nastaną mrozy, zdrowie ci wróci, ciotuchno.

Leontyna głową potrząsła.

— Kiedy bo widzisz, serce, coraz mi jakoś gorzej, z każdą jesienią ni oddechu, ni snu, ni chęci do jadła...— Cóż siostrunia? — dodała po chwili milczenia.

— Ciocia Elżbieta dziś w wybornym humorze!

— O!...

— Ależ tak, tak; żartuje ciągle, aż pani Bukowskiej łzy w oczach stają... Wyprawiła mnie nawet tutaj sama, aby ciocię o zdrowie spytać.

Leontyna uśmiechnęła się blado.

— Poczciwa — szepnęła.

W głosie jej nie było ani śladu ironji, lecz coś, co uderzyło po raz pierwszy Marję ostrą nutą, drgającą tak cicho, jak echo tonu harmonijki szklanej.

— Ciotka Elżbieta — podjęła mimowoli, pociągnięta ciekawością — ciotka Elżbieta zapewne tu sama zajrzy, gdybyś nie miała wyjść przez dni kilka.

Lecz Leontyna głową pokręciła.

— Nie! — wyrzekła chrypliwie — nie! ona tu nie przyjdzie, Maryniu... od lat tylu noga jej nie postała tutaj, na tym progu... Nie przyjdzie siostrunia, i... dobrze zrobi.

Kaszel przerwał jej mowę.

Zasłoniła usta szalem i jękliwie znów mówić zaczęła.

— Dobrze zrobi, nie przychodząc tu, do mego kąta, boć ona nie zrozumiałaby tego, co mnie z temi ścianami wiąże. Mogłaby śmiać się z mych gratów, tak, jak to dawniej robiła... ale teraz toby mi już to przenieść było zbyt ciężko. Widzisz, serce... do ścian, do sprzętów przywiązać się można. Siostrunia tego nie rozumie. Ona nie rozumie miłości żadnej, żadnej...! nie wie, co to serce, co to uczucie, co to tęsknota... O, ona!... — Suche, spieczone ręce suchotnicy silnie pod szalem ściskały szkatułeczkę, pełną papierów i zwiędłych liści.

Marja słuchała w milczeniu skargi starej panny, całej zawiędłej w woni kamfory i lewandy. Znużenie dnia dżdżystego, mdły zapach piżma, wydzielającego się z fałdów szala, półzmrok, przyciemniający sprzęciki pokoju, blisko pół wieku na jednem miejscu stojące, osłabiająco oddziałał na młodą dziewczynę.

Głowę na kolanach ciotki oparłszy, wpatrzona w haft firanki, klęczała, czując jakby powiew jakiejś mglistej, niewyznanej tajemnicy, ulatującej w przestrzeni.

— Nie, nie kocha nikogo! — ciągnęła dalej Leontyna urywanym głosem—nie kochała nigdy! I dlatego w egoizmie swoim deptała serca drugich, życia łamała. O, siostrunia!... silna była i za nic jej było jakiej biedaczce, co przed nią tchnąć nie umiała, powiedzieć: milcz! milcz! tak chcę!... tak być musi! A tymczasem z życia zostały drzazgi, serce się na pal wbiło—i ot— Bóg jeden miłosierny, tylko łzy mógłby zliczyć, wylane w cichości. A, kochanie!... kochanie toć już na każdego paść musi, a taki siostrunia nie kochała nigdy!...

Marja żywo głowę podniosła.

A ty, ciociu? — spytała żywo.

Leontyna oczy ku ziemi spuściła.

— Ja? — odrzekła powoli — ja?...

Urwała, szkatułkę pod szalem ścisnęła i milczała znękana, przybita.

— Kochanie na każdego paść musi...

Marja mimowoli w myśli powtórzyła słowa suchotnicy.

— Przyjść musi na każdego? cóż znowu...

W chłód swój zakuta, w silną wolę zbrojna, czoło podniosła.

— Co mówisz, ciociu? — spytała — czy bez miłości przejść przez życie nie można?

Leontyna głową potrząsła.

— Co chcesz, serce!... takie to już dopuszczenie Boże, w młodych sercach kochanie się budzi nagle i do życia woła. W młodości to jeszcze raj, ale jak się aż do starości serca uczepi, to wprost męczarnia!...

Marja patrzyła chmurno przed siebie.

— Skoro się nie chce, to można się takiego wroga z serca wyzbyć — wyrzekła z mocą — ludzi słabych taka rzecz się nie czepia!

Leontyna wzruszyła ramionami.

— Nie wiesz, co pleciesz, serce, Maryniu. Żebyś ty siłę stu dusz miała w sobie, nie ustrzeżesz się i zobaczysz!... spadnie na ciebie ta plaga niespodzianie, jak burza, ot, jak ta ulewa, co tu po szybach płynie.

Lecz Marja wyprostowała się nagle, jakby wroga od siebie odpychając.

— Na mnie? na mnie — zawołała — nigdy!... przejdę przez życie spokojnie, nie znając takiego nieszczęścia; boć nieszczęście to... nic więcej, dla każdego chyba człowieka!

Antoni zamajaczył jej nagle przed oczyma, Antoni smutny, blady i przybity, na uroczysku w Wołochowie u stóp jej klęczący, pełen jakiejś niemej, ciężkiej rozpaczy.

Nagle do jej uszów doleciał odgłos dzwonków.

Ktoś jechał drogą poza płotem, dwór okalającym.

Nic w tem nie było dziwnego. Przejeżdżali ciągle *parczyki*, od kolei podróżnych wioząc.

Wszakże na odgłos tych dzwonków szarpnęło się nagle coś w piersi dziewczyny. Bez tchu, z bólem w sercu, klęczała zasłuchana. Dzwonki brzęczały coraz wyraźniej i nagle turkot kół, plusk kopyt końskich w błocie brodzących, rozległ się na dziedzińcu.

Marja, pełna niewytłumaczonego niepokoju, powstała teraz, w okno patrząc.

Na fotelu poruszała się niespokojnie Leontyna.

— Pan Brunon?... zobacz, serce, czy to pan Brunon?

Marja do okna podstąpiła.

Na bryczce zwyczajnej żydowskiej siedział jakiś mężczyzna, gumowym płaszczem okryty.

Konie zajeżdżały już przed ganek, bryzgając dokoła błotem i potrząsając łbami.

— Ktoś obcy! — wyrzekła zdławionym głosem, zdziwiona dźwiękiem własnej mowy.

Leontyna naciągnęła szal na plecy.

— Nie Brunon? — zapytała — obcy? Kto to być może? pewnie w interesie?

— Pójdę zobaczyć!

Marja wysunęła się z oficynki i szybko drogę do dworu przebyła.

Wpadła na ganek, równocześnie prawie z podróżnym, który, z bryczki wysiadłszy, na ganku swój gumowy płaszcz otrząsał i kaptur z głowy ściągał. Marja, deszczem zmoczona, w swojej starej sukience wełnianej, stanęła nagle przed nim i, w oczy mu spojrzawszy, cofnęła się zdrętwiała.

W szarem świetle jesiennego popołudnia ukazała się jej nagle najdoskonalej piękna głowa mężczyzny, wysuwająca się z szaro-srebrnych fałd okrycia. Brunet, o drobno przystrzyżonych kręconych włosach, z czołem wybornie zarysowanem, białem i jowiszową zmarszczką przeciętem, z nosem orlim, napoleońskim, o nozdrzach ruchomych, oczach szafirowych, wielkich, w seledyn się mieniących, ustach przepysznie wykrojonych, sarkastycznie uśmiechniętych z poza długich ciemno-blond wąsów osłony, miał w sobie najwyższą harmonję kształtów i rasowej, przepotężnej męskiej piękności.

Wyniosłą jego postać, ramiona szerokie dobrze rozrośnięte, stan w miarę wcięty dumną linją biustu, cały ten przepych siły męskiej rozwiniętej i dobrze odżywianej, dostrzec można było pomimo fałdów płaszcza, który mu z ramion zwisał ku ziemi, tło wspaniałe tworząc.

Przed nim, przygnieciona niejako jego wyniosłem, a mimo to pociągającem spojrzeniem, stała Marja nędzna, biedna w swej ubogiej sukni i dużym płóciennym fartuchu poplamionym lazurkiem. Stała, nie pojmując zupełnie, co się z nią działo wobec tego wspaniałego mężczyzny, który szybko harmonijnym głosem zapytał:

— Pani Szeniewiecka w domu?

I, nie czekając na odpowiedź dziewczyny, głową na bryczkę wskazał.

— Pod siedzeniem moja walizka. Niech ją wyjmie i drogę mi wskaże. Ty, czekaj!

Ostatnie słowa rzucił Paszycowi, który z kozła zlazłszy, koło szlei coś mrucząc poprawiał...

Marja stała nieruchomo, i tylko ciemne jej brwi ściągnęły się nagle gniewnie na ten rozkaz, wydany jej przez przybyłego, co do zniesienia walizki.

Brał ją za... sługę.

Czar prysnął, choć ból jakiś w sercu, pozostał.

Lecz nieznajomy niecierpliwił się widocznie.

— Cóż to! panna nie słyszy?... Walizkę proszę wziąć, bo zmoknie!

Marja głowę podniosła.

— Zdejm ją pan sam z bryczki! — odparła urywanym głosem. — Ciotka służby nie trzyma... a więc z nas dwojga tego rodzaju posługa, o ile mi się zdaje, przez pana wypełniona być winna.

Przybyły oczy podniósł i na mówiącą z zadziwieniem spojrzał.

Ona ze swej strony powiek już teraz nie spuszczała, rozdrażniona dziwnie, godności swej broniąca, wobec tej brutalności pięknego mężczyzny, który tak nagle wśród fal deszczu i szarego światła jej się ukazał.

Przez chwilę krótką skrzyżowały się ich spojrzenia i szafirowe źrenice mężczyzny zatonęły w szeroko rozwartych oczach dziewczyny.

Krótka to była chwila — lecz stanowcza.

Marja uczuła znów szarpnięcie w piersiach, jakby jakaś część życia uśpionego w tej chwili w niej się budziła.

I pod tem wrażeniem, dziewczyna porwała się nagle i do sieni wbiegła, lecz zamiast udać się do ciotki,

zwróciła się na lewo i, trzasnąwszy drzwiami, w pokoju swym się zamknęła.

. . . . . .

Tymczasem z sali Bukowski do sieni wyszedł i, ujrzawszy gościa, szeroko ręce rozłożył.

— Staś!... jak Boga kocham, Staś!

— Witam, panie Bukowski, jakże się mamy!

— Dobrze, dobrze do stópek się ścielę! A toż się pani Elżbieta zdziwi!

Do sali obaj wchodzili; przybyły płaszcz zrzucił, zupełnie correkt ubrany, w „anglezie“ długim, ciemnogranatowym, widocznie na stacji kolejowej ubranie podróżne zmienił.

Elżbieta na fotelu się uniosła.

— A toż znowu kto taki? — zapytała.

Lecz mężczyzna śmiało przez pokój sunął, uśmiechnięty, wesoły.

— Cioteczka mnie nie poznaje? — zapytał rękę delikatną, nerwową i drobną wyciągając — Staś... Staś... czy się tak bardzo zmieniłem?

Przywitał się z uśmiechem, ku masie chustek głowę pochylając, cały pełen wykwintnej gracji, woniejący muguet'em, z czarną perłą, lśniącą smutnym blaskiem na tle stalowo błękitnej krawatki.

Lecz pani Elżbieta za całą odpowiedź ku pani Bukowskiej się zwróciła.

— Moja madame Bukowska — wyrzekła — czy tu już trupem pachnie?

Stanisław oczy szeroko otworzył i w brudną twarz ciotki patrzał.

— Bo gdzie jest trup, tam się kruki zlatują. Krukiem zaś zwę wierzycieli i... spadkobierców—ciągnęła dalej Elżbieta powoli, podkreślając ostatnie słowa.

— O, cioteczko!... jakże możesz tak mówić! — protestował z wymuszonym uśmiechem siostrzeniec.

— Tak!... tak!... piękny kawalerze — do śmierci mi jeszcze daleko. Przyjechałeś zobaczyć, co się ze mną dzieje i czy jeszcze długo pociągnę! I oto co widzisz! Zdrową babę, jak rydz, która nieprędko do lali się wybierze. I po co, serce, było jeździć? ha?...

Mankitosz moczyć, ta spodenki psuć? Lepiej było w domu siedzieć i w djabełka grać, albo do żydów się modlić i weksle podpisywać. Taki szmat!... na Wołyń wybrał się!... w jesieni!... Aj, serce!... A toż tobie krzywda się stała!... no!...

Śmiała się uradowana serdecznie z zakłopotanej miny siostrzeńca, który, na brzegu krzesła siedząc, rezon zupełnie stracił pod wpływem tych słów ironicznych, witających go na progu, jak prąd zimnej wody.

— I cóż, serce, Warszawiaku? rezon ty stracił? buzię zesznurował i trzech zliczyć nie umiesz, wobec pani ciotki, o której ty myślał, że już ją paraliż jął, ta że baba już głosu dobyć nie potrafi. A ot nie dość, że żyje, ale jeszcze na pohańbienie królewiaków językiem miele i to nieźle. Ha?

Stanisław rękawicę podjął.

— Gdybym myślał, że cię, ciociu, nieżywą zastanę—odparł z uśmiechem — byłbym się w żałobę ubrał i wianek ci przedewszystkiem od Bardeta przywiózł.

— Wianek! ot-że myśl niezła. A z jakichże to kwiatów, serce? Z lilji? z niezabudek, czy może z jaśminu?

— Z tęczowych barw, jak twe sturublówki.

Elżbieta w ręce klasnęła.

— Ślicznieby to było, serce siostrzeńcze. A trumnę jakąż ty by mi sprawił. Srebrną? ha?

Staś śmiał się teraz serdecznie, szczerze rozbawiony, dając folgę swemu dziecinnemu usposobieniu.

— Srebrną? o, nie! szkoda tyle srebra zakopywać w ziemi!

— Lepiej żydom sprzedać? ha?

— Naturalnie, tak, jak ty, ciociu, z lasami robisz.

— Z lasami? A ty wiesz skąd?

— Ja wiem wszystko, co się Siemiatycz dotyczy.

Teraz już nie śmieli się oboje, bystro sobie w oczy patrząc. Stara kobieta i jej spadkobierca siedzieli naprzeciw siebie, jak dwoje drapieżnych zwierząt, na jedno gniazdo czyhających.

Walkę o byt czuć było między nimi, walkę milczącą, podjazdową, nienawiści pełną...

Nareszcie Stanisław powstał pierwszy i do Bukowskiego się zwrócił:

— Mój panie Bukowski, woźnicę gdzie ulokuj. Ja rannym pociągiem odjadę. Chciałbym go mieć koło dworu.

Lecz Elżbieta uderzyła nagle w stół ręką.

— Nie chcę żadnych obcych w obrębie dworu — zawołała gniewnie — niech jedzie na folwark i w nocy po jaśnie pana zajedzie.

Bukowski wysunął się za drzwi.

Za chwilę odgłos dzwonków zwiastował odjazd woźnicy.

Wówczas Stanisław panią Bukowską, siedzącą w ceniu, dojrzał.

— *Bon jour madame* — wyrzekł grzecznie — *vouz allez bien? n'est-ce pas?*

Bukowska wyprostowała się, jak struna.

— *Pas trop bien, enfin, comme á mon âge!* — odparła.

— *Oh! votre âge, ne m'en parlez pas...* — zaczął Stanisław, lecz przerwał mu gniewny głos ciotki.

— Cóż u djabła starego? prababka Wyhowska znów się kłania? czy nie umiecie mówić jak ludzie, tylko mi uszy rwiecie kuchenną francuzczyzną? ha?

Triumfująco spojrzała dokoła.

— *Aha! parle, parle* i oto uciął im się rezon. Po francusku to łatwo bzdury pleść, ale po polsku to i Mazurowi nawet ciężko się wyjęzyczyć.

Lecz Staś już znów naprzeciw ciotki przysiadł.

— Tym Mazurem mam być ja? co? — zapytał.

— A któż? przecież nie ja! — odparła Elżbieta.

— Niby z jakiej daty? urodziłem się na Wołyniu.

— Z ojca Mazura.

— Z matki Wołynianki!...

— Ech! taka tam Wołynianka!

— Rodzona siostra cioci dobrodziejki.

— Wiem, ale dlatego się do Wołyniaków przyznajesz, że na moją sukcesję liczysz. Ale ja ci powiadam, że u mnie grosz za groszem goni i ledwo dwa końce z sobą złatam.

— Nie wierzę!

— Jak ci się podoba! Zresztą, spójrz... dokoła mnie bieda, aż skwierczy!

Stanisław obejrzał się po sali.

— No!... bieda jak bieda, ale brak gustu zupełny.

Elżbieta ramionami wzruszyła.

— Co mi tam po guście — mruknęła — gust jeść nie daje, gustu sprzedać nie można.

— Phi!... ale szyk!

— Cóż to znowu za djabeł?

— Szyk?

— No, tak?

— Szyk... to elegancja, komfort, jednem słowem szyk.

— A mnie ki djabeł po takim czorcie. Szyk!... słyszysz Bukowski?... szyk!... szyk!...

Śmiała się nerwowo, palcami po stole bębniąc.

— Ty i twój ojciec na dziady wyszliście ze swoim szykiem! Teraz ty w piętkę gonisz i sukcesję przewąchiwać jeździsz! Ot co!... Szyk... szyk!... co za wyraz... Muszę Szmula zapytać, czy on kiedy takie paskudne słowo słyszał. Zobaczycie że nie!

Powstała z fotelu, cała zgorączkowana widokiem tego chłopca, który, jako prawny sukcesor, śmierć jej nieodzowną przypominał.

Stanisław zerwał się także i stał tak przed nią, wyprostowany, elegancki, doskonale piękny prawdziwie męską pięknością.

— Na tęgiego draba wyrosłeś, serce — zaczęła znów Elżbieta—plecy masz szerokie, do młocki w sam raz. Tylko, że w łapciach musi być krucho, bo to nocki nieprzespane zawsze dają się we znaki... Hm... piękna lala, ani słowa, choć pod klosz postawić, a pachnie to, ni czeremchą, ni „smorodynią"... ot djabli wiedzą czem! Bukosiu!... ty na salonach wychowana, to wszystkie te odory musisz na pamięć umieć. Czem to kawaler ma przepojoną odzież? Powąchaj, serce, i powiedz!

Lecz pani Bukowska powstała, poważna i majestatyczna.

— *Excusez!* — wyrzekła, głową uprzejmie Stanisławowi skinąwszy.

I, pociągając mantylkę, nie spojrzawszy nawet na Elżbietę, pokój opuściła. Lecz Szeniewieckiej dziś nic nie mogło wyprowadzić z jej wesołości gorączkowej. Śmiała się, opierając ręce na stole. Dokoła niej trzęsły się tylko łachmany flaneli.

— *Kiuze? Kiuze?* — powtarzała—ty pewnie, sercu memu miły sukcesorze, zrozumiał, co to znaczy? Ja bo nie uczona takich parle franse. Z młodości to tam jeszcze, póki matka w kark biła, znało się wokabuły, ale jak później przyszło biedę z biedą łatać i w nędzy żyć, to i uczoność z głowy wywietrzała!

Stanisław nie odpowiedział nic, po ścianach się tylko rozglądał. Elżbieta, wzrok jego przyłapawszy, znów mówić zaczęła:

— Szukasz ty klejnotów i bogactw, duszeńko najmilsza? nic ty u mnie z tego nie znajdziesz, tak po środku izby z kapelusikiem w ręku stojąc. Ci, co ci mówili: jedź, odwiedź starą Szeniewiecką, bo baba na pieniądzach siedzi, źle ci doradzili. Ja duszko, biedna, ot, jak żebrak, i choćby ty siadłszy płakał, to grosika odemnie nie wyciągniesz... Ani grosika.

Stanisław się uśmiechnął.

— Możesz być spokojną, ciociu — wyrzekł dobitnie — grosza od ciebie złamanego nie pragnę!...

— Ale niezłamany tobyś ty wziął?

— Nie, bo teraz mi nic nie potrzeba!

— Ale później? później?

— A!... później to się przyda!

— Po mojej śmierci?

— Naturalnie, po twojej śmierci.

Znów się oczyma zmierzyli, jakby do głębi duszy sobie patrząc. Szafirowe przepyszne źrenice mężczyzny, przyćmione cieniem melancholji, i zielone, niepewne źrenice staruszki z niepokojem wroga śledzące.

Nastała chwila milczenia, podczas którego słychać było plusk deszczu.

— A... gdybym cię też wydziedziczyła? — zapytała nagle Elżbieta, usuwając się w fałdy swej flaneli.

— To rozpocząłbym proces o unieważnienie testamentu — brzmiała ironiczna odpowiedź.

— Jak zechcę, to i to zrobię!

— Dlaczego nie!... „wolno Panu jako Panu, robić nawet cukier z chrzanu...“

— Bukowskiemu wszystko zapiszę!

— Wolna wola!

W kącie stojący Bukowski na całem ciele ze wzruszenia drżeć począł. Elżbieta to dostrzegła i teraz się do starca zwróciła:

— Asan się nie trzęś z uciechy, bo nic nie dostaniesz! lepiej idź i Marję tu przyślij!...

Bukowski cicho wysunął się za drzwi.

— Jadł ty? — zapytała Elżbieta siostrzeńca.

— Nie; czasu nie miałem, na foksalu ledwie przebrać się zdążyłem!

Elżbieta ręce rozłożyła.

— To szkoda siostrzeńcze najmilszy! u nas jedzenie, jak zegarek. Obiad się już skończył, do wieczerzy czekać trzeba.

— Poczekam!

— Słicznie, to czekaj!

Ku alkierzowi się zwróciła.

— Ja do siebie wracam, na drzemkę; ty rób, co chcesz. Z Bukowskim idź ołtarzyki klej... albo muchy po kątach budź! Jak Marja przyjdzie, to ona cię tam gdzie ulokuje, tylko nie tu... w tym pokoju... o!... nie tu!...

Stanisław, rozbawiony, za nią postąpił.

— Dlaczego nie tu?

Elżbieta, już przy alkierzu, plecami się o drzwi oparła.

— Bo...

Słów jej zabrakło, palce zagięły się nerwowo.

— Bo... nie chcę!

Ostatnie słowa rzuciła jakby w charczeniu i, szybko drzwi otworzywszy, w alkierzu znikła, silnie rygiel zasuwając.

Stanisław postał chwilkę na miejscu, wpatrzony w szklanne okienko, zieleniejące we drzwiach alkierza.

Teraz, gdy pozostał sam, uśmiech znikł z jego ust i twarz cała przybrała maskę smutku i znużenia. Kąciki ust opadły w niesmacznem skrzywieniu, oczy przygasły, jakąś silną, wewnętrzną troską przyćmione;

osunął się na krzesło, głowę oparł na poręczy, i pozostał tak, pogrążony w zadumie.

Zapewne nie liczył wcale na pomoc jednorazową ze strony ciotki, jakkolwiek w jego obecnem, ciężkiem położeniu, wobec lichwiarzów, przepełniających przedpokój wykwintnego mieszkania, podobna pomoc byłaby nie do odrzucenia. Lecz, gnany instynktem, przyjechał odwiedzić poprostu bogatą krewną, aby uczynić zadość konwenansom, aby wreszcie móc rzucić niecierpliwszym wierzycielom:

— Jadę do ciotki... Wracam od ciotki.

Przyjechał w słotę jesienną, korzystając z kilku dni swobody wśród powodzi światowych zajęć i obowiązków. Przyjechał, ubrany correct, woniejący muguet'em, zbrojny w garnitur szczotek i odwagę na spotkanie się z dzikim zwierzem w Siemiatyczach, na pieniądzach leżącym...

Zwierz ten przyjął go niechętnie, natrząsając się z niego, ośmieszając, wreszcie głodząc.

Stanisław uczuł całą śmieszność swego położenia.

Był pozostawiony sam w tej pustej, brudnej sali, a w dodatku... głodny.

O kilka kroków od niego, w alkierzyku zaryglowanym, śmiała się zapewne w tej chwili ciotka, śmiała się, z niego! z niezwyciężonego salonowca, z bożyszcza upudrowanych, dekoltowanych kobiet, z tego „Stania", bohatera Sznitzel-jagdów, który jak strzała mknął wśród drzew na swym folblucie, doskonały, nieposzlakowany w swym ciemnym rajtfraku.

Stanio uczuł się dziwnie znużonym, smutnym i zniechęconym.

Ten wielki, pusty pokój wydał się jego wrażliwej naturze, jak wielki pobielany grobowiec...

Rozpieszczony próżniak wielkomiejski przeraził się nagle pustki wołyńskiej, pustki jesiennej, w której wiatr jęczy i deszcz po szybach bije...

Znużenie go ogarnęło, noc bowiem całą spędził w wagonie bezsennie.

Długo z chętką snu walczył, wreszcie, oparty o poręcz krzesła, głodny, zmęczony, oczy przymknął

i zasnął, zasłuchany w miarowy plusk deszczu, z dachów płynącego.

Tymczasem Bukowski napróżno Marji po całym domu szukał.

Zniknęła nagle, pozostawiając swój pokój otwartym.

Władysławowa objaśniła go wreszcie, iż widziała panienkę, idącą drogą ku kolei razem z jakimś kolonistą niemieckim. Po co? klucznica nie wiedziała i odgadnąć nie mogła.

Rzecz się jednak tak miała.

Z okna swego pokoju dojrzała Marja całą gromadę zziębniętych i przemokłych ludzi, pod płotem dworu się tulących. Wzburzona cała przyjazdem Stanisława, jego pogardliwem względem niej obejściem, drżąca na myśl ponownego spotkania się z tym wymuskanym mężczyzną, który ją przygniatał swą urodą i zbytkiem, chwyciła się Marja środka ucieczki, choćby chwilowej z domu, który z powodu pobytu nieznajomego stał się dla niej poprostu niemożliwym.

Zbiegła szybko ze swego pokoju i, dziedziniec pędem strzały przebywszy, ku gromadzie ludzi pod płotem moknących się zwróciła.

Zapał jej ostygł jednakże, gdy niebieskie pończochy i płowe głowy Niemców dostrzegła.

— *Was wünschen Sie?* — zapytała o płot się opierając.

— *O! gnaädiges fraülein!* — przez zęby wycedził mężczyzna — *wir haben ein Kind verloren.*

— *Wie denn?*

— W drodze — odparł kolonista po niemiecku — w drodze, od kolei szliśmy wszyscy, ja moja żona i czternaścioro naszych dzieci. Tu, pod kuchnią, osuszyliśmy się trochę, wywiedzieli, gdzie nasi i żona wyjęła czternaście precli, aby je dzieciom rozdać...

— I cóż?

— Jeden precel został się nam.

Blada, płaska Niemka z pod chustki głowę wysunęła.

— Wtedy poznaliśmy, że nam brakuje jednego dziecka — dokończyła, ręce łamiąc.

Marja energicznie przez płot przelazła.

— Chodźmy szukać! — wyrzekła, brnąc w błocie — lecz ja i pan tylko. Matka z dziećmi niech do kuchni idzie, bo znów po drodze którekolwiek dziecko zgubi, precli pewnie już nie macie!

Wynędzniała twarz Niemki przeciągnęła się jeszcze bardziej.

— A skąd ich wziąć? — mruknęła kobieta, dzieci w kupę zgarniając i do kuchni kierując.

Tymczasem Marja i Niemiec szli gościńcem, od kolei wiodącym, a słupami telegraficznemi oznaczonym. Wśród szarej powodzi błota bieliły się kamienie przydrożne, czarnem kółkiem poznaczone. Na prawo i na lewo pole szare, czarne, smutne się stało, pokryte korzeniami zeschłemi, plączącemi się tu i owdzie. Na lewo majaczył wał lasu, przybierający teraz różnokolorowe cienie.

Deszcz teraz siekł drobno, gnany od czasu do czasu w tę i ową stronę. Suknia Marji, nawskroś zmoczona, do ciała przylegała, kroki jej krępując. Dziewczyna szła, oddychając ciężko, z rozkoszą dom za sobą zostawiwszy, dom, w którym przebywał teraz człowiek obcy, nagle spokój jej zakłócający.

Obok niej Niemiec postępował zwolna ciężkimi krokami wodę dokoła rozbryzgując.

Szli tak długą chwilę, mijając całe kupy drobnych kamieni, nagromadzonych wzdłuż rowów.

Dziecka wszakże nigdzie widać nie było.

— Niebardzo dbacie o dzieci!—odezwała się wreszcie Marja, napróżno wzrok na zwiady wysyłając.

Niemiec wykrzywił się dziwacznie.

— Ha!... jest ich tyle, co robić?... Wreszcie — dodał z flegmą — to nie nasza wina. Deszcz leje, jak z rynny, ani się nawet dopatrzeć liczby nie można. Przeklęty klimat, przeklęty kraj!...

Marja stanęła teraz, cała z zimna i wewnętrznej gorączki drżąca.

— Więc pocoście tu przyszli? — zawołała groźnie—poco nam ziemię zalewacie, kiedy tu klimat przeklęty i kraj także?

Niemiec jeszcze więcej usta wykrzywił.

— My tu nie na zawsze, wiekować nie będziemy.

Ot, przyszliśmy za innymi, co tu od lat ciągną. Zrobimy, co się zrobić da, i pójdziemy dalej, ot tam!

Ręką ukazywał majaczącą w dżdżu przestrzeń niezmierzoną, cały szmat Wołynia, niepewno w wilgoci się zarysowujący.

— A potem! — dodał uśmiechnięty — ziemia niezła, czarna, tłusta, zwłaszcza od wierzchu, później piasek, ale!... co nas to obchodzi!

Marja chciała mu odpowiedzieć, gdy nagle z kupy kamieni podniosło się małe chłopię w barchanowych niebieskich majtkach, trzymające w drobnych rękach kilka ciemnych kamieni.

— *Vater!*

Niemiec stanął, zaklął, splunął i, chłopca za ucho schwyciwszy, ku sobie przyciągnął.

— *Unverschämter Kerl!* — mruknął, poczem odwróciwszy się, znów ku dworowi iść począł.

Za nim dreptało dziecko bose, biedne, wynędzniałe napozór, a przecież dziwnie wytrwałe, mające w swych wątłych piersiach żelazne jakiejś życie; rzucone na ciągłą wędrówkę po obcej ziemi i czepiające się też tej ziemi z rozpaczliwą jakąś energją w krwi bladej początek biorącą.

Marja szła teraz za niemi wolno, wpatrzona w bose nogi dziecka, rozpryskające błoto za każdem stąpnięciem. Te drobne nożyny tłoczyły ziemię z taką siłą brutalną, podbójczą, będąc poprostu odbiciem kroków ojca, sunącego przodem.

Dziecko było arjergardą tej podbójczej armji, mówiącej z ironicznym uśmiechem:

— Zrobimy, co się zrobić da... i pójdziemy dalej. Ot, tam!

— Ot, tam!

Tymczasem Bukowski powrócił do salki jadalnej i, drzemiącego na krześle Stasia zoczywszy, ciężko się zafrasował.

Gościnny niegdyś w swym domu, do zbytku odczuł ciężkie położenie gościa, przyjętego w tak dziwny sposób przez ciotkę Elżbietę.

Gdzież jednak umieścić wykwintnego panicza? Wszędzie wieje wiatr przez wytłuczone szyby, dach

przecieka, wreszcie niema uczciwego krzesła, na któremby spocząć można. W oficynce dwa tylko możliwe pokoiki: chorej Leosi i ich sypialnia, do której przecież gościa wprowadzić nie mogą.

Nagle Bukowski uderzył się w czoło.

Pozostaje pokój Marji. Tak! tak! tam trzeba zaprowadzić Stasia; dziewczyna pomieści się gdziekolwiek.

I z usłużną miną zbliżył się do przyszłego spadkobiercy, a zbudziwszy go, do pokoju Marji wprowadził.

Właśnie uradowany, z opowieścią o instalacji gościa do cioci Leosi śpieszył, gdy na ganek weszła Marja, zmoczona i drżąca. Szybko skierowała się do swego pokoju, pragnąc udać chorą i w nim na resztę dnia się zamknąć. Drzwi zamknięte, za naciśnięciem klamki otworzyły się i Marja cofnęła się, przerażona niespodziewanym widokiem.

Na wąskiej kanapce, obitej ceratą, a stojącej pod oknem, leżał teraz Stasio, śpiący na dobre, okryty swym podróżnym pledem. Szarawo-białe światło płynęło z okna na jego twarz, zwróconą ku górze, i oświetlało dokładnie przepyszne rysy tej twarzy smutnej i znękanej. Ciemne podkowy zarysowały się pod oczami, skóra na czole mocno ściągnięta zapadała na skroniach w zielonawe cienie. Zmęczony był życiem i przedwcześnie wyczerpany. Spał niespokojnie, nerwowo, i krople potu perliły się na czole wzdłuż ciemno-błękitnych żyłek, przecinających białą skórę. Głowę miał wspartą na poduszce, zdjętej z łóżka Marji, i czarne, kręcone włosy ostro odcinały się na białem tle perkalu. W powietrzu unosiła się woń wody kolońskiej, której otwarta flaszka stała na stoliku. Neseser podróżny lśnił się od srebrnych pokrywek i kryształowych flakonów. Na poręczy krzesła wisiał ręcznik, oznaczony koroną hrabiowską.

Marja stała krótką chwilę nieporuszona, z oddechem w piersiach zapartym, zapatrzona w tę piękną głowę, tuż pod oknem na tle białem złożoną.

Dziewczyna westchnęła głęboko i, drzwi cicho

przymknęła, a do sieni się wysunąwszy, o ścianę się oparła, ginąc w cieniu, zalegającym przestrzeń.

Teraz, oczy przymknąwszy, chłonęła w siebie obraz przed chwilą ujrzany, który z nieprzepartą dokładnością wyrył się w jej umyśle.

Ten wykwintny człowiek, biorący ją za służącę, spoczywał teraz w jej ubogim pokoiku, na jej skromnej sofce, którą tak ciężko a usilnie połataną ceratą obiła, kalecząc sobie palce. Chciała się przed nim schronić, nie widzieć go wcale, a znalazła go u siebie, wśród ścian jedynego kącika, który należał do niej bezpodzielnie, niezaprzeczenie.

Kto go tam wprowadził? Kto ośmielił się pozwolić mu przestąpić próg jej dziewiczego schronienia, w którem nikt, oprócz niej, nie przebywał do tej chwili?...

Kto?...

O! czemuż poszła w ten deszcz i flagę szukać małego kolonisty! Byłaby stanęła na progu swego pokoju i, dumna, zabroniła wejścia temu człowiekowi, który, traktując ją jak sługę, rozkazy jej wydawać się ośmielił!

I, wzburzona cała, podniecona, nagłym gniewem zdjęta, porwała się za głowę rozpaczliwie, sama nie pojmując tego, co się z nią działo.

Siostrzeniec to był Elżbiety, mówił „ciocia“, pytając o panią domu; siostrzeniec, więc jej krewny, jeden z tych, którzy w dzieciństwie poniewierali nią w ścianach kamiennych nursery, wśród zabawek, do których dotknąć się jej nie było wolno.

I tu jeszcze, w tym kącie zapadłym, na skraju świata, przyjechał nagle jeden z nich, aby, obelgę w twarz jej cisnąwszy, z własnego jej pokoju ją wygnać i nagle w szarem świetle piękną twarzą na tle białem błysnąć?...

I znów męska piękność Stania wróciła przed oczy dziewczyny.

Jak długo tak stała, nie wiedziała nigdy, pogrążona w cieniu, zdziwiona otwierającemi się drzwiami swego pokoju, z którego już światło nie płynęło.

Musiało być późno; gość z pokoiku dziewczyny wyszedł i po sieni błądził, drzwi do sali znaleźć nie

mogąc. Marja stała cicho koło ściany, z sercem drżącem, z nieznanym jej przedtem dziwnym niepokojem.

Nagle uczuła dotknięcie męskiej dłoni na swem ramieniu.

Stanio szybko się odsunął, pytając:

— Kto tu?

Marja chciała odpowiedzieć, słów jednak jej brakło w zaschniętem gardle.

— Ktokolwiekbądź, proszę drzwi mi do sali wskazać, proszę o to bardzo!

Głos mężczyzny był słaby i urywany.

Marja wreszcie odzyskała moc panowania nad sobą.

— Proszę pana za mną!

— Nie widzę!

— Oto... moja ręka!

Przez chwilę dłonie ich złączyły się wśród ciemności, zalegających sionkę.

Zapach konwalji odurzająco działał na dziewczynę. Doprowadziła jednak do drzwi mężczyznę i, wpuszczając go do sali, wyrzekła:

— Jesteś pan na miejscu!

Lecz on dłoni jej nie puszczał, jakby podpory szukając.

— Co panu?

— Nie wiem... słabo mi... siły mnie opuszczają!

— Usiądź pan!

Podsunęła mu krzesło; słabe czarną krepą przyćmione światło włóczyło się po kątach, nie mogła dojrzeć twarzy mężczyzny, która bladła, jak płótno.

— Co panu jest? — powtórzyła nachylona.

— Nic... sądzę jednak... że to głód! nic innego!... *C'est drôle... j'ai faim!...*

Chustką po ustach przesunął.

— Przybyłem już po obiedzie... spóźniłem się.

Próbował się uśmiechnąć, spazm mu usta wykrzywił.

Marja stała z rękami opuszczonemi, nie wiedząc co odpowiedzieć. Cóż mu dać jeść mogła, temu wykwintnemu paniczowi, całemu przesiąkłemu wonią wybornych perfum?

— Zjadłbym cokolwiek, o!... kawałek chleba!... odjeżdżam dziś w nocy! Ciocia gości nie lubi.

— Zaczekaj pan, przyniosę panu cokolwiek.

Wybiegła cała zgorączkowana, z chęcią jak najlepszego usłużenia człowiekowi, którego nienawidziła przed chwilą.

Gdy powróciła, na tacce niewielkiej niosła trochę masła, ser, kawałek chleba, ogórek, sól, flaszkę wódki i zapaloną świecę,

— Wszystko, co panu zaofiarować mogę — wyrzekła z zakłopotaniem, stawiając tackę przed pobladłym z głodu mężczyzną.

Usunęła się w cień, tracąc nagle wraz ze światłem na chwilę odzyskaną śmiałość. Jej biedna, zmoczona sukienka, czerwone, popękane ręce, sprawiały jej wstyd i dawały poczucie niedostatku i nędzy.

Tymczasem Stasio do jedzenia się rzucił, śmiejąc się do czarnego chleba, którego skibki w soli maczał i po wódce zajadał.

— To nie jest złe! — wymówił, do ogórka się dobierając.

Dziewczyna milczała ciągle, zażenowana, z oczyma w ziemię spuszczonemi. Chciała odejść, lecz sił jej brakło, ot prosto, jakby wrosła w ziemię.

Teraz już mężczyzna, pierwszy głód zaspokoiwszy, ciekawem okiem na dziewczynę spojrzał.

— Zdaje się... że winien jestem pani usprawiedliwienie. Na ganku, zmoczony deszczem... oślepiony jesienną wichurą, nie dojrzałem i...

Dokończyć nie mógł, Marja bowiem przerwała nagle z goryczą.

— O! nic nie szkodzi. Dojrzałeś pan dobrze, wziąłeś mnie za służącą. Chodzę tak źle ubrana, przytem...

Umilkła na chwilę, poczem dodała z wysiłkiem.

— Zresztą... ja jestem do tego przyzwyczajona!

Teraz poznała go dobrze.

Tak! nieraz, dzieckiem będąc, widziała go zdaleka u bogatych swych krewnych, jak w ślicznie skrojonej marynarce, przyprowadzony przez guwernera, bawił się cicho i spokojnie z kuzynami w pokoju „chłopców“ pod

dozorem Anglika. Był już wtedy chłodny, wyniosły, spokojny, pełen ironji i lodowatego sarkazmu. Czuł swą piękność i obnosił ją z dumą pięknej lalki.

On jej poznać nie mógł, bo nigdy na nią nie zwrócił uwagi, za dziewczynkę służebną ją biorąc.

Teraz Marja doznała podwójnej goryczy, poruszona tem wspomnieniem, nagle zbudzonem i silnie odczutem.

On obrzucił ją badawczem spojrzeniem, znudzony szarym dniem, czepiając się choć tej chwilowej rozrywki, nagle mu się nastręczającej.

— Nazywasz pani ciotkę Elżbietę „ciocią!“ — wyrzekł po chwili — jesteś moją kuzynką?

Ona nie odpowiadała, w cień ciągle zasunięta.

— Znalazłem więc kuzynkę nagle i zupełnie niespodzianie. W dodatku ocaliłaś mi życie, nie dozwalając umrzeć z głodu, tak, jak to ciocia Elżbieta sobie uplanowała. *Je suis ravi, enchantè, fasciné, èbloui!*

Odzyskiwał dobry humor i swobodę salonową.

Z bocznej kieszeni wyjął étui i, nie otwierając, zapytał:

— *Vous permettez?*

— Proszę!

Stanio nad świecą się pochylił i cienki papieros zapalił, z którego zamigotała purpurowa iskierka.

Marja mimowoli w iskierkę tę oczy wlepiła.

— Na strasznem pustkowiu żyjecie—podjął banalnie mężczyzna, wygodnie na krześle rozparty — czuję, że umarłbym, mieszkając tu ciągle.

— My jednak żyjemy.

— Och! to nie życie, to wegetacja!

— Jak dla kogo!

Teraz oboje ożywiali się stopniowo.

— Przekorna jesteś, kuzynko. Mową swą chcesz mi dać poznać, że ty w życiu takiem potrafisz odkryć coś więcej, niż jabym to uczynił.

— Być może!

— Oh!... *e'st trop laconique! enfin,* nie wmówisz we mnie, że się tu bawisz.

— Aby się bawić, trzeba wiedzieć, co znaczy to słowo.

— Jak to, nie bawiłaś się nigdy?
— Nigdy!
— Cóż więc robiłaś!
— Pracowałam!

Słowo to padło nagle, jak suche uderzenie młota, pomiędzy tych dwoje ludzi, w cieniu siedzących.

Stanio powstał i przeszedł kilka razy salkę, trochę znudzony obrotem, jaki rozmowa przybrała. Ta kuzynka biedna, obdarta i pracująca, wydała mu się nagle postacią, żywczem z angielskiego romansu przeniesioną na wołyńską ziemię.

Marja instynktem kobiety złe wrażenie słów swoich odczuła. Rozsądek i duma nakazywały jej powstać i odejść, tymczasem siła jakaś niepojęta do miejsca ją przykuwała.

Z poza okna doleciało przeciągłe wycie psa.
— To... wilki? — zapytał Stanio.
— Nie, to psy! — odparła dziewczyna.
— Br... zimno, smutno. Okropna pustka!

Kręcił się po pokoju i o szpinecik się potknął.

— *Tiens!* fortepian! no, no!

Bez ceremonji klapę podniósł, klapę, malowaną biało w kwieciste girlandy.

— Struny ma! *tiens! tiens!*

Za oknem pies wył ciągle.

— Trzeba to zagłuszyć!

Przysunął kulawe krzesło i ręce na zżółkłych klawiszach położył!

Wśród klekotu kościanych kołków stary menuet popłynął pod tonący w cieniu sufit.

Lat tyle szpinecik milczał, kurzem i pleśnią pokryty, aż w tę noc jesienną obudził się nagle ze starą piosenką, która zdawała się drzemać w złocieniach arabesek i girlandach białych róż.

Stanio grał, uśmiechnięty, zapatrzony, przypominając sobie smukłą postać hrabiny Dezy, która w pudrowanej peruce i z błękitnemi panierami, na ostatnim balu w ratuszu, menueta tego z nim tańczyła, a on, wpatrzony w różowy atłas jej skóry, za drobną rękę ją ściskał i przyrzeczenie pierwszej schadzki wypraszał.

Opodal jednak, w cieniu spowita, stała do ściany

przysunięta Marja, zasłuchana w melodję, z brzęczących strun płynącą i powoli, jak kwiat do słońca, tak otwierała się jej dusza do nieznanego i pogardzanego przez nią uczucia...

Pies wył jednak ciągle, żałosnym, ciągnącym się jękiem, świeca na stole słaniała się, wydając wąski pasek dymu, i tylko papieros w zębach Stania migał purpurowym blaskiem, rozświetlającym się, to gasnącym naprzemiany.

. . . . . .

Aż powoli, pocichu, rozwarły się drzwi wchodowe i, jak mary czarne ubogie i smutne, wsunęli się Bukowscy, a za nimi Leontyna, owinięta swoim szalem. Drzwi przymknąwszy, pozostali tak przytuleni do ściany zasłuchani w ten menuet, który przeciągłą ritornellą powracał ciągle w zawrotnem, lekkiem, tanecznem tempie. W głuchej pustce tych lat długich, które tu spędzili bez jednego dźwięku, bez jednej nuty, słuch ich pieszczącej, owa kaskada tonów, z pod rąk Stania płynąca, kołysała ich znużone głowy słodką pieszczotą zeszłowiecznej poezji.

W oczach Leontyny migotały łzy.

Suchotnica, ciężko dysząc, stała podniecona, milcząca, pełna niewysłowionej, bolesnej rozkoszy.

Bukowska, z oczyma błyszczącemi, a głową naprzód podaną, zdawała się kąpać w melodji powiewnej, pełnej czaru, szelestu jedwabnych spódniczek i chrzęstu długich wstążek.

Tylko Marja teraz ukryła twarz w dłonie, jakby broniąc się przed niewidzialnym wrogiem, który sieci swe naokoło niej miotał.

Biedna, nędzna w swej zmoczonej sukience, brzydka źle rozwinięta, dobywała sił ostatka, szamocąc się rozpaczliwie na tle melodji, w chwili życiowego przełomu, który zaznaczał się teraz przed nią wyraźnie i bolesną ranę w jej sercu żłobił.

Tymczasem Stanio triumfował, wracając bezustannie w swym menuecie do melancholijnych drżeń, unoszących się w powietrzu. Z instynktem pięknego mężczyzny czuł, że naciskając klawisze, gra na strunach

serdecznych, niknących w cieniu kobiet. Jak zalotnica, rozpuszczająca włosy przed zdziwionym tą kaskadą żebrakiem, tak przesycony muguet'em panicz, roztaczał nad opuszczonemi głowami smutnych wygnanek całą sieć, utkaną z lekkiej melodji, i w tę pustkę czarnej, wilgotnej izby rzucał całe snopy nut, migocących blaskiem po bagnie tańczących ogników.

Nagle drzwi od alkierza otwarły się z łoskotem. Zaczerwieniona snem, stanęła w nich Elżbieta i rękę ku grającemu wyciągnęła.

— Co to za brzdąkanie?... Proszę przestać! Lecz Stanio za całą odpowiedź silniej po klawiszach uderzył.

— Pies wyje, trzeba go zagłuszyć! — odparł zaciskając w ustach papierosa.

— Niech wyje! — zawołała Elżbieta — potrzebniejsze jego wycie, niż twoje brzdąkanie!

I, zdenerwowana tą powodzią tonów, bezustannie powietrze siekącą, do Marji się zwróciła:

— Kolacja!... a potem niech sobie panicz na cztery wiatry jedzie!...

. . . . . .

Z pod szaro ołowianych chmur podnosiło się powoli przemokłe, prawie żółte słońce.

Na ziemi kałuże błota rozlewały się szeroko, jak wielkie ciemne plamy, głębokie i przepaściste. Drzewa przemokłe, zwilgotniałe szarzały w oddali, smutno się ku ziemi chyląc. Dziedziniec cały w cieniu jeszcze tonął i tylko dwór na tem tle białawo się odcinał.

Zdaleka boru nie było widać, jeno pas czarny, rozlany, nad którym niebo jeszcze ciemne było z długimi fiołkowymi cieniami.

Na dziedzińcu, przed gankiem, stała bryczka zaprzężona w nędzne konie, które, potrząsając łbami, uderzały w dzwonki, zawieszone u dyszla rzędem. Dzwonki te kołatały lękliwie, jakby zachrypnięte wśród słoty jesiennej. Na koźle woźnica, otulony w grubą burkę, klął, bat motając grubemi, czerwonemi rękami.

Wreszcie na ganku ukazał się Stanio, ubrany w swój płaszcz gumowy, zaspany i wybladły po dniu, tak źle spędzonym i niedospanej nocy. Po niemożliwej

do przełknięcia kolacji, pożegnany ironicznie przez ciotkę, udał się wraz z Bukowskim do pokoju Marji i, tam noc spędziwszy prawie bezsennie, teraz z radością się na kolej wybierał.

Szybko neseser swój pod siedzenie wrzucił i sam na bryczkę wskoczył.

— Ruszaj!

Woźnica biczem machnął, bryczka zachybotała, konie szarpnęły i błoto bryznęło dokoła.

Stanio z uśmiechem okiem na dwór rzucił, jakby tem spojrzeniem brał w posiadanie obszargane mury i całą w nich istniejącą zawartość.

Wzrokiem tym zdawał się mówić „powrócę tu, lecz jako pan i władca“...

Dzwonki u dyszla jęczały przeciągle, tak, jak tylko dzwonki wołyńskich woźniaków jęczeć umieją.

Tymczasem w oknie dworu, ukryta poza murem, stała Marja, pobladła cała od rannego chłodu i nerwowego wzruszenia, które nią szarpało. Gdy wreszcie bryczka, okrążywszy dziedziniec, wyjechała za rozwaloną bramę, dziewczyna schwyciła się kurczowo za piersi, jakby jej nagle tchu zabrakło i, z oczyma szeroko rozwartemi, z ustami zaciśniętemi, stała tak, wsłuchana w jęczące coraz ciszej dzwonki.

VII.

W karczmie leśnej palił się duży ogień na popsutym i wpół rozwalonym kominie. Ogień ten rzucał czerwone, migocące światło na całą izdebkę, zda się przywaloną zczerniałym i spękanym sufitem; mech ze ścian wystawał, okienko założone było czerwoną pierzyną, wciśniętą rogiem w wybitą szybkę.

Na ziemi, na porzuconym sienniku spało dwoje dzieci, spódnicą wełnianą przykrytych, w koszulach brudnych, rozpiętych pod szyją.

Na łóżku rozkopanem i wysoko pod sufit zasłanem, siedziała synowa Jankla, wdowa, w peruce z atłasowych orzechowego koloru wstążek i w różowym barchanowym kaftanie, blada, nędzna, wyniszczona chorobą.

Cisza była dokoła, cisza zupełna, pluskiem tylko strząsanej z gałęzi drzew wody przerywana. Czasem zaszumiał nagle wiatr, podrywając gałęzie drzew i znów ucichło wszystko, pogrążone w wilgotnej ciemni.

Siedząca na łóżku kobieta poprawiała się od czasu do czasu, jęcząc cicho, zagasłemi oczyma w płomienie ognia wpatrzona. Kąciki ust jej opadły w bolesnem skrzywieniu, ręce rozpaloną cegłę, owiniętą w brudne szmaty, do podołka cisnęły. Z pod narzuconej pierzyny wysuwały się nogi chude, suche, obwinięte w strzępy błękitnych pończoch.

Nagle zaszumiało dokoła chaty. Szybkie kroki zadudniły po błocie, jakieś pomieszane męskie i kobiece głosy zamąciły ciszę, ktoś biegł prędko, do karczemki się kierując. Żydówka, z betów się uniósłszy pilnie słuchała.

Drzwi karczemki otworzyły się, szarpnięte silną ręką. Przez sionkę wpadła Trejne, dysząca ciężko, spłoszona... Za nią ukazała się żółta głowa Orchima, chychoczącego złośliwie.

Wpadłszy do izby, rękę ku dziewczynie wyciągnął.

— A... złapał ja cię! — zawołał.

Lecz ona nogą go kopnęła, ślad błota mu na białych spodniach zostawiając.

— Poszedł! — wyrzekła, zaciskając zęby.

Do ognia się zwróciła i zaczęła się suszyć, roztrzepując fałdy swej wełnianej, ciężkiej od błota spódnicy. Cała masa włosów spadała jej na piersi, nabierając w oświetleniu jaskrawem krwawych refleksów.

Orchim pokręcił się po izbie, a znalazłszy zydel na nim przysiadł.

— A, gdzie ty latała? — zapytał, zęby szczerząc.

Dziewczyna nie odpowiedziała nic, tylko z pod czerwonych rzęs zapaliły się i mignęły dwie iskry, jak w źrenicach dzikiego zwierza.

Orchim krótką fajkę z kieszeni wyciągnął.

— Ja wiem, kędy ciebie nosi... — mówił — lataj, djabła sobie wylatasz!

Trejne ciągle milczała, tylko nerwowo palce jej

po masie włosów grać zaczęły, plącząc i tak poplątane sploty.

— A jakby ja był zły, toby ja Janklowi całą prawdę powiedział! Oj-je!... dziesiątą skórę by z ciebie zdjęli.

Trejne plunęła pogardliwie w ogień i dalej milczała.

Orchim z zydla powstał, do ognia podszedł i węgielków małych, szukał, chcąc nałożoną fajkę zapalić.

— Djabli cię biorą ze złości... ha? — wyrzekł, znów do Trejny się przysuwając — boisz się, żebym tatele nie wyszczekał, gdzie ty się nocką włóczysz... Oj, ty *odmina!*

Fajkę na przymurku położył i do dziewczyny znów się zbliżył.

Ona wyciągnęła rękę, jakby się broniąc.

— Idź precz! — wyrzekła chrapliwie.

— O, ce!... jaka dumna. Oj! żydowska królewna! — śmiał się chłop złym śmiechem, za bary Trejne chwytając.

Ona, wyciągnąwszy obie ręce, odepchnęła go silnie kułakami, lecz on w locie kułaki te schwycił i dziewczynę do siebie przyciągnął.

— Ot tobie raz! — śmiał się chrapliwie — ot tobie dziewczyneńko się z Orchimem za bary brać...

Purpura ognia oblewała ich oboje krwawą powodzią.

Z zaciśniętych ust żydówki wypadł jeden charczący wyraz:

— Chamciuch:

— Żydowica — odrzucił chłopak.

Mierzyli się tak oboje długą chwilę, w purpurę spowici, z nienawiścią w oczach.

W kącie Małka cicho jęczała; deszcz w dach bić zaczął, w przegniłą słomę z pluskiem spadając.

Pierwsza Trejna z rąk Orchima się wyrwała i, w kąt izby się zasunąwszy, z kieszeni spódnicy jakieś paczki wyjmować zaczęła.

On fajkę podjął i, mrucząc z wściekłości, na zydlu przysiadł, puszczając kłęby dymu.

. . . . . .

Tymczasem wąską leśną drożyną, wśród gąszczu już bezlistnych, wilgotnych gałęzi, stąpała cała linja ludzi milczących, pochylonych, z odzieżą podniesioną do pasa, z brodami, rozwianemi dokoła zawiędłych twarzy. Każdy z tych ludzi prowadził za uzdę konia, który szedł niechętnie, ociągając się i co chwila łeb podrzucając. Z drzew ciekła strugami woda na pochylone plecy ludzkie, okryte ciemnymi chałatami, lub na wygięte grzbiety końskie, nierówno pod krzakami sunące. Ciemność zalegała dokoła, ciemność tak wielka, że o kilka kroków dojrzeć nie można było pni drzew, sterczących dokoła.

Koniokrady szli jednak śmiałym i pewnym krokiem. Wiódł ich Srul, blady krawiec z miasteczka, który okoliczne lasy znał lepiej, niż sami leśnicy i wzdłuż nieprzeniknionych, zda się, gąszczów miał drożynki pewne, wydeptane, zawsze do celu wiodące. Nikt drożynek tych oprócz niego i bandy nie znał; wiły się one, jak węże, pośród leszczyny, ożyn, chojaków i mietlicy. Koronkowy był to napozór wał, przecież dla innych nieprzenikniony, pełen dołów i rozpadlin, w które zapaść można było w razie potrzeby razem z końmi, zniknąć, jak pod falą gałęzi, patyków, przegniłej zieleni i wypłynąć o kilkaset łokci, jakby z gardzieli jakiejś hydry, ofiary swe wspaniałomyślnie wyrzucającej.

Srul szedł naprzód, jako przewodnik, z rękami założonemi za pas ciemny i zużyty, z głową wysoko podniesioną, przecinającą śmiało połamane i ogołocone z liści gałęzie.

Poza nim postępował sznur cały w milczeniu, i tylko plusk kopyt, w błoto wpadających, lub osunięcie się nagłe butów po śliskim gruncie przecinało ciszę, pełną grozy, ciemni i chłodu jesiennego.

Czasem koń zarżał nagle, jakby wzywając pomocy, lecz prędko wprawna ręka, za pysk go schwyciwszy, głos ten jękliwy tłumiła, i znów banda postępowała ponura, milcząca, niewidzialnym łańcuchem złączona, jak wąż potworny, z ludzi i zwierząt złożony, po zaroślach szybko się wijąc.

Zdaleka wiedli te konie, bo aż z Duchniawki, nocami ciemnemi przez lasy się przebierając. Ze stajni

tydzień temu je wywiedli, ze stajni mocno zapartej, lecz niedbale przez ludzi dworskich strzeżonej. Stangret do żonki młodej na wieś poszedł, chłopiec stajenny, w słomę zaryty, spał, psy podławione leżały dokoła bud martwe, z językami z paszcz powywieszanemi.

Czwórka siwych, dobranych jak łątki, koni od żłobów odczepiona, z kopytami owiniętemi szmatami, wyszła ze stajni, wleczona za uzdy silnemi rękami Jankla i Berka z Rohatycz. Pod dworem uśpionym i w ciemności spowitym, przeszła cała banda, jak cienie, zimna, obojętna, pełna bezkarnej zuchwałości. W kredensie światełko migotało słabe, tam bowiem lokaj sieci naprawiał. Pochylona jego głowa rysowała się na brudnej szybie.

Jankiel w okienko spojrzał i ramionami pogardliwie wzruszył. Stanowczo „goje" mieli inne uszy, niż żydzi; nie słyszeli nic, dobra swego bronić nawet nie chcieli!

Srul już za bramę wychodził, stanowiąc głowę pochodu; na lewo w czarnych osłonach tonęła wieś cała uśpiona, bez światełka, bez migocącej iskierki.

Żydzi drogę przeszli, powlekli się ścierniskiem, w którem woda pomiędzy bruzdami stała, i zniknęli w paszczy lasu, który zamknął się za nimi, jak wrota podziemnych katakumb, cichy i ponury.

Teraz już powoli dowlekli się do Janklowej karczemki, gdzie spodziewali się zastać Orchima, który parę koni w stronę Kamieńca miał pognać, pozostałą zaś przeznaczono pojedyńczo do Brześcia i Duboja.

Nagle Srul na kłodę utknął i zaklął niecierpliwie. Sosny tej zwalonej nie widział tydzień przedtem, musiał ktoś gospodarkę w lesie odbywać. Nagle koń jakiś, w zaroślach ukryty, zarżał, siwki odpowiadać mu zaczęły, żydzi do pysków przypadli, łachmanami chrapy zatykając. Jakieś czarne postacie, łamiąc krzaki, uciekały chyłkiem; Srul nogą odrzucił na bok siekierę i chłopską sukienną czapkę. Chwilę panował popłoch zobopólny, wreszcie żydzi poszli dalej, wężem się wijąc, chłopi do ścinania chojaków się wzięli, z głuchym łoskotem siekierami waląc.

Las tymczasem milczał, czarny cały, ponury, jak cielsko olbrzymiego zwierza. Czasem tylko jęk przeciągły puszczyka zawiódł skargę przenikliwą, lub wiatrem jesiennym wstrząsane gałęzie łamały się z suchym trzaskiem i, jak grad łez, na mech i badyle paproci spadały. Puszczyk zawodził, huczał po rozdrożach, gnany ze swych siedzib wiekowych; drzewa, w przeczuciu bliskiego zgonu, gałęzie martwe z siebie strząsały, jakby dreszczem zdjęte przedśmiertnym.

Wreszcie Srul, dróżkę do karczemki znalazłszy, szybko po niej deptać zaczął, wyprzedzając znacznie swych towarzyszy.

Do sionki dopadłszy, drzwi otworzył i szeptem prawie zawołał:

— Orchim! ty jest?

Chłop, drzemiący na zydlu, podniósł się i oczy przetarł.

— Jest.

Srul w sieni zniknął, Orchim hyrę poprawił, spodnie podciągnął, fajkę schował i w stronę drzemiącej na ławie Trejny pogroził.

— Poczekaj, ty *odmino* zatracona!... Ja cię nauczę!

Miał w sobie całą złość niewyspanego i niezadowolonego mężczyzny.

Pluł, i wreszcie do flaszki, stojącej na okapie komina się dostał i pił chciwie, gulgocąc, jak indor, a z kącików ust wódka mu się lała w zanadrze, poza rozhamraną koszulę.

Zapluskało dokoła karczmy silniej, cicha rozmowa napełniła sionkę. Żargon charkotliwy, urywany, o spękane ścianki się obijał, konie do chlewka naprędce skleconego z desek wprowadzono, gałganów im z nóg nie zdejmując!

Berek z Rohatycz w chlewku na straży został. Jankiel i Srul do karczmy weszli. Zmoczeni i zabłoceni, otrząsali swą odzież przed kominem, nie witając się z nikim, wchodząc, jak do obcej, przejezdnej karczmy.

Tylko Orchim, do Jankla podszedłszy, po ramieniu go uderzył i, chybocząc się na szeroko rozstawionych nogach, zapytał:

— Mignięte?

Jankiel głową skinął, i oparłszy nogę o podmurek komina, w płomienie patrzał.

— Farbować będziemy?

— Parę!

— Dla mnie?

— Tak!

— Dla mnie nie potrzeba. Ja ta lęku nie mam. Całe stado przewiozę bez farby!

Pierś naprzód wystawiał, hyrę w tył głowy odrzucał, pełen dumy z nabytej wprawy w przeprowadzaniu koni skradzionych w dalekie powiaty.

Jankiel ukosem na chłopa spojrzał.

— Idź ty, Orchim, do alkierza, ciemną odzież włóż, z białem płótnem nie możesz się po krzakach szastać.

Lecz Orchim dziś nie miał ochoty słuchać rad żyda.

— Schowaj ty dla siebie mądrości, odmieniony żydzie! — odparł hardo — nie takie ja koniaki po wertepach zganiał i w swoich białych szarawarach. Pomsta na ciebie i na twoje wymysły!

Jankiel ramionami ruszył.

— Twoja wola, Orchim! — odparł — bacz tylko, by ty szelmostwa nie zrobił.

Orchim znów flaszkę wódki do ust przyłożył.

Srul teraz od komina odstąpił i na środku izby stał w odzieży prawie suchej, lecz po kolana zabłoconej.

— Aj! aj Orchim!... ty znów wódkę ciągniesz! — wyrzekł półgłosem.

Chłopu oczy na wierzch ze złości wylazły.

— A tobie co do tego! — krzyknął, nogą tupiąc — zaprzepaścił ci ja kiedy szkapę, ha? O pustce w brzuchu koniaki ci po rozstajach wieść będę? Czorci gnacie!

Żydzi nie odpowiedzieli nic, lecz teraz obaj, na ławie zasiadłszy, szwargotać między sobą zaczęli.

Konie duchniawieckie dobry przedstawiały interes. Młode, zdrowe, z dobrej krzyżówki, w Duchniawce wyhodowane na dobrej stajni, mogły wybornie być sprze-

dane, byle o kilka powiatów odprowadzone czas jakiś w ukryciu przebyły. O wykupnie mowy nawet nie było. Konie kradziono już trzeci raz; dwa razy wykupił je pan z Duchniawki, teraz zaś przeznaczono je na wywóz i rozsypkę z czwórki po rozmaitych powiatach.

Sygnalizowane od dawna w oznaczonych przedtem miejscach, oczekiwane były przez bandę, szeroko sieci swe rozsnute mającą.

Zadaniem Srula było wracać do miasta i w dni kilka dopiero z jednym koniem przefarbowanym do Brześcia wyruszyć. Berek z Rohatycz tejże samej nocy ku Brodom przez Radziwiłłów miał się przebrać, wybojami jadąc. Orchim na Kamieniec z parą ruszył, drwiąc sobie ze wszystkich niebezpieczeństw, słaniając się po drogach o zmroku, popasając w karczmach pełnych ludzi.

Rogata bo w nim dusza była, harda i odważna, z pod rozczochranej hyry oczy tylko migały, jak u zwierza rozjuszonego, to znów czającego się w chwili na łup oczekiwania. Wódka mu płomieniem po żyłach grała, a chęć nieprawego zysku w duszę wrosła. Nie z chciwości jednak z Janklem się związał, ot—poprostu miał już we krwi chęć nieprzepartą do złego, do czynienia krzywdy drugim. Krwią nigdy się nie splamił, czuł jednak rosnące pragnienie zmoczenia w niej swych rąk żylastych. Z ojca i matki to już podobno wziął, w dniach krwawych zrodzony. Matka jego błąkała się wtedy długo, aż w Siemiatyczach za najmitkę poszła, z dzieciakiem w płachcie na plecach kwilącem. Dzieciak wyrósł chmurny, to znów chychotem niepoczciwym jakimś rwany; skręcał łby ptakom, kaleczył psy, gonił przepiórki. W wiecznej nienawiści dla dworu, pod murami się słaniał, w zakratowane okno alkierza wpatrzony, ciekawy, przejęty cały legendą, krążącą o skarbach, zawartych w skrzyni Szeniewieckiej.

Powoli — z żydami się złączył i do Jankla przyrósł, sprzężony z nim ręką fatalizmu, dając swój spryt chłopski wzamian za niewielką stosunkowo zapłatę, wyzyskiwany, podniecany siwuchą, pełen ciągłej chęci

postępowania w złem, zwiększaniu zbrodni, która nurtowała go, jak pragnienie wódki.

Teraz Srul i Jankiel, na marszrutę koni po lekkiej sprzeczce się zgodziwszy, odpoczywali, oddychając ciężko, bezpieczni w swej jamie, po której szczelinach tylko wiatr jesienny grał i okruszyny mchu rozrzucał.

Wreszcie Orchim pustą flaszkę na kominie postawił.

— Jankiel! a jakże z tem? ha?...

Jankiel brwi zmarszczył.

— Musi być! — odpowiedział chrapliwym głosem.

Orchim zaśmiał się i plecami poruszył.

— Kiedy?

— Przed grudą... niedaleczko!...

Orchim chychotał ciągle, podniecony i rozpromieniony. Wreszcie dreptać trepaka zaczął.

Tańcuj, tańcuj, dziewczyno,
Żebyś za mąż poszła!

Żydzi siedzieli nieruchomi, spokojni, cali w jasnym blasku ognia skąpani.

Przed nimi w migotliwem, złocistem oświetleniu wiercił się pijany chłop, rozwiewając dokoła białe płótno kuszuli.

Cichy jęk żydówki, cisnącej do piersi wystygłą już cegłę, wtórował łamanym słowom piosenki.

Jankiel powstał i, przy kominie przykląkłszy, z boku w grubce grzebać począł. Wreszcie znalazł jajko i, stłukłszy je o krawędź, obłupywał z wielką wprawą.

Srul siedział ciągle, nieruchomy, jak posąg, blady, z twarzą wyciągniętą, z oczyma podsiniałemi. Z rąk mu zwisał ku ziemi postronek gruby, w węzły powiązany.

Tymczasem z ławki podniosła się Trejne i, oczy przetarłszy, powstała.

Jankiel spojrzał na nią z pod oka. Nie lubił jej nigdy, tej przekornej dziewczyny, w której czuł jakąś dla siebie pogardę. Nie mógł znieść spojrzenia jej wielkich oczu wzgardliwych, dumnych i jakby rozmarzonych. Wreszcie od pewnego czasu synowa skar-

żyła się, że Trejne nigdy w domu nie siedzi, zawsze gnana jakąś niepoczciwą chęcią latania po lesie, powracania późną nocą, lub, co gorzej, wczesnym rankiem.

Szybko więc do przeciągającej się dziewczyny zwrócił i urywanym, charczącym żargonem, zapytał:

— Gdzie ty była?...

Trejne kończyła przeciągać się, jakby pytania ojca nie słysząc.

— Gdzie ty była? — zapytał Jankiel.

Trejne z pod gąszczu włosów oczy niedobrze błyszczały.

Tymczasem Orchim w *prisiudach* do niej się zbliżał.

— Ohe! korolewna!...

Ona nogą go kopnęła.

— Poszedł!

Pijak zachwiał się w podskoku, z ust mu buchnął gorący oddech, przepojony wódką.

— *Odmino* ty nieczysta!... pek tobie, wiedźmo! latawico!... kopać chrześcjańską krew będziesz? ty miłośnico posesorska!...

Trejne ręce nerwowo wyciągnęła, jakby chcąc Orchimowi język w gardło wtłoczyć, lecz już Jankiel stał przed nią groźny i za obie ręce ją chwycił.

— Co on gada? — zapytał.

Dziewczyna skręciła się jak wąż, czarną masą włosów po ziemi zamiatając.

— Jakiego ty posesora miłośnica? gadaj!

Piana mu na usta wystąpiła, straszny był cały w błysku ognia, który mu prosto na twarz padał.

Z łóżka doleciał cichy jęk przerażonej kobiety.

— Tatele!

Lecz on nie słyszał nic, coraz więcej na córkę następował.

— Gadaj!

— Orchim, który żargon rozumiał, z boku podrzucił:

— Horeckiego posesora miłośnica, Horeckiego. Tak mi Boże dopomóż!

Trejne, jak pies wściekły, ku niemu się rzuciła.

— Łżesz!

Ale on chychotał cicho, przedrzeźniał ją, wywieszał język.

— Łżesz? Ty sama, czarna wiedźmo łżesz!... Cała wieś dobrze wie, jak na wyrywki przez zagony do Horeckiego dworku sadzisz!

Jankiel ścisnął ręce Trejny i potrząsł nią całą.

— Czego ty tam chodzisz? czego? co ty z tym chrześcjaninem masz?

Na czoło mu wystąpiły żyły, na myśl, że raz już u nich w rodzie wstyd był i hańba ciężka. Tołce, Aaronowa córka, chrzest przyjęła i żoną goja została, na wieczne całej rodziny pohańbienie.

— Mów!... co ty z nim masz?

Trejne usta zacięła i tylko oczy jej ciągle latały, jakby pod wpływem strasznego niepokoju.

— Ja ciebie zabiję, gadzino ty niepoczciwa — zaczął Jankiel syczącym głosem, nachylony nad twarzą rozpaloną córki — zabiję, zdławię własnemi rękami! Ty od gojów trzymaj się zdala, bo niech święta nie doczekam, jeśli cię w proch nie zetrę, w ziemię nie zakopię pierwej, nim ci pomiędzy nimi żyć pozwolę!

Ręce dziewczyny cisnąc, ku ziemi ją giął, tak, że przyklękła u stóp jego, przeginając się w tył, cała purpurowa od krwi nabiegu.

— Ty... podła!... podła!...

Ona, pod obelgą oczu nie spuszczała i źrenice jej, dzikie, płonące, gorzały, jak świece, w czarnem rzęs obramowaniu. Z ust mocno przygryzionych, drobna kropla krwi się sączyła.

Pochyleni nad sobą mierzyli się teraz oboje oczami, wściekli, pobudzeni.

Nagle dziewczyna, odczuwszy słabsze rąk ściśnienie, zwinęła się, jak gadzina i, tuż pod nogami ojca się przesunąwszy, ku drzwiom skoczyła. W sekundę była za chałupą i z dzikim krzykiem w czarną gąszcz leśną wpadła, jakby w tej ciemni szukała ochrony. Woda w kałużach plusnęła, gałęzie krzaków z trzaskiem załopotały i Trejne zniknęła, jak czarne zjawisko, nie goniona przez Jankla, który na ławkę koło Srula upadł i, głowę w dłoniach ukrywszy, cicho postękiwał.

. . . . . .

W godzinę później wszyscy złodzieje koni szli wolno drogą, prowadzącą przez łąki do Zabijanika.

Berek z Rohatycz powiódł już swego konia, któremu przemalował grzywę i ogon naprędce, a przez krzyż pędzlem ciemną pręgę, ku bokom jaśniejszą, przeprowadził. Orchim nagle zmienił postanowienie i dopiero nazajutrz w samo południe wyruszyć postanowił; teraz za żydami, idącymi przez zabijanickie grunta do miasteczka, się wlókł, żując tytoń, z tabaką pomieszany, i od czasu do czasu spluwając.

Żydzi szli jeden za drugim, milcząc, nie mając więcej nic sobie do powiedzenia, skoro interesa załatwili, pogrążeni w zadumie, każdy o swoich kłopotach. Jankiel miał teraz przed oczyma wyzywającą postać Trejny, splamionej tajemnemi konszachtami z posesorem z Horki. Nie szczęściło mu się w dzieciach, bo oto zeszłej jesieni zmarł syn, zdolny złodziej koni, który, postrachem będąc całej okolicy, ojca, ba, nawet dziada, samego Szmula z Siemiatycz, prześcignął! Teraz znów Trejne, ta Trejne, która miała poślubić Sichima, syna Aarona z Kowla, z nienawistnym chrześcjaninem w znajomość się wdała, kalając swą krew i na zagładę się prosząc.

Jankiel na myśl tę samą wzdrygnął się, jakby na widok gadziny.

Chłodny wicher jesienny, po łąkach hulający, twarz mu rozgrzaną chłodził i żar z ust wyciągał; on szedł coraz prędzej, jakby przed jaką myślą straszną uciekając.

Usta mu kurczowo drgały, oczy, otwarte szeroko, śledziły machinalnie kontury sylwetki Srula, który czerniał przed nim o kilka kroków ciągle wyprostowany, smukły, bladą twarzą powietrze przecinając. Za nim wlókł się Orchim, a nogi jego ciężko tonęły w rozmokłym gruncie i z charakterystycznym odgłosem od błota się odrywały. Chłop, jak niewolnik, za żydami po błocie brnął, mimowoli przybierając linję, przez nich zakreślaną.

Zdala panowała atramentowa ciemność; zaledwie bliskie krzaki, rosnące nad rowem, okalającym drogę, rozróżnić można było.

Wreszcie Orchim, znudzony, Jankla za chałat złapał.

— Jankiel! słysz! — odezwał się przyciszonym głosem — pod oknem ja na wywiadki był.

Jankiel głowę pytająco zwrócił.

— Czego ty tam chodzisz? czego?

— Żeby już pewność mieć, jak i co!

Żyd niecierpliwie ramionami ruszył.

— Ty durny chłop jesteś! — wyrzekł — jeszcze obaczą ciebie, to co potem będzie? Strzec się będą i tyle. Aj! aj!... Orchim! co ty za łeb masz!...

Orchim hyrą potrząsnął.

— Ty się, odmieńcze pohany, nie bój; ja ta dobrze ważę, nim co działać wezmę!

Jankiel stanął i ręce za pas założył.

— Ty nic, Orchim, do działania nie masz. Jak ja ci powiem: już czas, ty wtedy za mną idź; ty nic na swoją rękę nie rób, bo sam przepadniesz i mnie zgubisz!. Pojął ty?

Lecz Orchim się stawiał, nogi na błocie rozkraczał i pięście zaciskał.

— Ta czemu? ta czemu ja mam zawsze za tobą chodzić? Czy ja to cielak, czy cień twój, żydzie?

Jankiel spokojnie brodę gładził.

— Ty nie krzycz tak, głupi, bo cię jeszcze posłyszą, ta turmę, obaczysz przed czasem!...

Lecz chłop, wódką spojony, w garść pluł.

— A no, to i zgniję w turmie, jak należy, ale z tobą, wężu pohany! czorcie zatracony!...

Na drodze, zdala, dzwonki słabo dzwoniły. Teraz Srul, ciągle przodem idący, nagle się zwrócił i do Orchima podszedł.

— Pan sprawnik jedzie.

Orchim oczy szeroko roztworzył.

— Niech jedzie — wyrzekł z uporem — dobrze jest, że jedzie. Otóż nas teraz w kupie pochwycą i do turmy zagnają!...

Łzy mu nagle do oczu napłynęły.

— Aj, Janklu, duszko, po co ty na ten świat przyszedł, kiedy już tobie taka zatracona dola przyszła.

Rozrzewniał się, ręce rozstawiając.

Dzwonki brzęczały coraz wyraźniej. Żydzi obejrzeli się dokoła i, po krótkiej naradzie, do lasu, w który droga wpadała, dążyć zaczęli. Za nimi Orchim zapłakany dążył, ucierając nos w garść i powtarzając ciągnącym, rzewnym głosem:

— Janklu, żydziaczku!... Taka ci to dola twoja...

Żydzi już do krzaków dotarli i w gąszcz się zapuścili, gdy dzwonki zajęczały hałaśliwie i plusk kopyt końskich dał się słyszeć dokładnie.

Koła podskakiwały na porzucanych przez drogę chojakach, które tonęły w błocie i wilgoci, czarnemi cielskami jak stężałe gadziny drogę przecinając.

Żydzi gąszczem mknęli cicho, instynktownie do ziemi się chyląc, nie chcąc być widzianymi przez jadących, których w cieniu rozpoznawać nie było podobna.

Orchim, wiedziony instynktem samozachowawczym, umilkł, krzaków się chwytając, tylko łzy mu jak grad po twarzy brudnej ciekły i na płótno koszuli spadały.

Nagle bryczka podskoczyła na jakimś pniaku i równocześnie dał się słyszeć nosowy, przeciągły głos męski.

— Aj, Kuliczku, serce!... a uważaj ty, kochanie, bo duszę ze mnie wytrzęsiesz!

Na ten głos Srul nagle się zatrzymał.

— Krowołapnik!

— Sam w nocy, w lesie, w ręce poprostu lezie i o swoje się prosi.

Srul w piersiach dech zaparł i na nadejście Jankla czekał.

Za chwilę ojciec Trejny o krawca się potknął, ten mu usta do ucha przyłożył i chwilę coś szeptał. Jakiś śmiech kurczowy nagle z piersi Jankla wybiegł...

— Git, git! — odparł, rękawy chałata zaginając.

I puścili się teraz obaj szybkim krokiem wzdłuż drogi, koło zataczając, aby bryczce Brunona drogę zajść.

Brunon jechał zły i zaspany. Wracał z Siemiatycz, gdzie dano mu resztki z obiadu: trochę kartofli i kości schabu do ogryzienia. Pani Elżbieta, ironiczna i zgryźliwa, zmęczona newralgją, która jej głowę drę-

czyła, siedziała cały czas, mając rondel na głowie dla uśmierzenia rozigranych nerwów. Z pod tego rondla, jak z pod hełmu wojownika, rzucała bezustanne strzały w pierś Brunona, którego mieniła być rozrzutnym marnotrawcą, jeżdżącym w trzy huzarskie konie i ubierającym swego woźnicę w mantynę i grodenaple. Leontyna nie pokazała się wcale.

Podobno obłożnie od dwóch dni była chora.

Marja milczała smutna i przybita.

Nieobecność Leontyny była tylko jedną słabą pociechą dla serca starego egoisty. To wybladłe i wyschłe widmo panny, która miała niejakie prawo do jego względów, drażniło go zawsze niewypowiedzianie... Ludzie, a zwłaszcza mężczyźni, nie lubią patrzeć na to, co ich nikczemność przypomina.

Stanowczo Brunon nie mógł znosić widoku Leontyny. A przecież był czas, gdy Brunon do Siemiatycz w sekrecie przed mamą senatorową jeździł, i, z siwka swego złażąc, młody pseudo hrabia szyję na wszystkie strony wyciągał, aby tylko szlafroczek z bareżu dostrzec i białą pończoszkę, z pod fałdów sukienki się wysuwającą!

Brunon na siedzeniu się poprawił, nieprzyjemnem wspomnieniem dręczony!

Tak, tak... stoliki wirujące, słodkie dźwięki harfy, szlafroczki z muślinu na rurkowanych spódniczkach, oddziaływały na niego w dziwny sposób. Ogłupiał i kto wie do czego byłby doszedł, gdyby nie ocaliła go mama senatorowa i poczciwa pani Elżbieta.

O! ta odrazu zaprowadziła porządek i ład w tej całej sprawie...

Później wlokło się to, niby ukradkiem, aż wreszcie na jednym punkcie stanęło i już tak zostało, powoli w *status quo* przechodząc.

Siedzenie na bryczce było niewygodne, Brunon zsuwał się ciągle za każdem podrzuceniem kół. Dywanik był śliski, przemokły i zupełnie wytarty.

Brunon wykrzywiał się dziwacznie i przeziębłemi rękami za drążki chwytał. Czasem o Kulika nagle nosem uderzył i wtedy mruczał:

— Kuliczku serdeńko! nie szturchaj ty pana hrabiego!

Nagle z gąszczu jakieś ciemne postacie się wysunęły i drogę koniom przecięły. Szkapy wspięły się nagle, spłoszyły, przedniemi nogami powietrze bijąc.

Jankiel już do lejcowego dopadł i silną ręką do ziemi go giął. Srul do kozła zmierzał, chcąc Kulika obezwładnić, lecz woźnica pod kozłem zniknął raptem, głowę w siano schował, przerażony, nieprzytomny z trwogi.

Brunon z siedzenia się porwał.

— Kto tu? kto tu?...

Lecz już Szmul na drążek się wspiął i silnemi, nerwowemi rękami za gardło hrabiego schwycił.

Szamotali się krótką chwilę w ciemności, dysząc ciężko. Konie szarpnęły się jeszcze, Jankiel u pysków im się wieszał, przytrzymując.

Teraz już Brunon z sił opadł i na kadłub bryczki się osunął, z ubraniem poszarpanem, z twarzą pobladłą. Srul pelerynkę z niego zdzierał i, szarpiąc ją na sztuki, ręce mu z tyłu wiązał.

— Krowołapnik! — mruczał przez zaciśnięte zęby.

Nienawiść plemienna i pamięć krzywdy brzmiały w tym cichym szepcie. Blady żyd ocknął się teraz i cały wściekłością dyszał, mszcząc się za grosze, na stoliku pod galerją kładzione.

Z krzaków wreszcie wynurzył się Orchim.

Jankiel syknął na chłopa, do koni go wołając. Orchim melancholijnie do bryczki się zbliżył i, wspiąwszy się na koła, ciekawie na Srula patrzał.

Teraz Brunon, silnie związany, leżał w bryczce dławiąc się własnym gniewem. Milczał, nie chcąc oporem swoim wywołać ciężkiej dla siebie katastrofy, okradzenia z pieniędzy, które na piersiach nosił. Czuł po sposobie wiązania i obchodzenia się z sobą, że pada ofiarą jakiejś osobistej zemsty. Milczał więc i, tylko ukradkiem oczy otwierając, starał się twarze napastników swych w cieniu rozpoznać.

Lecz cała masa siana zwaliła mu się teraz na twarz, but podkuty Kulika, skurczonego pod kozłem, w czoło mu się boleśnie wrył i perukę zdzierał.

Tymczasem Jankiel lejcową szkapę szybko odprzęgał i dzwonek od dyszla odczepiał. Poczem, na kawałku rzemienia, z lejc urżniętego, dzwonek na szyi koniowi zawiesił.

— *Fertig?* — zabrzmiało od bryczki.

— Tak.

Srul Brunona jak kłodę dźwignął. Teraz Orchim zaczynał rozumieć i czemprędzej grafa za nogi pochwycił.

A chodź grafeńku, nieboże! — zaczął przeciągłym głosem.

— Pst!... syknął Srul.

Lecz chłop nie miał zamiaru ukrywać się w tej chwili.

A chodzi krowi grafie! synu najmilejszy! ty krasneńki!... Po lubczyk ty po lesie jeździsz... ta lubczyku my ci damy...

Jankiel konia podprowadzał. Dzwonek przeraźliwie jęczał, szyją konia miotany.

Srul wraz z Orchimem Brunona na szkapę podrzucić chcieli, lecz koń w bok uskoczył; sprobowali raz jeszcze; udało im się. Teraz jednak Brunon, przerażeniem nagłem zdjęty, krzyczeć okropnie zaczął:

— Jezus Marja!... ludzie!... ratujcie!... zabijają!... za...bi...ja...ją!...

Orchim, jak małpa, na zad szkapy się wdrapał.

— Synku, nieboże, nikt ci tu żywota nie wydrze!... Stul mordę.

Brunon z konia zleźć usiłował.

— Ostań na szkapie, grafeńku! — chychotał Orchim, podczas gdy Srul ręce Brunona rozwiązywał.

Brunon, korzystając ze swobody, rękę wyciągnął, lecz już mu Orchim przez ręce drąg silny przekładał i dłonie do niego szmatami krępował.

Brunon szarpać się nie przestawał. Koń wierzgał po błocie się ślizgając i przez chwilę kilku ludzi, u tej białej masy uczepionych, chybotało się na ciasnej drodze.

Wreszcie nogi grafa pod brzuchem konia związano i ręce silnie do drąga przykrępowano.

— Ra...tun...ku!... — jęczał Brunon.

Orchim z konia się zsunął i do krzaków dopadł, mocnych prętów szukając. Wyłamywał z trzaskiem grubą gałąź i o błoto nią uderzał.

— Kulik... Kulik!... gdzie ty? — jęczał Brunon, głowę nagą, błotem obryzganą, w ciemność wykręcając. — Ku...lik!

Głos mu w łkanie przechodził. Czuł się w tej chwili starcem, bezsilnym, przez niknące w cieniu o żelaznych dłoniach istoty dręczonym.

Lecz już Srul od konia odstąpił, a Jankiel za uzdę na drogę szkapę wyprowadzał. Orchim zbliżył się i, silnie konia za ogon schwyciwszy, na nogach się osadził.

— A toż tobie, pane grafe, marna dola przyszła— zaczął znów swym lamentującym głosem Orchim. — A w jakąż ty, serce, czarną godzinę na świat przyszedł... Aj, dołoż! dolo!...

Lecz Srul do chłopa poskoczył.

— Dawaj! krzyknął.

Gałąź chciał mu z rąk wyrwać, lecz Orchim go kopnął z gniewem.

— Poszedł, żydzie!... poganinie, to moja rzecz!... chłopska!... Ganiaj... wio!... ha!...

Z wściekłością konia po zadzie uderzył raz i drugi, lecz ogona nie puszczał. Koń na tylnych nogach się wspiął, do ziemi przysiadł, gałąź spadła raz jeszcze i teraz dopiero chłop z triumfalnym krzykiem zwierzę puścił, które pomknęło naprzód jak szalone, dzwoniąc przeraźliwie i kopytami waląc po błocie.

Na ścieżce pozostali żydzi i chłop błotem oblepieni, nienawiścią dyszący, rozgorączkowani...

Z wytężonem okiem śledzili kierunek, w którym koń popędzić musiał i chłonęli w siebie szalony, rozpaczliwy jęk dzwonka, który oznajmiał o tym upiorze, w cieniach nocy, jak widmo, sunącym po drodze, z rękami rozpiętemi, z twarzą bladą, straszną, krwią i błotem zbroczoną.

Wówczas z bryczki podniosła się nagle jakaś zgarbiona postać w świtce ze starych kawałków mory i mantyny złatanej i cichy, przenikliwy chychot rozległ się dokoła.

To Kuliczek, woźnica pana grafa, nagle odczuł radość z nieszczęścia swego chlebodawcy.

Dzwonek jęczał jeszcze ciągle wyraźnie nierówny, konwulsyjny, a na ścieżce przysiadł Orchim, za boki się trzymając.

— Ot tobie czorcie swat! — wołał, wijąc się pod chałatami żydów.

A tymczasem, wśród czarnej, lasem obramowanej drogi, pędził ciągle biały koń z uczepionym na grzbiecie Brunonem.

Przerażone zwierzę sadziło teraz po kałużach, wodę dokoła rozpryskując, przeskakiwało wyboje, często się ślizgając. Kopytami bił o ziemię koń i coraz grzbietem potrząsał, jakby chciał się pozbyć tej bezkształtnej masy, ciążącej mu na grzbiecie. Wiatr twarz Brunona siekł, jakby starcowi urągał, drzewa bezlistne szemrały ze zgrozą, swe czarne konary ku niebu podnosząc, a dzwonek jęczał... jęczał przeraźliwie, a koń w czarną przestrzeń biegł coraz dalej... dalej...

VIII.

Teraz Marja nie poznawała już samej siebie.

Od rana do nocy zajmowała się wprawdzie tem, czem dawniej, lecz praca jej z rąk się wysuwała, a jakaś miękkość obejmowała ją całą. Zatrzymywała się często na miejscu, smutna, zamyślona, i stała tak długo, wpatrzona przed siebie, z twarzą pobladłą i rękami wzdłuż ciała obwisłemi...

Ciągle i zawsze miała teraz przed sobą wspomnienia bytności Stania, i jakby nagle zagasło dla niej słońce po jego odjeździe, tak stało się jej szaro i smutnie. Człowiek ten przeszedł przez jej życie, jak cień, i jak cień też ciemną oponą powlókł jej istnienie.

Dziewczyna, bezwiednie, nagle, poznała wszelką udrękę tego dziwacznego stanu, który ludzie mianem „miłości“ ochrzcili.

Sądziła, że jest chorą; piła „malinki“ gorące, pocąc się pod swą ubogą kołderką, strugi potu oblewały ją całą, gorączka wszakże nie ustępowała, serce biło

coraz prędzej na samą myśl, na samo wspomnienie minionych chwil.

I wszędzie, wszędzie, on szedł za nią, piękny, wyniosły, ironicznie uśmiechnięty. Czy to na ganku, gdy stała, słuchając pluszczącego deszczu, czy w sieni, wśród ciemności, czy w salce — wszędzie, wszędzie, go widziała... Nawet wśród ścian swej ubogiej izdebki, nawet na tej kanapce pod oknem ciągle ta wizja majaczyła przed nią, nieuchwytna, a przecież konturami swemi w serce się jej wrzynająca.

Bo teraz, zamiast serca, miała Marja jakąś dotkliwą bliznę, pod którą krwawiło się coś boleśnie. Czuła poprostu ból fizyczny, ciągły i bezustanny. Rozpuszczała zaszywki stanika... nic nie pomagało. Zanim zasnęła, męczyła się długo, cierpiąc w milczeniu. Łkania ją dławiły, łez miała oczy pełne, i co chwila zdawało się jej, że wybuchnie głośnem szlochaniem. Przezwyciężała się przecież i, po długiej walce, leżała pogrążona w półśnie gorączkowym, który ją wyniszczał. Powoli stawała się dziecinną, i cały hart jej duszy topniał w tej rzewności, w której się teraz kąpała. Pochowała rozmaite pamiątki z bytności Stania: flaszeczkę z wodą kolońską, kawałek gazety, którą znalazła porzuconą w swoim pokoiku. Mówiła ciszej i łagodniej, a spojrzenie jej nabrało nieokreślonej rzewności. Dojrzewała moralnie, stawała się bardziej kobietą. Nawet ruchy jej, często szorstkie i nieestetyczne, miały teraz jakąś miękkość i zaokrąglenie. Na wiadomość, że Motrunka, Hieronimowa, dońka, zaślubia po adwencie Stepanowego Iwana, zakryła twarz, jakby rozpaczą nagłą zdjęta. Sama myśl o szczęściu tej dziewki mieszała ją teraz w niepojęty sposób. Dawniej odbierała *werez* od nisko kłaniającej się panny młodej z chłodnym uśmiechem; dziś, wobec tych dwojga młodych ludzi, nie mogła zachować się obojętnie. Czuła przejście rozpalonego żelaza wzdłuż piersi, w oddali zaś majaczyły przed nią wielkie szafirowe oczy, ocienione długą rzęsą...

Nieraz kwarta, którą Marja mierzyła otręby wpadała na fartuch zdziwionej Władysławowej, a wówczas gospodyni, skrobiąc się w głowę, pytała:

— Co z paniuńcią? urok na was padł? ha?

Ciotka Elżbieta długi czas zdawała się nie dostrzegać nic, łając tylko czasem siostrzenicę za ślamazarność, z jaką po domu się krząta.

O Staniu nie wspominano nigdy, lękając się sprawić przykrość ciotce, która o sukcesorze swym prawie już zapomniała.

Pewnej soboty, w miesiąc może po bytności Stania, przystąpiono do zamiatania salki.

Elżbieta rzadko czynność tę spełniać pozwalała, mówiąc, że śmiecie i tak się nogami wyniesie.

Było to w południe chmurne i ponure. Zima nie mogła zdecydować się na pierwszy śnieg i szara słota wciąż jeszcze dokoła dworu, jak całun mokry, się słała.

W salce Marja, z sukienką podniesioną i z tyłu zapiętą, oraz Bukowski, dopomagali Władysławowej, która odsuwała meble i ścierką kurz zgarniała. Pod oknem, o szybę wsparta Leontyna, owinięta szalem, z rumieńcami ceglastemi na zapadłych policzkach, kaszlała ciężko, śledząc smutno ku ziemi obwisłe konary drzew, przez które szarostalowe prześwitało światło. Koło szpineciku siedziała na fotelu Elżbieta osowiała dziś i zgryźliwa, dręczona reumatyzmem i newralgją silniej, niż zazwyczaj.

Marja prawie u nóg jej przyklękła, zbierając mokrym płatem całe pasma błąkającego się i pokłębionego kurzu. Elżbieta śledziła ruch jej rąk i przygryzała usta.

— A cóż u djabła? — zawołała wreszcie — ślepa jesteś, czy co? nie widzisz, co się dzieje pod ścianą? Marja posunęła się dalej.

— Darmozjadów kurz się czepia!—mruczała dalej Elżbieta — darmozjadów i leniuchów. Dlatego tyle brudu się tu namnożyło... O... Ja tu podeszwami mojemi kurzu nie przyniosę, ani ja... ani Szmul.

Była teraz znów po stronie Szmula, cała podbita „szlachetnością", z jaką przyjął podwyższenie arendy i propozycję zakupienia hurtowego wszystkich zbiorów siemiatyckich.

Bukowski, zgięty we dwoje, podnosił papierki,

wióry i kawałki rozmaitych śmieci, niewiadomo nawet, w jaki sposób się dostające.

Nagle wyciągnął rękę po jakiś biały przedmiocik, na podłodze leżący i ręka spotkała wyciągnięte palce Marji.

Cofnęli się oboje; ze swego krzesła na nich spoglądała Elżbieta.

— A to papieros jeszcze po tym wizytancie, kawalerze wiercipięckim!—odezwała się wreszcie—a sprzątnijcież go u djabła, niech go na oczy nie oglądam!

Znów ręka dziewczyny i starca wyciągnęła się w stronę niedopałka, porzuconego niedbale podczas wykonywania przez Stania menueta.

Bukowski łakomie na tę resztkę spoglądał. Chciał dopalić ten zwietrzały papieros, po kolacji, ukradkiem przed żoną, przypominając sobie dawne czasy.

Marja zaś, jak po pamiątkę, ot, po kobiecemu, rękę wyciągała.

Wreszcie dziewczyna niedopałek podniosła i cała zmieszana za stanik go zatknęła.

Elżbieta na fotelu podskoczyła.

— A cóż to znowu za farmazonja? — zawołała — pewnie teraz papierosy będziesz palić? ha? otóż to świat dzisiejszy! Jeszcze się gwizdać nauczcie do kompletu.

Marja, zmieszana, prędko papieros z poza stanika wyrwała i na ziemię go rzuciła.

— Ot, masz! — zawołała — znów śmiecie rozrzucaj! — dalej... dalej!... A może panna chciała sobie pamiątkę po kawalerze schować? Ha?

Szyję Marji oblała purpura. Opuszczonej ku ziemi twarzy dojrzeć Elżbieta nie mogła.

Stara kobieta aż nogami o ziemię uderzyła.

— A to pociecha!... Jezus Marja!... ot, panienka się zaczłapała w tym glansowanym pajacu.

Marja, czując purpurę na twarzy, chyliła się tylko ku ziemi, nie śmiejąc w oczy spojrzeć obecnym.

Elżbieta, w siódmem niebie z radości, iż odkryła jakąś w tej silnej dziewczynie słabą stronę, dalej się pastwiła.

— Otże to radość niezrównana! Panna Marja,

osoba przykładna, zadurzona powyżej uszu w takim brzdąkaczu, w takim elegancie!... Serce, Maryniu, duszeńko, on taki na ciebie inaczej, jak na Władysławowę, nie patrzy, on ma po uszy wypiżmowanych, wyfanfiruloszonych dam, ot, na wybiórki. Nie wierzysz mi?... Szmula zapytaj!... Ot co!...

Marja zęby zacięła, nie umiejąc znaleźć w swej piersi ani jednego słowa, ani jednego krzyku, któryby nie pozwolił dalej ciotce ranę jej wydobywać na wierzch i z taką brutalną zuchwałością odsłaniać.

Dawniej skoczyłaby, jak lwica; dziś pokonana, zmęczona, znużona, nie umiała, nie mogła się bronić, i prócz łez, nic w sobie nie miała.

Elżbieta ciągnęła dalej, nieubłagana.

— Co im to z tą miłością po łbach strzela? Ha? Jeść co niema, dachu swego, koszuli na grzbiecie, i ot, kocha się!... Aj! aj!... serdeńko... kocha się! Ta co? tfu!... u czorta, nie wstyd ci to ślepie wypatrywać za jakimś durniem, co ma wąsy, jak przypięte, a śmierdzi lewandą, jak tchórz pod kurnikiem...

Ręką machnęła.

— Wszystkie wy jednakie, stare, czy młode, durne i za błahostkami patrzące. Statku w was za pięć groszy i ot, byle czego, panna leci na oślep i potem całe życie wzdycha, jakby jej za to płacili.

Marja powstała i, ścierkę porzuciwszy, szła, milcząc, w stronę drzwi, gdzie leżała miotełka z wydartą do połowy szczeciną.

Gorące wypieki zastygły jej teraz na twarzy, na rzęsach drgały dwie łzy.

Od okna śledziła ją Leontyna, z jakiemś wielkiem, serdecznem współczuciem.

— I żeby ty się choć widziała, serce, jaką ty mizerną masz postać! — podjęła znów Elżbieta — ta by ty sama gębę otworzyła nad swoją głupotą! Ani ty z pierza, ani ty z mięsa, bo to ani posagu, ani urody... I co ci to do łba strzeliło? ot prost warjatka!

Teraz w Marji powoli zaczęła budzić się reakcja; pod chłoszczącemi ją wyrazami ciotki drżała cała z gniewu i wstydu.

— Ty cała się w matkę swoją wdała! — ciągnęła dalej Szeniewiecka, — jak jej się ubrdało, duszeńce, poślubienie tego hajdamaki, Salkowskiego, tak... bij! zabij! lamenty, fochy, spazmy, aż dali jej tego golasa, co prócz długów miał jeszcze brodę na łokieć długą z konopi!... I co jej z tego przyszło? Ha! Poszli oboje na marne, na marne... i nic z nich nie ma, ani pożytku... ani...

Dokończyć nie mogła.

Ode drzwi porwała się teraz Marja i rękę rozkazującym ruchem przed siebie wyciągnęła.

— Ani słowa więcej!... słyszysz mnie!... ani słowa! — krzyknęła drżącym, zmienionym głosem.

— Póki szarpałaś mnie samą, póki mię włóczyłaś, jak skazańca za włosy, tu, pod swojemi stopami, milczałam, choć wiem, że milczeć nie powinnam! Lecz teraz!... gdy mi plwasz na mogiły, milcz!... i cieni z grobu nie wywlekaj! O!... O!... ty!... ty!...

Umilkła słów jej brakło i tylko ręce jej brudne szybko stanik u szyi rozrywały.

Na białem tle drzwi odcinała się dokładnie jej ciemna głowa, prosta, wyprężona, ku Elżbiecie zwrócona. Elżbieta na fotelu wciąż siedziała, zdumiona, przerażona tym nagłym wybuchem przed chwilą milczącej dziewczyny.

Lecz teraz już Elżbieta z krzesła swego powstała, cała z gniewu drżąca

— Zuchwała! — krzyknęła chrapliwym głosem — zuchwała gadzino! chleb mój jesz — na mnie plwasz!

— Pracuję i płacona jestem nędznie!

— Nędznie!

— Wyzyskiwana!

— Idź, idź! pracuj gdzieindziej!

Po twarzy cień przemknął.

— Pójdę... skoro miejsce znajdę!

Elżbieta zapieniła się cała. Na myśl przyszło jej wspomnienie całej pracy, jaką Marja dźwigała na swych ramionach. Zastąpić jej nie było kim.

— Nie skoro miejsce znajdziesz, ale skoro cię puszczę! — syknęła wreszcie, cała granatowa od krwi nabiegu.

— Niewolnicą twą, ciotko, nie jestem! Ciała mego ci razem z czasem nie zaprzedałam.

— Niewdzięcznico!

— Nie szafuj słowami, których nie rozumiesz! Jestem wdzięczna tylko za dobro mi wyświadczone... Ty — chwilami czynisz mi życie ciężkiem...

Broda zadrgała jej nerwowo, twarz cała wykrzywiła się w kurczu bolesnym, chwilę krótką dziewczyna walczyła ze łzami wreszcie, czując, że dłużej powstrzymać łkań nie zdoła, drzwi szarpnęła, do sieni wypadła i, szybko jak strzała, ze stopni ganku zbiegłszy, przez dziedziniec ku lasowi pomknęła.

Gdy została samą, ryk poprostu wstrząsnął jej piersią. Ten cały miesiąc słaniania się cicho po kątach, ze swą wielką boleścią, wybuchnął teraz w namiętnym krzyku, który jej piersi rozdzierał.

Deszcz nie padał od dni kilku, lecz ziemia cała już rozmoczona i wilgotna, wyziewała z siebie opar jakiś, pełny zapachu rozkładającej się kory i gnijącego drzewa.

Marja osunęła się na mokry i pokryty gałązkami gnijącemi pień zwalonej osiny... i, nie ocierając łez, zanosiła się, zawodząc coraz żałośniej, coraz jękliwiej. Zdawało się jej, że cała dusza rozpłynie się teraz w tych łzach, które nieprzebraną strugą z jej oczu płynęły. Tchu jej brakło, dławiła się jękiem, rozdzierającym jej zbolałe piersi...

Las milczał dokoła, bez śladu wichru, któryby nagiemi gałęziami wstrząsał. Światło, w którem drzewa tonęły, było szare, ołowiane, jakby mgłą pociągnięte, która się wśród cieniu włóczyła, i do dołu ciągnęła.

Od góry niebo białawe, jakby powleczone srebrną siatką, dżdżystą i wilgotną.

Powoli—jęk dziewczyny milkł i przechodził w „hołoszenie“ płaczek nad mogiłkami zmarłych.

Marja, skuliwszy się na pniu, rękoma kolana objęła i bezwiednie przyjęła pozycję chłopek, zawodzących żałośnie nad dolą swoją marną.

Całe życie poniewierki i upokorzeń zarysowało się przed nią teraz z dokładnością przerażającą.

Tak!... ciotka miała słuszność.

Nędzną była, biedną, brzydką—nie mającą poprostu koszuli na grzbiecie.

Wiedziała o tem oddawna, poznała swą biedną niedolę... lecz—dlaczego teraz dopiero czuje to w zdwojony sposób? Dlaczego wobec Antoniego nie wstydziła się swej ubogiej sukienki? Silną była na uroczysku w Wołochowie, silną, szczęśliwą, wesołą...

A przecież — tam, sama wyrzekła z dumą: „Słabymi się brzydzę!“

Słabymi!...

Cóżby mógł jej powiedzieć teraz Antoni, gdyby ją zobaczył znękaną, przybitą, spłakaną, w rozterce z życiem, z duszą własną, z ciotką, z... własną wolą!

„Słabymi się brzydzę!...“

I z krzykiem znowu się za głowę porwała.

Słabą była, nędzną, wiedziała o tem — i czuła się zwyciężoną przez samą siebie... I nikogo, nikogo, ktoby mógł przytulić jej głowę zbolałą, ukoić, pokrzepić, ukazać jakiś punkt jasny w tym ciemnym odmęcie!...

Nikogo!... Nawet matki, tej naturalnej powiernicy każdego serdecznego bólu... tego spokojnego objęcia rąk ukochanych, poza któremi serce, niepewnością dręczone, milknie i boleć przestaje... Nagle, na ścieżce zaszumiały liście. Ktoś szedł powoli depcąc gałęzie.

Marja z głową ukrytą w dłoniach, siedziała, nie widząc nadchodzącego żyda.

Gdy Szmul stanął przed nią, dziewczyna ciągle jeszcze tonęła we łzach, które jej przez palce przeciekały.

— Dzień dobry, panience!

Marja drgnęła, lecz rąk od twarzy nie odrywała.

— Panienka płacze?!

Głos starego koniokrada jakichś łagodniejszych nabierał odcieni.

— Co to panience?

Ona próbowała się podnieść, łzy otrzeć i uśmiechnąć się z przymusem.

— Nic mi, nic mi nie jest...

Lecz żyd głową kiwał.

— Nie wierzę, panna cała zaszlochana! aj, waj!... kto widział sobie młode oczy psuć?...

Marja ręką machnęła.

— Co mi z nich!

Żyd się uśmiechnął.

— Tak mówić, źle — odparł — co bez oczu człowiek znaczy? nic!... Ot, u mnie ślepa jest jedna córka, Gołda, biedne dziecko!... aj, waj!... co ona cierpi bez jasnego dnia, no!...

Milczeli oboje, tylko jeszcze spazmatyczne łkanie piersią Marji wstrząsało.

— Pannie musiała ciocia dogryźć — zaczął znów Szmul — źle ona robi, bo panienka haruje koło jej dobra uczciwie i rzetelnie!... No, niech panienka nie płacze. Starego Szmula zaraz coś we wnętrzu boli, kiedy ludzkie łzy widzi... Ja tylko żyd, ale ja czułe serce mam. U mnie w familji wszyscy tak... tylko jeden Jankiel twardy i łez nie zna. Ny, on też osobno idzie swoją ścieżką... niech idzie.

Rękę za pas położył i spochmurniał na wspomnienie najstarszego syna, który już kilka krwawych, a bezkarnych kresek na sobie dźwigał.

Łkanie Marji przywołało go do rzeczywistości.

— Aj, aj!... jeszcze panienka szlocha! — wyrzekł, pochylając się ku skulonej dziewczynie. — Schowaj panienka łzy na dalsze życie. Nie zabraknie ci na to ani czasu, ani chęci. Cóż ciotka? ma w sobie wiele paskudnej złości, ale to zawsze familja, a to wielkie słowo, takie słowo!

Brodę siwą pogładził spokojnym ruchem patrjarchy.

— Familja u nas, żydów, znaczy wszystko. Kto ją ma, to szczęście ma! Panienka, choć rodziców straciła, ale familję ma, o!...

Łzy Marji coraz gęściej znów spadać zaczęły.

— Mamę panienki, to ja znał! o, jeszcze maleńką dziewczynką. Bywało — nieraz na ganek Horodyszcza wybieży i o mace pyta. Aj! na Hamana ja jej makagigi przywoził i cukierki dawał. Jak podrosła, to znów często płakiwała i smutna była, bo pokochała się w ojcu panienki, a dać ją za niego nie chcieli. Ja miał w Horodyszczu wielkie zachowanie, to nieraz babcia panienki mówiła: „aj, Szmul! Szmul! utrapienie mi to z tą dziew-

czyną, co czynić!“ Ja brodę gładził i mówił: „zdać to na czas! to się odmieni!... młode to i zapomni!“

Marja głowę podniosła.

„Młode, to i zapomni!“

Stary żyd znał chyba życie może i ona zapomni z czasem i do równowagi wróci.

Łzy oschły na twarzy dziewczyny. Nie czuła się jednak na siłach powracać do domu. Spokój, który powoli wstępował w nią całą, zamało był ugruntowany, aby go nie spłoszyli ludzie tchnieniem swem. Pragnęła chwili ciszy; powstała tedy i zaczęła iść wąską, wydeptaną ścieżyną, pod drzewami się wijącą.

Z pod mieszaniny brzóz, osin i grabów wydostała się teraz powoli pod wilgotne sklepienie sosen, zielone, ciemne, ciężkie od dżdżu i nisko się opuszczające. Cała ziemia zasypana tu była masą igieł, po których lały się cieniuchne strugi wody, ku dołowi spływające.

Marja szła teraz ciągle naprzód, jakby gnana potrzebą ruchu bezmiernego. Smutek jej serca, wobec świeżo przez Szmula poruszonych smutków, wydawał się szczątkiem krepy, wobec olbrzymiego całunu, zakrywającego tysiące serc. Wstydzić się zaczęła bezsennych nocy swoich, strawionych na chorobliwem majaczeniu o ujrzanym niespodziewanie mężczyźnie. I przez chwilę zdawało się jej, że Stanio był dla niej mytem, że nie istniał, nie zabierał przemocą spokoju jej duszy, nie ranił zbyt silnie zbudzonego serca.

Las stawał się coraz rzadszym—tu i owdzie spotkać można było pień wyrąbanej sosny, świeży, zdrowy, żółtawe swe wnętrze w dziennem świetle prezentujący.

Sosny malały nagle, karlały, tu i owdzie pochylone, zgarbione. Niektóre, nadcięte siekierą schły, opuszczając bronzowe gałęzie, z których spadały igły. Niektóre nosiły na sobie znak ciemny, dwóch liter z sobą splątanych, jak bydło na rzeź do szlachtuza wleczone.

Marja wydostała się na polankę, na której rozciągała się teraz kolonja niemiecka „Elżbietówką“ zwana.

Cały błam lasu poza kolonją, wyrąbany i z ziemią zrównany, w niektórych tylko miejscach czernił się wywróconymi pniami, lub jeszcze nawpół w ziemię

wrosłymi korzeniami ściętych drzew. Tu i owdzie na tej jasnej przestrzeni wznosiły się wąskie pasy dymu od ogni, któremi Niemcy pnie niszczyli, ułatwiając sobie w ten sposób pracę. Pomiędzy kadłubami zczerniałych i zwęglonych brył snuli się cicho mężczyźni, pochyleni, wpół zgięci, z rękoma zwalanemi zczerniałem błotem, mokrem, śliskiem, tłustem.

Kilkadziesiąt chat, a raczej domów, wznosiło się gontami krytych, w prostej ustawionych linji. Niektóre z tych domów nieskończone świeciły szkieletami żółtych belek i pali, doczepionych do głównego cielska domostwa. Na tych belkach okrakiem siedzieli pochyleni Niemcy, pracując pilnie zziębniętemi i prawie granatowemi z zimna rękoma. Chłopcy mali, ze zręcznością małp łazili po palach, pomagając ojcom, podając kawałki drzewa, kliniki, gwoździe, dachówki, cali zmoczeni wilgocią w ubogich ubrankach, słabo chroniących ciało od mrozu. Jakaś dziewczyna w krótkiej spódnicy, na kościstych biodrach przewieszonej, w staniku kamlotowym, szła brzegiem rowu, prowadząc na postronku chudą krowę. Ciepła dera okrywała zwierzę, kobieta szła ledwie perkalikiem odziana. Ciało jej nabierało fioletowych tonów, wąska wstążka ust niknęła w zziębniętej twarzy.

Dziewczyna przeszła koło Marji, nie uchyliwszy głowy, harda, smutna, sztywna.

Marja mimowoli za nią oczyma powiodła. Była jeszcze od niej nędzniejsza, gorzej odziana i pewnie nieszczęśliwsza!

Nagle, prawie z pod stóp Marji, z wnętrza ziemi, wyłoniła się żółta głowa dziecka. Głowa ta pozostała na powierzchni, a za chwilę cały korpusik chudy wysunął się z rozpadliny.

Dziecko wydostało się na ścieżkę i biec zaczęło w stronę karczujących ludzi, przeskakując zręcznie kałuże wody bosemi nożynami.

Po chwili znów drugie dziecko, cokolwiek starsze, wylazło z ziemi i znów w stronę pola pędziło. To ostatnie trzymało w brudnym gałganie trochę upieczonych kartofli i kawałek owsianego placka.

Marja teraz wzrok swój w rozpadlinę ziemi zwróciła.

Była to wielka jama z podłóżnym, w ziemię się zagłębiającym korytarzem. Jamę przykrywała słoma, chrust i mech, które to przykrycie tworzyło rodzaj dachu. Zardzewiały, blaszany kominek z pomiędzy chrustu wystawał. Cieniuchna smuga dymu wydobywała się z niego z trudnością i po dachu się snuła.

Teraz, w otworze korytarza, ukazała się do połowy ciała kobieta i pilno w stronę pola patrzyła. Dzieci majaczyły już tylko w oddali, złączyły się razem i przystanęły na środku pola, zapewne placek ogryzając.

— *Karl!... Franzi!... unverschämte Kinder!* — zawołała kobieta.

W zmęczonych jej rysach Marja poznała Niemkę, której kilka tygodni temu dopomagała w znalezieniu dziecka.

Teraz już wykopali sobie jamę i jak zwierzęta nędzne w ziemię się wkręcali, zimując w ten sposób i czekając cierpliwie, aż siekiera ojca dom mieszkalny wzniesie, dom czysty, widny, biały, malwami otoczony. Był to jakiś upór niczem niezwalczony, zaciętość straszna w znoszeniu nędzy, mrozu, wilgoci, jedynie w chęci posiadania obcego gruntu, przywłaszczenie sobie ciężką, brutalną dłonią coraz większych posiadłości.

Marja smutnym wzrokiem po całej kolonji powlekła.

Na miejscu sosen niebotycznych zaległa pusta przestrzeń lichego pola, wydmę piaszczystą we wnętrzu swem kryjącego. Na tej wydmie, jak kruki na pobojowisku, kilkadziesiąt postaci skurczonych, skulonych, ziemię wilgotną i jakby łzami zmoczoną szarpało... Z wnętrza ziemi, z rozpadlin, jak widma gnomów powstające, roiły się w szarem świetle jesiennego popołudnia drobne, nędzne istoty. Dzieci te rosły powoli, rozwijały się ciężko, lecz rosły zawsze, silne ilością i prawem zasiedzenia, jak żydzi, jakąś karczmę na wieczność dla siebie biorący.

Widmo Stania znikło już teraz zupełnie z przed oczu dziewczyny. Cała zapatrzona w ponury obraz zniszczenia, jakie miała przed sobą, za wielkie smutne horyzonty ogarniała myślą, aby wsłuchiwać się w echa menueta lub marzyć o oczach przysłoniętych długą

rzęsą. Z głową na piersi spuszczoną przeszła wzdłuż rowu, którym ciekła szaro czarna, leniwa struga. Jakiś pies, żółty, z najeżoną szczeciną, o fałszywych i złych oczach, chłeptał tę wodę szpiczastym ozorem. Dwie dziewczyny, od strony obozu wracające, błyskały złotemi w uszach kolczykami. Szły, trzymając się za ręce wyczerpane, znużone.

Marja z drogi im zeszła i znów w las się zwróciła.

Teraz już czuła się niemal uspokojoną.

Wie, co zrobi: dom ciotki opuści i pójdzie pracować w inne strony. Ziemia jest tak rozległa, sosny i macierzanka rosną na całym Wołyniu, siano pachnie jednako... Jeśli jest w niej jaka miłość, toć pewnie do tej ziemi, która w szarej mgle jesiennej skarżyć się zdaje. Tak! — serce Marji, jeśli w tej chwili jest raną, to rana ta jest poprostu odbiciem jamy wykopanej w ziemi, w której się kłębią masy żarłocznego robactwa.

Jakże, ona? ona, tak spokojna, czysta i nieskalana mogła się dać opętać poprostu uczuciu, niegodnemu wejść w jej życie! Pojąć teraz tego nie może, zdala od miejsc, które jej obecność Stania przypominają. Czego spodziewać się mogła, ulegając ogarniającej ją miłości? Szyderstwa i pośmiewiska ciotki! Ona, ona zawsze tak dumna i silna, ona, która prócz upajającego spokoju o zachodzie słońca, innych rozkoszy nie znała!... ona, której pierś dziewicza jedynie zapach pól i sosen w siebie chłonęła, ona, z woniejącą ziemią zda się zrosła, w promieniach słońca skąpana, w potokach zieleni i srebrze Styru żyjąca!

Cała miłość dla Stania wydała jej się teraz płaską, banalną przygodą. W tej szerokiej przestrzeni lasu, okrytego płatami zimnej wilgoci, ona poznawała siebie, odnajdywała utracone uczucia, porywy, zadowolenia. Wyciągała ręce, tuląc do siebie smukłe białe brzózki, zabiegające jej drogę, mówiąc namiętnym, gorączkowym głosem:

— Moje! moje!...

Nagle na skręcie lasu zaszarzało coś wśród drzew.

Dwoje ludzi szło ścieżynką, w pół się trzymając. Oboje mieli na sobie świty szare, czerwonemi sznu-

rami szyte, niezgrabne, obszerne, kolan sięgające. Kobieta tylko odznaczała się purpurą chustki, która głowę jej okręcała. Mężczyzna buty z nóg zdjął i na kiju je przewiesiwszy, w błocie brnął boso. Dziewczyna u ramienia mu się uczepiła i szli tak przysunięci do siebie, że pomiędzy ich świtami ani szczeliny nawet nie było.

Marja poznała płowe włosy Iwana Stepanowego syna, i szerokie ramiona Motruny, Hieronimowej dońki... Objęła ich wzrokiem, tych dwoje „przysądzonych", którzy z miasta pewnie wracali, bo kilka hładyszek i sito obok dziewki się obijało. Hładyszki, sito — na nowe gospodarstwo!

Kupili te skorupy i teraz szli, uśmiechnięci, zgubieni w tym lesie, który, jak wielka alkowa, swe bezlistne gałęzie nad niemi płatał.

Marja patrzyła wciąż na te dwie postacie, oddalające się coraz więcej i cały gmach spokoju, jaki budowała w duszy, runął w jednej chwili. Bose kroki nóg Iwana i pochylona na ramieniu chłopa głowa Motruny — rozbiły w puch szklanną przegrodę, jaką Marja pomiędzy sobą i widmem Stania wznosiła.

Ręce jej, oplatające brzozę, opadły. Brzoza wydała się jej bezduszną istotą.

Lecz bunt ten duszy dziewczyny przybrał inny jeszcze charakter. Żal, żal bezmierny ogarnął ją całą. Na widok szczęścia tych dwojga, pod drzewami niknących, zdało się jej, że pod stopami otworzyła się nagle mogiła, w którą ona szczęście swoje złożyć powinna.

Teraz — już Iwan i Motruna znikli poza pniami drzew. Została po nich szara niepewna smuga światła, po ścieżce się wlekąca. Marja w smugę tę patrzyła i znów łzy oczy jej zasłaniać zaczęły.

Gdy do dworku powoli, nad wieczorem już, wróciła, spotkała ją na dziedzińcu, czatująca na jej przyjście, Władysławowa.

— Panienko! do oficynki proszę duchem! Panna Leontyna bez pamięci leży, ta pewnie zamrze biedaczka! Ledwie dyszy!...

Marja szybko w stronę oficynki się zwróciła.

Serce jej targnęło się boleśnie. Oddawna lękała się

katastrofy, którą słota jesienna przyśpieszyć tylko mogła.

— Posłano po doktora?

Władysławowa oczy wytrzeszczyła.

— Ta kogo, panienko serdeczna?

— Czy ja wiem? głowę tracę!

Przed gankiem dworu bieliły się konie Brunona, który właśnie z bryczki się gramolił.

Odchorowawszy forsowną jazdę leśną, całą tę sprawę na drogę sądową skierował, i znów objazdy po sąsiedztwach rozpoczął.

Marja szybko ku niemu przyskoczyła.

— Panie Brunonie — zaczęła gorączkowo — ciotka Leontyna zachorowała ciężko! Proszę! jedź pan do miasta i przywieź doktora!

Brunon cofnął się przerażony.

— Ja? za nic w świecie, panno Marjo! koniczkom żleby to posłużyło... a ja ledwie żyję przez tych infamisów, którzy mi w lesie tak dogodzili. Oh!

Marja brwi zmarszczyła.

— Zamało to wszystko, skoro pan jeszcze po świecie chodzisz! — rzuciła mu, prosto w twarz skąpca patrząc.

— Oh! — powtórzył Brunon, do bryczki włażąc, tak mu twarz dziewczyny imponowała w tej chwili wielką siłą i stanowczością.

— Jedź pan po doktora do miasta!—mówiła Marja, na drążku bryczki rękę oparłszy—nie wiem, co między tobą i ciotką Leontyną było! Słyszałam coś o tem. Mniejsza z tem. Dziś tylko to wiem, że ona umiera, a ty przyłożyłeś się do jej cierpień niemało...

— Ja...

— Tak... W chwili konania choć niech ulgę ma z twojej ręki.

Brunon był blady i zmieniony. Skurczył się na siedzeniu bryczki i okrywał fałdami swego płaszczyka.

— Pojadę...—wykrztusił wreszcie, rzucając ukośne spojrzenie na oficynkę, w której światełko błyskało.

Marja od bryczki odstąpiła. Kulik konie zaciął, bryczka podskoczyła i z łoskotem koło oficyny przeleciała.

Marja szybko ku drzwiom biec zaczęła.

Tymczasem za bramą Brunon na siedzeniu się uniósł i, szarpnąwszy Kulika, w ucho mu krzyknął:

— Kuliczku, serce! do Zabijanika, do domu pana grafa wieź!...

Kuliczek głową skinął i na lewo szkapy huzarskie zawrócił.

IX.

— Rozsuń firankę!

Marja szybko wypełniła rozkaz chorej.

— Ciągle ciemno?

— Ciemno, cioteczko.

— Jezus, cóż to za noc nieskończona!

Kaszlnęła chrapliwie i chwilę milczała, oddychając ciężko.

W kącie komody ustawiona lampka migotała słabo, oblewając niepewnem światłem niewielką przestrzeń pokoju. Całe łóżko, na którem leżała Leontyna, ginęło w cieniu. Tylko urywany, rzężący głos chorej słychać było, głos, wydający bezustannie rozkazy zmęczonej i chwiejącej się na nogach Marji.

Od tygodnia Leontyna konała. Od tygodnia Marja, wśród tych ścian czterech, w jękach przedśmiertnych się pławiąc, wypełniała wszelkie zachcianki starej panny, w której nagle zbudziła się jakaś gorączkowa energja, chęć rozkazywania, objawienia swej woli, nawet dręczenia drugich...

Nie posłano po lekarza, gdyż Elżbieta zawyrokowała, że „skrzypiące drzewo“ długo jeszcze skrzypieć będzie. Elżbieta w bliskość śmierci Leontyny wierzyć nie chciała, odsuwając z trwogą samą myśl o zgonie czyimkolwiek w obrębie domu.

Przez Władysławowę dowiadywała się o stanie zdrowia Leontyny.

Władysławowa stawała przed panią swą zawsze z jednem słowem:

— Chudzieńko, jaśnie pani!

Elżbieta ramionami wzruszała.

Cóż u licha? Leontyna jeszcze nigdy tak długo w łóżku nie leżała; za wiele sobie wygódek pozwalała na starość. Próżniakiem była jeszcze od młodości, lecz teraz wręcz jest istotą, postępującą według własnej woli. Niedość, że daje folgę swej leniwej naturze, ale jeszcze zatrzymuje przy sobie Marję, z którą pani Elżbieta zapragnęła gorąco pojednać się, i to jaknajprędzej.

Wszystko szło teraz naopak bez silnych rąk dziewczyny. Elżbieta uczuła, czem Marja była w całym ruchu domowym. Próbowała ją zastąpić, lecz prędko z sił opadła. O wprowadzeniu do domu kogokolwiek obcego marzyć nawet nie chciała. Oprócz kosztów, lęk ją brał straszny przed każdą obcą twarzą.

A nuż to będzie ukryty złodziej lub morderca? Dziś nawet swoim zawierzyć trudno.

Ot, Brunon! Okradła go Kuliczkowa, gdy mu słomę z siennika poruszała.

Zaprowadził pan graf babę do spowiedzi, błagał, prosił, chustkę jej ze łba ściągnął — nic nie pomogło. Baba na klęczkach ręce na krzyż składała, klnąc się, że pieniędzy nie wzięła. Mówiła nawet: niechaj mnie pokręci i różne inne rzeczy.

Pan graf pobladł z rozpaczy. Kuliczkowa do rondli wróciła, a rubli srebrem osiemdziesiąt sześć, za krowy ściągniętych, jakieś licho ściągnęło.

Brunon zachorował z rozpaczy i w Zabijaniku już trzy dni leżał, cały zielony, w sine plamy. Kuliczek koło niego chodził, znosząc mu całe wiadra rumianku.

Elżbieta rzecz tę wzięła mocno do serca. Obejrzała dobrze rygiel w swym alkierzu i postanowiła kratą wzmocnić ową szybkę we drzwiach, prowadzących do jadalnej. Nawet jeszcze w tym tygodniu miała zająć się tą sprawą.

Tymczasem szło jej głównie o pogodzenie się z Marją. Dziewczyna nie pojawiła się we dworze, do łóżka konającej ciotki przykuta. Władysławowa przyniosła jej pościel i bielizny trochę dla zmiany. Marja kołdrę swą na ziemię, tuż obok łóżka, rzuciła, i czasem do ziemi przypadłszy, drzemała zgorączkowana i potem oblana.

Cała ta walka życia ze zgonem w tych ciasnych

ściankach, pokoju, cały ten proces gaśnięcia sił i istnienia szarpał wrażliwą duszę dziewczyny na strzępy.

Nie znajdowała się nigdy tak blisko przy łożu konającego sama jedna wśród długiej, smutnej nocy jesiennej. Chwilami zdejmował ją też lęk straszny i, silnie oczy zamknąwszy, siedziała nieruchoma, nie śmiejąc drgnąć, jakby jakaś niewidzialna potęga żelazną dłonią całą jej postać ku ziemi tłoczyła. A tymczasem w piersiach suchotnicy grał ciągle suchy kaszel, ponurym zgrzytem pluskowi deszczu wtórując.

Na tle kanwowych róż olbrzymich rysował się teraz profil starej panny, wydłużony, straszny, ostry, chmurą smutku i niezadowolenia powleczony. Strzępy siwych włosów spadały jej na czoło, z pod perkalowego czepka się wysuwając. Koszula, ściągnięta na sznurek tuż pod pomarszczoną szyją, osuwała się na piersi wklęsłej, podobnej do zapadłej mogiły stepowej, wiatrem i żarem słońca spalonej. Cienka kołderka osłaniała chorą, leżącą sztywno i bezwładnie.

Chwilę trwało milczenie.

I znów z ciemnego kąta dał się słyszeć chrapliwy głos:

— Odsłoń firankę!...

Marja podniosła się i machinalnie do okna postąpiła.

— Ciemno!...

— Dopiero dziewiąta.

— Jezus Marja! kiedyż ta noc się skończy?

Marja do łóżka powróciła i na krawędzi usiadła.

Cierpliwości, cioteczko, noc się jeszcze nie zaczęła. Zaśniesz niebawem i spać będziesz do jutra.

Lecz chora rękoma po brzegu kołdry przesuwać zaczęła.

— Nie... spać nie mogę, nie...

Oczy szeroko otwarte w ścianę utkwiła.

— A zresztą, spać się boję, ty wiesz...

Marja zimno w ciele uczuła.

— Boisz się?... Czego? — zapytała, na swobodę się siląc.

Chora milczała chwilę; wreszcie odparła:

— Nie wiem czego...

Za oknem dało się słyszeć przeciągłe wycie psa.

Chora brwi zmarszczyła.

— Pies wyje... komuś na... śmierć...

Marja uśmiechnęła się z wysiłkiem.

— O! to nie ma znaczenia. Pamiętasz, ciociu, wtedy, kiedy pan Stanisław menueta grał, „Medor“ wył tak samo... a przecież...

Chorej rozjaśniła się twarz

— Tak, tak, prawda!... Ale ty, duszo... trzewik przewróć.

Marja schyliła się, i wyciągnąwszy z pod łóżka stary, prunelowy trzewik Leontyny, przewróciła go podeszwą do góry.

Pies ucichł.

— A, ot... przestał — wyszeptała chora.

— Tak, przestał — powtórzyła Marja, czując pomimowoli jakąś ulgę w tej ciszy.

Przez chwilę znów milczenie zapanowało pomiędzy niemi i tylko słychać było miarowy odgłos kroków Bukowskiego, chodzącego wzdłuż swej małej izdebki, przedzielonej od pokoju Leontyny maluchnym korytarzykiem. Kroki te widocznie chorą drażniły.

— Niech on chodzić przestanie — wyrzekła.

Marja podniosła się i, cicho drzwi otworzywszy, do sionki się wysunęła.

Wtem nagle potknęła się o Władysławowę, od dworu śpieszącą.

— Jaśnie pani pyta, jak tam?

Marja brwi zmarszczyła.

— Powiedzcie jaśnie pani, że dobrze zrobi jeżeli sama tu przyjdzie. Niechaj zobaczy, i jutro po księdza pośle.

Władysławowa próg sieni przeskoczyła i w stronę dworu pobiegła. Marja drzwi wchodowe zamykała, gdy nagle spostrzegła, że jakaś ciemna postać z pod okna dworu uciekać zaczęła.

Rozgoryczona była nad wszelki wyraz.

— Niech się dzieje, co chce! od chorej odstąpić nie mogę.

O ciszę w pokoju Bukowskich poprosiwszy, dziew-

czyna wróciła do Leontyny, która teraz leżała jakby nieprzytomna, z tłumem słów na usta się jej cisnących.

Marja przy łóżku ukląkłszy, twarz w dłoniach ukryła, wsłuchując się mimowoli w ten potok słów, rzężeniem przedśmiertnem przerywany.

— Bo, po co to wszystko, serce, Elżuniu?... — mówiła chora—po co?... taż Brunon wolną wolę ma... i miłość wieczną zaprzysiągł!... Nędzarka ja?... Ta słuszność masz!... ależ co zrobić z sercem, kiedy już się ozwie! Ha?...

Broda szpiczasta poruszała się nerwowo, bezustannie, oczy, ciągle w ścianę utkwione, nabierały jakiejś szklannej powłoki.

— Zaraz... szwagierka... zaraz... konie zaprząc każę... a ot patarafka skończona... to tobie, braciszku, na imieniny... biedna ja!... nędzarka... ale cóż... taż w ogrodzie Brunon czeka... i zaślubić zaprzysiągł... jeno senatorowa... Ach!...

Westchnęła przeciągle.

Marja klęczała z głową pochyloną, wkraczając teraz powoli w ów tak starannie ukrywany dramat serca dogorywającej kobiety, która lat tyle schła i więdła z miłości, nie śmiejąc nawet się upomnieć o to, co było jej przyrzeczone, cała zgnębiona uczuciem, za które nieszczęściem życia płaciła...

— Nie żyje... nie żyje senatorowa... Brunon pan... własną wolę ma!... Serce, Elżuniu, ty nie drwij... nie drwij przy nim jeno!...

Drzwi skrzypnęły, Marja podniosła głowę.

— Jaśnie pani prosi panienkę na chwilę pod drzwi alkierza!

Marja ramionami wzruszyła.

— Odejść nie mogę!... głowę sama tu tracę... idźcie i powiedzcie pani, niech przyjdzie się z siostrą pożegnać!...

Władysławowa zniknęła, drzwiami trzaskając.

Na łóżku chora poruszyła się niespokojnie.

— Co ci do tego?... siostruniu?... co ci do tego?... gniewasz się... przeszkadzasz?... życie zatruwasz?... och!...

Marja ujęła rękę chorej.

— Uspokój się, ciociu! — prosiła — staraj się zasnąć...

Leontyna rękę z dłoni Marji wyrwała.

— Puść, puść!... dosyć czekałam!... tyle lat!... ciągle zwodził, ciągle!... dosyć już!...

Starała się podnieść na łóżku, groźna i nagle zbudzona.

— We dwoje mi serce rozdarli... on zwodził... ona drwiła... i nie pozwalała nawet myśleć... o! nie pozwalała! dlaczego? dlaczego?

Głowę uniosła z poduszek i chwiała się teraz.

Nagle drzwi się otworzyły i na progu ukazała się Elżbieta. Stała chwilę, oczy mrużąc, nie mogąc nic rozróżnić w cieniu, zalegającym pokoik.

— Cóż to znowu za łacecja? — zapytała groźnym głosem.

Marja z klęczek powstała.

— Ciszej, ciotko!—wyrzekła rozkazującym głosem.

Elżbieta do łóżka podstąpiła.

— Cóż się dzieje? czy znowu migrena?

Usiłowała być swobodną, lecz już na progu poczuła chłód śmierci, unoszący się w przestrzeni. Od kilku godzin zamknięta w swym alkierzu, nagłą trwogą zdjęta, siedziała cicho, w wycie psa wsłuchana. Przez chwilę zdawało się jej, że ktoś pod oknem alkierza po błocie się słania i muru czepia. Zwykła jej odwaga opuściła ją, jakaś miękkość, trwoga ogarniały ją, pomimo wysiłków, jakie czyniła. Kto wie?... może Leontyna naprawdę kona? Ta śmierć, której niewidziała, a którą jednak przeczuwała, dreszczem ją przejmowała. Coś dziwnego się z nią działo. Zapragnęła mieć twarz ludzką obok siebie za jakąkolwiek cenę. Bukowscy o tej porze już spali, Marja czuwała nad chorą, Władysławowa do kuchni się rwała, napracowawszy się dzień cały.

Elżbieta po długiej chwili wahania drzwi od alkierza otworzyła i, zasunąwszy je potem, jaknajdokładniej i na kłódkę zamknąwszy, wraz z Władysławową do oficynki się powlokła.

Teraz, stała przed łóżkiem dziwnie pomieszana,

nieumiejąc sobie poprostu zdać sprawy, z tego, co się z nią działo.

— No!... cóż się stało? ha?...

Nad łóżkiem się pochyliła, prawie nad twarzą konającej.

— Cóż tam takiego nadzwyczajnego, żeby...

Lecz dokończyć nie mogła, bo nagle kościste palce Leontyny w rękę jej się wpiły.

— Jesteś tu?... przyszłaś znów?... — zacharczała chora, nie było cię lat tyle w tych ścianach... aż przyszłaś znów?... po co?... po życie?... weź je!... A!...

Elżbieta rękę szarpnęła, lecz palce suchotnicy zacisnęły się kurczowo dokoła jej ciała.

— Wzięłaś życie dawno... ty... kacie... — mówiła teraz syczącym głosem Leontyna, a twarz jej, zwykle tak łagodna, zmieniła się do niepoznania, — życie mi zabrałaś kiedyś nikczemnie przed laty... do szczęścia mi drogę zagrodziłaś... Pracowałam dla ciebie, jak mogłam... wynagrodziłaś mnie... jak?... jak?... jak?...

Przez drzwi uchylone widać było pobladłą od wzruszenia twarz Bukowskiego, i słychać ciche szlochanie Bukowskiej o ścianę sionki opartej.

Elżbieta drżeć poczęła; zimne, sztywne palce umierającej wciskały się jej w rękę, jak kleszcze, krew w żyłach ścinając.

— Potworze — charczała chora i świst dziwny w słowa jej się mieszał,—nie kobieta ty... a szatan!... szatan... w rublu rozmiłowany!... Ty się bała sierocie wyprawę dać, ta ślub sprawić... i ot, wolała jej szczęście na proch zetrzeć... taki ty starła...

— Puść! — jęknęła Elżbieta.

Marja, przerażona, od łóżka się cofnęła, patrząc na walkę tych dwóch kobiet, tonących w cieniu, walkę przedśmiertną, straszną.

— Serce!... siostruniu! — krzyczała już prawie teraz chora, na łóżku się prężąc — ty... patrzeć na łzy moje nie chciała!... taki teraz na mnie patrz... i przed oczyma mnie do śmierci miej!...

Elżbieta bladą twarz teraz miała, bladą z trwogi

wobec grozy konania i sztywności tych palców, które skórę jej przecinały, jakby żelazne pręty, do czerwoności rozpalone. Próbowała głos złagodzić, byle się od tego uścisku śmiertelnego uwolnić.

— Siostro! — zaczęła.

— Nie siostrą ty mi była!... lecz... katem!... katem! — odezwała się znów chora, a głos jej bezdźwięczny, straszny rozległ się, jak głos pękniętego dzwonu; — nie siostrę miałam ja... lecz kamień na łzy moje nieczuły!. .

Głosu jej nagle zabrakło, dławić się zaczęła. Marja ze szklanką ślazu do łóżka się zbliżyła.

— I on także! — mówiła dalej chora — on!... powód wynalazł i słowa nie dotrzymał... Ja głupia czekała!...

Zachychotała, krztusząc się znowu.

— Ciociu! napij się ślazu!

Lecz ona szklannemi oczyma patrzyła znów na ścianę.

— Czekała lata całe... pamiątki zbierała... w oknie wyglądała, aż Kulik zajedzie... życie przeszło!... ho! ho!... życie!...

— Elżbieta z trwogą na Marję spojrzała:

— Co jej jest?

Dziewczyna szarpnęła się niecierpliwie.

— Umiera!

Elżbieta rękę swą oswobodzić usiłowała.

— Niech że mnie puści!... Boże!...

Od lat tylu po raz pierwszy chyba to słowo, tak serdecznie na usta jej wybiegło.

Lecz palce Leontyny zesztywniały koło ręki Elżbiety.

Jak tonący chwyta się krzaków nadbrzeżnych, tak też konająca uczepiła się tej ręki i puścić jej już siły nie miała.

— Gromnicę zapalić trzeba! — jęknęła z sieni Bukowska.

Marja po gromnicę, zawieszoną nad łóżkiem, sięgnąć chciała, dostać jej wszakże nie mogła.

— Dajcie mi swoją!... — wyrzekła, do Bukowskich się zwracając.

— Z oficyny do dworu... z dworu do oficyny!...— szeptała konająca i tak... całe życie.

Głowę podrzuciła.

— Dzwonek!... o!... jedzie!... on jedzie!...

Mdłe światło gromnicy zabłysło nagle wśród cieniu pokoju.

Marja zbliżyła się do łóżka i palce chorej od ręki Elżbiety odczepić usiłowała.

— Nie puszczę! — jęczała Leontyna — zabrać chcecie pamiątki... Taż ja biedaczka nic nie mam swojego... krom tej neseserki... to zostawcie!... nie szarpcie!... o!...

Marja Elżbiecie w rękę gromnicę wcisnęła. Ona broniła się z trwogą cała oświetlona ponurym płomieniem tej żałobnej pochodni.

— Nie chcę!... nie chcę!... daj mi pokój do dja...

Urwała, oglądając się z lękiem dokoła izby, po której kątach czarne włóczyły się cienie.

— Musisz, ciotko! musisz!... wyrzekła z mocą dziewczyna.

Elżbieta stała teraz, przykuta palcami konającej do tego łoża, na którem rozgrywał się ostatni akt życiowej tragedji i toczyła się walka pomiędzy śmiercią a życiem. Wrzucona nagle w pełny akt tej tragedji, Szeniewiecka, bez tchu prawie, zdrętwiała z trwogi, czuła, że zimno wpitych w jej ciało palców konającej, w kości jej poprostu się wciska. Chwilami jej się zdawało, jakby i ona skonać miała...

I teraz, gdy ponury, żółtawy blask gromnicy oświecił pergaminową twarz chorej niezdrowym blaskiem, Elżbieta, nagle w twarz tę spojrzawszy, jakby magnesem do niej przykuta, oderwać już oczu nie mogła.

Nagle usta Leontyny poruszyły się z wysiłkiem.

— Księdza!... — wyszeptała.

Marja ręce załamała i z komody szybko obrazek Jezusa Antokolskiego porwawszy, przed oczy go konającej podsuwać zaczęła.

Lecz ona nie widziała już nic, jakkolwiek oczy wytężone miała tak mocno, że aż łzy z kącików płynąć zaczęły.

— Księ...dza!... — powtórzyła.

Elżbieta drżeć na całem ciele zaczęła.

Pomimo całego cynizmu, jakim jej dusza była przejęta, głęboka wiara w obrzędy, od dzieciństwa w nią wpajana, zbudziła się nagle pod wpływem tego aktu śmierci, tak przejmująco groźnego.

Nieboszczyk Szeniewiecki umarł w ciągu dnia, nagle, bez gromnic i jęków przedśmiertnych.

Elżbieta uczuła silne wstrząśnienie, gdy Leontyna zażądała księdza. Wszak od dni trzech Marja przez Władysławowę żądała sprowadzenia księdza któregokolwiek z miasteczka. Elżbieta odmawiała ciągle, sądząc, że choroba Leontyny przeminie. Dziś, pół trup ten woła o pomoc duchową, szamocąc się bezsilnie z żelazną ręką śmierci; pomocy tej nie ma! i w ciszy nocnej jedynie głos konającej woła:

— Księdza!

Teraz już sine cienie okrążyły usta umierającej, oczy wpadały coraz głębiej, na twarzy rozlewała się bladość coraz większa.

— Jezu!... — wyjęczała — Jezu... jak ja cierpię!

Oczy Marji łzami napływały.

— Módl się, ciotko — wyrzekła drżącym, przyciszonym głosem — módl się!... ja ci nic pomóc nie mogę!...

Chora zdawała się słyszeć ten głos łagodny, płynący ku niej wśród cieni.

Pomóc... nie... mogę! — powtórzyła — nie mogę.

Ręka jej kurczowo coraz mocniej cisnęła rękę Elżbiety.

— Pomóc... nie... mogę!...

Elżbieta mimowoli koło łóżka przyklękła. Zdawało się jej, że palce konającej ku ziemi ją cisną i schylić się każą.

Teraz obie siostry przedzielała tylko gromnica płonąca, z której wąski wydzielał się pasek dymu i pod sufit wznosił.

— Marjo!... ratuj!... — zajęczała chora — Ma...rjo. Panno Przeczysta!... Tyś nad gwiazdami!... miej mnie w o...

Nie dokończyła, urwała, westchnęła ciężko i nagle krzyk krótki, jeden, wydarł się z jej piersi. Palce,

trzymające rękę Elżbiety roztworzyły się, chwilę jeszcze konająca usiłowała unieść się na łóżku i opadła sztywna na posłanie.

Elżbieta, na odgłos krzyku konającej, twarz w pościeli ukryła, drżąc cała, pomimo swych flaneli i watowanych kaftanów i spódnic.

Lecz Marja, powoli od stóp łóżka się oderwawszy, do zmarłej się przysunęła i powieki na oczy opuszczać jej poczęła.

Odwracając się, potrąciła o ciotkę Elżbietę, która siedziała wciąż skurczona przy ziemi, trzymając płonącą gromnicę w dłoni.

— Zgasić ją, ciotko, możesz! — wyrzekła.

Elżbieta zdawała się nie słyszeć. Marja ręką jej ramienia dotknęła.

— Zgaś, ciotko, gromnicę! już niepotrzebna.

Elżbieta spojrzała obłąkanym wzrokiem.

— Co?... lepiej jej?... zasnęła?...

— Nie żyje!—odparła Marja, gromnicę z ręki Elżbiety wyjmując.

Szeniewiecka w tył się cofnęła, drżącą ręką na łóżko ukazując.

— Trup?...

Marja nie odpowiedziała nic, wpatrzona teraz smutnie w nieruchomą twarz Leontyny, która zdawała się zastygać w jakiejś grozie wielkiej, nieubłaganej.

Byłaż to więc śmierć, ta chwila ciężka, którą już ciocia Leosia przebyła z bolesnym krzykiem, w którym wszakże część triumfu się mieściła?

Deszcz znów o szyby łopotać począł, a lampka, na rogu komódki płonąca, gasła powoli, coraz więcej cienia w kąty wprowadzając.

Marja poczuła smutek bezbrzeżny, połączony z jakąś wielką pogardą dla własnej nicości. Może za lat kilka, kto wie, za dni kilka i ona zastygać tak będzie bez ruchu, jak nieużyteczna bryła, drogę niepotrzebnie zawalająca...

Z myśli tych zbudził ją nagle cichy głos:

— Podnieś mnie!... proszę cię!...

Drgnęła i obróciła się szybko. Na klęczkach jeszcze ciągle, ciotka Elżbieta, blada cała i zmieniona, wy-

ciągała ku niej ręce. Marja podeszła i dopomogła podnieść się znękanej kobiecie.

— Idź teraz do siebie, ciotko — wyrzekła, zdjęta nagle litością na widok tej zmienionej twarzy, — ja tu czuwać będę.

Elżbieta oczy przymknęła i stała tak jeszcze z ustami silnie przyciętemi. Zdawało się, że stacza jakąś wielką wewnętrzną walkę z samą sobą.

— Ja... na pogrzeb dam! — wyrzekła wreszcie urywanym głosem.

Chciała w ten sposób okupić swe winy względem trupa.

Marja uśmiechnęła się smutnie.

— Dobrze, ciotko, dobrze!... a teraz idź stąd; sama blada jesteś i chora!

Elżbieta rękę dziewczyny ścisnęła.

— Czy bardzo blada jestem? — spytała, jakby zdjęta nagłą, wewnętrzną trwogą.

— Nie, ciotko... — pocieszała ją dziewczyna — jeno zmęczona jesteś widocznie tą chwilą.

Cała jej uraza, gniew, topniały wobec łoża zmarłej i tej bezsilności, którą czuła w Elżbiecie.

— Pójdę! — wyrzekła wreszcie Elżbieta — pójdę, ale ty, serce, odprowadź mnie, proszę!...

Bukowski we drzwiach stał z głową smutnie na piersi zwieszoną.

— Panie Bukowski! — prosiła Marja — pozostań przy ciele, ja zaraz powrócę!...

Pod rękę Elżbietę ujęła i powoli wyprowadziła ją z oficynki; Szeniewiecka opierała się na ręku dziewczyny, cała drżąca. Pomieszana była, nieprzytomna prawie. Ten widok konającej siostry sprawił na niej piorunujące wrażenie. Widziała się już stygnącą w ten sposób, samą, w alkierzu, bez nikogo w tej ciężkiej, okropnej chwili.

Krzyk przedśmiertny Leontyny miała ciągle w uszach. Zdawało się jej, że nagle coś się w jej piersiach zbudziło i łopoce się teraz, jak ptak na uwięzi, sprawiając jej ból dotkliwy.

W cieniu wilgotnym, oparta na ręku Marji, szła wolno przez dziedziniec, prowadzona prawie przez

dziewczynę, zdając się na jej wolę. Ciepło płynące z młodego ramienia Marji ożywiało ją i dodawało jej otuchy.

Zapragnęła mieć to ramię ciągle przy sobie, jakby czując się słabą i do obrony niezdolną.

Wstępowały teraz w milczeniu na schodki. Deszcz z dachu kapał ciągłemi strugami i padał na głowę Marji, która schylona, zdziwiona trochę postępowaniem ciotki, szła, milcząc, do wnętrza pustego domu, który opuściła, nie mając zamiaru tam powrócić.

W salce jadalnej paliła się blaszana lampka naftowa, z alkierza przez Elżbietę wyniesiona i na stole postawiona.

Elżbieta do stołu się zbliżyła i na krzesło upadła. Marja stała obok niej, nie śmiejąc jej w podobnym stanie opuścić.

Elżbieta milczała długo, zgnębiona i zapatrzona w ciemne kąty sali.

— Umarła! — wyrzekła wreszcie.

— Lepiej dla niej—odparła Marja cichym głosem.

Elżbieta głowę podniosła.

— Toż źle jej tu nie było chyba? co? serce?...

Zdawała się pytać błagalnie, zawieszając głos, wpatrzona w dziewczynę, jakby w groźnego sędziego.

— Owszem, było jej źle bardzo! — odparła Marja.

— Dlaczego, serce?

— Musiałaś jej, ciotko, wyrządzić jakąś krzywdę w młodości. Żaliła się przed śmiercią na ciebie.

Elżbieta ręce do góry podniosła.

— Żaliła się!... Taż złego ja nie chciała dla niej! Ot Brunon do niej cholewki smalił. Ja wyśmiała raz i drugi... a potem, gdy nie pomogło i widziałam, że się po kątach kryją, to i zabroniłam. Oto cała krzywda!

Lecz Marja teraz prosto jej w oczy patrzyła.

— A dlaczego zabroniłaś, ciotko?

— Jakże! nic nie miała! skąd jej było o mężu myśleć?...

— Ona nic nie miała, ale ty miałaś, ciotko, za nią i za siebie. Trzeba było życia jej nie łamać, na taką udrękę nie skazywać, w grób za życia nie kłaść... ale

przeciwnie, młodemu sercu do szczęścia dopomóc, za mąż wydać!...

Elżbieta ręką za suknię Marji schwyciła.

— Cóż robić! już się stało — wyrzekła.

— Źle się stało—rzuciła dziewczyna—źle bardzo. Ciężkie miała życie i ciężkie skonanie.

Elżbieta milczała teraz, czując jakby na ręce swojej bezustanny uścisk sztywniejących palców zmarłej. Ta zmarła, w małej oficynce leżąca wśród cienia, rosła, olbrzymiała i jak widmo straszne napełniała sobą głębię całej sali. Elżbieta uciekła ze śmiertelnej izby, uciekła ona drżąca z trwogi, lecz trup powlókł się za nią, i teraz jeszcze groźniejszy, do oczu się cisnął, zajmując sobą przestrzeń niezmierzoną, pełen grozy, skargi i wyrzutu. Skurczona i pokorna postać „Leosi" czerniała teraz, jakby wielki słup, akt oskarżenia na sobie noszący.

Za oknami pies wyć znów zaczął.

Elżbieta drgnęła przerażona.

— Czegóż on wyje jeszcze...— zawołała—czego?

Marja milczała, wpatrzona w żółty płomyk słabo płonącej lampki.

— Taż Leosia już umarła... chyba nad trupem tak zawodzi, co?

W oczy Marji spoglądała, żebrząc prawie o potwierdzenie.

— Być może! — odparła wreszcie dziewczyna.

Nigdy groza śmierci nie przedstawiła się tak ponuro oczom Elżbiety, jak w tej chwili.

Obejrzała się po ciemnych kątach sali, w których majaczyły niepewne kontury sprzętów, przybierających w cieniu dziwaczne kształty. Dreszcz ją przeszedł, aż wstrząsnęła się cała...

— Śmierć przez mój grób przeskoczyła! — wyrzekła, siląc się na uśmiech.

Lecz zamiast uśmiechu, twarz jej skrzywiła się boleśnie.

Marja oderwała się wreszcie od niej i ku drzwiom kierować się zaczęła.

— Gdzie idziesz?! — krzyknęła Elżbieta

— Wracam do zmarłej.

— Po co?

— Czuwać będę przy zwłokach.

— Ach!... tak!... idź więc... albo nie! zaczekaj trochę!...

Nerwowo rękoma poruszając, wiązała i rozwiązywała węzeł chustki, którą miała na głowie. Czuła, że z odejściem Marji niepokój jej wzrośnie.

I nagle przez głowę jej przebiegła myśl, że dziewczyna chce ją opuścić na zawsze, pozostawić samą w tym pustym dworze, na resztę nocy smutnych, niepewnych, czernią swą straszących.

— Czekaj chwilę — wyrzekła szybko — czekaj... serce! Przyrzeknij ty mi, że na chwilę mnie już nie opuścisz, jak tam z nieboszczką skończysz. Przysięgnij, że taki tu pozostaniesz, obok mnie, aż do mojej... śmierci, a ja o tobie pomyślę i los ci zabezpieczę...

Mówiła suchym, urywanym głosem, pełna trwogi przed opuszczeniem w chwili zgonu, a mimo to, pragnąc jeszcze wtłoczyć sobie w gardło przyrzeczenie, które jej bojaźń z ust wyrywała.

Marja uśmiechnęła się smutnie.

— Nie myśl o mnie, ciociu, i losu mi ty nie zabezpieczaj! Nie mam prawa do twych pieniędzy, bo masz spadkobiercę w osobie pana Stanisława! Jeśli mi życia nie będziesz czynić zbyt ciężkiem, to zostanę przy tobie i pilnować cię będę, bo mi ciebie żal!

Głos jej brzmiał smutno i łez był pełen.

— Ja cię wynagrodzę, serce, duszeńko — podjęła gorączkowo Elżbieta — cóż Stanisław? fidryganc to, więcej nic; nie dam mu nic!

Marja szybko głowę podniosła.

— Dasz mu wszystko, ciociu, bo tak być powinno.

Elżbieta oczy zmrużyła.

— Gorąco ty go bronisz, serce, he?

Marja poruszyła się niecierpliwie. Elżbieta ruch jej dostrzegła i szybko wyciągnęła ku dziewczynie drżącą rękę.

— Taż się nie żachaj! Ja mówię to bez myśli. Jak Brunon... tamtej, tak Stanio tobie w oko wpadł. Widać tak sądzono.

Marja brwi ściągnęła.

— Nie mów o tem, ciotko, w tej chwili przynajmniej. Dziś jeno o zmarłej myśleć powinniśmy, myśleć i Boga o spokój jej prosić.

Ręce Elżbiety zacisnęły się dokoła szyi kurczowo.

— ...Wieczny odpoczynek daj jej, Panie — szepnęła — ale ty, serce, Maryniu, i o mnie także myśl! Skoro już przy mnie zostaniesz, nie pożałujesz, nie pożałujesz!

Nagle jakąś myślą ożywiona, z krzesła się podniosła.

— Nie pożałujesz! — powtórzyła raz jeszcze.

Marja wzruszyła ramionami i, zwróciwszy się od progu, ku ciotce podeszła.

— Nie obiecuj ty mi nic, ciociu — wyrzekła z całą szczerością — nie obiecuj, bo mnie właśnie takiemi słowy od siebie wygnasz! Służyłam ci zawsze wiernie, pomimo, że nigdy nie miałaś dla mnie dobrego słowa — pragnę ci służyć tak nadal. Co się później stanie? Kto wiedzieć o tem może... Kto wie, komu w drogę prędzej, tobie, czy mnie!

Jakby w odpowiedzi, wycie psa przecięło przewlekłym jękiem noc ciemną.

Elżbieta stała nieruchoma, z oczyma w ziemię wlepionemi.

— Lepiej za całą nagrodę — podjęła znów Marja — daj ty mi czasem dobre słowo i pozwól do swego serca znaleźć drogę. Bo serce, to znaczy wiele w życiu! Ciocia Leonia miała go zawiele, dlatego cierpiała; ale nie mieć go wcale, to także cierpienie.

Głos dziewczyny słabnął i nabrzmiewał łzami. Te noce bezsenne, które od dni kilku spędzała przy łożu dogorywającej, cały wreszcie ogrom goryczy i smutku, duszę jej przepełniający, odbierał jej resztę sił i energji.

I nagle łzy polały się jej strumieniem z oczu. Ukrywszy twarz w dłonie, płakała.

Elżbieta stała przed nią chmurna i dziwnie zmieszana. Od lat tylu nie miała nigdy łzy w oczach, i teraz nawet łzy tej znaleźć nie mogła, choć czuła w gardle nerwowe dławienie.

Zresztą cała jej uwaga pochłonięta była teraz

myślą nową, która, w chwili podniecenia trwożnego zrodzona, teraz dojrzewała i nabierała już wyraźnych kształtów.

— Serce Maryniu — wyrzekła wreszcie — ty nie szlochaj... nie mam ja nic wprawdzie, ale to, co mam, będzie twoje... tylko ty już przy mnie zostań i starych mych lat doglądaj. Jutro ci więcej powiem, aby tylko noc przebyć!

— Dobranoc ci, ciociu! staraj się zasnąć. Ja idę do oficynki. Jutro, skoro świt, trzeba do miasta po trumnę i sprawunki posłać.

Trzask jakiś w kącie sali dał się słyszeć.

— Co to? — szepnęła trwożnie Elżbieta.

— Nic, meble ze starości pękają...

Marja powiodła oczyma dokoła. W ciemnym kącie sali drzemał szpinecik, bieląc się jasnem pudłem wśród cieniu.

Wspomnienie Stania, jak ostrze, przeszyło serce dziewczyny. Odegnała je prędko i dopomogła Elżbiecie do otworzenia alkierza.

— Do jutra, ciociu! — wyrzekła, po raz pierwszy dłużej się w twarz ciotki wpatrując do — jutra... śpij spokojnie!

Z obsłon brudnej flaneli twarz Elżbiety, oświetlona od spodu żółtym blaskiem lampy, blada była, z oczyma przygasłemi, znękana i zmieniona do niepoznania.

— Do jutra! — powtórzyła Elżbieta i, w głąb alkierza się cofnąwszy, drzwi ryglować zaczęła.

Marja przebyła po ciemku salę, wyciągając przed siebie ręce, potykając się o sprzęty.

Już przy progu usłyszała ponownie suchy trzask, znów się rozlegający, jak przed chwilą.

Trzask ten wstrząsnął nią całą. Dlaczego? nie umiała sobie wytłumaczyć. Chwilę jednak stała jeszcze, wpatrzona w mały kwadracik jasny, w drzwiach alkierza wycięty. Poza tą szybką majaczyła postać Elżbiety, rozlewając się w wielką ciemną plamę.

Ciotka chodziła po alkierzu, przewracając jakieś sprzęty po kątach. Wreszcie, usiadła widocznie, bo kroki ucichły.

Wówczas Marja, cicho drzwi do sieni otworzywszy, z sali się wysunęła.

. . . . . .

Od trzech godzin Marja czuwała teraz przy ciele zmarłej, które przy pomocy Bukowskiego ułożyła na czystej pościeli i okryła białem, pocerowanem prześcieradłem.

Stara panna zdawała się spać na swej dziewiczej pościeli, wyciągnięta sztywno, z ustami zaciśniętemi i podwiązanemi chusteczką farbowaną w szafranie. Z obsłony tej żółtej wystawał profil ostry, o szarych cieniach z wachlarzem rzęs opuszczających się na pociętą zmarszczkami skórę policzków. Kontury ciała gubiły się pod bielą prześcieradła; jedynie stopy obciągały płótno, podniesione na sztywnych już palcach.

Dwie świece paliły się na stoliku obok łóżka. Pomiędzy niemi, na krzyżu rozpięty, Chrystus podniósł ku górze smutną twarz, z żółtego wyrzeźbioną drzewa.

Odrobina wody święconej na spodeczku, kropidełko z wiórów, niegdyś ręką Bukowskiego na Wielkanoc złatane, leżało rzucone u stóp krucyfiksu.

Dokoła panowała wielka, martwa cisza.

Bukowscy, znużeni, zasnęli w ubraniu, uprosiwszy u Marji przyrzeczenie obudzenia ich nad ranem dla zmienienia jej przy zmarłej.

Dziewczyna usiadła na foteliku w nogach łóżka i, oparłszy znużoną głowę na ręku, w twarz nieboszczki się wpatrzyła.

Powoli nieruchomość zmarłej zdawała się udzielać i żyjącej. Z oczyma, utkwionemi w ostre rysy, występujące w mdłym blasku świec, Marja przybrała maskę istoty, pozbawionej życia, i czując w tej nieruchomości ulgę jakąś wielką, siedziała tak, jakby z kamienia wykuta.

Przestała teraz myśleć i czuć cokolwiek.

Ciotka Elżbieta, Stanio, to wszystko, co tak silnie szarpało jej serce, znikło teraz z przed jej oczu. Pławiła się w jakiejś bezwładności, w pustce, którą czuła pod czaszką i mimowoli chłonęła w siebie bezwład-

ność i nieruchomość tego ciała, którego nogi stężałe i jak lód zimne, prawie czuła u kolan swoich.

Woń lewandy i piżma, dobywająca się z pościeli i otwartej szufladki komody, zlewała się ze swędem świec woskowych. Jakaś atmosfera kaplicy grobowej, w której więdną kwiaty i topią się strumienie wosku, przepełniała izdebkę. Całe życie nieboszczki, cała cicha tragedja tłumionych żądz, pragnień, przeczuć i uniesień, zdawały się teraz zamierać wśród tej ciszy nocy pośmiertnej, jedno po drugiem, jak kwiaty w alkowie kobiecej.

W ciszy, jaka zawisła nad zmarłą, drżały tylko lekko płomienie świec, jakby pod wpływem tchnień jakichś tajemniczych.

. . . . . .

Wreszcie Marja oderwała swój wzrok od twarzy trupa i całą siłą woli przywołała się do rzeczywistości.

Świece dopalone do połowy, opuszczały długie czarne knoty z płomieniejącą na końcach iskierką.

Marja powstała i chwilę szukała nożyczek lub szczypców dla poprawienia świec.

Zimno jej było, siedziała teraz cała przeziębła nawskroś w swej lekkiej sukience.

Powoli zbliżyła się do okna. Ciemno było na dworze zupełnie. Jedynie tylko jasny punkcik migotał w przestrzeni. Było to okienko alkierza Elżbiety.

Marja stanęła, w punkcik ten wpatrzona.

Ciotka jeszcze nie śpi? Widocznie trwoga, sąsiedztwo zmarłej, wreszcie to wielkie zdenerwowanie, jakie objawiała w chwili rozstania, spać jej nie dozwala.

W sercu Marji zbudziło się silne uczucie litości. Przypomniała sobie wybladłą twarz Elżbiety, w świetle lampki na progu alkierza.

— Pójdę, zobaczę, co się z nią dzieje!—wyrzekła — pół głosem.

Słowa te przerwały ciszę panującą dokoła.

Chwilę Marja stała przelękniona. Nie poznała własnego głosu. Zdawało się jej, że to przemówił ktoś obcy poza jej plecami.

Szybko jednak wróciła do równowagi. Cicho wysunęła się z izdebki, aby nie zbudzić Bukowskich, przejęta teraz wielką litością dla wszystkiego, co słabe i wiekiem zgnębione.

— Niech śpią spokojnie! — pomyślała, na dziedziniec się wysuwając.

Spojrzała na dwór, okienko świeciło ciągle żółtawą plamą.

Nagle zdjęła ją wielka trwoga; coś się targnęło w jej wnętrzu i dreszczem od stóp do karku przeszyło. Lecz zarazem zbudziła się w niej siła jakaś nadludzka, porwała się z miejsca i pędem do dworu biec poczęła.

Potknęła się o coś. Pochyliła się szybko i poczęła szukać w ciemności ręką. Dłoń jej napotkała kudłate ciało zwierzęcia.

Medor, pies podwórzowy, leżał martwy.

Marja popchnęła psa i, jak szalona, wpadła teraz na ganek, strasznym rwana niepokojem.

Drzwi od sali zastała otwarte. Jednym skokiem znalazła się w środku sali.

Drzwi alkierza, lekko uchylone, żółtą do sali wpuszczały strugę.

— Ciotko! — krzyknęła dziewczyna.

Lecz już silne jakieś ręce na ziemię ją powaliły.

Padając uderzyła głową o kant stołu. Ból straszny wstrząsnął jej czaszką, lecz ona, z nadludzką niemal siłą szamotała się z czarną postacią, nad nią pochyloną.

Jakieś ręce, nielitościwie silne, brutalne, dławiły ją i kułakami piersi jej tłoczyły. Ona szarpała się, głową o ziemię bijąc, całą siłą pragnąc się dostać do alkierza, z którego smuga światła wciąż biła, niczem nie zmącona.

Teraz jednak druga już postać ponad nią stała, biała cała, w płótnie obszarpanem, z którego błoto na jej twarz ściekało.

— *Szlug!* — syknął znów ktoś w cieniu.

Ona na kolana się podniosła i ku drzwiom rzuciła.

— Ciotko!

Obie postacie do niej znów przypadły i na ziemię obaliły.

W jasnej strudze światła Marja ujrzała schyloną nad nią twarz Orchima.

Jakieś czarne ciężkie ciało nogi jej przygniotło, chłop gorącym oddechem twarz dziewczyny owionął.

— *Szlug!*

Marja, ostatka sił dobywszy, z charczeniem dzikiem w ramię chłopa wpiła się zębami.

— Suko! — wrzasnął pijak.

Zimny połysk żelaza mignął przed oczyma dziewczyny, z boku ujrzała nagle twarz Jankla, poznała go, chciała krzyknąć, lecz już ostry, gorący ból pierś jej lewą przeszył...

Krzyk skonał w jej piersi, ciepła krew suknię jej zwilżyła, chwilę jeszcze usiłowała podnieść się, spojrzeć i upadła na podłogę bez życia, wśród jasnej strugi żółtawego światła i schylonych nad nią morderców.

X.

Cicho próg dziecinnego pokoju przestąpiwszy, Marja przy kołysce Jerzusia uklękła.

Spał on pod pikową kołderką, obie piąstki do buzi przyłożywszy. Rumiany, zdrów, doskonale odżywiony, oddychał lekko, pociągając troszkę noskiem. Do poduszki przylepiony kawałek owsianego cukru szklił się w świetle lekko przyćmionej lampy.

Marja rękę wyciągnęła i, odczepiwszy cukier od koronki, odwróciła się ku bonie z wyrzutem.

— Dlaczego panna Józefa pozwala dziecku brać do kołyski łakocie... upominałam tyle razy.

Od komody, na której poskładane stosy dziecinnej bielizny bieliły się w półcieniu, odezwała się wysoka, silnie rozrosła dziewczyna.

— Jerzuś tak płakał... dałam mu cukierek!

W głosie sługi była jakaś hardość, to „coś“, co odbijało w tonie służby, czującej niepewny grunt pod stopami pani.

— Proszę, aby drugi raz to się nie zdarzyło.

Dziewczyna nic nie odpowiedziała, odwróciła się

do komody i pilnie maluchne, prążkowane skarpetki zwijać i sortować zaczęła!

Marja powiodła wzrokiem dokoła pokoju, w którym wzorowa panowała czystość; sprzęty niskie, miękkie, rozkładały się po pod ścianami, okrytemi, gładką dębową boazerją. Maluchny stolik, dwa foteliki, tuliły się w kąciku. Wielki koń na biegunach, siwy, z ogonem wyrwanym i uszami odgryzionemi majaczył w świetle lampy.

Spokój panował tu zupełny. Z poza zasłon białych, w prostych spadających, fałdach, okna zdawały się drzemać w cieniu ulicznym. W tem zacisznem dziecięcem schronieniu stworzył się świat odrębny, obwiedziony, odcięty grubym od świata murem.

Teraz Marja powstała powoli i, pochylona nad kołyską, poprawiała jeszcze fałdy satinety i muślinu, spływające z wielkiego węzła wstążki, zawieszonej wysoko ponad kołyską, na pozłacanym i zagiętym drągu.

Białe i gładkie palce przesuwały się z pewną miękkością wzdłuż lekkiej tkaniny; chwilę jeszcze młoda kobieta zatopiła wzrok swój w twarzyczce dziecka i, poprawiwszy dokoła wygiętego w rozkosznem skórczeniu grzbietu kołderkę, wysunęła się z pokoju.

Za nią Józefa powiodła dziwnym wzrokiem, w którym zuchwałość i ironja się mieściła.

Cicho stąpając po dywanach, które położone na rohożkach kroki jej tłumiły, minęła Marja swą sypialnię, w półcieniu pogrążoną, i weszła do jadalni, w której paląca się jasno lampa oblała ją ostrem światłem.

Koło rzeźbionego kredensu w toczone kolumny, w stylu baroko, uwijał się lokaj ciemno ubrany, correct, ogolony, mający doskonałe cechy wytresowanego służbisty.

Cicho, bez hałasu, na środkowym stole zastawiał delikatne białe filiżanki o złoconych brzegach, na których leżały cienko pokrajane *sandvich'e i tartinki*. Małe solniczki, garnuszeczki na śmietankę, srebrne, kunsztownie odrobione, stały na kredensie, obok *petits-fours'ów*, ułożonych w piramidę na srebrnym koszyczku.

Dokoła ścian, ciemną tapetą, imitującą skórę, pokrytych, biegły rzeźbione półki, pozastawiane delikat-

nemi porcelanami i kryształami. Pod półkami wąskie kanapki, skórą obite, jak węże wiły się wzdłuż ścian.

Nad jedną z nich, w miejscu, gdzie półek brakowało, zwieszał się wyblakły gobelin, kładąc szarawą plamę na ciemne tło obicia. W surowem świetle lampy, Juno, siedząca w obłokach, owiana czerwoną draperją, rysowała się dokładnie, przecięta szafirową fałdą płaszcza Merkurego, który z gracją Lekain'a ręce swe ku chmurnej bogini podnosił.

Marja do stołu się zbliżyła i, rzucając wzrokiem po zastawie, spytała:

— Pan już powrócił?

Lokaj, przysuwający właśnie wysokie, skórą tłoczoną obite krzesła dokoła stołu, wyprostował się, jak struna.

— Nie, jaśnie pani — odparł układnym głosem.

Po twarzy Marji przesunął cień.

— Nie podawaj herbaty; zaczekamy na pana...

Lokajowi zadrgały niewidocznie prawie kąciki ust ironicznym śmiechem.

— Słucham, jaśnie pani!

Marja, z nerwowością, właściwą kobietom zwyciężonym, uśmiech ten przeczuła.

— Albo... podaj — wyrzekła szybko, brwi marszcząc — pan dziś tak prędko nie wróci. Zapomniałam o tem.

Miała w tej chwili w sobie pomieszanie szlachetne, jakąś chęć ukrycia własnej niedoli przed brutalnem okiem sługi.

Karol wyszedł z pokoju, jak cień, ukończywszy zastawę stołu.

Dwie filiżanki, dwa nakrycia zajmowały białą przestrzeń obrusa.

Marja odsunęła krzesło i usiadła obok małego stoliczka, obwiedzionego galeryjką, na którym przygotowano czajnik i puszkę kryształową, wypełnioną herbatą. Naprzeciw miała gobelin, z którego Junona wybladłemi oczyma w przestrzeń patrzeć się smutnie zdawała.

Marja powoli zapadła w zadumę.

Teraz lampa, zawieszona na łańcuchach, oświecała

ją jaskrawo, jakkolwiek od spodu biały glob światłość tę przyćmiewał.

Młoda kobieta zmieniła się bardzo. Urosła, wypełniała, rozwinęła się. Ramiona jej nabrały pewnych zaokrąglonych linji, postać cała miała teraz wdzięk majestatyczny kobiety matki. Ciężki angielski kort jej kostjumu opinał się na jej naprzód podanym biuście i biodrach, wyraźnie się zaznaczających pod miękką, choć grubą tkaniną. Stanik, zrobiony ręką doskonałego krawca, zapięty na boku rzędem wielkich oksydowanych guzików, obejmował ciało, które zdawało się teraz żyć i pulsować przyśpieszonem tempem. Jedynie tylko twarz pozostała prawie ta sama, ciągle spokojna, dziewicza, pobladła.

Drzwi otworzyły się cicho i Karol wniósł samowar srebrny, ciemno w oddali połyskujący.

Samowar ustawił na małym stoliczku, obok Marji i, dopomógłszy do naparzenia herbaty, pierwszego zlania wody i powtórnego jej natoczenia, usunął się pod ścianę w postawie wyczekującej na dalsze rozkazy.

Marja, oparłszy rękę o stół, w nowej pogrążyła się zadumie.

Tak, była żoną Stania, była nią już od dwóch lat i kilku miesięcy.

Była żoną!

Lecz czyż była nią w istocie? Ksiądz związał im stułą ręce w małej kaplicy fary miasteczka. Tak było; przypomina sobie przecież dokładnie tę chwilę. Wszak ona zaledwie wtedy podniosła się z choroby, ze świeżo zagojoną raną w piersi, zadaną jej przez morderców ciotki, owej pamiętnej nocy listopadowej.

Gdy się zbudziła z omdlenia, w którem osunęła się pod stopy Orchima i Jankla, krwią cała zbroczona, znalazła się w swoim pokoju, pod opieką Bukowskiej, w atmosferze przesiąkniętej wonią karbolu i innych środków aptecznych.

Przykuta brakiem sił do pościeli, z przerażeniem wsłuchiwała się w jakiś szmer setek głosów, szumiących na dworskim dziedzińcu.

Chciała zapytać, lecz siły jej nie starczyły! Leżała więc cicho, wpatrując się w spękany sufit swej izdebki.

Nagle drzwi się cicho otworzyły. Bukowska powstała z kanapki, na której siedziała wyprostowana w swej zielonej mantylce, i ku drzwiom się zwróciła.

— I cóż? — zapytała stojącego w progu męża.

— Już ciała wynoszą.

— Obie trumny?

— Obie.

— Czemu nie śpiewają?

Bukowski ręką wskazał w stronę łóżka Marji.

— Doktór zakazał, boi się o chorą.

Tymczasem umysł pracował gorączkowo.

Trumny... dwie... czyje?

Powoli pamięć jej wracała. W jednej trumnie była niewątpliwie ciocia Leosia, lecz... w drugiej?...

I nagle, siły wszystkie zebrawszy, dziewczyna wyjęczała:

— Ciotka Elżbieta!...

Bukowscy do łóżka się zwrócili.

— Cyt, cyt, nie pytaj, nie mów!

Lecz ona, z uporem chorej, powtarzała przeciągle:

— Ciotka Elżbieta!...

Bukowscy spojrzeli po sobie.

— Chora! powiedział wreszcie mężczyzna.

Szmer głosów na dworze powiększył się. Teraz widocznie ksiądz przytłumionym głosem, lękliwie, aby nie obudzić chorej, pieśń żałosną zaintonował.

W Marji targnęło się serce, nagłem przeczuciem zdjęte.

— Nie żyje! — wyjęczała, w przestrzeń smutnie się wpatrując.

Bukowski próbował zaprzeczyć.

— Ależ nie, zapewniam panią; to ciocię Leosię wynoszą.

— Obie, obie! — powtórzyła chora.

Teraz Bukowska, ze sprytem kobiecym, ujęła w ręce ster sprawy.

— A więc tak, obie. I ciotka Elżbieta nie żyje. — Trzeba wreszcie, aby dziewczyna dowiedziała się o tem, czy prędzej, czy później.

Marja nie poruszyła się nawet na łóżku.

Tak, od chwil kilku czuła to i wiedziała, iż ciotka

Elżbieta żyć przestała. Nie było to jej winą, broniła ją przecież kosztem własnego życia, rwąc się z rąk oprawców w stronę alkierza.

Bukowski, widząc ją spokojną, wysunął się powoli z orszakiem pogrzebowym się łącząc.

Bukowska stała chwilę jeszcze obok łóżka, wpatrzona w pobladłą twarz rannej.

— Sprawnik czeka w domu na twoje polepszenie się. Morderców jeszcze nie ujęto. Pamiętasz ich?

Lecz Marja nie odpowiadała, pogrążona znów w omdleniu połowicznem, które jej wolę jakby kleszczami więziło. Słyszała pytania Bukowskiej, odpowiedzieć jednak nie miała siły.

Bukowska, widząc jej znużenie, odstąpiła od łóżka i z okna zaczęła przyglądać się orszakowi pogrzebowemu, który zwolna posuwał się już drogą poza bramę, w stronę miasteczka. Na dwóch wiejskich karawanach, z powodu błota, z sukna odartych, dwie wznosiły się trumny czarne, skromne, welwetem obciągnięte.

Dokoła tłum ludzi, w szarawej ginący pomroce, na dziedzińcu kilka koczów i bryczek.

W kilka godzin później Marja, staraniem lekarzy cokolwiek otrzeźwiona, odpowiadała na pytania przedstawicieli władzy co do morderców.

Gdy przez zaciśnięte jej nerwowo gardło miały przesunąć się nazwiska ujrzanych w strudze światła ludzi, niepokój ogarnął ją całą. Lecz prędko opanowała swe wzruszenie.

— Orchim i Jankiel!... — wyrzekła urywanym głosem.

— Jesteś pani tego pewną?

— Jaknajpewniejszą!...

Teraz czuła się jeszcze więcej zmieszaną. Ci mężczyźni, otaczający dokoła jej dziewczęce łoże, mieszali ją, drażnili. Chciała, aby się oddalili, lecz nakazać im tego nie śmiała. Ze zdenerwowaniem najwyższem zaczęła szukać oczyma Bukowskiej, która w kącie pokoju z lekarzem rozmawiała.

Nagle wzrok jej doznał olśnienia. W jasnej smudze światła, od okna płynącego, dojrzała nagle Stania, cokolwiek wybladłego i z roztargnieniem na nią spo-

glądającego. Był ubrany czarno i o całą głowę przenosił wzrostem wszystkich otaczających go mężczyzn.

Marja zagłębiła głowę w poduszki. Pasma włosów, spadające jej dokoła twarzy, piec ją i kłuć zaczęły. Z wysiłkiem zdrową ręką nagarnęła kołdrę pod samą szyję, dreszcz ją przejął febryczny, krwawe plamy na policzki wystąpiły.

Lekarz zbliżył się do jej łóżka.

— Na dziś dosyć! — zawyrokował, puls badając — chora jest wyczerpana, oponuję przeciw dalszemu badaniu!

Wszyscy wychodzić zaczęli, zimni, obojętni, sztywni w dopełnianiu zwykłych formalności.

Doktór odstąpił od łóżka dla przygotowania świeżego bandaża.

Nagle Marja zapłonęła cała, jak pochodnia. Stanio zbliżył się do jej łóżka.

— Spodziewam się, kuzynko — rzekł, — że postarasz się jaknajszybciej wrócić do zdrowia. Z mej strony uczynię wszystko, co można, aby wyzdrowienie twoje przyśpieszyć. Stanę się egoistą... pracować będę dla... szczęścia własnego...

Nawpół ironiczny, nawpół przymuszony uśmiech okrążył usta młodego człowieka.

Dziewczyna leżała zmieszana, drżąca, z oczyma przymkniętemi, słysząc wyrazy, lecz unikając spotkania chłodnego wzroku szafirowych oczu, których spojrzenie czuła na swej twarzy.

Stanio, skłoniwszy się, wyszedł *correct*, przygryzając nerwowo wąsy białemi, ostremi zębami.

Dziewczyna pogrążyła się teraz w półśnie, rozbierając usłyszane wyrazy.

„Dla szczęścia własnego!“

Och! ci światowi mężczyźni, nawet wobec chorej, rannej, bezdomnej nędzarki nie zapominają o konwenansach i tak, jak żebrakowi różę, rzucają jej kilka słów wytwornych po to chyba, aby odczuła jeszcze ciężej nędzę położenia własnego!

Ze śmiercią ciotki, Siemiatycze stają się własnością Stania, ona jest tu już niepotrzebna, i skoro rana się jej zagoi, a sprawa ukończoną zostanie, ona powin-

na iść w świat! het!... daleko, szukać chleba i pracy u obcych ludzi.

Wieczna tułaczka! wieczna na obcej glebie najemnica!...

. . . . . .

Karol, przylepiony do portjery, chrząknął dyskretnie. Znał już teraz te „zamyślenia się“ pani, które go w rozpacz wprawiały.

Młoda kobieta siedzieć tak mogła dnie całe, wieczory, pogrążona w myślach, z brwiami zmarszczonemi, z ręką o stół opartą.

Karol jednak pragnął oddalić się do kredensu, aby tam ze stangretem, na rogu stołu pokrytego jeszcze serwetami i resztkami deseru z obiadu, rozpocząć nieśmiertelną rumel pikietę.

Marja ocknęła się z zadumy. Szybko nalała sobie filiżankę wystygłej już prawie herbaty i spojrzała w stronę, gdzie stał zniecierpliwiony lokaj.

— Możesz odejść.

Zuchwały, chłodny wzrok tego mężczyzny mieszał ją niewypowiedzianie.

Nie chciała rozsnuwać przed nim tajemnic swego smutku i chłodu małżeńskiego pożycia, a czuła, że ironiczne spojrzenie lokaja, obejmujące jej samotną postać przy wieczornej herbacie, smaga jej dumne czoło i wstydzić się jej każe!

Gdy Karol wreszcie zniknął, odetchnęła swobodniej. Od tylu miesięcy gra tę bezustanną komedję, oczekując wieczorem na męża, który powraca dopiero nad ranem i którego kroków odgłos tłumią dywany, zaścielające pokoje!

Rano, przy śniadaniu, wobec ciągle snującego się Karola, może śledzić na czole męża bladość i zmarszczki, jakie rozpusta nocna kładzie na twarzy *viveur'ów*.

Dotknięta gorzko w dumie kobiecej, nie pyta, nie bada, zagłębia się w swej pozornej obojętności i uśmiechnięta, uprzejma, posuwa cytrynę, którą Stanio do herbaty drżącemi rękami wciska.

On, przygryzając wąsy, swym zwykłym nerwowym ruchem, znużony, spryskany cały wodą i octami

toaletowemi, nawet zdaje się nie domyślać, co wre w sercu jego żony, jaka boleść ciężka przepełnia jej duszę, ile goryczy mieści się w uśmiechu, z jakim codziennie rękę na przywitanie podaje.

. . . . . .

Jak się to stało, że zgodziła się zostać jego żoną? sama dobrze o tem nie wie.

Testament ciotki, w noc mordu nakreślony, i znaleziony wpośród sprzętów porozrzucanych dokoła alkierza, opiewał wolę Elżbiety, wolę ostatnią i stanowczą, mianującą Stania generalnym spadkobiercą, z warunkiem wszakże poślubienia Marji.

Była to zapewne owa... nagroda, o której mówiła Elżbieta, drzwi alkierza zamykając.

Testament otwarty sprawił piorunujące wrażenie.

Marja leżała wówczas jeszcze w gorączce, lecz Stanio, dowiedziawszy się o kodycylu, wpadł w silne zdenerwowanie i marzył przez kilka chwil o unieważnieniu testamentu. Potem jednak uspokoił się.

Z łatwą zmiennością swej nerwowej natury, zaczął powoli oswajać się z położeniem, i w kilka godzin gotów już był do zaślubienia „kopciuszka“, jak w duchu swym nazywał Marję. I od pierwszej chwili przekroczenia jej ubogiego pokoju zaczął *faire la cour* swej narzeczonej.

Dziewczyna, dowiedziawszy się o istotnym stanie rzeczy, zapadła znów w gorączkę. Jakiś przestrach przed tą przepaścią szczęścia, jaka się przed nią otwierała, zmysły jej poprostu mącił.

Ona! ona! żoną Stania!...

Było to jak bajka, jak ów pałac kryształowy, makiem nabijany, o którym w dzieciństwie marzyła.

Powoli jednak prawość jej charakteru zbudziła się z całą mocą. Ręki swej Staniowi oddać nie mogła, nie powinna. Nie ona stworzoną była, aby błyszczeć u jego boku. Za nędzną, za mizerną, za głupią była, aby stanąć u ołtarza przy tym pięknym mężczyźnie.

Drżącym więc głosem, z sercem nawpół rozdartem, wypowiedziała swą wolę, prosząc Bukowskiej, aby zaniosła odmowną odpowiedź narzuconemu jej

przez ciotkę mężowi. Lecz Bukowska, cała podbita kurtuazją Stania, jego wytwornemi manierami, z krzykiem broniła się przeciw temu poselstwu.

— Zrujnować go pragniesz! — wołała — zrujnować do szczętu. Ta sukcesja jest jedyną jego deską ratunku! Czy nie wiesz, iż w razie odmowy z twej strony, majątek ma przejść na rzecz skarbu? Elżbieta nie myślała o nikim, tylko o was dwojgu! Śmierć Leosi, jej narzekanie przedśmiertne, przewróciły jej w głowie! Chciała ci zapewnić szczęście!... I zapewniła!... *Il faut être folle,* aby odrzucać rękę takiego, jak Stanio, gentlemana!

Marja, pobladła i drżąca, siedziała teraz na łóżku, plecami o poduszki oparta.

— Jakże mi jego żoną być — wyrzekła cicho — życie mu złamię, plącząc się tak niepotrzebnie!...

Bukowska ramionami wzruszyła.

— Życie ty mu złamiesz, jak go w nędzy pogrążysz — wyrzekła.

— Bez przywiązania łączyć się!...

— Ty o sobie nie mów! *Tu l'adores à la folie!* Ja się znam na tem!

Marja cała zapłonęła.

— Lecz on?...

Bukowska rzuciła się z niecierpliwością.

— Co ci do niego? *C'est son affaire!...* W wielkim świecie wszystkie straszne miłości są *déplacés,* wiedz o tem! A wreszcie... nie sądź, ażebyś mu była obojętną. Sto razy pytał się o ciebie, pragnie cię zobaczyć, i w jego oczach jest coś, coś, co mi mówi: *que tu lui deviens quelque chose,* bądź pewną!

W gorącej chęci skojarzenia małżeństwa, w którem możliwość dalszej swej i męża egzystencji widziała, jak stara rajfurka, tak wmawiała teraz nieistniejącą Stasia wzajemność, kłamała, cała przejęta ważnością pozyskania kąta i łyżki strawy na ostatek życia.

Dziewczyna, pomimo oporu, zaczęła wsłuchiwać się w jej słowa. Silna odwagą wobec bandy morderców, gryzącą ramię chłopa, uzbrojonego nożem, słabła teraz wobec samej siebie, wobec tego uczucia, prag-

nienia szczęścia, które ją ogarniało bezwiednie i wolę jej krępowało.

Wreszcie, po kilku dniach ciężkiej walki, która ją potem oblewała i resztki sił odbierała, powiedziała wielkie słowo: „tak“, na które Bukowska z drżeniem i gorączką wyczekiwać się zdawała.

Marja usprawiedliwiała się sama w oczach swoich z tego postępku. Stanio był zrujnowany, poświęcała się więc dla niego, ratowała go od nędzy...

Lecz w głębi jej duszy głos silny wołał:

„Kłamiesz!“

Głos ten mówił prawdę. Mocno zakochana dziewczyna spodziewała się uzyskać jakąś cząstkę w życiu męża dla siebie, i... kto wie, może cząstka ta zajęłaby powoli szersze plany, może Stanio odpłaciłby jej kiedyś choć cieniem za jej serdeczną, gorącą, wielką miłość.

Drżąca i zapłoniona od ołtarza odeszła.

Pierwsze miesiące jej małżeństwa były dla niej rozkoszną niespodzianką.

Stanio, zblazowany na punkcie kobiet, zaczął w tej nieśmiałości zakochanej dziewczyny znajdować urok nowy i niepojęty. Wśród całej masy kobiet, ta dziewica, kryjąca twarz w fałdy ślubnego welonu, niezgrabna i cała drżąca, miała w sobie wdzięk polnego kwiatu, przeniesionego do wytwornej cieplarni.

Marja ujrzała przed sobą cały swój pałac kryształowy z dziecinnych lat marzeń i pragnień tajonych.

Jak kwiat w słońcu, tak rozwijała się teraz, pod wpływem miłości.

Nauczyła się nosić z wdziękiem koronki peniuarów, wiązać kunsztowne węzły matinek, dobierać blade tony szlafroków. Kostjumy jej miały *cachet* artystyczne, fałdy spódnic drapowały się spokojnie; płaszcze, dolmany, narzutki, kapelusze, zlewały się w harmonijną całość.

Popełniła jednak nieostrożność wielką.

W rękach krawców, fryzjerów, perfumiarzy, stała się poprostu lalką... lalką, jedną z tysiąca i do tych podobną. Stanio, w żonie swej, woniejącej *muguet'em*, owiniętej w różowy lub czarny Sarah, obszyty koronką, odnajdywał swe dawne znajome. Wdzięk, prostota,

niezgrabność, to wszystko, co go podniecało urokiem nowości, znikło w powodzi powszedniej banalności, wyszukanej elegancji różowych batystów, mleka irysowego, nicianych koronek, jedwabnych plecionek i wód toaletowych.

Powoli też ostygł zupełnie i, odsunąwszy się od żony, która, milcząc, towarzyszyła pogrzebowi swego szczęścia, powrócił do dawnego trybu życia, zostawiając młodej kobiecie, jako całą pociechę, nadzieję przyszłego macierzyństwa.

. . . . . .

Nagłe szarpnięcie dzwonka wstrząsnęło zamyśloną kobietą.

Przedpokój był dość oddalony. Ten, który dzwonił, musiał mieć rękę silną lub być nerwowo wzruszony.

Marja, głowę podniósłszy, słuchała zdziwiona. Nie spodziewała się nikogo. Wiedziała, że Stanio nie wróci wcześniej, jak koło piątej zrana.

Żyła odosobniona, składając i otrzymując wzajem tylko konieczne wizyty.

O godzinie dziewiątej wieczorem nikt chyba nie zaglądał do mieszkania Stanisławów.

Szybko przebiegła przez jej głowę myśl o jakiemś nieszczęściu, wydarzonem mężowi. Myśl ta przeszyła boleśnie jej serce. Poznała, iż miłość dla tego człowieka trwa jeszcze w niej silnie, o wiele silniej, niż przypuszczała.

Porwała się z krzesła, z oczyma we drzwi wlepionemi. Drzwi cicho otworzyły się i stanął w nich Karol, zawsze spokojny i niewzruszony.

— Jakiś pan chce widzieć koniecznie jaśnie panią.

— Jego nazwisko?

— Biletu nie ma przy sobie; ze wsi, powiada, przybywa... Prosił, aby powiedzieć, że to pan Antoni z Horki.

Twarz Marji rozpromieniła się nagle.

— Prosić! prosić! — zawołała i, widząc, że Karol kieruje się do bocznych drzwi, aby przez mały salonik, do większej sali ceremonjalnie gościa wprowadzić:

— Ależ tu! tu! wprowadzić tego pana natychmiast! — zawołała.

Tak dawno nie widziała Antoniego! od pamiętnej chwili rozstania na uroczysku wołochowskiem, zniknęli sobie z przed oczu!

Wreszcie, we drzwiach przez Karola uchylonych, ukazał się Antoni, silny, rosły tylko cokolwiek więcej zmęczony i jakby silnie pomieszany.

Ubrany był po podróżnemu, w sieraczkowym garniturze, długich butach, i stał teraz w progu, rysując się doskonale na tle ciemnobronzowej portjery, cały oblany białem światłem lampy.

Karol z ukrytą ironją spojrzał na strój przybyłego gościa.

— Pewnie krewny pani, może brat!... O! już to pani ma ładne pokrewieństwa!

Cicho, układnie zamykając drzwi, wysunął się do kredensu.

Tymczasem Marja wyciągnęła obie ręce do stojącego w progu mężczyzny.

— Niedobry! dopiero teraz przypomniałeś sobie o mnie!... dopiero teraz!... — wyrzekła z wymówką.

Oczy jej się śmiały, cała twarz wyrażała radość wielką.

Antoni ręce jej pochwycił.

— Szczęśliwi świadków nie potrzebują!

Po czole Marji cień przemknął.

— Tak! tak!... zapewne. Lecz należało wcześniej się o tem szczęściu upewnić.

— Och!... byłem o niem z góry przekonany!

Smieli się teraz oboje, trzymając się za ręce i obrzucając ciekawem spojrzeniem.

On, wydał się jej jeszcze większy, bardziej rozrosły i silny w otoczeniu ścian miejskiego mieszkania. Lecz razem z nim spłynął cały urok wołyńskiego zakątka, wśród liści paproci i szumu Styru drzemiącego. Marja wciągała w siebie pełnemi piersiami woń leśną, którą odzież Antoniego zdawała się być nawskroś przesiąknięta.

Woń ta upajała ją.

Tymczasem on spoglądał na nią z nietajonem

uwielbieniem. Rozwinęła się, jak kwiat, smukła a pełna, cała skąpana w jakimś majestatycznym wdzięku kobiety, żyjącej w dobrobycie i dostatku. Ręka, którą trzymał w swych dłoniach, miała gładkość atłasu. We włosach w węzeł zebranych tkwiły widły szyldkretowe ze złotym, brylancikami wysadzanym monogramem. Tkanina sukni, krój stanika, lekka warstwa pudru, twarz przysłaniająca, wszystko to dziwiło go i śmiałość mu zwykłą odbierało. Lecz, gdy spojrzał w jej oczy, siną obwódką podkrążone oczy, pełne łagodnego wdzięku, dojrzał w nich dawną szczerość i prostotę dziewczęcą, tę prostotę, która stanowiła główną podstawę jej piękności, czarującej go duchowym wdziękiem w obramowaniu jodeł i dzwonków leśnych.

— Nie pytasz mnie nawet, pani, jak śmiałem znaleźć się pod progiem twoim o tak spóźnionej porze?

Ona otworzyła szeroko oczy.

Prawda, dopiero teraz przyszła jej na myśl późna godzina.

— Nie wiem, co cię tu sprowadziło, mój dobry przyjacielu. Tak byłam szczęśliwa z twego przybycia, iż konwenanse nie przyszły mi na myśl ani na chwilę. Lecz... rzeczywiście, co się stało? Jesteś w podróżnem ubraniu, prosto z kolei?... Czy jakie nieszczęście?

Gorączkowała się teraz, uderzona nagle myślą jakiegoś niezwykłego zdarzenia, spadającego na nią wśród tej samotnej ciszy zimowego wieczoru. Lecz Antoni milczał, zakłopotany, gryząc wargi, oczy wlepiając w ziemię.

Ona nalegała.

— Powiedz mi wszystko!... proszę! Czy już nie masz do mnie zaufania?

A, widząc jego pomieszanie, dodała:

— Wyspowiadaj mi się poprostu, jak siostrze!... Cóż tam masz na sumieniu? Czem zgrzeszyłeś znowu?..

Dopiero teraz dostrzegła, że blady był i zmizerowany.

— Cierpisz? — zapytała łagodnie — cierpisz i nie chcesz mi zwierzyć swej troski. Pragniesz, abym ci dopomogła? Cóż, Trejne?

Młody człowiek podchwycił szybko:

— Właśnie o nią chodzi!

— Na dobrej więc jesteśmy drodze. Czy zawsze trwasz pan w swojem uczuciu dla niej?

Antoni milczał znów, wąsy przygryzając.

— O! nie lękaj się powiedzieć mi wszystkiego. Dawniej byłam bezlitosna dla twego uczucia, dziś przecież się wszystko zmieniło. Rozumiem cię, odczuwam z tobą wspólnie troski i niepokoje. Cóż chcesz! serce powoli odtajać w życiu musi i przejść przez wszystkie udręczenia, na jakie jest stworzone! Mów więc!

Mówiła te słowa z prostotą wielką, patrząc jasnemi oczyma w zgnębioną niepokojem twarz mężczyzny.

— Gdzież jest twoja Trejne?

— Tutaj!

Ona cofnęła się zdumiona.

— Jakto... tutaj?

— Czeka w dorożce przed bramą.

— Uciekła!

Antoni teraz głowę podniósł, cały zgorączkowany, pragnąc wyrzucić wreszcie z siebie potok dławiących go wyrazów.

— Tak! tak! — wyrzekł szybko — uciekła, albo raczej uciekliśmy oboje wczorajszej nocy. Życie tej biednej dziewczyny stawało się nieznośną męczarnią. Rodzina ją prześladowała. Wreszcie dzikie to stworzenie, oswojone potrosze przezemnie, zapragnęło światła i... wiary! Tak jest! wiary! Przywiozłem ją tutaj z zamiarem ochrzczenia. Gdy chrzest św. przyjmie, wtedy!... wtedy ją zaślubię!

Marja wyciągnęła ręce strwożona.

— Żydówkę?

Głębokie uprzedzenie zabrzmiało w tym wyrazie.

— Gdy chrzest przyjmie, przestanie nią być.

— Tak sądzisz?

— Jestem przekonany!

Milczenie zapanowało chwilę, milczenie ciężkie, jak ołów.

Antoni otarł pot z czoła.

— Liczyłem na panią — wybełkotał wreszcie — liczyłem, że mi dopomożesz i... narzeczoną moją w dom

swój przyjąć raczysz. Do hotelu zawieźć jej nie mogę. Obawiam się pogoni. Jutro umieszczę ją w klasztorze.

Marja milczała oddychając ciężko.

Trejne! córka Jankla, którego twarz Marja widziała ciągle, schylonego nad sobą z nożem, w jasnej smudze światła. Trejne u niej? pod jej dachem?

— O... gdybyś ją znała bliżej—ciągnął dalej Antoni zdenerwowany i drżący — nie wahałabyś się ani na chwilę uczynić zadość mej prośbie. Proste serce, ale gorące, szlachetne, czyste, pełne najlepszych instynktów!... Wreszcie już się stało klamka zapadła! co robić? co robić?...

Oparł się o krzesło, zmęczony nadwyraz wszelki.

Marja spojrzała nań uważniej i poczuła; w swem sercu litość wielką dla tego mężczyzny, uginającego się pod ciężarem przygniatającego go uczucia.

— Kochasz więc ją tak bardzo? — zapytała łagodnie.

Oczy Antoniego żywym zapłonęły blaskiem.

— Bez pamięci! — odparł niskim, przytłumionym głosem.

Obie ręce kobiety wyciągnęły się ku niemu powoli.

— Przyprowadź więc ją!—wyrzekła z uśmiechem.

. . . . . .

W kilka godzin później w małym salonie purpurowy abażur przepuszczał czerwonawe blaski. Na niskiej sofie, obitej ciemno-wiśniowym aksamitem, siedziała Marja, wiodąc cichą rozmowę z Antonim.

W przeciwległym rogu pokoju, na miękkim, szerokim fotelu spała Trejne; owinięta w fałdy białego, flanelowego szlafroka Marji, która, zdjąwszy z niej podróżne łachmany, w swą własną odzież przebrać się jej kazała. Żydówka spała, oddychając lekko, znużona podróżą, rozmarzona ciepłem, panującem w mieszkaniu i wonią kwitnącej tuberozy, bielącej się w dębowej, delikatnie rzeźbionej żardinierce. Czarna kaskada włosów, jak zawsze rozczochrana i na plecy pękami rzucona, zlewała się z ciemnem tłem fotelu. Ponad głową dziewczyny olbrzymia palma lśniące rozkładała liście.

Pomiędzy temi zielonemi wachlarzami, wzbijała się wysoko biała datura, rozchylająca wspaniały swój kielich.

Dalej ściany pokryte aksamitem łączyły się z lampjonami sufitu, przeciętemi wąziuchną linją złotawych żyłek. W aksamit oprawne lustra kładły na ścianach czarno stalowe plamy. Pod niemi stojące, *„bonheurs du jour“*, w stylu Ludwika XVI-go, zatracały kontury swych drzwiczek czarnych, wykładanych kolorowo i tylko bronzy żółciły się niepewnym blaskiem.

Ściana, pod którą stało pianino, tonęła zupełnie w cieniu, migając tylko złotem bordiur i bielą marmurowego biustu, występującego jak duch z fałd aksamitu.

I całe światło koncentrowało się właśnie na uśpionej twarzy żydówki, światło żółto-czerwone, przefiltrowane przez jedwab abażuru, podłożonego różową koronką. W oświetleniu tem blada jej twarz nabierała krwawych refleksów z ciemnozielonemi tonami podkrążeń ocznych, zapadnięć brody i zgięć szyi, wydostającej się z pod wełnianych koronek szlafroka.

Marja z pochyloną głową słuchała teraz opowiadania Antoniego, który z całą szczerością i dobrą wiarą w przyszłość, spowiadał się jej ze swych pragnień i dążeń.

— Biedniaczka to! — mówił, na uśpioną w krwawej powodzi blasków dziewczynę ukazując — cóż winna, że do mnie przylgnęła sercem całem? Ja pierwszy pociągłem ją ku sobie. Dziś mi ją szanować jak świętość przychodzi, boć w prostocie swej dziecięcej, nieskażona to i czysta istota, ot, jak gołąbka poprostu.

Marja spojrzała na Trejnę i dziwnego doznała nagle olśnienia.

Żydówka zarysowała się jej, jak nieziemskie widziadło, pięknością swą potężne i groźne.

W śnie pogrążona, miała w sobie nieruchomość sfinksa, tajemniczego w swej przyczajonej pozie. Ramiona jej silne, życiem tętniące, z pod szerokich rękawów szlafroka występowały, jakby wyrzeźbione, na tle ciemnego aksamitu czysto się odcinając.

— Piękna jest! — wyrzekła jakby do siebie, nagłym, a niewytłumaczonym niepokojem zdjęta.

— Piękna bardzo — podchwycił Antoni, cały rozpromieniony—piękniejszej bo chyba kobiety nie widziałem! piękna i dobra, o! dobra bardzo!

Z poczciwem rozrzewnieniem wpatrzył się w twarz Trejny, mającej w tej chwili w zagięciu purpurowych drobnych, warg, w zmarszczeniu brwi, silnym łukiem zarysowanych, coś z drapieżnego zwierzęcia, w blaskach krwawych zachodzącego słońca uśpionego.

Marja oparła głowę na dłoni.

— Szczęście to dla pana, że ciało to nie zadaje kłamu duszy, szczęście wielkie, a przecież tak rzadkie, na świecie! tak rzadkie! I dla tego pozwól sobie powiedzieć, drogi przyjacielu, nie dozwalaj się unosić pozorom, zgruntuj dobrze charakter tej, z którą wiążesz się na życie całe...

Antoni porwał się z miejsca.

— Ależ, jak Boga kocham — zawołał, uderzając się w szerokie piersi — Trejne to anioł, jak Boga jedynego kocham!

Marja uśmiechnęła się na widok tego zapału.

— Nie przysięgaj niepotrzebnie. Wierzę ci i bez tego, i z całej duszy pragnę, aby tak było! Zresztą, okropną byłaby niewdzięcznicą, gdyby ci za twe przywiązanie odpłacić miała złą wolą.

— Nie odpłaci! nie! Głupia jest, prosta, ciemna, to prawda, ale poczciwa! A że głupia, tem lepiej, ja prostak także... oboje prochu nie wymyślimy.

Śmiał się, ale nieszczerze, umyślnie obniżając swój poziom umysłowy dla zrównania się z tą, którą tak bardzo ukochał.

Marja spojrzała na niego z uczuciem serdecznej litości. Instynktem kobiecym wiedziona, czuła, co mieści się w głębi duszy Trejny; rozumiała ból i zawód serdeczny, gdy nagle w życiu druga istota, mająca starczyć za świat cały, okaże się zimnym trupem, rozkładającym się szybko w atmosferze zgnilizny i zobojętnienia.

— Gdy ślub weźmiemy, przeniosę się z Horki w dalsze strony Wołynia — mówił tymczasem Antoni — kontrakt ekspiruje na święty Jan. Czas mieć będę do rozpatrzenia się po posesjach; służby u Brunona

dość mi już, zwłaszcza teraz, kiedy zwarjował na starość, i lada dzień do Warszawy na kurację się wybierze. Robi się coraz skąpszym i nieznośniejszym.

Marja uśmiechnęła się wesoło.

— Brunon w Warszawie?

— Ależ tak! Rozrywkę będziesz pani mieć... choć zapewne państwu rozrywek nie brak. Co to za miasto! Wesele i wesele!... nie to, co wieś!... A jakie latarnie! porządki. Trejne mało z dorożki nie wyskoczyła!... Gołąbka!

Zegar, na kominku stojący, wydzwonił jedenastą.

— Ot, późno już; zagawędziłem się. Męża już się nie doczekam, a tak chciałem go poznać! Dzielny to musi być chłopiec, kiedy taką żelazną wolę potrafił zmiękczyć i do serca nieprzystępnego, a hardego trafił. Ha?

Śmiał się zadowolony, że przyszła nań teraz godzina odwetu za doznane ongi na Uroczysku Wołochowskiem upokorzenie.

— A gdzież on? — zagadnął zdziwiony tą nieobecnością męża o wieczornej porze.

Nagły rumieniec oblał twarz Marji.

— W klubie... posiedzenie—odparła, poprawiając fałdy sukni.

— W jakim klubie? — ciągnął Antoni!

— Myśliwskim klubie.

— A... to polują w mieście? — zapytał naiwnie— polują? gdzie to? Ja tylko ulice widziałem. Ot, co to wielkie miasto! Polowania nawet mają pod ręką. Ale już późno, wrócićby chyba mógł?

— Wróci za chwilę — przerwała Marja. — Nie chcesz pan syna mego zobaczyć? Śpi już, ale choć w kołysce, niech ci jedyne me szczęście pokażę.

Podniosła się szybko, zmieszana tem słowem „jedyne", które wymknęło się jej na usta bezwiednie.

— Chodźmy... zobaczysz pan Jerzusia, a później do hotelu pojedziesz. Męża mego zatrzymało jakieś posiedzenie ważne... Jutro się poznacie.

Podniosła portjerę i, uśmiechając się, dodała:

— Nie śmiej się pan ze mnie, że jak każda matka

do kołyski cię prowadzę, ale wierz mi, to jedyny pokój i zadowolnienie.

Wyciągniętą ręką wskazywała mu teraz wnętrze swego pokoju, w którym lekkie, błękitne panowało światło. Na kilku stopniach, pokrytych białą niedźwiedzią skórą, stało łóżko niskie, rzeźbione, z drzewa różanego, wykładanego palisandrem. Szaro-stalowa, jedwabna kołdra, oszyta koronkami, okrywała je szczelnie. Firanki, ze stalowego atłasu, zwieszały się od sufitu w zimnych, lśniących fałdach.

Tualeta *duchesse*, z draperją koronek i stalowych wstążek, migała srebrem przyborów i białością całego doboru szczotek. Niskie meble, stalową kryte materją w wielkie srebrnawe bukiety, lustro w srebrnych ramach lampa zawieszona na stalowych łańcuszkach, wszystko zimne, smutne, puste, jak wielka lodowa przestrzeń, migocące w srebrnych blaskach księżyca.

Tylko w białem wyłożeniu koronkowych draperji wielki krzyż ciemny czernił na głównej ścianie łóżka, jakby stojąc na straży snu kobiety, która w upokorzeniu serdecznem po całych nocach nieraz w łzach bez skargi tonęła.

Około łóżka przeniesiona kołyska Jerzusia rzucała jasny zwój obłocznych muślinów w chłodną przestrzeń sypialni.

Lekka woń werweny i konwalji unosiła się w powietrzu. Wiązanka białych kwiatów więdła w kryształowej czarce, którą unosił na swym grzbiecie klęczący, srebrny amorek.

Marja teraz stała przy kołysce i, delikatnie firanki odsłaniając, z uśmiechem na uśpione dziecko spoglądała.

Antoni zatrzymał się na progu, uderzony niezmiernie wdzięcznym widokiem, który tworzyła ta młoda kobieta nad kolebką dziecka, cała skąpana w bladawem świetle, rozpływającem się w przestrzeni. Słodki uśmiech, okalający jej usta, czynił ją piękną; cała postać łagodna, harmonijna w rysunku, jasną barwą odzieży zlewała się z martwemi tonami obicia i draperji firanek.

— Jakżeś pani wypiękniała! — wyrzekł prawie bezwiednie.

Ona uśmiechnęła się radośnie, jakby światło z białej kołyski płynące, dodawało blasku radosnego jej twarzy.

— Wobec mego syna nie mówi się o piękności. Spójrz pan... oto jest uroda i duma matki!... oto jest najpiękniejsze dziecko na świecie!...

Śmiała się przez łzy, cała pogrążona w jakiejś ekstazie przed tą drobną twarzyczką, snem zarumienioną i w cienką webę poszewek wciśniętą.

Antoni niezgrabnie na palcach zbliżył się do kołyski.

— Śliczny chłoptaś — wyrzekł wreszcie zakłopotany, nie mogąc znaleźć słów dla podbicia dostatecznego matki.

— Śliczny! to mało! — zawołała Marja — prześliczny i to jeszcze mało! A jaki duży na swój wiek, olbrzymi!... A rozum!... nie, pan o tem nie możesz mieć wyobrażenia!

Ożywiona cała, poprawiała kołderkę, układała małe, tłuste rączki z poobcinanemi krótko pazurkami.

Antoni tymczasem patrzył znów na nią z zachwytem. Przedzielała ich kołyska, nad którą oboje nachyleni dotykali się prawie włosami, nie uczuwając tego bezwiednego zbliżenia.

Nagle oczy ich spotkały się i chwilę tonęły w sobie, jakby siłą jakąś nadprzyrodzoną przykute. Trwało to krótką chwilę, a jednak zmieszało ich oboje.

Jakieś szmery płynące z salonu, wyrwały ich z tego dziwnego stanu.

Marja postąpiła ku drzwiom i szybko podniosła portjerę. Za nią do salonu wszedł Antoni, cały jeszcze przejęty doznanem wrażeniem.

Lecz u progu wrażenie to znikło, ustępując miejsca innemu.

Na środku salonu stał Stanio, ze zdziwieniem spoglądający na przeciągającą się i zbudzoną jego wejściem Trejnę.

Żydówka, ujrzawszy obcego mężczyznę, w pierwszej chwili strwożona, uśmiechnęła się, drapieżnie włosy rękami z twarzy odgarniając.

On stał, zdumiony tem niespodziewanem zjawiskiem, ukazującem się mu nagle w krwawych refleksach na tle purpurowego aksamitu.

Olśniony, stał ciągle z kapeluszem w ręku na środku sali, sam piękny, doskonale ubrany, woniejący zdaleka *cordalisem*. Przed nim, na ciemnem tle fotelu, wężowato wygięta biała postać z wyciągniętemi w górę ramionami, z oczyma ciemnemi jak przepaść, z masą czarnych włosów dokoła twarzy i szyi rozrzuconą, kąpała się w jaskrawej powodzi świateł.

Z niemej tej kontemplacji zbudził Stania głos żony, przedstawiający mu przyjaciela z Uroczyska Wołochowskiego.

Wzrok Stania prześlizgnął się po postaci Antoniego i znów z uporem zatrzymał się na wpatrzonej w niego żydówce.

Marja oczyma wślad za tym wzrokiem pobiegła.

Poczuła gorąco w piersiach.

Wyciągnęła jednak ramię, jakby chcąc ręką swą, na której połyskiwała ślubna obrączka, przeciąć prąd, płynący z tych dwóch pięknych postaci ku sobie.

— A to jego narzeczona! — wyrzekła surowym i silnym głosem.

XI.

Powoli, odwijając bibułki otaczające zabawki, układała Marja na brzegu kontuaru błyszczące cacka, neseserki pluszowe, kornety, przystrojone wstążkami, pudełeczka ozdobione ręcznem malowidłem, japońszczyzną drobiazgową, słowem cały *bric á brac* świecących bazarów, przerzucony w atmosferę chłodną sal redutowych, w których błąkało się światło dnia zimowego, niepewne i wilgotne.

Wzdłuż ścian wyciągały się linją prostą sklepy, przystrojone fałdami białego grubego muślinu, przeciętego ruszami organtyny, z zielonawych lub różowych wyblakłych tonach.

Przed sklepami szeleściły całe masy bibuł różno-

kolorowych, plącząc się w treny powłóczystych sukien kobiet, krążących na wsze strony po chodnikach.

Panowie delegowani przebiegali z minami zaaferowanemi, skrzypiąc przeraźliwie butami, zaczepiani co chwila przez damy delegowane, które potrzebowały informacji, co do przebiegu wenty.

— Tylko żadnej karoty! żadnej karoty!

— O, naturalnie, *c'est convenu.*

Jak stado wróbli rozpierzchały się znów na wszystkie strony w swych, przeważnie ciemnych, tualetach. Kręciły głowami, domagały się przystrojenia sklepów, pociągały fałdy muślinu, obrywały lambrekiny, przerzucały fotografje, oglądały pierniki, tłukły wazony, gniotły poustawiane w rogach sali choinki i wreszcie, wszedłszy za kontuar, opadały na krzesła, znużone, wyczerpane, deklarując, że są zupełnie *„lasses"* i niewiadomo, „jak do wieczora wytrzymają".

Cały ten szczebiot gorączkowy, cała ta nerwowa ruchliwość istot zwykle bezczynnych, znajdowała tu doskonałe ujście, wśród zacieśnionych klatek sklepowych, w chorobliwem świetle źle oczyszczonych szyb, przysłonionych jeszcze białym perkalem stor pofałdowanych.

Na samym środku sali, jakby drogowskaz wśród rozstaju, sterczał kiosk, obwinięty kwiatami, gałęziami pożółkłego bluszczu i obstawiony doniczkami azalji. Gdzieniegdzie czerwona kamelja krwawiła ciemne tło gałęzi świerkowych.

Na lewo od kiosku rozkładała się księgarnia cała purpurą i szafirem książek błyszcząca. Kosze jeszcze wyładowywano, rozrzucając wszędzie całe setki kalendarzy w żółtej pomazanej okładce. Kalendarze te, jak rój motyli spadły na kontuar, czepiały się filarów i żółciły się na fałdach muślinu.

Obok bielizna śniegiem swych koronek piętrzyła się puszysta i zimna, rozweselona tylko jasnoliljową suknią damy sprzedającej. Z osłon sąsiedniego sklepu świeciły wyroby Christofla, mieniąc się srebrem w wygięciach serwisów i kandelabrów. Tuż obok, różowe, nastrzępione masy bibułki, w które poobwijano pierniki, śmiały się wesoło całą gamą jasnych barw i odcieni;

stosami piętrzyły się ku górze na tle białego muślinu, jak rzędy wieśniaczek, tańczących wśród jasnego dnia farandolę i migających w świetle barwną falą sukien.

Obok płonęły żółte światła. Zapalono kilka lamp w sklepie następującym, w którym miano sprzedawać lampy. Na smukłych stalowych podstawach wysokie francuskie wznosiły się klosze, niby grzęda tulipanów różowych, o białawych mlecznych odcieniach, klomb kwiatów mistycznych, bezwonnych, bezlistnych na połyskujących łodygach oparty. Z góry na delikatnych łańcuszkach zwieszały się *veilleusy* bladoróżowe, błękitne lub bizantyjskie, kolorowemi szkłami wysadzane.

Tymczasem od bufetu płynął już szczęk łyżeczek i gwar chłopców cukierniczych, migających zdaleka bielą swych długich fartuchów, a na galerji, pustej jeszcze, krzątała się służba, rozstawiając pulpity orkiestrowe. Przez kręcone schodki pomykał skurczony muzykant z pliką nut, ujętą w okładki tekturowe, za nim mały chłopiec dźwigał duże pudło z wjolą, gazmajster otwierał krany gazowe i zamykał je pośpiesznie, ocierając ręce o balustradę.

Marja, spokojnie, bez gorączkowego i nerwowego pośpiechu, zajmowała się przystrojeniem swego sklepu. Wyjmowała z pudełek na ziemi stojących cacka i rozwieszała je dokoła fałd muślinowych, przytwierdzając wstążeczki wielkiemi, lawowemi szpilkami. Służący, pochylony nad pudłami, dopomagał jej dość wprawnie, od dwóch lat przyzwyczajony do tej atmosfery bazarowej, pełnej ruchu i nerwowego niepokoju. Cały kontuar, pokryty piękną, miękką turecką makatą, założył już lalkami, butonierkami z fiołków, *sachetami* woniejącemi irysem i cordalisem, a teraz wyciągał lusterka orjentalne, emaljowane, przyozdobione purpurowemi kokardami, i zabierał się do ułożenia ich na brzegu kontuaru.

— Nie tu — wyrzekła Marja — nie tu! Przechodzący na ziemię zrzucić je mogą!

Lokaj zatrzymał się nagle, zdetonowany, i stał z rękami opuszczonemi, spoglądając w głąb sklepu.

— Lusterka ułożymy na półkach — zawyrokowała Marja.

— A ja dopomogę...

Młoda kobieta odwróciła się szybko.

Przed nią stał, uśmiechnięty radośnie, młody blondyn o wyblakłych szarych oczach i spieczonych wargach. Rzadkie włosy, zczesane umiejętnie ku przodowi, spadały mu na czoło w formie grzywki. Wiewiórczą miał on twarz i wiewiórcze spojrzenie, połączone z ironją zużytego *viveur'a*, który mówi o życiu „to głupie życie", a o świecie „ten świat idjotyczny".

Marja, spojrzawszy na tę twarz, dobrze wymytą i wypieszczoną, w oprawie rudawych bokobrodów, uśmiechnęła się mimowoli.

Młody człowiek uśmiech ten podchwycił.

— Uśmieszek jest, wszystko dobrze! Pozwolenie otrzymane! Od tej chwili instaluję się w sklepie!

— Zwolna, zwolna! — odparła Marja — nie jesteś pan delegowanym...

— *Si fait!* delegował mnie Stanio!

— A!

Po twarzy Marji przemknął cień chwilowy, siłą woli jednak uśmiech przywołany ukazał się na nowo. Mężczyzna wszakże cień ten podchwycił.

— Stanio jest dziś zajęty... więc ja!

Marja zmarszczyła brwi.

— Wiem, że mąż mój jest zajęty i nie oczekuję tu na jego przybycie.

Młody człowiek uśmiechnął się ironicznie.

— *Si fait,* jednak to krok bardzo nieostrożny z jego strony.

— Dlaczego?

— *On ne badine pas...*

Urwał, głowę pochylił i wiązanie makaty skubał długiemi, cienkiemi palcami.

Szczera wesołość rozjaśniła twarz Marji.

— Dlaczego pan nie kończysz?

Mężczyzna przybrał minę aktorki, grającej w trzydziestu latach naiwną dziewczynkę.

— Nie wypada!...

Marja śmiała się teraz na dobre.

— Dlaczego?

— Bo... bo...

— Ostrożnie tymczasem z moją serwetą i całym sklepem. Zrzucisz mi go pan na ziemię!

— *La belle affaire,* takich *bric á brac'ów* dostanę wszędzie.

— Nie wszędzie.

— *Pour cause?*

— Bo to moja praca.

— *A d'autres* Nie wierzę!

— Powinnabym się gniewać za tę niewiarę, ale nie mam na to czasu. Dopomóż mi pan do zawieszenia tej bombonierki. O! tam, wysoko!...

— *Tout la haut?*

— *Oui, la haut!* jeśli pan chcesz koniecznie.

Mężczyzna wspiął się na palce, śmieszny w swem długiem futrze z peleryną, które ciągnęło go całą siłą ku ziemi.

Marja tymczasem wyjęła z pudełek cały tuzin małych z ukrytą maszynerją myszek i delikatnie ustawiła je na szklannej tacce.

— Jak pan myślisz? — zapytała wreszcie — jaką cenę na te myszki oznaczyć?

Mężczyzna przez ramię spojrzał na zabawki.

— *Que sais-je...* dziesięć, piętnaście rubli...

Marja wybuchnęła śmiechem.

A któż je za tę cenę kupi?

Młody człowiek skończył zawieszanie bombonierki, i schował się teraz cały w futro, tak, że zaledwie czubek rudej głowy wystawał z ciemnego błamu bobrów.

— Ja kupię! — wyrzekł z determinacją.

— Och!... pan!... nie o to tu chodzi. Sprzedający powinien unikać karoty.

— Karota musi być!...

— Nie będzie jej!

— To ja idę do domu.

Nogami tupał i ręce w rękawy futra chował ruchem zakonnicy.

Marja ramionami wzruszyła.

— Och ten pan Leon! — wyrzekła nareszcie.

Młody człowiek wpół się wygiął.

— Prawda? niema, jak ja? — przymilał się, oczy mrużąc.

Ona roześmiała się na widok tego wesołego idjoty, który szedł przez życie niewiadomo w jakim celu.

— Niema, jak pan!... — powtórzyła wesoło.

Weszła teraz za kontuar, przyglądając się własnemu dziełu. Tu i owdzie poprawiła jeszcze sukienkę lalki, czapkę pajaca, węzeł wstążki na pałąku koszyczka. Odsłoniła pokrywki pudełeczek, pełnych fiołków smażonych, pomieszała „żaponaże“ ze szkatułeczkami, imitującemi neseserki Marji Antoniny.

Swiatło padało na nią, cokolwiek przyćmione fałdami muślinu. W tem przyćmieniu Marja miała cerę niezmiernie delikatną z różowemi cieniami na policzkach, uszach i brodzie. Suknia z szaro-stalowego pluszu opinała jej nadwyraz kształtną kibić. Pod szyją srebrzył się delikatny haft stalowego szutasu, takież hafty obejmowały rękawy i dwie długie klapy z boku otwartej polonezy. Z tegoż pluszu toczek ze stalowemi pomponami przyciskał delikatnie zafryzowaną grzywkę. Obok, na krześle, leżała zarzutka pluszowa, cała obszyta chinchillami i podbita ciemno-złotym atłasem. Delikatny zapach *muguet'u* unosił się dokoła niej całej. Miała w sobie wdzięk wytworny kobiety spokojnej i nie szarpiącej nerwami tych, którzy ją otaczali.

Gospodarowała w fałdach białego namiotu cicho i z wielką wprawą. Służący oddalił się teraz od namiotu, podawszy swej pani cienki zeszyt i w srebro oprawny ołówek. Obok ustawiła sama Marja kobiałkę drucianę, przeznaczoną na drobne pieniądze. Leon wyciągnął rękę.

— Ja nad tem będę czuwał.

— Chyba zewnątrz, bo w sklepie się pan nie zmieścisz.

— Dlaczego?

— Na futro i pana miejsca niema!

Leon się skrzywił pocieszne.

— Więc... mam zdjąć?

— Zdaje się.

— *Oh, Dieu!*... tak zimno.

— Ja przecież nie marznę!

— O, pani!... Pani to co innego!

Powiedział te słowa z głębokiem przekonaniem.

Zrzucił wreszcie futro i ukazał się nagle w ostrem świetle, z pod sufitu płynącem, nędzny, mały, pomimo wywatowanych pleców, ramion i piersi angleza.

Wszedł poza kontuar i przysunął się do Marji z miną zepsutego dziecka.

— Wie pani? — wyrzekł tajemniczo — w Paryżu ukuli nowy wyraz!

— Jakiż to?

— *Pourri de chic! ha?* ładne?

— Po polsku znaczy: zgniły od szyku! hm! nie powiem, aby to było ładne!

Leon ramionami ruszył.

— Bo to po polsku niedobrze wygląda. Ale po rancusku: *pourri de chic! pourri de chic!*

Głową kręcił, uśmiechał się sam do siebie.

— *„Gil Blas“* go ukuł!

— Ładny majster!

— Co pani chcesz, potęga! przygniatająca potęga!

— *„Gil Blas?“*

— *Si fait i baron de Vaux,* ten od ech, osobistość wybitna. Paryżem trzęsie.

Popukał się palcem w głowę.

— *Pourri de chic!* — powtórzył — wspaniałe! *pourri de chic!*

Marja odwróciła się teraz cała ku młodemu człowiekowi, który zdawał się być pogrążony w silnej ekstazie.

— Panie Leonie! — zapytała go nagle — czy rzeczywiście tak mało masz pan w głowie poważniejszych myśli?

Leon spojrzał na nią zamglonemi oczyma.

— *Si fait* — odparł, śmiejąc się — jestem skończonym idjotą.

— Pozujesz pan na takiego, to prawda, lecz nim pan nie jesteś.

— Ależ!

— Tak! tak! wiem o tem dobrze. Wiem, że masz dobre serce, wykształcenie...

Leon machnął ręką.

— Ech... encyklopedyczne...

— Pana wina.

— Nie moja. Tak mnie wychowali. Teraz zapóźno wychowanie rozpoczynać. Chyba gdybyś pani zechciała.

Lecz Marja z uśmiechem wyciągnęła rękę, tworząc w ten sposób żywą, a niezłomną zaporę pomiędzy sobą i młodym człowiekiem.

— Nie mam czasu wychowywać pana — odparła swobodnie, bynajmniej zuchwalstwem mężczyzny nie wyprowadzona z równowagi — mam syna, Jerzusia; o jego wychowaniu myśleć muszę. Matką jestem, zapomniałeś pan o tem?

Głos jej brzmiał teraz nieco surowiej, oczy powlokły się ciemną mgłą smutku.

Leon instynktem odczuł, że pod maską swobody kryła się w tej chwili znieważona duma kobieca.

— Nie zapomniałem! zawołał przekornie chciałem się właśnie o pana Jerzego spytać. Musi być *épatant?*...

Uśmiech powrócił na usta Marji.

— Dobre z pana dziecko. Czujesz niewłaściwość swych słów poprzednich i pragniesz zatrzeć sprawione wrażenie. Obraziwszy kobietę — matce pochlebiasz.

Mężczyzna wysunął wargi, obrośnięte rzadkim, rudym wąsem.

— Przepraszam — wyszeptał, składając ręce.

— Nie gniewam się — odparła Marja z prostotą— rzecz to tak naturalna. Widząc mnie samą, różne się myśli po głowie takiej, jak pana roją; a ja tak często jestem sama!

Ostatnie słowa wyrwały się jej mimowoli z głębi serca. Wymówiwszy je, zmieszała się i szybko mrugać powiekami zaczęła.

Lecz Leon pochwycił w lot te słowa.

— Dlaczego Stasio nie jest z panią razem? — zapytał — przecież on...

Lecz dokończyć nie mógł. Marja szybko brwi zmarszczyła i przerwała mu rozpoczęte zdanie.

— Mąż mój wie sam, co robi, najlepiej. Winą to moją, iż nieumiałam zastosować się do jego życia i ułó-

żyć godzin mych zajęć równo z godzinami jego swobody.

Leon patrzył na nią uważnie.

— Jesteś pani stanowczo *une femme épatante*, a co więcej, godną największego uwielbienia. A gdy ci to mówi taki *petit creve*, jak ja, wierzyć temu możesz. Takiego *sacre animal* nic już nie poruszy, chyba widok uroczej i uczciwej kobiety.

— Obmawiasz się niesłusznie, wierz mi pan. Na dnie twej duszy leżą najpiękniejsze instynkta. Trzeba je tylko obudzić!...

Leon westchnął.

— Chciałbym *de tout mon coeur*, ale cóż robić? samemu nie idzie.

— Dopomogę panu!

— Oh!

— Chcesz wypełnić dobry uczynek?

— Najchętniej, jeśli tylko nie idzie o małych Chińczyków, których ratują już dostatecznie w Krakowie.

— Nie, nie! — Jesteś pan antysemitą?

— *Ca dépend.*

— Wiem, co mi odpowiesz. Że staraniem mojem chrzci się żydówka, córka koniokrada, a zarazem mordercy mej ciotki.

— *Vendetta*?

— Och! jeśli w ten sposób pan rzeczy pojmujesz...

— Nie, nie! żartowałem po swojemu. Słucham uważnie.

— Trzymaj ją pan do chrztu.

— Z kim?

— Ze mną!

— Ależ najchętniej. Kiedyż ta rzecz się odbędzie?

— W maju.

— Miesiąc słowików!

— Znów żarty!

— Nie, nie... jestem spokojny... słucham rozkazów... radość mnie unosi. Pani jesteś aniołem...

Podskakiwał pomiędzy pakami i paczkami, uniesiony dobrocią Marji.

W tej chwili do kontuaru zbliżyły się dwie damy,

wlokące za sobą chłopczyka w czapeczce barankowej. Marja powstała z krzesła i zbliżyła się z uprzejmym uśmiechem.

— Czem mogę służyć?

Damy dotykały wszystkich przedmiotów, obracały w rękach zabawki, mięły kokardy wstążek.

Leon zapragnął być użytecznym.

— Lusterka wspaniałe, orjentalne, haremowe!

Ręką na półki wskazywał.

Marja, dla zatarcia owego „haremu", szybko poduszeczki do szpileczek podsuwała.

— Pelotki? — zapytała jedna z dam, wysoko do nosa poduszeczkę podnosząc.

— Tak jest! — odparła Marja.

— Pachną?

— *Si fait* — wtrącił Leon.

— Czemże to pachnie?

— *Muguetem, corylopsisem, cordalisem, hiszpańską skórą*... według woli!

— Aha!

Rękami, ubranemi w zbyt duże rękawiczki, plusz poduszeczek gniotły, a chłopiec fiołki z bombonierek wybierał i zjadał, mrużąc zezowate oczy.

— My tu jeszcze wrócimy! — rzuciła wreszcie jedna z dam w formie pożegnania.

Za chwilę czerniały, jak dwie plamy, przed kontuarem księgarni, gdzie przerzucały książki.

I powoli zaczęła się defilada ludzi zziębniętych, zdziwionych, niezadowolonych, defilada istot, uznających za obowiązek być przy otwarciu wrót bazaru, ludzi niekupujących, lecz przychodzących na tak zwane „przeszpiegi" z pustą kieszenią i jakąś zawiścią w sercu.

Mimo to, w obramowaniach muślinu damy prostowały już swe torsy, uśmiechając się, potrząsając *porte bonheur'ami* spadającemi wkoło cienkich, duńskich rękawiczek. Powoli, powłóczystem spojrzeniem, magnetyzowały wzrokiem rzadkich przechodniów, którzy szli, szurając piętami po podłodze, z minami ludzi, przyłapanych nagle wśród drzemiącej pustyni.

Leon nieznacznie usta skrzywił.

— To są *quidamy* — zawyrokował.

Marja powoli zwróciła ku niemu swój profil.

— Powróćmy do naszej rozmowy — wyrzekła, nie siadając wszakże, lecz stojąc przed kontuarem, jak inne damy. Proponuję panu, żebyś został ojcem chrzestnym Gołdy, bo wiem, że z kółka moich znajomych najlepszy grunt w panu znajdę. Prawda?

Mówiła powoli, ważąc niemal każde słowo. Leon uczuł się trochę zmieszany uroczystością tego tonu.

— *Si fait* — odrzekł, prostując swą przygarbioną postać — niema, jak ja!

— Widziałam pana kilka razy w kościele — ciągnęła dalej Marja — o ile mi się zdaje, masz pan trochę wiary w sercu!

— *Si fait* — odparł Leon — skoro pani zechcesz.

— Ja nic nie chcę. Konstatuję tylko pana dobre strony i tłumaczę mu, dlaczego pragnę być pana kumą.

— *Oh! maraine!*

— Cicho... słuchaj pan dalszych słów moich. Chrzestną swą córkę zobaczysz w chwili uroczystej. Czy potrzebuję pana objaśniać, jak się cała rzecz odbędzie? Zdaje się, że nie. Zresztą, mamy jeszcze na to dość czasu. Spodziewam się, że sam akt do twego serca przemówi tak uroczyście, iż zapomnisz o baronach de Vaux i wszystkich szykach Gil Blas'a. Poczem obowiązki twoje się skończą. Gołda-Joanna przejdzie pod moją wyłączną opiekę, a ja trochę później oddam ją przed ołtarzem mężowi.

— Jakto? ta żydówka za mąż idzie?

— Naturalnie i bardzo dobrze. Jej narzeczony nie jest *pourri de chic,* ale jest to najmilszy chłopiec, jakiego w życiu znałam.

Leon usta wydął.

— A ja? — zapytał.

— Pan jesteś także miłym i poczciwym człowiekiem, tylko... u narzeczonego Gołdy nic tej poczciwości nie pokrywa, a u pana doszukiwać się jej potrzeba.

— A więc, zgoda! rzecz ułożona. Idę w kumy i trzymam do chrztu pannę Gołdę. *A dragées* muszą być naturalnie, ma *belle maraine*...

Trzepotał się, jak ptak na uwięzi, podskakiwał znów, pakując monokl w oko.

— Mówi się *chausser son binocle*—wyrzekł wreszcie sentencjonalnie mrużąc oko.

— Dla mnie to rzecz bez wagi — odparła Marja.

— *C'est juste! mais vous êtes une femme supérieure!*

Lecz ona już teraz nie zwracała uwagi, wpatrzona mimowoli w aleję, która się przed nią ciągnęła, białą od światła. Czarne postacie ludzi odcinały się na tem tle zimnem ostro, płaszcząc się wśród jasnej przestrzeni. Ku górze światło stawało się żółciejsze jakby czemś przyprószone, aż rozlewało się na białą masę sufitu, poprzecinanego gdzie niegdzie otwartą klapą wentylatora. Z boków za to biły fale błękitnawo-białe, jakby refleks śniegu, który na daszkach poza szybami okien leżał. Fale te zalewały ściany namiotów, wpadając snopem do wnętrza sklepów, gdzie postacie kobiet migały gamą jasnych, barwnych strojów. W namiocie fotografa młoda jakaś panna, w szkockiej aksamitnej sukni, stanowiła jaskrawą plamę w powodzi barw spokojniejszych. W sklepie bielizny, na tle śnieżnych obłoków koronek zarysowały się szerokie plecy sprzedającej damy odzianej w ciemny granat aksamitu.

Przed kioskiem, pełnym roślin, stała jakaś kobieta, odziana w wielki płaszcz z ciemno-zielonego pluszu, podbity angorą. Białe futro mieszało się z liśćmi kamelji i bukietami azalji. Kobieta jedną ręką uchyliła połę płaszcza i w srebro kędziorów kładła wiązanki hiacyntów, które kupowała, płacąc banknotami. Kwiaty ginęły w fałdach futra, jak w śniegu i, opadając ku ziemi, czepiały się włosów blado liljowemi i różowemi płatkami.

Od wejścia, w jasnym błamie światła posuwali się ciągle ludzie, mężczyźni w paltotach ciemnych, rozszerzających im potwornie ramiona, kobiety w dolmanikach, obciśniętych dokoła bioder. Wchodząc, zatrzymywali się przed tym lub owym kontuarem, tworząc grupy. Przez sam środek szedł teraz lokaj w długiej bronzowej liberji, niosąc na ręku płaszcz kobiecy, podbity atłasem w drobne różnokolorowe paski.

Dokoła panowała jakaś cenna cisza, przerywana

szuraniem nóg po podłodze, lub przyciszonemi głosami rozmawiających. Z góry, razem ze światłem, płynęła nudna i lekka woń stęchlizny z zapylonego muślinu firanek. Gdzieniegdzie bukiet na kontuarze leżący, rzucał nagle cały snop woni, lub zaplątana pomiędzy gałęzie choiny doniczka hiacyntów, pozostawiała za sobą smugę świeżego zapachu.

Przed kontuarem sklepu Marji tworzyły się nie wielkie grupy. Przyglądano się towarowi i kupcowej. Ona spokojna, z uśmiechem na twarzy poddawała się tym oględzinom, nie czując nerwowego niepokoju, wstrząsającego w tych wypadkach serce kobiety.

Około pierwszej sale opróżniły się nagle i teraz damy pousiadały w głębi sklepów chmurne i zmęczone. Mężczyźni delegowani kręcili się dokoła bufetu, w którym nie zasiadły jeszcze aktorki. Subjekt z ufryzowaną głową podawał kieliszki koniaku. Płacono mu normalnie, bez naddatków. On blado-zielone oczy utkwił w zaciekniętе śniegiem okno i zdawał się drzemać, stojąc. Obok ziewali chłopcy w białych fartuchach.

Od kilku chwil Marja niecierpliwie wyglądała ku wejściu. Oczekiwała dam, zasiadających z nią wspólnie; pragnęła uwolnić się choć na godzinę, pojechać do domu, uściskać Jerzusia, pobawić się z dzieckiem. Wreszcie pojawiły się. Matka, bardzo poważna osoba, w ciemnej jedwabnej sukni, krępa, niska, z niobami na uszy nisko opuszczonemi, za nią córka, małe stworzenie, w kostjumie z półsukienka *beige*, okładanego imitacją bobrów. Szła, utykając na zbyt wysokich obcasach, ściśnięta, chuda. Dość duże, wybladłe usta, pociągnięte miała silną dozą karminu. Dwie te purpurowe pręgi na tle bladej twarzy, siniejącej ku skroniom i w głębi oczodołów, robiły smutne wrażenie.

Widząc wchodzące kobiety, Marja powstała szybko z miejsca i porwała narzutkę z szynszyli.

— Dokąd? — zapytał Leon.

— Do domu — odrzekła wesoło.

— Ach, do pana Jerzego!

— Przedewszystkie! Otóż i hrabina.

Panna już stała przy wejściu do sklepu, udając rozpromienioną i zupełnie szczęśliwą.

— Mameczko, spojrzyj!... *c'est féerique!*

— Widzę, Musiu! *en effet*, nadzwyczajne!

Podały sobie z Marją ręce, obrzucając oczami chciwie jej kostjum i narzutkę.

— *Oh, vous êtes ravissante!* — rzuciła wreszcie Musia.

I w przystępie nagłej czułości, zaczęła ściskać młodą kobietę.

Matka tymczasem witała się z Leonem, i brała w posiadanie sklep, poruszając z miejsca każdy przedmiot, przeglądając się w lusterkach, otwierając bombonierki.

— *Bonne chance!* — rzuciła im Marja, odchodząc już od kontuaru.

Za nią poskoczył Leon.

— Idę!...

— Gdzież znowu, zostań pan przy tych paniach!

— *Oh, Dieu!... une corvée...*

Marja uśmiechnęła się pod woalką.

— *Pour les pauvres!* — wyrzekła łagodnym głosem.

Leon głowę skłonił.

— Zostaję. *Mais c'est inoui,* co pani ze mnie robisz? Ojca chrzestnego żydówki i *cavaliera servanto* hrabianki!

Oddalili się znacznie od sklepu i szli teraz wzdłuż alei namiotów, przy których stali, oczekując na damy, panowie delegowani. Cokolwiek dalej, w dyskretnej odległości, majaczyły dziwaczne profile subjektów, wyznaczonych przez firmy sklepowe do dawania potrzebnych objaśnień.

U wnijścia Marja podała Leonowi rękę.

— Do widzenia!

— Jak najszybszego.

— Proszę o jedno... nie karotować!

— Nie obiecuję!

Zaśmieli się oboje, stojąc teraz w pełni światła, odbijającego z nagich ścian przedsionka.

— Niepoprawny.

Rozeszli się wreszcie, popychani przez szybko

biegnących dwóch posłańców, którzy nieśli tace pełne cygar i papierosów do kiosku. Za nimi biegł zadyszany wice-prezes. Futro trzymał przewieszone przez ramię.

— *Bonjour! bonjour!*

I biegł dalej, ocierając pot z czoła.

Wyszedłszy pod kolumnadę z teatru, Marja stanęła chwilkę i jednym rzutem oka objęła plac, rozścielający się przed nią.

Skwer, spowity cały w biel śniegową, przeciętą tylko żółtemi drożynami usypanego piasku, czerniał koronką drzew bezlistnych i słupków ciemnych, przy których drżały słomą poobwijane krzaki! Na środku, zgnieciona bramowaniem śniegu, szarzała głucha fontanna, jak wielka olbrzymia czara, płaska i nad ziemią wzniesiona. Na tle szarawych murów ratusza odcinała się czysto i dokładnie, gubiąc się już u podstawy w masie śniegu, pomieszanego z grudą. Poza nią, jak wielki parawan, ręką tytana rozłożony, pokropkowany ciemnemi plamami okien, cofnięty w tył fasadą, rozkładał się ratusz, obejmując plac cały szerokością swych skrzydeł. I tylko z linji dachów strzelała w górę wieża, prosta, równa, zegarową tarczą, jak bielmem oka, błyskająca. Po lewej triumfalnie rozścielała się linja ulicy Senatorskiej, biała, otwarta, szeroka, nakształt wielkiej drogi, wśród szerokich ścian domów, piętrzących się w jasnem skróceniu. Natomiast na prawo dalsze tej linji przedłużenie ciemne, wąskie, zagłębiało się wstydliwie wśród czerni ścian, pomiędzy któremi z wąskiej ulicy Daniłowiczowskiej wylewała się karawana sanek, dzwoniących uparcie zjedzonemi przez rdzę dzwonkami.

Dalej, po obu bokach placu wyciągały się w górę kamienice o brudnych, niepewnych tonach, przecięte tylko ciemnemi plamami szyldów, które śnieg przystrajał w białe frendzelki. I tylko pod ścianami tych domów migały wciąż ciemne postacie przechodniów.

Po lewej, ku Senatorskiej i szeroko na rozstaj otwartej Bielańskiej, tłum coraz gęstszy płynął nieprzerwanemi falami. Szeroka, płaska pierś kamienicy narożnej, jak drogowskaz potworny, wznosiła ku górze

swe niskie krępe filarki. Z daleka czerniały tablice afiszów, dół tego drogowskazu oblepiające. Przy nich kupili się ludzie, ruch tamując, inni musieli schodzić w bok i zataczać koła.

Marja patrzyła przed siebie z zajęciem, rozbudzona nagle świeżem, zimnem powietrzem, które jej twarz owiało.

Z cukierni pod filarami wychodzili mężczyźni, dostatnio odziani, lub kobiety w krótkich żakietach futrem podbitych. Zatrzymywali się przy tablicy z afiszami, lub oglądali cacka, błyszczące w oknach sklepów. W magazynie bielizny ułożono cały tuzin kolorowych jedwabnych koszul, oszytych koronką. Całe to okno mieniło się delikatną gamą barw, jak pudełko, oblanych cukrem migdałów. Chusteczki cieniuchne, batystowe, delikatnie, ułożone, przecinały bielą jak płatki śniegu przejrzystą, jasne tony jedwabiu. Wysoko — na manekinie — sterczał peniuar damski, blado-zielony, z którego deszcz wstążek ku dołowi się zwieszał.

Tymczasem na placu, zupełnie bladym, jak obrus świeżo rozłożony, cały rząd sanek i dorożek czerniał przeciętą gdzie niegdzie jasną maścią kadłuba końskiego, lub granatową liberją woźnicy. Do białych schodków Stępkowskiego podjeżdżały z brzękiem sanki, zataczając szerokie koła. Z gardzieli Wierzbowej ulicy wypadały ciągle ekwipaże lub dorożki, z charakterystycznem szarpnięciem się koni, w chwili wydostania się na jasną przestrzeń placu.

A tymczasem z góry płynęło wciąż jasne, spokojne światło dnia mroźnego promienia, przez biel śnieżną obłoków przecedzone.

Marja skinęła na swoje sanki i w kilka sekund zagłębiła się już w ciasny wąwóz ulicy Wierzbowej, przy której nagle, jak olbrzymi gmach koszarowy, sterczał, budząc przerażenie, dom Krasińskiego.

I szybko, jak we śnie, mignęły teraz przed oczyma Marji minjaturowe stery Saskiego placu, zasypanego całkowicie śniegiem.

Z brzękiem cichym i dyskretnym mknęły sanki wzdłuż przedłużenia ulicy Marszałkowskiej, obramo-

wanej parkanami po prawej, domami wykoronkowanemi żelazem balkonów, po lewej. Poza temi parkanami, tonącemi szarą podstawą w puchu śnieżnym, rozciągał się wąski pas wsi, ciągle wśród miasta wyrastającej.

Duży ciemny krzyż sterczał samotnie na rogu, pochylony trochę, w kwiaty sztuczne u podnóża spowity. Na środku drzewa migotała czerwona latarenka, w ołtarzyk wstawiona. Wysoko na wielkich ramionach krzyża bieliła się postać Chrystusa, z blachy wycięta. Na jednem z ramion krzyża usiadła wrona, smutna, skurczona. Dwie inne kracząc, porwały się nagle z pod parkanu i skrzydłami śnieg ze słupa telegraficznego zmiatały.

Do bramy domu konie już dopadły wyrzucając kopytami śnieg, który się na miał o siatkę rozbijał i przez szafirowe oczka przelatywał drobnemi grudkami.

Marja fartuch futrzany sama odpięła i z sanek wysiadła.

— Odprzęż wyrzekła do woźnicy, który, w sankach, stojąc, ku niej się zwrócił — pojadę około czwartej.

W bramę domu weszła i szybko po schodach biec zaczęła. Myśl jej cała przejęta była dzieckiem, które pozostawiła rano przy talerzu dymiącej kaszki z poliszynelem, wciśniętym za oparcie fotelika. Co on teraz robi? czem się bawi? czy tęskni? czy o niej wspomina?

Ujmując rączkę dzwonka, uśmiechała się radośnie.

— Moje złoto! — wyszeptały mimowoli jej usta.

Drzwi otwarły się szybko.

W półcieniu przedpokoju, oprócz sztywnej postaci lokaja, ujrzała Marja ciemną sylwetkę, dźwigającą się z trudnością z krzesła i opierającą się o ścianę.

— Kto to? — zapytała zdziwiona.

— Stary żyd z majątku jaśnie pana; chciał czekać koniecznie na jaśnie panią.

— Żyd?

Marja uczuła gorąco, przeszywające jej serce.

Pewnie o Trejnę już teraz rozpocznie się walka.

Ciągle w pół cieniu zanurzony, żyd powoli głowę skłaniał.

— To ja... Szmul!

— A!

Szybko Marja drzwi od jadalni otworzyła.

— Wejdźmy tu; proszę ze mną!

Weszła szybko, niespokojna, zdenerwowana. Za nią wszedł stary żyd, z czapką futrzaną w ręku i z rękawicami włóczkowemi, wiszącemi na sznurkach po obu stronach bioder.

Lokaj drzwi zamknął i, schyliwszy się do dziurki od klucza, podsłuchiwał.

Marja stała zmieszana, nie śmiejąc spojrzeć w oczy żydowi, który, pochylony, głową trząsł ze wzruszenia i źrenicami łez pełnemi po kątach wodził.

— Ja tu po wnuczkę przyjechał!—wyrzekł wreszcie zdławionym głosem.

Marja ramionami wzruszyła.

— U mnie niema — odparła, nie wiedząc prawie co mówi.

Żyd z kątów sali wzrok swój nagle w mówiącą utkwił.

— I gdzież wy ją schowali? gdzie? niechaj to wiem chociaż.

Trząsł się cały, drgał, zapominał o pozornym szacunku, jaki zachowywał wobec siostrzenicy Elżbiety i córki ukochanego człowieka.

— Nie mogę wam powiedzieć — wyrzekła Marja — nie moja to tajemnica.

— Nie pani? nie jaśnie pani? — poprawił się szybko — a przecież tu przywiózł ją ten przeklęty posesor Horecki, co bodaj jego oczy dnia sądu nie oglądały! Ona jeszcze głupia, ona jeszcze młoda, on ją obałamucił, odurzył, słodkości nagadał i tu przywlókł.

— Mylicie się; wnuczka wasza sama tego zażądała.

— Czego? Chrztu?... ona?... ta czy ona wie, co to jest wasze chrzczenie? Ot, chłop ją otumanił, a ona głupia w przepaść poszła. Aj!... jakiż to wstyd, jaki wstyd! aj... jakiż to na mój włos siwy ból jest!...

Rękawami twarz zakrył i stał tak długą chwilę, oddychając ciężko.

— Żebym ją mógł choć zobaczyć — począł znów złamanym głosem — ja jej dziad!... Ny! ona by zrozumiała, co ona robi, i pewno by się do nas wróciła.

Marja szybko mu przerwała.

— Nie łudźcie się! wnuczka wasza do was nigdy nie wróci.

Szmul głowę hardo podniósł.

— Aj! gdyby my tylko chcieli.

— Nic poradzić nie możecie.

— W kajdany wy ją okuli? ha?

— Nie! wolna jest! lecz ona sama tego nie zechce.

Nastała znów chwila milczenia, przerywana tylko cichym brzękiem sanek, wjeżdżających obecnie na dziedziniec. W kącie pokoju na pałeczce wysoko siedząca, łupała ziarna świeżo kupiona papuga. Z kredensu dolatywał szczęk przygotowywanej do śniadania porcelany.

— Jaśnie pani — zaczął znów żyd, opierając się teraz obiema rękoma o stół—jaśnie pani mściwa jest!

Marja szeroko otwarła oczy.

— Jaśnie pani mści się za ranę, co jej Jankiel nożem zadał tej złej nocy! Jaśnie pani dlatego córkę Jankla chce wychrzcić i staremu Szmulowi srom taki sprowadzić!... Za pchnięcie nożem, w serce Szmula sto pchnięć ja zadam, tak sobie jaśnie pani powiedziała.

Marja uśmiechnęła się smutnie.

— Mylisz się, Szmulu! nie mam żalu do Jankla; Bóg go osądzi! wnuczka wasza sama przygarnęła się ku mnie, dopomogłam jej! To wszystko. Zemsty w tem niema! nie!

Szmul patrzył na nią z pod brwi białych, nad oczyma ponuro ściągniętych.

— Oko za oko, ząb za ząb!—wycedził przez ściśnięte zęby.

— Nie ja! nie ja! — broniła się kobieta — wierzcie mi, proszę was!

Żyd potrząsł głową.

— Nie wierzę!

— To źle, skoro ja mówię — odparła Marja.

Chciała koniecznie, aby żyd był przekonany o prawdzie jej słów, szukała sposobu.

Poza drzwiami tymczasem w salonie rozległy się nagle drobne kroczki. Skoczyła do drzwi. W progu stał Jerzuś, w białej sukiennej odzieży, świeży, rumiany, doskonale odżywiony. Wśród wielkiej przestrzeni jasnego salonu wyglądał jak figurynka biskwitowa, świeżo z etażerki zbiegła, w swej białej, czystej, pluszem strojnej sukience.

Marja wyciągnęła rękę.

— Chodź, synku!

Malec ku niej poskoczył.

— Mamusia!

Rękę matki pochwycił i miłośnie do świeżych ust cisnął. Marja pochyliła się, na ręce go dźwignęła, i z dzieckiem wtulonem w futro szynszyli, do Szmula się zwróciła.

— Na moje dziecko ci przysięgam, Szmulu, że przez zemstę nie działam!

Lecz żyd był ciągle nieubłagany!

— Nie wierzę!

Słowo to, jak uderzenie bicza, smagało ucho Marji.

— Dlaczego?

— Jaśnie pani nie kocha swego syna, skoro nie potrafi uszanować mojej dla wnuczki miłości.

Marja zrobiła gest niemocy.

— Ja w tem nic poradzić nie mogę. Trejne sama...

— O ,to idzie — przerwał żyd — ja wnuczkę moją chcę widzieć sam na własne oko i do niej przemówić. Niech ona sama rozsądzi! Niech ona sama wybiera. Jak się jaśnie pani boi, żebym ja jej co przeciw chrześcijanom nie mówił, ja mówić nie będę. Ja tylko przed nią stanę i powiem jej w twarz samą: „Ty spójrz, Trejne, na głowę siwą!... ty *klejnes Kind* moje, spójrz... i powiedz... jak ty możesz na mnie jeszcze hańbę... jedną... rzucić?

Ręce drżące szeroko rozłożył, z ócz, czerwoną obwiedzionych obwódką, łzy mu kapać zaczęły.

Marji serce ścisnęło się boleśnie, stała niezdecydowana, wpatrzona w twarz starca, po której łzy płynęły swobodnie, długą, siwą brodę mocząc.

I nagle cichutki, srebrny głosik Jerzusia zadźwięczał w przestrzeni.

— Mamusiu!... on biedny!

Paluszkiem na żyda wskazywał, otwierając szeroko oczęta. Widział łzy, słyszał głos błagalny, w maluchnem serduszku ozwał się zaraz głos współczucia.

Żyd w stronę dziecka ręce wyciągał.

— Proś ty, paniczku malutki, za mną! za biednym Szmulem!... Proś mamy! niech mi odda wnuczkę!... Proś, by kiedy i ona może nie potrzebowała tak żebrać u innych zmiłowania za tobą, jak ja za Trejną moją!... Proś!...

Dziecko maluchną rączkę wyciągnęło ku matce.

— Daj! daj! — prosiło dłonią potrząsając.

— Proś! — jęczał żyd.

— Daj! — powtórzył chłopczyk.

Głosik dziecka mieszał się z charkotaniem starca. Jerzuś miał łezki w oczach, jakby odbicie łez, płynących z zaczerwienionych oczu żyda.

Marja nie wahała się więcej.

— Stanie się, jak chcecie! — wyrzekła wzruszonym głosem. Jutro, o tej samej godzinie, zawiozę was do Trejny. Pomówcie z nią: jeśli wrócić zechce, niech wraca!...

. . . . . .

W kilka godzin później, za kontuarem sklepu, w blasku gazu cała skąpana, stała Marja uśmiechnięta, jakkolwiek jeszcze silnie sceną poranną ze Szmulem zdenerwowana. Tłum teraz napływał coraz większy, tłocząc się w ciasnych przejściach, zatrzymując przed sklepami, kupując ze śmiechem rozmaite przedmioty. Z góry płynęły ostre, hałaśliwe dźwięki orkiestry, w której dominowały instrumenty dęte. Wzdłuż filarów paliły się gazy w mlecznych kloszach, jak grono białych porzeczek, a od sufitu zwieszały się kryształowe pająki, w których trójkątach migotały krwawe

refleksy. Pod tem surowem światłem gazu, sklepy zacierały się trochę, jakby przyćmione przezroczystym pyłem i tylko z poza kontuarów migały wypudrowane twarze kobiet. Poza niemi, na tle muślinu lub dywanów przyczepiono lustra, które odbijały teraz karki kobiet, karki, na których drżały drobne loczki czarnych lub złotawych włosów. I całe masy towarów porzuconych na kontuarach tworzyły tu nagle jakby jakiś kąt ulicy, elegancki fragment jakiegoś bulwaru paryskiego, na którym etalaże sklepowe wypływają na trotuar falą porcelany lub kaskadą kolorowych tkanin. Stuk drobnej monety, brzęk portebonheurów, szelest papierków, zawrotne tony polki, cała fala uśmiechów, płynęły teraz triumfalnie z ciasnych ram muślinu. Tłum wbiegał masą zbitą od wejścia, okrążał salę, kiosk i znikał w brudnej głębi bufetu, ustępując miejsca nowo nadpływającej fali.

Ze sklepu zabawek dziecinnych słychać było suchy łoskot kastanietów, ktoś uderzał w tamburyno dla zwabienia kupujących. Lusterka orjentalne Marji rozchodziły się szybko, migając srebrnym, urywanym blaskiem w rękach kupujących. W tłum czarny nagle zwrócone szkło rzucało światło matowe, niepochwytne, bielące się jak srebrne koła na ciemnem tle ubrań ludzi. I zdawało się wtedy, że dokoła namiotu spadł cały rój gwiazd świetlanych, i gasł powoli w osłonkach różowej lub błękitnej bibuły. .

Tymczasem hrabianka, cała rumiana pod wpływem gorąca i ludzkich spojrzeń, klęcząc na krześle, aby lepiej być widzianą wśród tłumu, usiłowała znaleźć amatora na maluchnego pastuszka z saskiej porcelany, którego przyniosła delikatnie w mufce, obwiniętego w librę jedwabnego papieru. Nabywcy jednak nie było, pomimo usilnych starań dziewczyny i jej *„pour les pauvres!"* — rzucanych cienkim głosikiem. Obok niej Marja, ożywiona silną chęcią jaknajwiększego zbioru, starając się zapomnieć o troskach swych serdecznych, trafiała w rzeczywisty ton damy patronessy i całemi masami zbywała swe drobne graciki, które Leon gorączkowo zawijał w przygotowane już arkusze papieru. Sąsiedni sklep lamp gorzał teraz cały w jaskrawem

oświetleniu mnóstwa rozpalonych płomieni. Namiot z fotografjami, oblężony przez tłum, tamował przejście, wabiąc ku sobie czarną głębią poustawianych na półkach portretów. W ciemni tej, jak zjawisko, zarysowywała się młoda kobieta w bieli, o jasnych włosach i bladej, matowej twarzyczce. Obok niej, w obramowaniu jaskrawych waz japońskich, *potichów*, magotów potwornych bronzowych, o złotych, fałszywych połyskach, delikatnych, jak z cukru, figurek z Tanagry wybornie naśladowanych fajansów wydętych, zielonych jak malachit, lub fiołkowych, jak ametysty, lamp bizantyjskich, w których drżały rubinowe światełka, *porte-bouquets* weneckich o topazowych koronkowych ściankach lub żardinierek japońskich, z których palmy wykwitały jak parasole, pełna wdzięku brunetka, spowita w draperję pluszu złoto-zielonego, strojnego szerokim haftem srebrnym, pociągała ku sobie oczy tłumu.

I wszędzie, wszędzie, jak kwiaty wyrastały kobiety, strojne, woniejące, okazujące się, jak indyjskie bóstwa w skróceniu, wyciągające ramiona, z których z brzękiem zsuwają się złote bransoletki, jak naramienniki kapłanek ofiarniczek rzymskich lub greckich. Tłum szary, nagle z śniegu i zawiei w to morze świateł i woni wrzucony, płynie wzdłuż sklepów, popychany, potrącany, przygnieciony triumfem piękna, które w oczy mu się narzuca. Z tych ciasnych klatek sklepowych, w których, jak z poza kratek więziennych, lub ram obrazów, migają postacie kobiece, wieje jakaś woń *muguetu, santal'u,* białej róży, *schory caprice'u.* Kobieta tu dominuje, króluje wszechwładnie. Mężczyźni przed kontuarami mrużą oczy, podają banknoty, tłuką japońszczyznę. To nic! ubodzy na tem zyskają. Jakaś wesołość gorączkowa płynie z ciasnego wąwozu, w który ten jarmark wtłoczono.

Z bufetu dochodzi gwar coraz silniejszy. Tłum pozostawia już teraz futra i palta w kontramarkarni i tłoczy się ciągle, jakby niepewny, olśniony, wahający się u progu.

Tymczasem z góry płyną teraz melodje operetkowe, powiązane zręcznie w jedną całość, i na tle ballady „Nitouche“ sprzedaje wreszcie hrabianka swego

pastuszka z saskiej porcelany. Finał „Fatinicy“ zdaje się być apoteozą brunetki, otoczonej magotami i weneckimi wazonami, a duet z „Bettiny“ sentymentalnie owija srebrną nicią białą postać kupcowej fotografji. Każda z nich ma część swoją, melodję, która akompanjuje jej uśmiechowi, spojrzeniem oczu, tak, jak każda z nich ma swoje ulubione perfumy i sposób podciągania rękawiczek.

— *Pour les pauvres! messieurs!... pour les pauvres!*

XII.

— Nie chcę! nie pójdę! żebyście mnie zabili! nie! nie pójdę.

I całą siłą korpusu w tył na wysuniętych nogach osadzonego, Trejne opierała się usiłowaniom siostry furtjanki i siostry asystentki, które też z całej siły popychały ją w stronę ciemnego przejścia, nazwanego „kratą“.

— Puszczajcie!... Nie chcę! nie chcę! — krzyczała żydówka.

— Ależ to twój ojciec!

— Niechaj go! nie chcę go widzieć!

— Musisz!... Powiedzą, że cię więzimy, gwałtem trzymamy w klasztorze! Zlituj się!... moja dzieweczko!...

Lecz Trejne była niewzruszona.

— Żebym się miała rękami muru czepiać, nie pójdę!...

Zakonnice spojrzały po sobie zniechęcone.

Co czynić?

Matka przełożona przed kwadransem zadzwoniła i kazała natychmiast do „szlacheckiej“ kraty przyprowadzić Trejnę. Nie dodała nic, ale siostra furtjanka wpuściła przed chwilą do parlatorjum Marję i siwego starca w długim chałacie. Siostra furtjanka była przekonana, że to ojciec Trejny. Mój Boże... od lat tylu otwiera furtę, i tylu siwych żydów drżących, z oczyma krwią nabiegłymi, widziała w parlatorjum. Dziwiła się

nawet, że do tej chwili nikt z rodziny Trejny się nie zgłosił. To też, usłyszawszy rozkaz matki przełożonej, pędem strzały przebiegła korytarze i wpadła do szatni, gdzie Trejne, wraz z Franusią, zajęta była przewieszaniem habitów.

— Joasiu, do kraty!

Trejne odwróciła się niechętnie.

Nie lubiła schodzić do kraty. Zastawała tam tylko Marję, która zamieniała z nią kilka słów obojętnych, napróżno siląc się nadać swemu głosowi ton ciepłej serdeczności. Stały zawsze zakłopotane, mając przed sobą podwójny cień kraty i czując jakąś lodową za porę niechęci rasowej, wznoszącą się pomiędzy niemi.

W początkach oczy Trejny zdawały się szukać jeszcze kogoś poza Marją, jakby nagle z poza pleców młodej kobiety miała się wynurzyć inna postać, niepokojem serce żydówki przepełniająca.

Marja, wzrok ten schwyciwszy, instynktem kobiecym wiedziona, zapytała:

— Czy jeszcze pragniesz zobaczyć kogo!

Trejne uśmiechnęła się z przymusem.

— Nie!

— Ależ tak! widzę, że oczyma szukasz kogoś poza mną?

Trejne oczy w dół spuściła i stała, usta do krwi gryząc.

— Ach! — ciągnęła dalej Marja — jestem dziwnie niedomyślna. Chodzi ci pewnie o pana Antoniego. Pragnęłabyś go widzieć. To bardzo naturalne! Twój narzeczony!

Trejne brwi ściągnęła i stała ciągle, w dół kraty wpatrzona, jakby nie śmiejąc spojrzeć prosto w oczy tej szczerej kobiecie, która z drugiej strony kraty, w czystem świetle skąpana, wywoływała przed umysł żydówki wspomnienie człowieka, tak silnie do niej przywiązanego.

— Pan Antoni przyjechać teraz nie może. Zobaczysz go dopiero na wiosnę, w dniu chrztu, w dniu tak dla ciebie radosnym. Powiedz, Trejne, musisz czuć się bardzo szczęśliwą, że dzień ten się zbliża?... Cieszysz się?

Usta żydówki poruszyły się lekko, z pod przymkniętych powiek zamigotały płowe źrenice.

— Cieszę się!... — szepnęła.

Lecz w głosie dziewczyny nie było wielkiej, naiwnej szczerości. Coś tłumionego brzmiało w tych słowach, jakaś radość zmysłowa, rozigrana, na którą siłą woli żydówka nałożyła pęta konwenansu.

Marja uczuła to odrazu i, dziwnie zmieszana, powstała ze swego krzesła.

— Do widzenia, Trejne. Czy nic ci nie brakuje?

Trejne zawahała się chwilę.

— Nic!

— Widzę, że znów nie jesteś szczera. Powiedz! jeśli twe żądanie będzie rozsądne, wypełnię je.

— Żydówka łamała palce z widocznem zakłopotaniem.

— Powiedz!

— Ja...

— No! ośmiel się, powiedz pierwsze słowo, ja ci dopomogę!

— Ja... chciałabym!...

— No! o cóż chodzi? Chcesz mieć nowe buciki?... Może różaniec, może jaki obrazek, może ci list do kogo napisać?...

— Nie!... Lusterko!

Cała oblana pąsem, głowę na piersi spuściła.

— Ach! lusterko!... Chcesz lusterka?

— Tak — wyszeptała dziewczyna. — Tu ani szybki nawet znaleźć nie można. Nu, ja pomyślała, co jaśnie pani Trejnie nie odmówi! Małe, małe lusterko!

Marja ramionami wzruszyła.

— Naprożno mnie o to prosisz, moje dziecko! Matka przełożona nie pozwoli!

Trejne błysnęła zębami.

— Ja... schowam.

— I kłamać będziesz? Przed chrztem?... O Trejne!

Lecz dziewczyna nie dawała za wygranę. Nerwowo czepiała się kraty.

— Ni się zaczesać — zaczęła płaczliwym głosem, — ni stanu zaszpilić. Już się w oknach przejrzeć

chciałam, albo w wiadrze wody, ale to wszystko na nic!...

Marja skierowała się ku drzwiom.

— Źle się przygotowujesz do chrztu, Trejne! Myślisz wciąż o sobie i o swojej urodzie. Teraz jednak powinnaś myśleć o tem, czego cię siostry uczą.

Żydówka do kraty się przylepiła.

— Ja myślę! znam, co one odemnie chcą! Umiem i Przykazania, i Ojcze nasz, i Sakramenta!... Ale zerkało kup, jaśnie pani!... Kup, klejnienkie, jak kopiejka!...

Rozzuchwalała się coraz bardziej, porzucając zwykłe swoje uparte milczenie.

Marję ogarnął wstręt do tej dziewczyny.

— Nie kupię! — odparła, drzwi zamykając.

Trejne, pozostawszy sama, zagięła krogulczo palce, wplecione w kraty i gibkiem ciałem zwinęła się jak jaszczurka.

— Szczeznij! — syknęła za Marją przez zaciśnięte zęby.

W tej chwili z najwyższą niechęcią schodziła do kraty i dlatego leniwie odwróciła głowę na wołanie siostry furtjanki:

— Joasiu! do kraty!...

— Widząc, że dziewczyna się nie śpieszy, dodała w formie zachęty:

— Przyszła twoja pani i twój ojciec!

Jak uderzenie piorunu te słowa podziałały na dziewczynę. Zbladła i oczy szeroko rozwarte utkwiła w mówiącą.

— Tatełe? — wyjąkała drżącemi usty.

— Tak.

— Tatełe nie przyjdzie, tate w turmie!

— Siwy, wysoki, ma długą, po pas, brodę.

Trejne nagle rozwarła szeroko usta. Zrozumiała, że to sam dziadek, sam Szmul przyjechał po nią, i że to przed nim, przed tą powagą rodziny, stanąć ma za chwilę ona — ona prawie już wychrzcianka, u gojów na komornem będąca.

Siostra furtjanka dotknęła lekko jej ramienia.

— Chodź!

Lecz z piersi Trejny wybiegł chrapliwy dźwięk:

— Nie pójdę!

I całą siłą oparła się zjednoczonym usiłowaniom furtjanki i asystentki, które zdołały ją wprawdzie z szatni wyprowadzić na korytarz, lecz dalej, pomimo wysiłków, posunąć jej nie mogły.

— Co począć?—pytały się wzrokiem, stojąc zrozpaczone przed dziewczyną, opartą silnie plecami o ścianę, tuż pod obrazem Joanny de Chantal.

— Nagle w bieli korytarza zamajaczyła ciemna pochylona postać. Zakonnice odetchnęły.

To siostra Déposée! Teraz są już pewne zwycięstwa.

Siostra Déposée szybko, jakby na kołeczkach ukrytych pod habitem, biegła w stronę kraty. Ręce ukryła w rękawy habitu, pobladła cała od chłodu, który z murów korytarza szeroką strugą spływał.

— Cóż to? — zapytała, zatrzymując się przed Trejną.

— Joasia do kraty iść nie chce.

— Nie chce? dlaczego?

I już jasny, przenikliwy wzrok zakonnicy badał pobladłą twarz żydówki, która kurczyła się nerwowo, czując, że siły ją opuszczają.

— Boi się!

— Czego?

W głosie siostry Déposée było tyle spokoju, chłodu i pewności siebie, że w łopoczące się serce Trejny zaczął wstępować cień uspokojenia.

Biała ręka dygnitarki wyciągnęła się w stronę zakonnic.

— Odstąpcie, wasze miłoście!

Obie usunęły się na stronę, chyląc głowy z oznakami uszanowania.

— Spójrz mi w oczy, Joasiu!

Z pod rzęs przymkniętych, magnetycznie pociągane, czarne źrenice żydówki błyszczały w kierunku jasnych oczu Déposée.

— A teraz, chodź za mną!

I poszła naprzód, nie oglądając się nawet poza siebie, pewna swej władzy, jaką przygniatała i łamała najsilniejsze nawet wole.

Za nią, powoli, z głową na piersi spuszczoną, postępowała Trejne.

Gdy weszły do kraty, matka-przełożona powstała ze skórzanego fotela.

— Joasiu! oto twój dziadek! przywitaj go, moje dziecko!

Z przeciwnej strony kraty, od wapnem wybielonej ściany dźwignęła się olbrzymia postać starca i postąpiła nagle w przestrzeni, wypełnionej szarem światłem zimowego ranka.

Trejne wcisnąć się chciała w sam kąt izby, lecz siostra Déposée ujęła ją za rękę.

— Przystąp, dzieweczko, bliżej; pozdrów twego dziadunia.

Trejne zamknęła oczy, nie mogąc przenieść na sobie spojrzenia w twarz dziadka, którego obecność czuła o kilka kroków, poza kwadratami jasnemi kraty.

— Trejne! — zaczął powoli, urywanym głosem starzec, wyciągając drżące ręce. — Trejne! *kim mit mir!*

Siostra Déposée pod opuszczonym welonem poruszyła się szybko.

— Proszę pana mówić po polsku; wierzymy, iż pan nic nie powie Joasi, coby nie mogło być przez nas słyszane, lecz taki już jest u nas zwyczaj; mówi się przy kracie językiem przez wszystkich zrozumianym.

Żyd oczyma łez pełnemi spojrzał na stojącą na uboczu Marję.

— Ja nic złego nie powiem!

— Jeśli taki zwyczaj!... — odparła młoda kobieta, silnie tą sceną wzruszona.

— Dobrze! skoro panie zakonnice tak nakazują, ja posłucham — zaczął znów Szmul; i drżącą ręką rozgniótłszy łzy, wiszące na siwych rzęsach, podsunął się jeszcze bliżej do kraty.

— Trejne! czy ty rozum straciła, że ty nas w taki wstyd zapchała? Trejne! ty chcesz się wiary swojej wyrzec? Po co? na co? Źle ci w niej było? dolegało ci co? Dlaczego ty koniecznie chrześcijanką chcesz być? Powiedz?... niech wiem, co tobie trza, że ty wiarę swoją, wiarę familji swojej ciskasz precz, ta chrztu się domagasz?

Pomimo usiłowań, jakie czynił, aby opanować swój gniew, głos mu drżał i nabrzmiewał chwilami silniejszemi tony.

Trejne, pomiędzy dwiema zakonnicami, jak w czarne ramy ujęta, stała wciąż z oczyma zamkniętemi, z ustami boleśnie zakrzywionemi, zlodowaciała z przestrachu, bynajmniej nie wzruszona.

— Aj!... aj!... ty zawsze Trejne była, jak to szczenię nieposłuszna, co precz z gniazda wybieży. Aj, Trejne!... ty jeszcze malusieńka była niepoczciwa i pierś matki, zamiast ssać, gryzła! Tołba nieraz gadała, co z ciebie pociechy familji nie będzie, i nie pociecha, ale wstyd! hańba! hańba na mój włos siwy! na starość moją przekleństwo... aj!... aj!

Za siwą brodę się chwycił i targać się zaczął.

Zakonnice milczały, stojąc nieporuszone, jak dwie statuy, z czarnego marmuru wykute.

— I żeby ty była kiedy w tym lesie zamarła — mówił znów żyd, a głos jego dziwnie rozlegał się wśród białych i pustych ścian izby, — w tym lesie, co ty w nim żyła nocami i dniami. Męża ty chciała? męża? po co ty między chrześcijanami go szukała? Jaby ci był męża znalazł, jakby już czas przyszedł!... A tak co? nam hańba, tobie przekleństwo! ty ladaszczyco!!

Ostatnie słowo cisnął nagle, gwałtownie przez zaciśnięte spróchniałe resztki zębów.

Jak uderzenie szpicruty spadło ono w ciszę tej kraty, o którą nigdy jeszcze się nie obiło podobne zuchwalstwo.

— Ladaszczyco! — powtórzył raz jeszcze, pas swój targając.

Siostra Déposèe podniosła po chwili głowę.

— Zechciej pan się uspokoić, proszę — wyrzekła łagodnym głosem.

Lecz Szmul nie był panem swego wzruszenia.

— Uspokoić? uspokoić? — zapytał ironicznie, potrząsając głową — jak ja się mam uspokoić, kiedy widzę swoją krew na zakałę idącą?... Może wasz Bóg da ojcu rodziny spokój, kiedy mu wyrwą z pod skrzydła jedno pisklę i pod nóż oddadzą...

— Nikt Joasi z pod pana skrzydła nie wyrwał, przyszła tu sama.

Żyd za głowę się złapał.

— Aj! aj! sama? a jej miłośnik? ha?

Siostra Déposée głowę znów na piersi opuściła.

— Nie wiemy o tem, to do nas nie należy. Dziewczę zostało nam oddane, weszło bez gwałtu, dobrowolnie. W każdej chwili, jeśli zechce, wyjść może.

Żyd prawie do samej kraty się rzucił.

— Otwórzcie te kraty! puście mnie do niej, ona ze mną pójdzie, ona moja wnuczka! *Klajnes-kind!* ja wam ją wydrę!...

Uczepił się kraty, od której cofnęły się zakonnice i Trejne.

— Słyszysz! słyszysz! Trejne! pójdzij do nas! do karczmy! do matki, do braci!... czy ty nie masz nic w piersiach dla nas?... ny!... Ty, pomyśl... ty już nigdy do sabatu nie zasiądziesz! nigdy świętych świec zapalonych nie ujrzysz? Co oni ci dadzą? co oni ci za to dadzą? zapytaj ich! czy oni szabas mają? czy my nie byli pierwsi i Bogu zawsze najmilsi z naszem wierzeniem? z naszemi księgami? Co oni warci! te goimy!

Siostra Déposée podniosła znów swą twarz bladą!

— Uspokój się pan!—powtórzyła — jesteś w domu, poświęconym Bogu!

— Ja znam jeden dom Bogu poświęcony—bóżnicę! — odparł żyd.

— Nie nachodzimy waszej świątyni, aby w niej obelgi wam ciskać!

— Gorzej robicie! dzieci nasze nam zabieracie!

— Same do nas przychodzą!

Żyd zamilkł, tylko oczy krwią nabiegłe w bladą twarz zakonnicy utkwił.

— Same przychodzą!... — powtórzył po chwili.

Z poza okna, wychodzącego na dziedziniec klasztorny i opatrzonego gęstą kratą, płynęło poszarpane światło i bezustanne gdakanie kur. Czasem zaryczała krowa lub dał się słyszeć głos siostry domowej drób zwołującej.

Marja stała wciąż na boku, wpatrzona w ciemne sylwetki sióstr, przylepionych do ściany, i w czarną głowę Trejny, wciśniętą w ramiona dziewczyny.

Żyd milczał długą chwilę, oddychając ciężko.

— Trejne!—zaczął znowu wzburzonym głosem — idziesz ze mną?

Trejne milczała.

Siostra Déposée pochyliła się w stronę dziewczyny.

— Jeśli chcesz, dziewczynko, powiedz jedno słowo a otworzymy ci furtę. Chcesz iść z dziadkiem?

Pierś Trejny podnosiła się i opadała szybko.

— Trejne! — ciągnął znów Szmul, czepiając się kraty—ja ciebie proszę! wróć ty się do nas!... wróć!...

Znać było już ostatni wysiłek, jaki czynił Szmul w nagięciu głosu do brzmienia pokornej prośby. Palce jego, długie, kościste, okryte sfałdowaną skórą, w kratę się wpiły. Wachlarz brody drgał mu konwulsyjnie, na czarnym suknie chałatu się znacząc.

— Trejne!... pójdź „dzieciątko"!...

Po drugiej stronie kraty nieruchome, czarne, jak dwie żałobne westalki u wrót świątyni, stały zakonnice, milczeniem swojem zaznaczając neutralność w tej walce dwóch sił, starej i młodej krwi, która kłębiła się szalonym prądem w żyłach obojga semitów.

Na wargach Trejny wystąpiły dwie purpurowe krople. Ostre zęby dziewczyny wpiły się w ciało, krwawiąc je w zaciętym uporze.

Po czole Szmula spadał teraz pot obfitemi kroplami.

— Trejne... pójdź ty ze mną!... — załkał jeszcze po raz ostatni starzec, wpatrzony zakrwawionemi źrenicami w spuszczoną głowę wnuczki.

Nastąpiło głuche milczenie, ciężkie i uderzenie gromu zwiastujące.

Szmul wyprostował się nagle i chwilę oczy mrużył jakby pod natłokiem myśli. Wreszcie ręce od krat oderwał i w górę je podniósł.

No, to ostań!... — wymówił urywanym głosem — aj!... aj!... ostań ty im na zgubę! Nie chcesz ty żydówką już być, ale i chrześcijanką ty nie będziesz!... Ty zatracona...

Marja szybko ku Szmulowi podeszła.

— Panie Szmul!... proszę!...

Lecz on usunął ją na bok i, wyciągnąwszy drżącą rekę w stronę kraty, dalej wołał:

— Ty chrztu żądasz? po co tobie chrzest? Ty przez niego chcesz sobie posesora z Horki na męża złapać. Ale ja wam uścielę małżeńskie łoże—z ognia!... słysz!... z ognia!

Olbrzymiał teraz, rósł, cały we wściekłości się pławiąc, z pianą na ustach. Lecz siostra Déposée podniosła z kolei głowę i bladą swą twarzą w półcieniu błysnęła.

— Proszę być ciszej! — wyrzekła niskim, spokojnym głosem — Joasia trwogi niema przed taką groźbą. Bóg nad nią czuwa!

Żyd szeroko bezzębe usta otworzył.

— Nikomu tu ona szczęścia nie przyniesie, tylko jak duch zły za sobą nieszczęście pociągnie.

Marja uczuła nagle jakby pchnięcie sztyletu w serce.

— Jak duch zły, nieszczęście za sobą pociągnie!

Mimowoli przerażona oczy utkwiła w Szmula, lecz on już do drzwi zmierzał i, jęcząc przeraźliwie, znikł w ciemnej głębi pierwszego parlatorjum.

Chwilę jeszcze słychać było jego ciężkie kroki, rozlegające się wśród pustki wilgotnej, głos charczący, jękliwy, zawodzący.

I nagle ciężkie wrota furty zapadły z trzaskiem i nastało zupełne milczenie.

Wówczas siostra Déposée położyła swą bladą rękę na ramieniu Trejny.

— Chodź, Joasiu, do kaplicy Matki Bożej; ofiarujemy jej te ciężkie zmartwienia!

Lecz Trejne nie miała w swych ciemnych źrenicach ani śladu boleści. Cała jej twarz przekorna i ze złości pobladła miała na sobie raczej piętno silnego wzburzenia, pomieszanego z tchórzliwym niepokojem.

. . . . . .

Gdy Marja wieczorem dnia tego powróciła z sal redutowych, pomimo dość znacznej kwoty zebranej za

drobiazgi i dowcipnego szczebiotu Leona, który jej towarzyszył, chmurna była i milcząca.

Wśród migotliwych blasków gazu, dźwięków orkiestry i głosów ludzkich, bezustannie przed oczyma wrażliwej kobiety czerniała olbrzymia postać Szmula, wyciągniętą prawicą zakreślająca w przestrzeni ciemne kręgi. W dźwięku spadających do koszyczka pieniędzy słyszała głos jego boleścią brzmiący, gdy wśród białych murów parlatorjum z jękiem wołał.

— Pójdź, Trejne! pójdź!

Leon śledził uważnie Marję i, zawijając paczki, usługując kupującym, odpowiadając na flirtowanie miluchnej hrabianki, znalazł jeszcze czas, aby rzucić młodej kobiecie zapytanie:

— Skąd pani wracasz z taką pogrzebową twarzą?

Marja zmarszczyła brwi mimowolnie.

— Och! z pogrzebową!... zawsze pan przesadzasz — odparła.

— *Mais si! si!* twarz pani jest *toute faite,* aby *suivre un convoi.* Czy pogrzebałaś pani kogo?

— Nie ja!... widziałam tylko czyjeś łzy gorące, gorętsze chyba od tych, które się nad trumną wylewa!

— *Tiens!... tiens!...* to łzy takie jeszcze chodzą po świecie?

Marja spojrzała na wiewiórczą twarz młodego człowieka.

— Co za dziwna chęć przedstawienia się gorszym, niż się jest w istocie! — wyrzekła z pewnem zniecierpliwieniem.

Leon ramionami wzruszył.

— Co pani chcesz! masz do czynienia z niewiernym Tomaszem. Nie uwierzę, aż ujrzę!

— Wiwisekcja?

— Prawie...

— Szkoda!... gdybym wiedziała...

— To co?

— Dostarczyłabym panu widoku łez gorących.

— Chciałem pani towarzyszyć, lecz mówiłaś, że jedziesz do klasztoru!

— I pojechałam.

— *Tiens! tiens!* więc to w tym przybytku spokoju

płaczą tak gorzko? Któż taki? Czy moja przyszła córka chrzestna rozpacza tak ciężko?

— Nie.

— Któż więc?

Marja zawahała się.

— Hrabianka pana wzywa! — wyrzekła nareszcie.

Nie chciała roztaczać obrazu boleści zrozpaczonego starca przed oczyma tego sceptyka, i to jeszcze przy dźwiękach orkiestry, rzucającej całe snopy zawrotnych dźwięków w jasno oświetloną przestrzeń. Lecz Leon, przeciskając się ku hrabiance, szepnął jej prawie tuż nad uchem:

— Sądzisz mnie pani niegodnym prostej odpowiedzi. To źle. Wiesz sama! pozory często mylą...

Młoda kobieta powiodła za nim wzrokiem.

Miał słuszność. Pozory często mylą! Ona sama w życiu swojem doszła już do tego przekonania.

Lecz z tłumu czerniącego się zbitą masą przed kontuarem sklepu, wyłonił się nagle Stanio, z uprzejmym uśmiechem witający żonę.

— *Bonjour! Bonjour!*...—oczy mrużył, piękny, elegancki w swem futrze, odrzuconem z fantazją z szeroko rozrośniętych ramion.

— Jakże idzie?

— Doskonale!

Dyskretnie położył tęczowy papierek w koszyczku hrabianki.

— Oh!... *monsieur, décidément vous êtes magnanime!*...

Leon ironicznie z poza kontuaru na przyjaciela spoglądał.

Stanio wzrok ten pochwycił.

— *Tiens! te voila* obok *maitre d'autel!* Niema tam dla mnie małego kącika?

— *Si!* — odparł Leon — *les gugusses trouvent toujours une petite place!*

Stanio ramionami wzruszył.

— *Vieux farceur!*

Spojrzeli sobie w oczy i parsknęli śmiechem. Z czego? — sami nie wiedzieli.

Marja patrzyła przygasłym wzrokiem na męża.

Odcinał się teraz dokładnie w przestrzeni, bo tłum zwabiony „koszami szczęścia“, pobiegł w inną stronę. Jasne światło gazu zdradziecko oświecało jego czaszkę, pokrytą rzadkiemi, ostro przyciętemi włosami. W świetle tem wydawał się już prawie łysy. Owal twarzy wydłużył mu się, zaznaczając silnie dolną szczękę.

Dokoła oczu drgała drobna siatka zmarszczek, wąsy miały jakiś odcień matowy. Z ram kołnierzyka wychylała się szyja chuda i przecięta żyłami. Na skroniach perliły się kropelki potu.

Młoda kobieta, cała w rozkwicie zdrowia i wdzięków, badała ze ściśniętem sercem ślady wyniszczenia męża, który objawił się jej nagle w jasnem świetle gazu nędzny, zżółkły i zmęczony.

Przymknęła oczy, aby go nie widzieć.

Lecz on szybko wcisnął się poza kontuar sklepu i stanął tuż przy niej.

— *Je vous aiderai!* — wyrzekł z galanterją.

Ona skinęła głową, usuwając się mimowoli w róg sklepu.

— *On etouffe ici!* — wyrzekł Stanio, zsuwając z ramion futro.

Kupujący zaczęli pojawiać się znowu.

Stanio z elegancją i dowcipem czynił honory sklepu; Leon usunął się teraz w cień i, usiadłszy w głębi, przenikliwym wzrokiem śledził poruszenia Marji.

Ona wzrok ten czuła na sobie i, coraz więcej rozdrażniona, usiłowała panować nad sobą.

Oddawna nie czuła tak blisko obecności Stania przy sobie. Ciasnota sklepu rzuciła ją prawie w jego objęcia. Odwykłszy od podobnego zbliżenia, cofała się gorączkowo, zmieszana, niezręczna, tracąc zwykły spokój i panowanie nad sobą.

On tymczasem powoli zaczynał odczuwać także bliskość tej kobiety, która się tak wspaniale rozwinęła tuż obok niego, a on nie widział nawet, że gąsiennica zmieniła się w motyla. I, nie tracąc ani na chwilę swobody, z jaką usługiwał kupującym, pochylać się zaczął ku żonie.

— Pozwól, ja cię wyręczę!

Odbierał z drżących jej rąk cięższe paczki, zgarniał z jej dłoni drobną monetę.

Czynił to wszystko z wyrachowaniem światowca, który zna na pamięć wszystkie dozwolone przez konwenanse zbliżenia rąk pod niewinnym pozorem...

— *Tiens! tiens! elle n'est pas mal!* — myślał, obserwując z pod oka całą postać uroczą Marji. — *Elle est même bien!* — powtórzył, zawijając w różową bibułę małego bronzowego japończyka, wskazującego na tarczę miedzianą pałeczką.

Nagle uczuł nawet przedsmak zazdrości. Co robi tu w sklepie Leon, zainstalowany tak wygodnie obok jego żony? Czy i on obserwuje białość jej szyi i cień kręconych włosów?

Obejrzał się poza siebie i spotkał wzrok Leona, uparcie w Marję wlepiony.

Młody człowiek siedział na pace, z rękoma, francuskim obyczajem, w kieszeniach umieszczonemi, odcinając się bladą plamą twarzy na tle czerwonych półek, na których zaledwie kilka lusterek wschodnich migotało, jak srebrne motyle.

Stanio brwi zmarszczył.

— Leonie!

Młody człowiek, powoli, jakby z żalem, oczy od kobiety oderwał i przeniósł je na jej męża.

— *Tu as besoin de moi?*

— *Non! non!* zostań na miejscu! — wyrzekł pośpiesznie Stanio, jakby obawiając się wciśnięcia Leona pomiędzy nich, do brzegów kontuaru.

Leon ramionami wzruszył.

Ten Stanio miewa czasem napady bzika. Teraz woła go, niewiadomo po co! i to właśnie w chwili, kiedy on zajęty był śledzeniem wysiłków Marji, jakie czyni dla oddalenia się od bezpośredniego zetknięcia z mężem. *C'est inouï!* niezgłębioną tajemnicą są kobiety. Ta naprzykład, zdaje się uwielbiać męża, który ją zaniedbuje. Przypadek zbliża ją do niego wśród gorąca, światła i zawrotnej kaskady muzycznej. Tymczasem ona, drapując się w szatę chłodu i dziewiczej skromności, usuwa się, pragnie zniknąć, nie istnieć... Cała drżąca i zmieszana, oczy spuszcza i płoni się, cierpiąc

widocznie w sąsiedztwie tego mężczyzny, który, będąc ojcem jej syna, stał się dla niej zupełnie obcym człowiekiem.

Leon poprawił się na swej pace. Miał przed sobą widok bardzo ciekawy, proces psychologiczny, bardziej zajmujący, niż wszystkie romanse Bourget'a. Stanio nie zajmował go wcale; znał on dokładnie naturę swego przyjaciela, naturę silnie zmysłową. Zajmowała go tylko Marja, ta kobieta, napozór chłodna i nieprzystępna, w głębi serdecznie namiętna, a przecież z obrazą majestatu odsuwająca się od męża, do którego może tęskniła przed chwilą!

Tymczasem wobec natarczywej czułości męża, Marja powoli zaczęła się otrząsać ze zmieszania w jakie, w pierwszej chwili popadła. Zniewaga, jaką wyrządził jej mąż, odsuwając się prawie zupełnie od niej od lat dwóch, zbyt silną zostawiła ranę w duszy młodej kobiety. Nagłe zwrócenie uwagi na jej obecność zdawało się jej teraz nożem, który okrutna ręka obracała w jątrzącej się ranie. Nie ona, nie Marja była w tej chwili przedmiotem uwagi tego człowieka, lecz... kobieta! Po dobrym obiedzie, po pochłonięciu Chablis'u, Saint Emilien'u i fine Champagne'u, atmosfera bazaru, bardzo do atmosfery balowej zbliżona, upajała go do reszty! Traf zrządził, że jego ramię dotknęło jej ramienia — i oto miała obok siebie wreszcie męża, którego kochała tak mocno, za którym wylewała łzy rzewne, ciche, gorące! A jednak jakieś uczucie goryczy, odrazy odtrąca ją od tego człowieka. Nie może znieść dotknięcia jego dłoni i, cała wpatrzona w tłum czerniący pomiędzy białemi ścianami sklepów, z przerażeniem najwyższem zapuszcza sondę w swą duszę, targa w piersi serce, które powoli uspakajać się i ziębnąć zaczyna.

Mąż właśnie pochyla się przed nią i błękitne jego źrenice, wiecznie marzące, przysłonione długą rzęsą, mienią się w świetle gazu zielonawą barwą szmaragdu.

— *Vous êtes en beauté aujour'dhui, mon amie*—szepce, uśmiechając się z lekką domieszką ironji.

Lecz ona przyciska rękę do serca.

Zrozumiała. Przestała kochać męża; nie kocha go już wcale.

Odkąd? dlaczego?...

Nie może zdać sobie z tego sprawy, czuje tylko, że obecność Stania sprawia jej ból moralny, daje jej przedsmak wstrętu, goryczy.

Zamyka oczy, jakby na widok nagle otwierającej się przepaści.

Lecz on staje się coraz śmielszy i, na tle tonów polki, rzuca jej całą wiązkę banalnych słów, komplementów zdawkowych, uznając, że i to jest za wiele dla olśnienia swej niewolnicy.

Ona tymczasem otwiera oczy i teraz już bez trwogi, uważnie, jakby w skupieniu, spogląda na twarz męża. Widzi wielką piękność tej twarzy, tę piękność, która ją olśniła przed laty w śniatyckim dworku i prześladowała ją po rozhyrach leśnych; lecz dziś piękność ta nie wstrząsa nią; ostudza ją raczej, oziębia, bryłą lodu na piersi tłoczy.

I nagle Marja dostrzega na lewej piersi męża, na ciemnem tle sukna plamę delikatną, plamę, pozostawioną przez policzek kobiecy, wytarty coldcremem i posypany pudrem. Plama ta biała, przezroczysta, jak płatek krepy, rozkłada się lekko, tajemniczo, a przecież brutalnie odsłania tajemnicę zamienionego przed chwilą uścisku.

Milcząc, Marja wpatruje się w tę plamę, a oczy jej przybierają wyraz chłodnej ironji. Wreszcie, usuwając się w głąb sklepu, odtrącając prawie od siebie ramię męża, chwyta aksamitny toczek, porzucony na półce obok lusterek orjentalnych.

— Odchodzisz? — zapytuje Stanio, przygryzając usta.

Leon stoi już za młodą kobietą, podając jej rotundę podbitą futrem niebieskich lisów.

Marja nie odpowiada wprost, lecz delikatnem poruszeniem głowy wskazuje mężowi kompromitujący go odcisk policzka kobiety na ciemnem suknie odzienia.

Stanio spostrzega i pośpiesznie sięga do kieszeni po chustkę.

— Co to może być? — bełkoce zmieszany. Nie pojmuję...

Pragnie pośpieszyć za żoną, która cicho, poza plecami zajętych sprzedażą kobiet, wysuwa się ze sklepu. Lecz ona nakazującym gestem przykuwa go do miejsca.

Przez chwilę Stanio milczy, zziębiony wzrokiem żony, wreszcie odzywa się do przyjaciela:

— Leonie! proszę cię! odprowadź żonę do powozu... *moi — je ne puis pas abandonner la Comtesse.*

Tłum rozstępuje się teraz przed Marją, która w rotundzie swej, jak w płaszczu królewskim, powoli zagłębia się w ulicę, ścielącą się pomiędzy namiotami. Szare bramowanie futra okala jej twarz, pobladłą teraz mocno i jakby zmęczoną.

Ostre tony polki wirują wciąż nad jej głową, dokoła tłum nieznanych twarzy żółte tworzy plamy. Dalej majaczy białość ścian, przeciętych równą linją słupów, na których srebrzą się mleczne klosze lamp.

I nagle w tym tłumie, w tej wrzawie, w tym chaosie głosów ludzkich i dźwięków blachy, Marja odczuwa dokoła siebie pustkę, przerażającą pustkę, która ją przestrachem zapełnia. Jest sama, sama wśród masy ludzi zbitych w tej ciasnej przestrzeni, wśród ścian z muślinu, sama w progu życia, sama — na zawsze! Myśl o dziecku wypływa z odmętu, w jakim się czuje pogrążona. Jerzuś! tak — on jeden, jedyny! Do domu! do domu jaknajprędzej!...

Przeciska się teraz szybko przez tłum, zaciskając dokoła siebie poły rotundy, jak gdyby broniąc się przed pełnym zmysłowości wzrokiem męża. Natura kobieca bierze górę; Marja w gardle doznaje silnego ściśnienia, do oczu łzy jej napływają.

Dochodzi już teraz do przedsionka, który, oświetlony jasno, przedłuża się w zakręt schodów. Tony polki huczą tu z całą gwałtownością. Rzecby można, że hałaśliwa fala wybiegła na wolniejszą przestrzeń i hula tu krzykliwie, niczem nie powstrzymywana.

Marja opiera się chwilę o ścianę. Szmer wchodzących osób przecina jej komunikację. I wówczas dopiero spostrzega Leona, który stoi przed nią, jakby

zakłopotany, bez cienia uśmiechu na swej wiewiórczej twarzy.

— Dokonałaś pani cudu — mówił cichym głosem.

Marja podnosi na niego oczy, nie widzi go dobrze, gdyż łzy jej zakrywają źrenice.

— Ja?

— Tak! przemieniłaś niewiernego Tomasza w najwierniejszego wyznawcę! Widziałem i... wierzę!

— Co pan widziałeś?

— Łzy, łzy gorące, widzę je w tej chwili i wierzę, że się jeszcze plączą po świecie.

— Ach!... przecież... ja nie płaczę!

Leon uśmiechnął się smutno.

— *Si fait!* — odparł — płaczesz pani i to tak, jak się płacze nad grobem tych, których się kocha!...

Głos jego brzmiał łagodnie, bez cienia ironji.

— Jedź pani do domu! do Jerzusia!... — wyrzekł wreszcie.

Na zaciśnięte usta Marji wybiegł uśmiech.

— Tak! Tak! — wyszeptała do Jerzusia!

I myślą już była przy białem łóżeczku, na którem spał syn jej ukochany.

Nagle z poza białych firanek kołyski wyjrzała ku niej twarz mężczyzny, o czarnych poczciwych oczach, twarz, spalona od słońca i chłodu, twarz, ujrzana w uroczysku Wołochowskiem w obramowaniu ożyn i paproci.

Jakby przed marą, z popiołów wstającą, drgnęła cała, nagłą trwogą zdjęta.

— Nie! nie!... — wyrzekła półgłosem, kierując się ku schodom.

Leon postępował obok, zdziwiony tym wykrzyknikiem.

— Co nie? — pytał natarczywie.

Marja, zmieszana, przerażona wizją twarzy Antoniego, schodziła teraz szybko po schodach wśród fali dźwięków, które triumfalnie z sal bazarowych aż do sieni płynęły.

. . . . . .

Gdy Leon po wsadzeniu Marji do powozu powrócił do sali i znalazł się za kontuarem sklepu, cały bazar wydał mu się dziwnie opustoszały. Usiadł na pace i oparł głowę o półkę, na której niedawno jeszcze leżał werweną pachnący toczek Marji.

Zdawało mu się, że purpurowe sukno zachowało jeszcze coś z tego słodkiego zapachu, jakim włosy młodej kobiety były przesiąknięte.

Przymknął oczy i usiłował odtworzyć całą postać Marji. Wydała mu się dziwnie doskonałą, szlachetną i uczciwości nieskalanej pełną.

Nagle uczuł, że go ktoś trąca w ramię.

Otworzył oczy z niechęcią. Przed nim stał Stanio, usiłujący oczyścić wszelkiemi siłami klapę swego surduta od białego proszku, który przylgnął do niej z dziwną siłą.

— Nie wiesz, co to może być? — pytał zniecierpliwiony.

Leon objął wzrokiem postać przyjaciela i wyraz uśmiechu lekceważenia okrążył mu usta.

— *C'est inoui!* — mówił Stanio nie mogę wyczyścić! żebym wiedział choć, co to jest takiego!

Leon powstał, przymrużył oczy, a kładąc swój olbrzymi płaszcz, podbity futrem, wyrzekł:

— Rzecz prosta, *crême Simon i veloutina!* Zakaż Dolly smarować się cremem. Tylko niewiem, czy cię usłucha; mnie... nie słuchała!

XIII.

— Fur, fur, fur!... oj, dziewuszki, pstro, pstro w głowach!

I siostra Szafarka założyła ręce za pas, a zmrużywszy oczy, patrzyła na katechumenki, stojące przed nią rzędem w swych białych i niepokalanej czystości sukienkach.

W tem siostra ogrodniczka weszła z ogrodu, niosąc świeżo uwite wianki na plecionej pokrywce koszyczka. Wianki to były z czystej zieleni, przetykane malwami

pełnemi, i jak śnieg białemi. Małe bukieciki do boku tuż przy nich leżały.

— Dla was dziewuszki! — wyrzekła, stając przed dziewczynami, w strudze jasnego światła, które z rozwartych szeroko drzwi ogrodowych w korytarz wpływało.

Franusia i Rózia uśmiechnęły się radośnie, grubemi, lśniącemi rękoma sięgnęły po malwy, nad któremi drobna, ascetyczna twarz zakonnicy chyliła się, dziwnie odświeżona rosą, którą jej kwiaty z wysokich swych łodyg strząsały.

— Dziękujemy dobrodziejce!

Włosy im spadały na ramiona, okryte grubym białym muślinem, szczelnie pod szyję zapiętym. Włosy te były prawdziwym przepychem królewskim, rozścielającym się na skromnych ich sukienkach, kosztem klasztoru sprawionych.

Z bocznego okna lejące się jasne lipcowe światło kładło złote iskry w falę rudych, miękkich włosów Franusi, i mieniło się niebieskawemi blaski w kędziorach Rózi. Obie dziewczyny, czysto wymyte, wykąpane, wyszorowane mydłem, miały w sobie wielki urok młodości, urok trywjalny, lecz podniesiony wiarą prostoduszną, rozlaną w ich serdecznych, sponiewieranych, piegami okrytych twarzach. Wiara ta jednak miała swoje odcienia.

Franusia poddawała się radosnej dla niej chwili z całą szczerością prostego, niewyrafinowanego serca, spłakana, z oczyma łez pełnemi, wpatrzona z bezbrzeżną miłością w Chrystusa, który do niej z bieli ścian korytarzowych ramiona swe wyciągał. Drżące ze wzruszenia ręce dziewczyny obciągały bezustannie falbankę kaftanika, lub szarpały szarfę muślinową, która jej grubą postać obejmowała sztywną obręczą. Wczoraj cały dzień, gdy prasowała sukienkę i welon, łzy rzęsiste kapały jej z rybich, poczciwych oczął. W wieczór, przejęta cała radością, która ją dławiła, schroniła się do obory, w której drzemały krowy, szczególnej jej pieczy powierzone,

Depcąc po mierzwie i podściółce, przedarła się Franusia do swej ulubienicy.

Ruda była to krowa, ruda, jak i dziewczyna. Często, gdy stały obie w słońcu, pośród zielonej łąki, która poza klasztorem aż hen ku Wiśle się słała, obie, i zwierzę i katechumenka, miały te same tony złote o purpurowych iskierkach, które pełne słońce w rudych włosach zapala.

Dziś, w cieniu obory, Franusia porwała za szyję ulubione zwierzę i głowę swą, świeżo miętą i rumiankiem wymytą, do rudego łba radośnie tulić zaczęła.

— Już cię, króweńko moja, bez dziś tylko żydowica doi! od jutra się wykrzcę! wykrzcę! wykrzcę!...

Śmiała się przez łzy, całując wilgotne nozdrza zwierzęcia, które łeb podniósłszy, przeciągłym rykiem zawtórowało radosnym szlochom dziewczęcia.

Tymczasem Rózia bladła coraz więcej, zagłębiając się w mistycznej ekstazie, skupiając się w sobie, analizując w milczeniu tajemniczą rozkosz, która ją ze zbliżeniem się chrztu przejmowała. Nieraz znajdowano ją na śliskiej podłodze chóru, klęczącą w cieniu i wpatrzoną w purpurowy płomyk lampy, migocący z poza kraty w czerni olbrzymiej kościoła. Mówiła często do siostry, przygotowującej ją do chrztu, którego dzień w aureoli lipcowego słońca się zbliżał:

— Nie jestem godna tej łaski! nie jestem godna!

Siostra Déposée często teraz udzielała jej sama nauk i odbywała z nią konferencje.

W dniu chrztu Rózia była blada jak opłatek, a z pod jej długich źrenic, spuszczonych ku ziemi, tlił się ogień nieziemskiej egzaltacji. Ręce jej, splecione na piersiach, podnosiły się i opadały przyśpieszonem tempem. Nieruchoma, blada, z ustami wpółotwartemi, zdawała się Rózia być pogrążona w mistycznej ekstazie, która jej biedną duszę w krainę nadziemską unosiła. Ani jedna łza nie spłynęła z jej oczu, gorączkowo świecących. Zdawała się nie żyć, nie istnieć, nie dotykać ziemi. W obramowaniu rozplecionych kruczych włosów blada jej twarz odcinała się alabastrową czystością. Siostra szafarka mówiła, śmiejąc się, że „Rózia się wyblichowała!", lecz w gruncie rzeczy szafarka i inne siostry były serdecznie wzruszone pokorną postawą Franusi i ekstazą Rózi.

Od rana też krzątały się, czyniąc przygotowania do tej uroczystej chwili.

Chór cały woniał od kwiatów, a po środku dywanem barwnym przykryte, stały trzy klęczniki, przeznaczone dla katechumenek.

W kościele siostry kołowe razem z ogrodnikiem ustawiały szpaler oleandrów i obsadzały świece w olbrzymie świeczniki.

W zakrystji, siostra Marja Ludwika przygotowywała biały ze złotem ornat i koronkową albę. Nad rozwartemi szufladami pochylona w całej masie stuł, które, jak różnokolorowe węże, mieniące się złotem, leżały spokojne i uśpione na tle aksamitnych, purpurowych kap, przeciętych złotym galonem, szukała stuły odpowiedniej do ornatu, szytej w złote lilje i srebrne dzwonki.

Na długim stole dębowym stały ampułki, świecące się w słońcu kolorami tęczy, które spływały wspaniałym wachlarzem barw, aż w dół szeroko rozwartych szuflad i tam ginęły w śniegu koronek, któremi komże i alby, obrusy, ręczniki były obszyte.

Tu i owdzie z szuflady błyszczały cenne galony, grube aplikacje lub watowane róże, silnie złotemi nićmi na tle lam srebrno-białych nakładane.

Ze wszystkich tych szuflad bił silny, a zawrotny zapach piżma, jak z komód i szaf naszych prababek, kryjących troskliwie w pokrywach z zielonej marselinki swe mory, grodenaple i inne, mieniące się jak pawie pióra, materje.

Ponad tym przepychem barw i złota, schylona siostra Marja-Ludwika, w swym wytartym, zniszczonym habicie, odcinała się ubogą, czarną sylwetką na tle aksamitu, lamy i różowych jedwabnych podszewek. Od trzydziestu lat blisko, z małemi przerwami, zanurzała swe wychudłe ręce w te stosy szeleszczących materji, haftowanych rękami dumnej Gonzagi, od trzydziestu lat uboga i nędzna w łatach czarnego sukna spowita, wciągała w siebie woń piżma i zleżałego jedwabiu, a nigdy w umyśle jej nie zadrgała ani nitka próżności, ani chęć przymierzenia do swej smutnej twarzy śnieżnych mas koronek.

Każda z sióstr raz jeden w życiu miała na sobie wspaniały strój oblubienicy i zrzucała go najchętniej na czarne sukno, rozesłane pod ich stopami. Z tą chwilą kobieta znikała.

I dlatego-to, z dziwnym niepokojem spoglądały w dzień chrztu siostry na Joasię, która pomiędzy Rózią i Franusią szeleściła dumnie długą, jedwabną suknią, mocno obciśniętą.

Suknia ta, kosztem Antoniego sprawiona, na gorące prośby Trejny, była cała z jedwabiu, zrobiona według najświeższej mody. Delikatne wycięcie stanika odsłaniało cokolwiek szyi, tylko tyle, ile potrzeba do ceremonjału religijnego. Z obramowania koronek, opuszczonych na stanik, wysuwał się silny kark dziewczyny i jej kształtna, mała główka, z której masa jej włosów czarnych, matowych, suchych, pokręconych, spadała ciemną lawiną na szerokie ramiona, okryte szczelnie przylegającą do ciała jedwabną tkaniną.

Nigdy w murach klasztoru nie pojawiła się tak piękna i zarazem trwogą przejmująca kobieta. Gdy, oblana jasnym potokiem światła, stała uśmiechnięta i wyprostowana, siostry nieśmiało podnosiły na nią oczy. Lękliwie wzrok ich ślizgał się po tej głowie, na której na podstawie masy włosów, wznosiła się przepyszna korona z róż białych, delikatnie rosą pokropionych. A dalej, z korony róż, jak fala biała i doskonale przejrzysta, zsuwała się aż po brzeg trenu cała masa iluzji, którą włosy, pokręcone w tysiączne pierścienie, lekko podnosiły.

Joasia stała triumfująca, sztywna, z głową wysoko podniesioną. Radość niczem niepowściągniona, radość kobiety, która się czuje piękną i silną, kazała jej podnieść opuszczone zwykle czoło i objawić się nagle w całym blasku urody. Ręce, obciśnięte długiemi białemi rękawiczkami, trzymała opuszczone. Oddychała z trudnością z powodu silnego ściśnięcia gorsetem, a na wybielałą w cieniu klasztornem jej twarz wystąpił silny rumieniec. Z pośród purpurowych, spieczonych warg bielił się sznur zębów, drobnych i doskonale pięknych. Ani śladu skupienia pobożnego lub jakiejkolwiek ekstazy

nie można było dostrzec w jej wielkich źrenicach, w których paliły się dziwne, zielonawe ogniki.

Obok niej, w swym wianuszku z malwy i powyciąganym z paska kaftaniku, szlochała Franusia, podciągając zaczerwienionym nosem, a Rózia, z oczyma utkwionemi w Chrystusa, cisnęła wciąż spracowane ręce do swej dziewiczej piersi, blednąc coraz bardziej.

. . . . . .

Ksiądz jałmużnik przeciągłym głosem wyśpiewał:
— *Ite Missa est!*

Lecz nikt w natłoczonym kościele się nie poruszał. Owszem, ciągle nowa fala napływała przez przymknięte drzwi, co ze stłumionem skrzypieniem zamykały się szczelnie za wchodzącymi, których twarze, rozjaśnione, ciekawe, już od progu zdawały się szukać białych sukien i kaskad rozpuszczonych włosów. Wszyscy tłoczyli się do przejścia, którem miano wyprowadzić za drzwi świątyni katechumenki.

Z ust do ust podawano sobie rozmaite szczegóły, wiadomości, pozbierane naprędce od babek, potrząsających przy wejściu do kościoła skarbonkami, pełnemi miedziaków.

Tak, tak, nie dalej jak wczoraj podstąpiono pod klasztor i, dzwoniąc do furty, urwano dzwonek, który dopiero w nocy siostra kołowa szpagatem przywiązała. Rodziny tych dziewczyn stały opodal, prawie przed trotuarem kościelnym. Do jednej z katechumenek sprowadzono rabina. Tak! rabina. Przyszedł do parlatorjum i miał długą rozmowę z księdzem jałmużnikiem. Lecz wszystko na nic się nie przydało. Dziewczęta pragnęły chrztu i oparły się wszystkiemu. Dla jednej, tej najbogatszej, odwłóczono nawet dzień chrztu. Nie mogła się nauczyć katechizmu. Siostry miały z nią kłopot niemały. Ale dziś już wszystko załatwione. Dziewczyny umieją pacierze. Egzaminował je sam ksiądz jałmużnik. Mogą bezpiecznie stanąć do sakramentu.

I babki zaczynają znów potrząsać skarbonkami, kurcząc się pod promieniami słońca i uśmiechając się bezzębemi ustami.

Dokoła nich, w zacieśnieniu domów, tłum ludzi, śpieszących do wnętrza świątyni, której szary, ciemny fronton silnie dźwiga się ku górze.

Na lewo — krata żelazna, najeżona, z niewielką furtką, poza którą zielenią się kępy trawy i wiotkich, ku ziemi gnących się gałęzi.

Za niemi, za tym kłębkiem zieloności, nagle w jasno szarą barwę bruku wrzuconą, bielą się już zabudowania klasztorne, napozór nikłe, niewielkie, jednopiętrowe, ciemno-czerwoną dachówką kryte.

I w bieli żółtawej ścian czernią się tylko małe podłużne okienka, zakratowane, tajemnicze, jakby na miasto, ścielące się przed niemi, z zadumą patrzyły.

W przedłużeniu prawego skrzydła, w szeregu domów urywa się nagle linja i widać zdaleka złotawą płaszczyznę Saskiego placu, przeciętą czarnemi plamami dorożek. Lecz już, jak olbrzymi monument, strzegący wejścia do pustyni, dźwiga się cielsko hotelu Europejskiego, żółtoceglaste, migocące niezliczoną ilością szyb, równemi linjami, jak wojsko na tarasach się wydłużających. I dalej wygina się znów łuk Przedmieścia, jak wąż olbrzymi, kapryśny i nierówny, w sterczące obramowanie domów wtłoczony. Linja ta gnie się i nagle ginie w szarej masie kamienic, które słońce lipcowe migocącym blaskiem oblewa.

Na lewo od klasztoru wysuwa się pałac Potockich, obwiedziony grubym łańcuchem. Masa ta przecina perspektywę i nie pozwala rozwinąć się przedłużeniu przedmieścia. To też oczy tłumu, stojącego teraz w pełnem, złotem świetle przed ciemnemi wrotami kościoła, mimowoli biegną przed siebie, tam, gdzie Królewska ulica, jak odnoga wielkiej rzeki, nagle w dalsze plany się usuwa. I cała w cień spowita, z frontem domu Beyera, jak olbrzymie koszary, obstawione ciemnemi plamami szyldów, przedłuża się tajemniczą smugą, z której z brzękiem wynurzają się białe tułowia koni, ciągnących tramwaje. I cień ten równą linją od słonecznego obrusa odcięty, ma jednak gdzieniegdzie złotawe plamy, blade, jakby przez szkło z góry przepuszczane.

Odsunięte aż w ten cień, w tę linję czerniawą,

nagle w blasku się znaczącą, stoją gromadki przechodniów i ciekawych. Lecz już tramwaj nadjeżdża wzdłuż ciemnych szyn, zwiniętych w półkole. Tłumy się rozpierzchają, cofają znów w cień i, do ścian domu przylgnąwszy, oczy w fronton świątyni wlepiają.

Nad niemi wysoko glorjeta cała ze szkła, błyszczy jak brylant, szarą płachtą okryty. I dalej cała powódź dachów zlewa się w jednostajną i przeciągłą linję na tle przeczystego szafiru. Gdzieniegdzie tylko biały komin, jak olbrzymi gołąb, do dachu przypadłszy, zaznacza się jasną plamą. Czasem szyba dymnika zamigoce srebrnawą gwiazdą zawisłą prawie w przestrzeni.

Tymczasem w głębi kościoła huczą organy niskim, basowym, przeciągłym tonem. Huk ten płynie z góry prosto od gufrowanej ściany organu aż ku wielkiemu ołtarzowi, złotemu od świec płonących.

I, jak kwiat mistyczny, olbrzymi, tak widnieje teraz postać księdza jałmużnika, który o biel antypedjum się oparłszy, ewangelję ostatnią czyta. Obok niego na delikatnem tle koronek i jedwabiu, haftowanego pelą w symboliczne róże i lilje, odcina się ostro czerwona pelerynka chłopca, który, złocąc się całą masą blond włosów, stoi nieruchomy, w fałdy swej białej komeżki spowity.

Drugi, cokolwiek niżej około kwiatów stanąwszy, ciekawie ku górze spogląda, śledząc snop silnych promieni słonecznych, przecinających z bocznego okna powietrze. W promieniach tych drgają miljardy pyłków, a kłąb oleandrów, na które smuga ta spływa, zdaje się cały poruszać pod wpływem silnego powiewu wiatru.

W presbiterjum, po prawej stronie ołtarza, znajduje się krata podwójna, z silnych sztab żelaza złożona, poza którą widać wysoką masę chóru, pełnego w tej chwili światła i przestrzeni. I w tej przestrzeni najwyborniej zarysowuje się linja stall, które, jak rzeźbione nagrobki wznoszą się wysoko, zakończone ostrymi łukami.

W stallach tych czernieją postacie sióstr, klęczących z opuszczonemi na oczy welonami. I tylko na piersiach ich srebrzą się krzyże; czasem biała, lecz

spracowana ręka różaniec uchwyci i szybko w otworze rękawa się schowa.

Nad krzesłem matki przełożonej srebrzy się jak gwiazda, serce założycielki, za szkłem, obwiedzione złotą girlandą liści. Tworzy ono rodzaj punktu świetlanego i promiennego nad głową zakonnicy. Zdaleka, przez kratę, światło to wydaje się promienną aureolą dokoła fałd czarnego welonu. W górze trzy wysokie gotyckie okna, w niszę głęboko wsunięte, wyrzucają z siebie w głębie chóru całe masy białawego światła, które rozlewa się na lśniącą posadzkę i uwypukla w przestrzeni klęczące na środku chóru trzy postacie dziewczęce. Katechumenki, oparte na klęcznikach, mają głowy okryte śniegiem białych welonów. Klęczą pokornie, z powiekami opuszczonemi na pulpity, obciągnięte aksamitem, tłoczonym w złote palmy. I tylko Joanna, od czasu do czasu, niecierpliwie, nie podnosząc głowy, za kratę, het w dal kościoła, wejrzenie rzuca.

Krew jej się kłębi w żyłach, w gardle od gorączki wysycha. Za kratą, w snopie promieni słońca, cała fala głów ludzkich pochyla się, miga, ciemnieje, to znów wypływa fala ciekawa, pragnąca wreszcie zjawienia się katechumenek. I pod stanikiem dziewczyny serce coraz prędzej bić zaczyna. Czuje, że za chwilę wszystkie te głowy zwrócą się w jej stronę, że ona stanie się punktem, do którego dążyć będą te całe masy źrenic...

Ostatnia ewangielja... Neofitki powstały, a oczy Franusi nabiegły łzami. Podczas sumy uspokoiła się nieco i, cała zasłuchana w huczące organy, powtarzała, miast nakazanych pacierzy, jedno, jedyne słowo:

— Jezu! Jezu!...

Lecz teraz znów gorąca struga łez napływa do jej źrenic. Nie, to silniejsze nad nią! Mogą mówić, co chcą, ona płakać i szlochać musi z wielkiej radości. Za kilka minut „wykrzcą“ ją nareszcie! O, Jezusie najsłodszy!...

Na chwilę przy ołtarzu zapanowała pustka. Ksiądz jałmużnik znikł w zakrystji, jak złote widziadło.

I przy ołtarzu jedynie różowe oleandry rozlewały niepewną woń wpośród białawych obłoków kadzidła.

Zakrystjan szybko zamknął balustradę, pozostawiając w prezbiterjum: Marję, Leona, Antoniego i rodziców chrzestnych Rózi i Franusi, z pomiędzy mieszczaństwa warszawskiego uproszonych.

Tłum cały skupił się teraz w głównem przejściu. Wszystkie głowy zwracały się uparcie ku wielkiemu ołtarzowi, który gorzał spokojnie szeregiem świec jarzących, w obramowaniu ciemnych krzaków roślin.

XIV.

Marja, odsunąwszy się cokolwiek na bok od balustrady, powiodła okiem po tej masie głów zbitych, które w oddaleniu wydawały się jak morze plam niepewnego, żółtawego koloru. Gdzieniegdzie tylko chorągiew kładła czerwoną plamę lub wystrzelała białą szmatą jedwabiu, w której słońce srebrnawe zapalało błyski. Po lewej, nad falą głów ludzkich, w kształcie symbolicznej łodzi Piotrowej, złociła się ambona, z której niewidzialny powiew wiatru gwałtownie w górę odwiewał cały kłąb złotej, lśniącej draperji. A dalej, u filarów uczepione, zaznaczały się zlekka świeczniki i na dalszych planach ginęły w ledwie dostrzegalne punkta, na śnieżnem tle filarów, w łuki podniebne się wiążących.

I tylko poprzeczna ściana świątyni nagle barykadowała tę perspektywę białą, rzucając z góry ciężką masę chóru. Ponad balustradą migały zdaleka świetlane organy.

Marja, zapatrzona w przestrzeń, uczuła nagle obok siebie zbliżenie jakiejś istoty, pochylonej nad jej ramieniem i szepcącej:

— Czy to za chwilę?

Obejrzała się.

Leon stał przed nią uśmiechnięty, zupełnie *correct*, w swym anglezie czarnym i w ciemnym krawacie. Od chwili wejścia do kościoła usiłował przybrać minę poważną, czując, że i on podlega ogólnej uwadze, jako... ojciec chrzestny.

Marja skłoniła lekko głowę.

— Tak, za chwilę!

— Będę *convenable!*

— Spodziewam się. Gdybym myślała choć chwilę inaczej, nie uczyniłabym panu tej propozycji.

Leon skrzywił się i zmrużył oczy.

Promień słońca, złamawszy się w pryzmatach pająka, padł na jego twarz pożółkłą i wychudzoną, oblewając ją blaskami tęczy. Lekko pochylona głowa Marji, jej szaroniebieska płócienna suknia pokryły się tą różnobarwną strugą, która z góry płynęła.

— Spójrz pani na pana Antoniego, jak jest przejęty ważnością chwili.

Marja spojrzała na prawo, gdzie pod zielonym dachem oleandru zarysowała się silna postać posesora horeckiego.

Pod opaleniem skóry twarz miał bladą, aż w szary ton przechodzącą. Czarne swe, wielkie źrenice utkwił w płomienie świec i stał tak nieruchomy, wyprostowany, mocno wzruszony, niezgrabny, w źle skrojonym surducie, przez krawca partacza w zapadłym kącie miasteczka uszytym. Od dwóch tygodni bawił już w Warszawie, przepełniony trwożliwą radością, wzrastającą w miarę zbliżania się chrztu Trejny. Zwykle cichy i małomówny, stał się nagle hałaśliwym w objawach swego niespokojnego zadowolenia i dnie całe przepędzał w mieszkaniu Stanisławowstwa, wynurzając się w prostych i dziwacznych wyrazach, w zdaniach nagle urywanych i jakby zdławionych przez Marję, która z niewysłowionym niepokojem słuchała tych wyrazów, dziecinnej radości pełnych.

Pragnął, aby ceremonja chrztu łączyła się z ceremonją ślubu, lecz nagle projekt jego rozbił się o odmowę Trejny, która, gdy Marja przed tygodniem, uproszona przez Antoniego, udała się do parlatorjum, aby jej to zaproponować — drgnęła cała i po długiej chwili odparła wreszcie:

— Nie teraz!

Marja, siedząca po drugiej stronie kraty, doznała nagle jakby uczucia ulgi. Dlaczego? Na razie nie mogła sobie zdać sprawy z tego uczucia. Później, wracając do domu, ulicami, po których w blasku słonecz-

nym snuli się przechodnie, wytłumaczyła sobie doznane wrażenie. Ależ tak, mój Boże! to bardzo naturalne. Trejne nie wzbudza w niej zbytniego zaufania. Pomyśleć, że tak prawa natura, jak Antoniego, chce się połączyć na śmierć i życie z tą istotą wpół dziką i jakby knującą w głębi serca niedobre zamiary! I Marja, jakby z uczuciem triumfu, wbiegła do saloniku, w którym czekał na nią Antoni.

— Co powiedziała? — zapytał drżący.

— Powiedziała: „nie teraz!...“

On zbladł i przyciął wargi, jakby tłumiąc dojmujące uczucie bólu.

Marja stała przed nim ciągle triumfująca, nie mogąc zrozumieć, co się z nią działo. Pierwszy to raz w jej życiu cierpienie cudze sprawiało jej rodzaj ulgi.

— Trzeba było nalegać... — wyrzekł wreszcie Antoni.

Nagle Marja porwała się gwałtownie.

— Nalegać! może prosić? — rzuciła szorstko, nie poznając sama dźwięku swego głosu.

— Nie prosić — ciągnął Antoni — ale przełożyć, wytłumaczyć. Trejne, dobra gołąbka, łatwoby zrozumiała, ta się przychyliła. A tak, cóż mnie teraz robić?

Głowę na piersi opuścił w smutnej zadumie, a Marja odeszła do Jerzusia bez pociechy dla zasmuconego, bez łagodnego słowa pokrzepienia dla zbolałego serca mężczyzny.

I odtąd, ciągle rozdrażniona, walcząc z jakąś niechęcią, której sobie wytłumaczyć nie mogła, unikała starannie rozmowy o przyszłych projektach co do Trejny, starając się niemal imię żydówki usunąć z rozmów swych z Antonim.

Nie było to jednak rzeczą łatwą. Posesor, więcej niż kiedykolwiek rozmarzony wspomnieniem dziewczyny, po kilku dniach znalazł wymówkę dla odmowy Trejny.

— Biedaczka! Chrztem świętym wzruszona, nie chce myśli pobożnej odrywać. Dlatego mówi: „nie teraz“. Ma rację. Ja poczekam!

W dniu chrztu przybył rano do Marji tak blady i wzruszony, że Leon, oczekujący na swoją „kumę“ w salonie, otworzył szeroko oczy.

— Czy jesteś pan chory? — zapytał.

Lecz Antoni nerwowo szarpał węzeł krawata.

— Jedźmy! spóźnimy się! — szepnął.

Leon ramionami wzruszył.

— Nie lękaj się pan — wyrzekł z uśmiechem — przybędziesz pan zawsze zawcześnie.

W kościele, podczas sumy, Antoni modlił się gorąco. Miał on w sobie poczciwą prostą wiarę i dużo szkaplerzy i medalików na swej muskularnej piersi nosił. Dziś, byłby padł krzyżem, ot prosto na ziemię, na dywan, okapany stearyną i woskiem, gdyby go fałszywy wstyd nie wstrzymywał. Klęczał tylko, bił się w piersi i, zapatrzony w ołtarz, gorejący wśród świec jarzących, powtarzał: „pomnij, o najmiłosierniejsza Matko Boża"!...

Leon śledził go z pod oka. Sceptyk, a właściwie człowiek, lekceważący wszelkie obrządki religijne, szeroko otwierał oczy na widok egzaltacji tego rosłego, ogorzałego wieśniaka. Dla Leona chrzest był poprostu aktem urzędowym, mocą którego Trejne miała prawo wykreślić się z grona pogardzonego plemienia. Dlaczegóż więc Antoni był tak mocno wzruszony? Dlaczego bladł coraz bardziej?...

I, ukazując go Marji, nieruchomego na tle zieloności, zaczął usilnie w głębi swej duszy przetrząsać wszystkie kryjówki. *Mazette!* A gdyby też tak on na chwilę zdołał jeszcze poruszyć się i wstrząsnąć do głębi. Może byłby szczęśliwszy, może ocknąłby się z letargu, w którym drzemał.

Nagle zabieliło się pomiędzy oleandrami.

Jak stadko gołębi nagle z gniazda wypuszczonych, tak śnieżne suknie katechumenek zajaśniały w przestrzeni.

Tłum zaszemrał i zaczął cisnąć się do balustrady.

— Już są! już są! patrzcie!... O, jedna ruda, dwie czarne...

Z szelestem jedwabiu posuwa się teraz Trejne do ołtarza. Mija obok stojącego Antoniego, któremu krwawy obłok oczy zasłania. Powoli staje na dywanie, trzymając, wedle wskazówek siostry Déposée, ręce na pier-

siach złożone. Obcisłe rękawy sukni wrzynają się w jej ramiona. Ona czuje ten dojmujący ból, który jej nieokreśloną rozkosz sprawia. Poza sobą odczuwa tłumy, którym za chwilę hardo spojrzy w oczy.

Obok niej Rózia i Franusia, pokorne, niezgrabne, nieśmiałe, z głowami kornie schylonemi na piersi, jakby w chęci przebłagania Boga i ludzi za niepopełnione przez siebie winy.

Leon pochylił się ku Marji.

— Która? — wyszeptał cicho.

— Ta w środku.

— *Bigre!*

Machinalnem ruchem po monokl sięgnął i w pół drogi się zatrzymał. Postanowił być *correct* i „szybkę“ napowrót w kieszonce ukrył. Zresztą uroda Trejny rzucała się i tak w oczy; i Leon, jako znawca prawdziwy, odrazu oceniwszy cały jej przepych, szybko, przelotnie poszukał wzrokiem Antoniego. Ujrzał go cofniętego w głąb, zapatrzonego w narzeczoną, jak w tęczę, z ręką przy ustach nawpół otwartych.

I tyle było szczerości w tych ciemnych poczciwych źrenicach, że Leon po raz pierwszy bez uśmiechu ironji wzrok swój od Antoniego oderwał.

Lecz teraz już katechumenki powoli odwróciły się od ołtarza i, poprzedzone przez kościelnego, ku wyjściu posuwać się zaczęły. Za każdą dziewczyną stawali jej chrzestni rodzice, towarzysząc im do przedsionka. Leon i Marja zajęli miejsce za Trejną, lecz długi tren sukni posuwać się im przeszkadzał. Katechumenka szła wolno, podrywając za każdym krokiem fałdy jedwabiu, okryte masą iluzji. Szmer uwielbienia towarzyszył szelestowi materji. Niezwykła uroda izraelitki wzburzała tłum cały; ona szła, zatrzymując się umyślnie, wlokąc leniwo, jakby pod działaniem rozkosznego letniego deszczu. Chór pochwał łaskotał ją lekko.

Gdy weszła do przedsionku, w ktorym szlochała już Franusia, doznała uczucia żalu, że się ta triumfalna podróż skończyła. Pocieszała ją tylko myśl, że za chwilę do ołtarza znów tak samo wracać będzie.

Jakoż wkrótce kościelny, znajdujący się z katechumenkami i chrzestnymi ich rodzicami w ciemnym

przedsionku, do którego od ulicy i od wnętrza świątyni drzwi były pozamykane, zakołatał mocno do tych ostatnich.

Z wnętrza kościoła dał się słyszeć głos przytłumiony:

— Czego żądasz?

Pierwsza Franusia wyłkała zdławionym głosem:

— Kstu świętego.

Rodzice chrzestni podstąpili, kładąc ręce na zgarbionych ramionach dziewczyny.

Wreszcie drzwi się otworzyły, smuga nagłej jasności wpadła w ciemnię przedsionka. Jak olbrzymie promieniejące zjawisko zamigotał wielki ołtarz, przecięty poprzeczną strugą światła, z okna płynącą. I kolejno wyprowadzano każdą neofitkę, która, trzymając się stuły kapłana, szła po ścieżce czerwonego sukna ku świetlanemu zjawisku.

I powoli ceremonja cała rozwinęła się z przepychem, opromieniona urokiem poezji, zawisłej nad głowami tych dziewczyn, które w swej nieskalanej bieli, do stóp ołtarza przypadłszy, zdawały się liljami, na purpurę dywanu rzuconemi, na ofiarę Matce-Dziewicy, bielejącej ponad niemi w obramowaniu różowych oleandrów i złotej ramie świec, w powiewie wiatru drgających.

Od jednej do drugiej przesuwając się, kapłan wyciągał nad ich pochylonemi głowami białe i wychudłe ręce.

Jasna struga słońca oświecała teraz dokładnie dziewczyny i, oblewając jasnem złotem rudą głowę Franusi, muskała ramiona i kędziory Trejny, aby osunąć się pod stopy bladej, jak ściana, Rózi.

Krople wody srebrzyły się na włosach dziewczyn, mieniąc się barwą brylantów w blasku słonecznym. Matki chrzestne trzymały w rękach welony i wieńce, pozdejmowane z głów dziewczyn w czasie ceremonji.

Teraz ich rola była skończona.

Odstępowały powoli ku balustradzie, pozostawiając swoje przybrane córki same, na stopniach ołtarza, dla przyjęcia pierwszej komunji.

Z poza kraty płynął jakiś gorący powiew silnej

wiary i serdecznej modlitwy, szeptanej przez okryte czarnemi welonami zakonnice.

Poza balustradą tłum się cisnął ciągle, banalny, ciekawy, komentujący zachowanie się dziewcząt, rozbierający ich wdzięki.

Zielonawe oczki Leona zaczęły błądzić niespokojnie, szukając Antoniego.

Znalazł go wreszcie, pod oleandrem, wciśniętego w ramiona rośliny. Posesor klęczał z rękami do ust przytulonemi, z oczyma wlepionemi w ołtarz, a po jego ostrej i spalonej od słońca twarzy płynęły dwie łzy, znacząc się lśniącemi bruzdami wzdłuż ciemnych policzków.

Leon przez chwilę na łzy te patrzył i nagle głowę na piersi opuścił.

XV.

Gdy w głębię swej duszy wniknęła, Marja doznała nagle jakby olśnienia. Co się z nią działo? dlaczego taka ciągła niechęć do Trejny, rosnąca z czasem w głębi jej serca? Wszak ta nie zrobiła jej żadnej krzywdy, nie obraziła jej nigdy, milcząc najczęściej, lub odpowiadając krótko na zadawane jej pytania. Ostatecznie Marja nie miała jej nic do zarzucenia. Przebyła cały czas w klasztorze, choć z trudem, jednak nauczyła się katechizmu. Stłumiła w sobie bunty, które czasem w oczach jej zapalały błyski, przyjęła chrzest i miała zostać żoną Antoniego. Zakonnice nie skarżyły się na nią zbytecznie. Matka przełożona z uśmiechem powiedziała tylko kilkakrotnie: „biedne dziecko! jest troszkę leniuszek i dzika, jak kotka!" Lecz to wszystko nie były dostatecznie sformułowane zarzuty i nie wystarczały do usprawiedliwienia niechęci Marji.

I młoda kobieta z febryczną egzaltacją postanowiła zająć się Trejną, zatrzymać ją przy sobie do chwili ślubu z Antonim, otworzyć jej dom, otoczyć ją opieką, ułożyć ją do nowego życia, w które wejść teraz miała.

Tak! stanowczo — tak będzie najlepiej. Mając

ciągle Trejnę przy sobie, wciskając ją niemal w swe domowe istnienie, musi zwalczyć przesąd i upartą niechęć, jaka ją nawet na widok neofitki ogarnia. Wreszcie — to jest jej obowiązek, obowiązek święty. Nie jest-że chrzestną matką Trejny? czyż nie powinna jej zastąpić rodziny?

I z nagłą determinacją, po ceremonji chrztu, Marja objawiła w zakrystji zamiar zabrania Trejny do siebie na czas, dzielący ją od ślubu z Antonim.

— Zostaniesz u mnie, w moim domu! — wyrzekła, kładąc rękę na ramieniu żydówki.

Antoni, obok stojący, uśmiechnął się radośnie.

— O, pani Marjo!... jakże jesteś dobra!

Chciał ująć jej rękę, lecz ona ukryła ją w fałdy sukni.

— Nie dziękuj pan — odparła — wypełniam swój obowiązek.

Nie patrzyła mu w oczy, pomimo usiłowań, jakie czyniła, aby spojrzeć prosto w twarz posesora. Utkwiła wzrok w lśniącą posadzkę zakrystji i zdawało się jej, że powieki jej oczu mają ciężar ołowiu. W dłoni, którą oparła na ramieniu Trejny, czuła lekkie palenie, jakby pod jedwabiem stanika tlił się wieczny płomień. Co miała w swem ciele ta dziewczyna, aby płonąć tak ciągle, nawet w cieniu i spokoju zakrystji?

Ksiądz jałmużnik, oparty o rzeźbione szuflady olbrzymiej komody, zdejmował z siebie stułę.

— Podziękuj swej chrzestnej matce, dzieweczko, za jej dobroć dla ciebie.

Trejne, powoli nawykła do posłuszeństwa w klasztorze, odwróciła się ku Marji, która, nagłym przejęta wstrętem, szybko cofnęła się w tył.

— Nie dziękuj! — wyrzekła gorączkowo i, do Antoniego się zwróciwszy, dodała:

— Jedziemy wszyscy! Joasia nie potrzebuje zmieniać stroju, niech się nim nacieszy!

Usiłowała się uśmiechnąć i, zbliżywszy się do księdza, w gorących słowach dziękowała za opiekę nad Trejną.

Ksiądz głową poruszał łagodnie, uśmiechał się, wreszcie do Trejny się zwrócił:

— Jedź, dzieweczko, z twoją chrzestną matką! jedź, i staraj się mieć ciągle na uwadze święte obowiąski, które na ciebie w dniu dzisiejszym spadły. Chrześcijanką nietylko z imienia być winnaś!

Potem do Antoniego się zwrócił:

— Powrócisz nam ją pan w dzień ślubu! Szczęśliwy będę, mogąc was na dalszą drogę pobłogosławić!...

Rękę w przestrzeń wyciągnął, lecz już Antoni, cały rozrzewniony, do ręki tej dopadł i serdecznie całować ją zaczął.

— Bóg zapłać — wyszeptał — Trejne... ucałuj rękę dobrodzieja!...

Lecz Trejne zajęta była cała otulaniem się w masy iluzji, które na nią Marja narzucała przy pomocy Leona.

— Zasłoń szyję, Trejne. Jesteś cała zgorączkowana — mówiła Marja do dziewczyny.

Lecz żydówka uparcie odchylała koronki stanika.

— Mnie gorąco!

— Proszę się zasłonić — wyrzekł Leon z komiczną powagą — ja tak każę! ja ojciec pani.

Trejne spojrzała na niego uważnie. W oczach Leona migotały zielonawe iskierki długo tłumionej wesołości.

Trejne iskierki te pochwyciła. Zabawiły ją. Wogóle wiewiórcza twarz młodego człowieka wydała się jej bardzo śmieszną, lecz zarazem natchnęła ją jakąś chwilową nieufnością. Było to wrażenie przelotne, bo już otrząśnięta z niego, uśmiechała się z pod masy rozrzuconych włosów.

— Ojciec?

— Chrzestny, ale zawsze ojciec.

Roześmieli się oboje prawie głośno, a śmiech ten wpadł nagle w uroczystą ciszę zakrystji, w której jeszcze unosiły się lekkie obłoczki spalonej miry i resztki piżma z szuflad się dobywającego.

Dnia tego prawdziwa uczta weselna zdawała się odbywać w pomieszkaniu Marji.

W sali jadalnej, w której otwarto szeroko okna, wychodzące na drzewami zarosły dziedziniec, zasiadła do stołu Trejne w swej dziewiczej bieli z włosami

lekko związanemi białą, szeroką wstęgą, mając po prawej ręce Marję, po lewej Antoniego, wpatrzonego w swą uroczą narzeczoną jak w tęcze. Obok Marji zajął miejsce Leon, mając naprzeciwko siebie Stania, który błyszczał dnia tego urodą i niezwykłym humorem. Punktem ciągnącym bezwarunkowo oczy całego towarzystwa była Trejne, która trochę zażenowana nagłem znalezieniem się w tak wykwintnem otoczeniu, staczała formalne walki z nożem, widelcem i baterją kieliszków, ku wielkiej uciesze Leona i rozrzewnieniu Antoniego, opiekującego się narzeczoną i dopomagającego jej w spożyciu właściwem narzędziem podawanych potraw. Ciemne oczy posesora miały w sobie jakąś troskliwość macierzyńską, która zdawała się spływać ciepłą kaskadą na oporną głowę żydówki.

Cały przejęty ważnością dnia, rozpromieniony, młody posesor nie dostrzegł badawczego wzroku Stania, który od czasu do czasu z twarzy Trejny oczy swe na twarz Antoniego przenosił. Antoni jednak nie widział nic, okrom swej wybranej, nic, nawet szyderczo uśmiechniętych ust Leona, który wszelkiemi siłami starał się wciągnąć do rozmowy milczącą Trejnę.

Powoli dobre wina, wyborna kuchnia, wykwintne przybranie stołu, na którym więdły całe snopy kwiatów, przepełniły całą atmosferę łagodnem tchnieniem dobrobytu i wygody. Wszyscy się poddawali temu urokowi, opóźniając chwilę powstania od stołu.

Rozmowa toczyła się prawie ciągle koło uroczystości chrztu, gdyż z taktem, właściwym ludziom dobrze wychowanym, wszyscy odczuwali dziwne położenie Trejny, gdyby rozmowa weszła na inne tory.

Stanio poraz setny ubolewał, że ominęła go sposobność widzenia rzeczy tak niezwykłej.

— Dlaczego nie byłeś? — zapytał Leon.

Stanio roześmiał się wesoło.

— *Ma foi!* będę szczerym. Zaspałem.

Leon ramionami wzruszył.

— Połowę życia przesypiasz. *C'est pas vlan.*

— Markowałem wczoraj.

— Ach... *si c'est ainsi.*

Stanio znów w kierunku Trejny spojrzał.

— Panna Trejna... *pardon,* Joanna! zdaje się smutna?

— O, nie! — odparł za narzeczoną Antoni — jest tylko wzruszona.

Trejne oparła się teraz o krzesło, przechylając w tył głowę, poddając się ciałem całem. Siedząc w ten sposób z oczyma nawpół przymkniętemi, z powiekami purpurowemi od krwi napływu, była prześliczna; czar młodości wiał od niej i odurzał.

Stanio nie spuszczał już z niej oczów, w których pod długą ciemną rzęsą tlił się jakiś niebezpieczny ognik.

— Cóż to będzie później! — rzucił nagle matowym głosem, uśmiechając się pod wąsem.

— Ba! w dniu ślubu panna Joanna oswoi się już z wrażeniem — wyrzekł Leon.

— Nie tak to łatwo. Ręczę, że w dniu ślubu panna Joanna będzie sto razy więcej wzruszona.

— Przygotuje się na rekolekcjach.

Stanio roześmiał się głośno.

— *Tiens!* to będą przedtem rekolekcje? *je n'en savais rien!*

Śmiał się wesoło, podniecony bliskością tej pięknej dziewczyny.

I nagle Trejne wybuchnęła także śmiechem, śmiechem płaskim, banalnym — jakby cała tłumiona od rana wesołość potrzebowała znaleźć w śmiechu tym ujście.

Śmiech ten chrapliwy był istną niespodzianką i podziałał zaraźliwie na całe towarzystwo. Uśmiechał się Antoni, rad z rozweselenia się milczącej dziewczyny, śmiał się ironicznie Leon, oparłszy się wygodnie o wysoką poręcz krzesła. Uśmiechała się cicho służba, od początku obiadu usiłująca zachować powagę na widok „wychrzcianki" z ogonem i z „welonem" na głowie.

— I któż to rekolekcje te prowadzi — ciągnął dalej Stanio, uszczęśliwiony z sukcesu — panna przełożona, czy chór zakonnic? — Panno Joanno, pani musi te rzeczy lepiej wiedzieć od nas?

Trejne oparła się rękami o stół.

— Nie znam — odpowiedziała zdławionym głosem.

Słowa jej, wyrzeczone nagle ze ściśniętego gardła

rozległy się trywjalnie z pośród wykwintnych ścian jadalni.

— Nie zna pani? — podchwycił Leon — ale... jak się pani zdaje?

Ona, ośmielona pierwszem przemówieniem, powtórzyła znów z uporem:

— Nie znam.

Śmiała się ciągle nerwowo, a palce jej, krótkie, płaskie, z paznogciami silnie przez siostrę szafarkę przyciętemi, mięły kurczowo delikatną tkaninę serwety. Kilka kieliszków wina podziałało na nią widocznie, bo płonąc cała, poruszała szybko piersiami, jakby pod wpływem jakiegoś wewnętrznego podniecenia. Wzrok mężczyzn, uparcie na nią zwrócony, działał na nią wespół z gorącym napojem. Mimowoli wyzywająca natura leśnej zalotnicy budziła się w niej z całą siłą.

— A pani pójdzie na te rekolekcje? pytał dalej Leon.

Ona kołysała się na krześle.

— Nie puńdę.

— Czemuż pani nie *puńdzie?* Klasztor mi się bardzo podobał. Ja, na miejscu pani, chętniebym poszedł.

— A ja nie *puńdę!*

— Jak rodzice chrzestni każą?

— Ja nie *puńdę.*

— Rodziców trzeba słuchać!

— Ojej!

Mężczyźni parsknęli śmiechem.

— To nie żadne ojej! — ciągnął dalej Leon — jak każemy, tak się stanie. Prawda, pani kumo?

Lecz Marja powstała nagle od stołu.

— Przejdźmy do saloniku na kawę, będziecie tam swobodniejsi.

Od początku prawie obiadu cierpiała niewymownie. Obecność Trejny u stołu drażniła ją niewypowiedzianie. Siliła się jednak nie okazywać swej niechęci, wymawiając sobie w duszy to uprzedzenie kastowe. Dopóki jednak żydówka trzymała się w rezerwie i zachowywała milczenie, Marja z pewnym rodzajem politowania spoglądała na jej usiłowania i dążenia do wzniesienia się na poziom towarzystwa, jakie ją otaczało. Z chwilą

jednak ożywienia się Trejny, z chwilą tego śmiechu, który chrypliwym dźwiękiem towarzyszył matowej gamie śmiechu Stania i złośliwemu chychotowi Leona, Marja uczuła nagle, jakby część tej śmieszności katechumenki spadała na nią i przygniatała ją swym ciężarem.

Żarty Stania, czynione z klasztoru, żarty wątpliwego smaku, podtrzymywane przez Leona, odpowiedzi płaskie Trejny, cały ten potok wyzywających, trywjalnych śmiesznostek, wobec służby manifestowanych, szarpał wrażliwie i pełne wykwintnego smaku usposobienie Marji. Wreszcie zachowanie się Antoniego, który, pogrążony w uwielbieniu swej półdzikiej kochanki, nie czuł tych ostrych dysonansów, jakie sam śmiech jej w przestrzeń rzucał, nie chwytał ironicznego tonu w głosie Leona, nie czuł aroganckiego tonu narzucania się Stania... I ona, Marja, cierpiała teraz podwójnie, za siebie i za tego człowieka, który siedział opodal, promieniejący, uśmiechnięty, cały pod wrażeniem uroku młodej dziewczyny.

I nagle, gdy przyszedłszy do salonu, Marja spojrzała na kółko mężczyzn, zbitych dokoła Trejny, zacisnęła ręce dokoła srebrnej maszynki, w której wolno filtrowała się kawa. Salon jej, ten cichy, spokojny salon, zdawał się nagle przemieniać w targowisko jarmarczne, w jakąś scenę, z desek naprędce skleconą, na której popisywała się hecarka w iluzje dziewicze strojna i w obsłony śnieżnej koronki.

Z uchylonych okien płynęły dalekie od miasta szmery. Zielone palmy we framugach szerokie kładły wachlarze. Ciemny aksamit ścian resztki dogasającego dnia chłonął.

Marja, nalawszy kawę, wsunęła się we framugę okna i, oparłszy się o aksamitną poduszkę, stała tak, twarzą nawpół do ulicy zwrócona. Potrzebowała choć na chwilę pozostać samą, pomimo, że prawie cały obiad, wszyscy Trejną zajęci, nie zwracali na nią zbytniej uwagi. Usiłowała myślą objąć postępowanie męża. Tak! bezwarunkowo, obecność Trejny podniecała go i bawiła. Dawno już Marja nie widziała go tak ożywionym i rozbawionym. Było to trochę „ulicznikow-

skie“ rozbawienie, lecz Marja przywykła już do rozmaitych w swem życiu niespodzianek. I widząc go tak ożywionego, cisnącego się niemal do ramienia Trejny pod pozorem dolania jej Chartreus'y, Marja doznała jakby odnowienia się jakiejś bolesnej rany. Więc tak mało była mu potrzebna?

Lecz już oczy młodej kobiety, jakby mimowolnie, pobiegły za postacią Antoniego, niknącą prawie na ciemnem tle draperji. Stał teraz zadumany, bez uśmiechu na ustach, lecz ciągle w Trejnę wpatrzony. Był to jakiś urok, który zdawał się go magicznym czarem przykuwać do tej głowy, z której spływała kaskada iluzji.

Marja uśmiechnęła się smutnie.

Więc i on także?

Przetarła ręką oczy. Dlaczego mówi: i on także! przecież on przedewszystkiem! On już od lat tylu przecież kocha tę dziewczynę zapamiętale. On jeden powinien, jemu jednemu wolno!

Siłą woli znów Marja zwróciła się do męża. Stał teraz pochylony nad fotelem, w którym wpół leżała raczej, niż siedziała Trejne. Biała jej suknia oplątywała jego nogi, jak wąż olbrzymi pod stopy mu się ścieląc. Mówił ciągle, wyzywając Trejnę do odpowiedzi, podtrzymywany przez Leona, który, na niskim taburecie przysiadłszy, ze złośliwą ironją w twarz żydówki się wpatrywał.

Marja obraz ten wzrokiem obejmowała i chłonęła w siebie z jakąś bolesną rozkoszą. Nie wiedziała dlaczego, lecz powoli wbijała sobie w pamięć tę grupę, złożoną z mężczyzn i białej postaci kobiecej, na tle purpurowego aksamitu.

Przymknęła oczy i stała teraz tak osamotniona, smutku pełna, czując się prawie sierotą w tym własnym domu, w którym, zdawało się, kąta dla niej zabrakło...

Nagle cichy, miarowy, pełen harmonji rozległ się menuet i zawrotną melodją płynął w powietrzu.

Stanio, usiadłszy przy pianinie z papierosem w zębach, grał teraz menueta, chcąc Trejnie zrobić przyjemność. Żydówka słuchała, śmiejąc się lekko.

— Aj, jakie to granie!...

Antoni zbliżył się ku niej.

— Tak, jak ja na harmonji.

Trejne usta wydęła z lekceważeniem.

— Także! Pan to brzęczysz, ale takie granie to co innego.

Rozsiadła się wygodnie, wyciągając nogi, na których bielały już poplamione pantofle.

Lecz Leon zwrócił się do Antoniego.

— Pan grywasz na harmonji?

Posesor cały spłonął ze wstydu.

— Tak... czasami — wybąkał.

— To ładny instrument — ciągnął Leon — zwłaszcza wygodny, można go nosić z sobą. Ja dawniej grywałem także, ale się w Pompei oduczyłem, bo mi zabroniono powietrze w harmonję wciągać. *Sa fait!* takie są przepisy. *Que faire!... force majeure!...*

Antoni brwi zmarszczył.

— Wina pana; nie trza było do Pompei harmonji brać...

Leon usta zesznurował komicznie.

— Moc przyzwyczajenia! to mi już w krew weszło. *Fatalitè, rien de plus.*

Czuł się złapanym i zmarszczenie brwi posesora niepokoiło go trochę.

— Pozwoli pani... — filiżankę z rąk Trejny odebrał i na gierydonie ustawił.

— Nie stłuknij pan — upominała dziewczyna.

Tymczasem menuet wciąż dźwięczał, przejrzysty, elegancki, niosąc z sobą wspomnienia uścisków wypieszczonych rąk, obłoków pudru, sztywnych paniczów, stukotu czerwonych koreczków i przewrotnych miłostek. I powoli, jakby z poza mgły, framuga, w której stała Marja, zaczęła się zapełniać całym tłumem istot, w głąb zapomnienia wtrąconych, a które na drżących i arpedżjowych akordach z głębi tej się wysuwały. Więc — na tle sali siemiatyckiego dworku mignęła ciotka Elżbieta, straszna, pobladła, z szeroką raną na piersi, zadaną ręką Orchima; ciocia Leosia, cicha, dławiąca swą miłość dla Brunona; oboje Bukowscy w wiecznej z sobą rozterce; wreszcie ona, ona sama! Marja... zasłuchana

w tony menueta, płynące o szarej nocy listopadowej, wśród ponurych ścian ciemnej jadalni. I menuet ten, tak jak przed laty, motał się dokoła jej serca, cichy, zalotny, a ściskający jej wolę, jej umysł, jej duszę... żelazną uczucia obręczą.

Nagle, liście palmy zaszeleściły; wąska, ruda głowa Leona zażółciała pomiędzy zielenią.

— A... tu panią znajduję!

Marja drgnęła, nagle z myśli swych zbudzona.

Chciała wyjść z framugi, lecz już Leon wsunął się w zagłębienie, uchylając delikatnie gałęzie palmy.

— Sama i smutna? — zapytał z pieszczotą w głosie.

Ona podniosła na niego opuszczone powieki.

— Są chwile, w których się przenosi samotność nad otoczenie.

— Czy to jest kamień do mego ogródka?

— O!...

— Ależ tak, nie zaprzeczaj pani. Od początku obiadu obserwuję panią i widzę, że robisz wszystko, co można, aby wytrwać na stanowisku uprzejmej gospodyni domu.

— Zapewniam pana...

— Bez banalnych zaprzeczeń. Znam się trochę na fizjonomji kobiecej. Studjowałem tę gałąź... estetyki. Razi to panią, *que nous faisons un peu la cour* tej pannie Trejnie.

— *Si vous lui faisiez la cour*... to wasze prawo, lecz... gniewa mnie śmieszność, na jaką pan narażasz tę dziewczynę, wyciągając ją na słowa...

— Ja? ja sam?... Ależ Stanio i Antoni!

— Ach! ci dwaj, to rzecz inna, ale pan, pan!

Urwała nagle zniecierpliwiona, gryząc usta, jakby z pomieszaniem i zdenerwowaniem najwyższem.

Przenikliwie oczy Leona badały jej twarz, która w świetle zachodzącego słońca szarzała powoli, zarysowując się ciemniejszemi linjami.

— Byłażbyś pani zazdrosną? — zapytał powoli, jakby zapuszczając sondę w serce młodej kobiety.

Ona otwarła usta, jakby chcąc bezmyślnie zaprzeczyć, słowa uwięzły jej w gardle.

Milczała i tylko szeroko rozwartemi źrenicami

patrzyła przed siebie, jakby słowa Leona nagle przed nią rozwarły przepaść, do tej chwili przed jej oczami zakrytą.

— Tak, jesteś pani zazdrosną, i to nie na żarty. Nie mów mi, że Trejne *est un sujet indigne,* że ubliża ci być zazdrosną o istotę *tellement inférieure.* Och! znane są te wybiegi, któremi zwykle maskujecie swoje zazdrosne smutki. *C'est toute la lyre!* I pani, *vous avez beau á être la plus parfaite des femmes,* masz serce zbudowane na wzór innych kobiet. A... więc jesteśmy zazdrośni... a!... *c'est pschutt...* być zazdrosną o męża po tylu latach małżeństwa! *Epatant!*

Kręcił głową, mrużył oczy, lecz po jego twarzy przebiegały jakby dreszcze niezadowolenia z odkrycia rany, jątrzącej się w sercu żony przyjaciela.

Lecz Marja zdawała się go nie słuchać, cała pogrążona w badaniu stanu własnej duszy.

Zazdrosna?... ona!... o kogo? O Trejnę! Lecz o co jej właściwie chodziło? Doznała już tyle smutków i upokorzeń, widziała już tyle kobiet, śmiejących się poza wachlarzami i flirtujących ze Staniem, spotykała go nawet czasem towarzyszącego na ulicy kobiecie, której nie znała. W pierwszych latach konała z zazdrości, wpijając się paznogciami we własne ciało, aby nie wybuchnąć nagłym krzykiem zranionej w swych uczuciach kobiety; lecz z czasem ból ten słabnął, aż wreszcie przeszedł w ledwo dostrzegalne szarpnięcie jakby iskry elektrycznej. Lecz dziś, rana dawno zabliźniona otwiera się powoli, jad się sączy w tę ranę, w mózgu podrażnionym jakby początek biorąc, i ręce mimowoli zaciskają się, jak przed laty, krzyk dławi ją tak samo, tylko... tylko...

Ależ nie, to niepodobna! Tak nie jest. Nikt inny nie zajmuje jej myśli, oprócz męża. Tak, tak, to nic innego, tylko ten menuet przez Stania dla Trejny grany, drażni ją i do szaleństwa doprowadza! Tak!... menuet, nic innego. Trzeba od niego uciec, uciec jaknajprędzej. I nagle Marja odrywa się od ściany i śpiesznie odchodzi, zatrzymana jeszcze na sekundę słowem Leona:

— Ja wiem, dokąd pani idziesz.

Ona patrzyła na niego, odsuwając liście palmy.

— Idziesz pani do dziecka! Och! pani tam zawsze chodzisz, gdy cię serce boli. O! nie zaprzeczaj pani: boli cię serce, a takie, jak pani, kobiety, do pokoju dziecka się wtedy chronią. Prawda? idziesz pani do Jerzusia! co? prawda?

Do Jerzusia! tak, zapewne, tam powinna była schronić się oddawna i, patrząc w czyste oczy syna, szukać odegnania myśli, które się jej po głowie plączą. Dlaczego jednak ona sama nie pomyślała o tem, i dopiero Leon podsunął jej tę myśl zbawienną?

Leon śmieje się, jakby uradowany z jej pomieszania.

— *A! vous voila attrapée!...* Zresztą myśli tak czystych istot, jak pani, odgadnąć zawsze łatwo. Mąż, dziecko, *et puis,* dziecko, mąż!... *c'est tout!*

Pomieszanie Marji, wzrasta z każdą chwilą. Nie pojmuje dlaczego, ale zdaje się jej, że każde słowo Leona smaga ją, jakby uderzenie szpicruty.

— Weź mnie pani z sobą, ja także pójdę do Jerzusia!

Marja czuje, że odpowiedzieć coś musi, powinna.

— Wszak pana serce nie boli!

— *Qui sait!*

— Nie; serce pana istnieje, ale nie boli pana nigdy.

— *Oui! oui! c'est convenu!... je suis un vieux blagueur,* a pani jesteś aniołem!

— Pan nie jesteś blagierem, a mnie do anioła... daleko.

Rzuciła mu już te słowa na odchodnem, jakby początek nieśmiałego wyznania swej winy, której sama nawet zrozumieć nie mogła.

Przesuwała się przez salon, wlepiając oczy uparcie w siedzącego przy fortepianie Stania. Przechodząc, dotknęła suknią muślinów Trejny, która, wraz z Antonim siedząc na małej kanapce, zdawała się z roztargnieniem słuchać cichych słów narzeczonego.

Marja, cofnęła się, dotknąwszy płachty białego jedwabiu, występującej ostro na tle ciemnego dywanu.

— Przepraszam — wyrzekła zdławionym głosem.

Z ręki Antoniego wymknęła się dłoń Trejny, jakby spłoszony ptak, i ukryła się w fałdach welonu.

Lecz Marja, nie odwracając głowy, była już przy drzwiach; zatrzymał ją chwilę głos męża.

— Wiesz, kto jest w Warszawie? Brunon! spotkałem go wczoraj koło hotelu Brühlowskiego. Ma być u nas jutro; okradli go znów podobno.

Marja lekko głową skinęła; słyszała już o tem od Leona... i cicho, jak cień, zniknęła za aksamitną portjerą.

Tymczasem we framudze okna, Leon zajął szybko miejsce na którem przed chwilą stała Marja. Z uśmiechem dziecinnego zadowolenia oparł się o ścianę, o którą niedawno oparte było ciało młodej kobiety. Ręce wsunął w kieszenie od spodni i, zmrużywszy oczy, wyszeptał:

— *Que diable!* jeszcze go kocha! *c'est inoui...* Ten Stanio szczęśliwy!...

Wzrok teraz posłał w dal, w szyję ulicy, która się w szarawych mrokach powoli gubiła, znacząc się żółtemi plamami rewerberów gazowych, wypływającemi z mroku, jak gwiazdy, jedna po drugiej.

Leon stał tak chwilę, w ten szereg światła wpatrzony.

— Szczęśliwy! — powtórzył, cisnąc się jakby z pieszczotliwą chętką do ściany, o którą przed chwilą opierała się Marja.

. . . . . .

Od tego dnia dziwne życie zapanowało w domu Stanisławowstwa.

Trejne, po długich rozmowach z Antonim, oświadczyła niezłomną chęć odwleczenia jeszcze dnia ślubu.

— Skoro „pani“ tak dobra i chce ją zatrzymać u siebie, dlaczegóż się śpieszyć? Małżeństwo ją przeraża jeszcze. Potrzebuje się oswoić z nową swą sytuacją.

— Stracham się — mówiła, podnosząc na Antoniego swe wielkie źrenice — stracham się; ostaw pan jeszcze trochę czasu.

Miała w twarzy swej wyraz przewrotnej łagodności, jakby instynktem odgadła, czem zdoła ułagodzić lękliwą i melancholijną naturę narzeczonego. W tej dziewczynie, w zetknięciu się ze światem cywilizowanym, ujawniła się doskonała kobieta, przewrotna i udawań pełna. Z ogłady światowej ssała chciwie soki odurzające, sposoby usuwania się gładko z sytuacji niekorzystnych, a natomiast wsuwania się na teren dla siebie dogodniejszy.

Zasmakowała w życiu miejskiem, w gwarze ulic, w turkocie powozów i oglądaniu się na nią przechodniów, gdy szła ulicą obok Marji, w swym jasnym płóciennym kostjumie. Nauczyła się nosić gorset, nacierać ręce gliceryną i spać w rękawiczkach. Gorączkowo rwała się do wszystkich zmian i upiększeń swej postaci. Powyrywała sobie szczypczykami włosy zrastających się brwi i ani drgnęła, pomimo, że dotkliwy ból łzy jej do oczu cisnął. Z nowej religji zachowała tylko zwyczaj machinalnego żegnania się rano i wieczór i szeptania bezmyślnego pacierza, które zresztą kończyła, lejąc glicerynę na dłonie i rozcierając tłustą ciecz na rękach.

Nie mogła się nigdy nauczyć otwierać parasolki i Marja zawsze uskuteczniała tę czynność, z obawy złamania sprężyny. Mówiła teraz trochę ciszej i, śmiejąc się, sznurowała usta, jak panna służąca na weselu. Nie umiejąc czytać, nie rwała się do książek, ale bezustannie przeglądała ryciny i fotografje.

Przechodząc ulicą, z pogardą spoglądała na swych dawnych współwyznawców. Mówiła nawet „chałaciarz" i śmiała się z handlarza, który w swej zrudziałej kapocie po dziedzińcu się błąkał.

Chciała gwałtem zapomnieć o przeszłości.

Nawet Antoni należał do akcesorjów dawnego życia i nieraz w jej oczach migał płomień niedobry na widok tego człowieka, z którym wiązało się wspomnienie karczemki wśród sosen masztówek, jęczącej Tołczy, tańczącego w prysiudach Orchima, ojca, zesłanego do ciężkich robót i całej nędzy potrząśniętej łachmanami i szyszkami z cichym szelestem z gałęzi spadającemi.

Lecz spryt i rozsądek nakazywały jej milczenie.

Porzucić Antoniego? odepchnąć? było niepodobieństwem. Wiecznie siedzieć u Marji nie może, a jeśli Antoni ją opuści, gdzie pójdzie? gdzie się uda teraz, gdy drzwi jej rodzinnego domu na zawsze dla niej zostały zamknięte?

Z układnym więc uśmiechem, z wdzięcznem łaszczeniem się kotki, Trejne odwlekała dzień ślubu i zamiast dawnej szorstkości, miała teraz w odpowiedziach swoich wdzięk pieszczącej się syreny.

— Trochę potem — prosiła, przytulając głowę do ramienia Antoniego, który przed wyjazdem do Horki przyszedł pożegnać się z narzeczoną.

On — smutny, przybity, szarpany złem przeczuciem, stara się obrócić twarz dziewczyny ku sobie i spojrzeć jej prosto w oczy.

— Ale gdy wrócę, Trejne, gdy wrócę — nie zadługo — za miesiąc, za dwa może, powiesz mi dzień naszego ślubu, naznaczysz go sama?

— Tak, tak, jedź pan tylko.

Nie patrzy mu w oczy, cała zasłuchana w szmer, dochodzący z sąsiedniego pokoju.

Jest to gabinet, w którym kręci się elegancka postać Stania, szukającego swej laski z główką srebrną stylową *à la Louis XV.*

Stanio tymczasem odsuwa głośno fotel i krzesła— od czasu do czasu rzucając okiem na portjery zasunięte. Wie — że poza niemi Trejna żegna się z narzeczonym.

— *Que diable!* tak długo! dokąd że tego będzie?

Lecz Antoni nie przeczuwa, jak dalece jest tu zbyteczny. Opaloną, spracowaną dłonią gładzi włosy Trejny, nie mogąc się rozstać z ukochaną dziewczyną.

Przed chwilą pożegnał Marję, która, podawszy mu dość sztywno dłoń, szybko wyszła z pokoju. Umiał ocenić jej delikatność. Zostawiła go samego z narzeczoną. To słuszne. W chwili odjazdu tyle jest sobie do powiedzenia!

Jednak — zawsze wobec Trejny słowa mu więzną w gardle. Nie umie mówić z nią, ani do niej. Gdy jest sam — podnieca się w swej egzaltacji, nadaje swej

przyszłej żonie najsłodsze nazwy, jakie tylko wieśniak, rozmiłowany w swej hołubce, szeptać może.

Wreszcie czuje, że odjechać musi. Po drodze do Horki ma wstąpić i w innym powiecie obejrzeć nadarzającą mu się posesję. Termin zjazdu z gospodarzem wyznaczony. W Horce pozostać dłużej nie może, Brunon postanowił poosadzać majątki swoje posesorami żydami, którzy mu lepiej na razie zapłacą. Na Horkę czyha Symeon Cytryna. Zresztą, Antoni chętnie się przeniesie, ze względu na Trejnę, która „stracha się“ i nie chce znajdować się w pobliżu rodziny.

Wszystko to opowiada Antoni narzeczonej urywanym, niskim głosem. Smutny jest, jak noc listopadowa, i ciężko mu dłoń swą od kędziorów Trejny oderwać. Ciężko mu opuścić ten salonik, w którym tyle godzin miłych, dzięki Marji, przy boku Trejny spędził.

I w tej samej chwili uczuwa jakby żal podwójny, żal za Trejną dojmujący, dotkliwy, i żal za Marją, mglisty, niewyraźny. Obydwa te uczucia opływają mu serce bezbrzeżnym smutkiem. Zdaje mu się, że pomiędzy temi ścianami, okrytemi purpurową draperją, pozostawia w tej chwili wszystko, co mu przepełniało kiedykolwiek serce, i z pustką w piersi idzie w świat, gnany smutną koniecznością.

Więc, pomimo, że Trejne odprowadza go aż do drzwi wchodowych i, przewieszona przez poręcz schodów, uśmiecha się doń, cała mieniąca się od jaskrawych barw, które przez szyby klatki schodowej płyną Antoni schodzi na dół smutny, z chłodem lodowatym pod czaszką. Czuje się sam! sam na świecie, pomimo tej dziewczyny, którą „swoją“ przed chwilą nazywał!

Szybko, jak błyskawica powraca Trejne do salonu i skrada się cicho ku portjerze, maskującej wejście do gabinetu. Prawie równocześnie odchyla się zasłona i na progu ukazuje się Stanio ze znalezioną laską w ręku, której srebrna główka błyszczy, jak punkt na ciemnem tle szaf rzeźbionych, w głębi gabinetu się ukazujących.

— Pojechał?

— Tak, jedzie!

— Cóż... bardzo smutno?

Trejne usta przygryza, nie wiedząc, jaką ma przybrać postać.

— My... pocieszymy!

Delikatnie ręka Stania przesuwa się po włosach Trejny, w tem samem miejscu, gdzie przd chwilą z jakąś opiekuńczą troskliwością spoczywała spracowana dłoń narzeczonego.

Dziewczyna jednak nie usuwa głowy przed tą pieszczotą.

— Tylko nie trzeba być smutną — ciągnie dalej Stanio z lekkiem, zaledwie dostrzegalnem drżeniem — trzeba się śmiać, bawić i trochę kochać... swoich przyjaciół.

Ręka mężczyzny osuwa się powoli wzdłuż opuszczonych do dołu warkoczy i zatrzymuje się w pół pleców, jakby badając, czy drgnie z obrazą pod wpływem tej śmiałej, choć napozór prawie ojcowskiej, pieszczoty.

Lecz ona stoi ciągle przed nim, teraz trochę w tył przegięta, przybierając tę samą pozę, którą w lesie pod jodłami wabiła ku sobie Antoniego, lub w półcieniu karczemnym ocierała się o drepcącego przed ogniem Orchima. Pomimo dobrze skrojonej etaminowej sukienki, nawlekanej lila sznelą, ma w sobie urok wpół dzikiej istoty. Włosy jej zachowały zapach ostrej woni macierzanki, świeżo skoszonej. Zapach ten otacza ją zawsze i wszędzie, pomimo flakonów wody kolońskiej, którą na siebie wylewa. Tę samą woń miały włosy Marji, gdy spłoniona i drżąca zdejmowała z siebie biały welon oblubienicy.

I bezwiednie niemal żydówka przysuwa się coraz bliżej do chylącego się ku niej Stania.

— A trudno będzie pocieszyć? — pyta mężczyzna.

— Trudno! — śmieje się dziewczyna, prezentując swój profil, który w połowie oświetlenia, z okien płynącego, rysuje się najdoskonalej, jakby delikatnie z pa-

pieru wycięty. Przymyka oczy, czując tuż na swych włosach oddech mężczyzny; nagle — puszczona przez silnie opierającą się przed chwilą o jej plecy rękę, cofa się mimowolnie kilka kroków.

Na środku pokoju, w świetle Rembrandta się znacząc, stoi Jerzuś z małym biczykiem w rączce, stoi i wielkiemi oczyma patrzy na ojca, który ze zniecierpliwieniem na niego spogląda. Wszedł przed chwilą cichutko, drepcąc po dywanie, wyprzedzając matkę, którą pozostawił smutną, lecz gorączkowo włosy fryzującą. Maluchne jego serduszko uczuło się nagle jakby osamotnione w tej atmosferze smutku i jakiegoś nerwowego podrażnienia, które od dni kilku wszechwładnie zapanowało w ich domu. Teraz znów papa jego tulił do siebie tę pannę, która przerażała go olbrzymią czernią oczu i szorstkim, zdławionym dźwiękiem głosu. Nie lubił Trejny, nie mógł się do niej przekonać, pomimo, że dziewczyna, chcąc zjednać sobie Marję, udawała chwilami czułość dla dziecka, w którego pokoju sypiała na wstawionem pośpiesznie żelaznem łóżku. Instynktem jakimś wiedzione dziecko zatrzymało się cicho na środku pokoju i z pod brwi zmarszczonych patrzyło na ojca, obejmującego Trejnę. Głęboka bruzda przecięła mu nagle małe czoło. Jakaś trwoga opanowała jego maluchny umysł... czuł, że jest w tej chwili niepotrzebny i lękał się odezwać. Milczał i wciąż ruchy ręki ojca śledził. Z nim, z Jerzusiem, papa się tak nie bawił; dlaczego więc tę pannę gładzi po głowie i do siebie przysuwa?

I nagle głos ojca, groźny i gniewny, rozległ się ponad małą spłoszoną główką:

— Dlaczego Jerzuś po pokojach biega? czy nie ma swego pokoju?

Jerzuś, bacik z ręki wypuścił i stał jak wryty, łykając szybko ślinę. Często tak po pokojach biegał, a nigdy się na niego za to nie gniewano. Dlaczego teraz właśnie? Lecz już drzwi od pokoju Marji otworzyły się i z poza uchylonej portjery wysunęła się ona sama, wykwintnie ubrana w domowy strój z jasno lila wełny, haftowanej ciemniejszym szutazem. Włosy, nisko na plecy opuszczone, miała związane jedwabną

miękką plecionką; a z pod roztwartej hiszpańskiej westki wysuwała się jedwabna, barwy heljotropu, bluza, w licznych fałdach do dołu spadająca.

Szła prosto ku Staniowi, zapinając na ręku szeroką obręcz z oksydowanego srebra, w której migały bladym blaskiem duże ametysty.

— Czy wychodzisz przed obiadem, Staniu? — zapytała łagodnym głosem, unikając jednak spojrzenia prosto w oczy mężowi, jakby z trwogi, aby on jej zaczerwienionych powiek nie dostrzegł.

Lecz on, zirytowany, iż mu przerwano słodkie sam na sam z Trejną, wskazał z gniewem na Jerzusia.

— Dlaczego dziecko po pokojach biega? To niewłaściwe!

Znając Marję, sądził, że, urażona, weźmie syna za rękę i oddali się z nim w głąb mieszkania. Lecz ona zadzwoniła, i zbliżywszy się do dziecka, na ziemi przyklękła.

— Jerzuś pójdzie do swego pokoiku — wyrzekła z pieszczotą — Jerzuś się odtąd tam bawić będzie.

Chłopczyk nie odpowiedział nic, posłuszny i cichy. Czuł, że jakaś zmiana następuje w życiu rodziców, i on Jerzuś, powinien starać się być jaknajmniejszym, zniknąć poprostu z widowni.

— Idź, synku!

We drzwiach pojawiła się zuchwała głowa niańki.

— Idź, moje złoto!

— Idziesz, mamusiu!

I, ciągle nachmurzony, nieufny, z tą kreską, która jak pręga przecinała mu wysuwające się z pod ciemnej grzywy czoło, podreptał w stronę swego pokoju.

Tymczasem Marja z uśmiechem zbliżyła się do męża.

— Nie miałbyś zamiaru wyjechać dziś ze mną za miasto?

Głos jej był niepewny, jakby sztuczna swoboda, na którą się siliła, była dla niej ciężką ofiarą.

Stanio patrzał na nią zdziwiony.

Od pamiętnej chwili w Bazarze, gdy, usuwając się od jego dotknięcia, milcząc, dała mu do poznania, że nigdy nie przebaczy mu swego opuszczenia, po raz

pierwszy przychodziła ku niemu, strojna, uśmiechnięta, jakby ofiarowując się nagle cała bezpodzielnie, w przebaczeniu bez granic. Snać postanowienie przygarnięcia się do jego boku powstało w niej nagle i objawiło się pod wpływem jakiejś przerażającej, a niewyznanej przed nią samą myśli, którą pragnęła zażegnać, chroniąc się w objęcia męża.

Lecz on dziś nie pragnął i nie pożądał więcej tej żony, do której boku cisnął się kilka miesięcy temu. I gdy tak stanęła teraz przed nim z uśmiechem, cała spowita w delikatne liljowe draperje, zdawało mu się iż pod tym uśmiechem kryje się jakaś despotyczna chęć objawienia swych praw małżeńskich, o których oboje od dawna zapominać się zdawali.

— Jeżeli sobie życzysz, pojedziemy — odparł, z kurtuzją skłaniając głowę — tembardziej, że panna Trejna chętnie odetchnie świeżem powietrzem.

Patrzył w stronę żydówki, która niedbale przerzucała stos rycin, zamkniętych w ciemnych ścianach olbrzymiego kartonu.

Wzrok Marji pobiegł za oczyma męża i w głębi jej duszy targnęła się nagle struna niechęci.

Z radością prawie analizowała Marja ten głuchy i niewyraźny ból, który drżał w głębi jej istoty. Cierpi na myśl przerwanego sam na sam z mężem! cierpi patrząc na tę dziewczynę, w której wzrok Stania tonie!

Kocha jeszcze męża!... jest uratowana!

Lecz pragnie zgłębić lepiej stan swej duszy, pragnie sama, zatopiwszy nóż, obracać go w ranie, aby czuć bardziej jej istnienie.

I, powściągając lekkie drżenie głosu, zwraca się w stronę żydówki.

— Naturalnie! Joasia będzie nam towarzyszyć; zdaje mi się, że pobladła, biedna dziewczyna.

I, zbierając całą siłę woli, spogląda w twarz żydówki, ciesząc się pchnięciem sztyletu, jaki w samo serce odbiera, gdy czarne źrenice Trejny nagle wlepione w Stania spotyka...

XVI.

Dwukrotnie już Kuliczkowa okradła Brunona. Wyciągnęła mu raz pieniądze z pod siennika, raz znów z szufladki stolika, w którym czasem zamykał swoje sakwy z miedziakami, zanim je na srebro i papierki zdołał zamienić.

Nie pomogły perswazje, prośby i groźby Brunona, nie pomógł nawet wielebny ksiądz Majner z katedry, który na usilne błagania Brunona próbował zmiękczyć sumienie małżonki Kuliczka. Na wszystkie te pukania do zatwardziałej duszy, baba odpowiadała niezmiennie:

— Ja nie wzięła!

Kupiła sobie jednak na zimę nową świtę, a Kuliczkowi niezły kożuch.

Zapytywana skąd ma pieniądze, mruczała wzdychając ciężko:

— Ot, Pan Bóg dał.

Powoli rozzuchwalała się, podglądała pod oknami pałacu, snuła się, jak cień za piętami grafa, gdy przyszedł do piekarni, ocierała się o jego suknie niby przypadkiem, w gruncie dla wybadania czy nowa fala miedziaków nie wpłynęła do grafowskiej kieszeni.

I nagle Brunon zląkł się tej pokornej sługi, którą objadał bezwstydnie, zaglądając do garnka z krupnikiem, liczył poukładane na desce świstuny, maczał brudne palce w hładyszkach ze śmietaną.

— Dziś, baba ta płaciła sobie sama za podawane mimo chęci miseczki barszczu, kartofli, chołodźcu, pampuszków lub kapusty, zabielonej serem. Siwe jej źrenice, małe i niechętne, sięgały jeszcze dalej, het, aż do worka z ciemnej, cuchnącej skóry przylepionego do grafowskiej piersi...

Brunon zląkł się i po długich namysłach postanowił wyjechać.

Nic go do tej chwili z Zabijanika poruszyć nie mogło. Nienawiść żydów, niechęć chłopów, ba! nawet pamiętna wśród grudy jesiennej szalona pogoń po lesie, pogoń na huzarskim koniu, w czasie której, jak drugi Mazepa, z rozkrzyżowanemi rękoma wśród gałęzi leś-

nych, co mu twarz kaleczyły, pędził Brunon, przywiązany do białego tułowia zwierzęcia rękami chłopa i żydów mścicieli.

Ostał się przed tem wszystkiem, ostał w pustych ścianach Zabijanika, barykadując się na noc szafami, kuframi, szaflikami, nie wyjeżdżając już prawie poza granice swego majątku.

Śmierć Leontyny nie dotknęła go wcale. Umarła — tem lepiej; ta cicha, gorąca miłość starej panny ciężyła mu trochę. Miał w sobie cień dawnej galanterji i nie mógł brutalnie nakazać milczeć tej bladej istocie, która, spotkawszy się z nim sam na sam, szeptała doń poufałe słowa, mówiła mu po imieniu, słowem, z uporem manjaka, chciała przez lata całe, aż do śmierci, ciągnąć sielankę dwojga serc młodych.

Lecz zamordowanie Elżbiety wstrząsnęło nim do głębi. Co mnie dziś, jutro tobie! zdawał się doń mówić cień Szeniewieckiej, której życie było do jego tak silnie podobne. I naokoło Elżbiety znajdowali się ludzie: Marja, Bukowscy, Władysławowa, gdy on sam jeden, w ruinach pałacu, jak puszczyk w szczątkach zamku łuckiego. Poprostu znajdował się na łasce złoczyńców.

Kradzież, popełniona przez Kuliczkową, dopełniła miary. Skoro go okradają, mają już złe myśli i te mogą szybko wzrość w wykonalne fakty. I z coraz wzrastającą trwogą zaczął Brunon śledzić ze swego okna piekarnię, która do ziemi strzechą słomianą i zczerniałą przypadłszy, zdawała się śledzić złowróżbnym okiem białe ściany pałacu i liczyć kolumny perystylu, sterczące zimno i obojętnie, jak źle płatne straże, naokoło gnijących w ziemi skarbów. I ten, który bez trwogi prawie spoglądał w oczy zawiścią pałających żydów, liczących mu ruble na odłamie stoliczka senatorowej, teraz uciekać postanowił przed chciwemi źrenicami baby, która z pod swej żółtej, na bakier przykrzywionej chustki, śledziła go bacznie i co chwila zdawała się wyciągać swe zakrzywione, pomarszczone palce, dla zgarnięcia ukrytych gdzie w kącie pieniędzy.

Przytem zdrowie Brunona pogorszyło się znacznie. Kradzieże Kuliczkowej, nocna forsowna jazda przez las i drogę wiodącą do miasteczka, w którem dopiero

ludzie, do konia zbroczonego krwią przypadłszy, na wpół żywego grafa z grzbietu zwierzęcia zdjęli i u Szymka w gościnnej stancji złożyli, wszystko to przybiło nędznie odżywiane ciało starca i sprowadziło mu długą i ciężką chorobę. Dziś, dźwignąwszy się z niej, śpiesznie do Warszawy się wybrał, nie tyle dla leczenia swych kamieni żółciowych, ile dla uniknięcia bezustannego zetknięcia się z Kuliczkową, Orchimem, żydami i całą bandą.

I nagle, gdy ujrzał Warszawę, triumfalnie rozścielającą się w smugach gazu, uczuł krew żywiej poruszającą się w żyłach; coś się budziło w tym skorupiaku, żyjącym wśród blaszanek kwaśniejącego mleka w galerji Zabijanika i saku z miedziakami, które mu nogi obijały. Niejasne wspomnienie mamy senatorowej, jej dystynkcji, księżniczki Hohensteigen Sigmaringen, która kiedyś, w Dreźnie, raczyła go zaszczycić platonicznymi względami, zamajaczyły we mgle rewerberów mostu, który, jak cudna siatka, dzieło pająka-potwora, nad ciemną, zaledwie gdzieniegdzie świetlanym punktem przeciętą Wisłą, się rozwieszał.

Brunon przechylił się na siedzeniu dorożki, która wiozła go od kolei. Poza czarną przepaścią rzeki wychylało się miasto, pnąc się ku górze, kolosalne, najeżone migającymi szczytami, które rozpływały się w czerni. Lecz już dorożka wjeżdżała na most w szufladę belek stalowych, nabijanych gwoździami, skrzyżowanych jak potworne rusztowanie, oczekujące na robotników gigantów, świętujących w oddali. Z przytłumionym, miarowym turkotem warczały koła dorożki, a Brunon doznał nagle niepewnego wstrząśnienia, które przenikało go ciągle powracającym i nieustannym dreszczem. Tymczasem ponad nim zamykało się sklepienie mostu, jasno odcinając się na ciemnem tle nieba, zasianego gwiazdami. Od wody wiał chłód wilgotny, nie mający nic wspólnego z tłustawą wilgocią, płynącą z koryta pokręconego Styru. Wilgoć ta miała już w sobie coś z korupcji miasta,

Brunon szeroko nozdrza otworzył i wilgoć tę w siebie wciągał, a wspomnienie Drezna, wyziewów Elby, miękkiej dłoni księżniczki, zarysowało się wyraź-

niej przed oczyma jego wyobraźni. Pod jedwabną pelerynką, skurczone serce starego egoisty rozpoczęło nagle niewyraźną tarantellę, a wyobraźnia, wyschła i zczerniała, nagle rozciągać się zaczęła w tych podniecających oparach, które z rzeki, okrążającej miasto, płynęły. I jakby nagłą determinacją zdjęty, Brunon końcem perkalowego parasola dotknął pleców dorożkarza.

— Gdzież ty, serce, mnie wieziesz? ha?

— Do hotelu.

— A wieź ty do pięknego, ale niedrogiego.

— Ha, no to do Europejskiego.

Dorożkarz machnął biczem; walizka Brunona, odarta ze skóry, powiązana postronkami, posklejanemi smołą, nie budziła w nim zbytniego szacunku.

Powoli wdrapywać się teraz zaczęli na Zjazd, staczający się dość ostro ku Wiśle, obramowany z prawej strony ciemnemi murami zamku, który swe płaskie tarasy daleko rozciągał.

Po lewej ręce ujrzał Brunon olbrzymią masę, jasno oświetloną i prawie jakby przejrzystą, parowej łaźni, i obok spowity w cień fronton tak zwanego Folwarku szkoły realnej. Lecz już linja murów urywała się nagle i, jakby jarząca przepaść, otwierała się olbrzymia szczelina, w której Marjensztadt powoli zapalał się nieprzeliczoną liczbą czerwonawych świateł. I był to jakby tor kolejowy, iskrzący się całą masą ogieńków niepewnych, urywanych po relsach biegających. Tor ten łagodniał ku górze, ciemniał powoli i zlewał się wreszcie w zupełną cień, z której olbrzymią masą dźwigał się kościół bernardyński, rozsiadły w półkole, z potężną kwadratową dzwonnicą, na froncie zamieniający się w budowlę o porządku korynckim, z domieszką barocca.

I nagle na plac Zamkowy się wydostawszy, dorożka szarpnęła w bok, pozostawiając poza sobą płaszczyznę placu, ogrodzonego tłumem wąskich, jakby pochylonych kamieniczek, pnących się wysoko ku górze, labirynt Podwala, niknącego w oddali, jakby strumień brudny i kręty i, w szeroką strugę Krakowskiego Przedmieścia wpadłszy, przemknęła koło domu Roeslera, stojącego jakby na straży świeżej szczerby Nowo-

Miodowej ulicy. Minąwszy następnie przed oczyma Brunona białym posągiem Bogarodzicy w klombie zieloności ukrytym, z okiem białej latarni u góry, po przesunięciu się przed ciemnym frontonem karmelitów, czarnym, ciężkim, trójkątem zakończonym, mającym obok całą linję świateł drobnych okienek gabinetów restauracyjnych, zwolniła trochę biegu. Naprzeciw, poza kratą, nad którą sterczące latarnie długą, żółtą rzucały smugę, bielił się pałac, zasłoniony w części pawilonem wystawy sztuk pięknych, który zdawał się pełzać po ziemi, jak zwierz, za kratą klatki ukryty.

I nagle konie szarpnęły kilkakrotnie silniej, wpadając z półcieniu w jasny obrus światła, rozesłany po magnacku przed podjazdem Europejskiego hotelu. Na dole za wielką lustrzaną szybą, jak potworna tualeta damska rozkładał się przepych migocących flakonów, puszków z pudrem, odświeżaczy i wreszcie jak węży zwiniętych i lśniących warkoczy włosów czarnych, blond rudych, w których gaz migocące zapalał iskierki. Drzwi otwierały się od czasu do czasu, przepuszczając kobiety, osłonięte długiemi płaszczami, z pakietami w rękach, które na progu zatrzymywały się chwilę, jakby dla nabrania świeższego powietrza. Czasem przemknęła się pośpiesznie postać męska i niknęła w jasno oświetlonem wnętrzu sklepu.

Dorożkarz zatrzymał konia.

Z głębi bramy wybiegli już posługacze. Jeden chwytał walizkę, usiłując odnaleźć dawno oderwane ucho, drugi wysadzał z szacunkiem Brunona, który oczy mrużył, oślepiony nagle powodzią blasku, w jakiej gmach hotelu się pławił.

W głębi białej prawie od światła bramy, szwajcar „na gościa“ dzwonił. Po prawej u szklannych drzwi kantoru pojawiła się już wyniosła, silna postać mężczyzny w czarnym fraku, mierzącego wprawnem okiem zdejmowane z kozła bagaże.

Jak kula wtoczył się Brunon do bramy i stał teraz przed wyfrakowanym mężczyzną, który z niewzruszonym spokojem na jedwabną mantyllę, fruwającą dokoła grafa, spoglądał.

— Jedna osoba?

Brunon niespokojnie na strojnego a poważnego jegomościa spojrzał.

— Jaż jeden, panie mój.

— Numer osiemdziesiąty pierwszy, albo drugi.

Brunon oczy ciągle mrużył i z nogi na nogę przestępował.

— Jaż bo jeden, zaczął znów, a głos mu lekko drżał ze wzruszenia; — dajcie, jeśli łaska, małą ciupeczkę, byle nie kosztowną, ot, byle gdzie głowę złożyć.

Pan we fraku ani drgnął.

— Numer sto osiemdziesiąt drugi.

I we drzwiach szklannych kantoru, jak duch czarny, zniknął.

Za chwilę Brunon siedział na aksamitnej kanapce małego numeru hotelowego, wpatrzony smutnie w palącą się żółtawoniebieskim płomykiem świecę. Gorączka komfortu i piękna ominęła go chwilowo i teraz graf rozliczał w przybliżeniu, ile kosztować go będzie każdy dzień pobytu w mieście. Brak taksy na drzwiach numeru niepokoił go silnie. W tem musi coś być, jakaś nieczysta sprawa. Postanowił mieć się na baczności, oszczędzać się, o ile możności. Chciał zgasić świecę, lecz przypomniał sobie, iż z czterech chustek do nosa, jakie posiadał, nie miał ani jednej czystej. Zamknął drzwi na klucz i na zasuwkę, zsunął pelerynkę, kraciastą kurtkę, zdjął perukę, zawiesił ją na kółku i, wydostawszy z kieszeni wielkie płachty z kolorowego perkalu, nalał sobie wody na miednicę. Wprawnie zakasawszy rękawy brudnej koszuli, rozpoczął swą pracę, sapiąc, pluszcząc, rozlewając wodę na marmurowy blacik umywalni.

Nagle przezedrzwi zamknięte, a prowadzące do sąsiedniego numeru, których Brunon nie zauważył, rozległ się gniewny głos.

— A cóż się tam dzieje, u djabła? pułk dragonów się kąpie, czy co?

Brunon wyżymał właśnie już uprane chustki i, cicho strzepnąwszy, rozwieszać je zaczął na poręczach aksamitem obciągniętych karłów.

Woda kapała z perkalu na aksamit i, spływając w pikowanie, gromadziła się dokoła guziczków.

Tymczasem Brunon z uśmiechem zadowolenia świecę zgasił i cichutko do łóżka przekradać się zaczął.

— Brunonku, serce, kochanie, ty ze swych dobrych cnót się nie karaskaj, tak pomyśl, lubko serdeczna, w co by się ty obrócił, żeby ty w ręce takiego franta popadł, jak ten na dole, co niby na bal umuskany w bramie sterczy, a poczciwych ludzi w jakieś osiemdziesiąte pokoje chce wpakować! Musisz to od złota kapać w takiej stancyjce, kiedy tu osiemdziesiąty, a taki aksamit, marmury, a listwy pozłacane wedle sufitu leżą! Taki za te aksamity płacić trza! *gotiu* Brunonku! *gotiu*! Ty to w uwadze miej i niech ci po głowie nie pstryka, serce lubeńko, bo możesz z torbami pójść. Chustki pierz, ta koszulkę takoż chędożnie na miseczce przepłukać po nocy możesz. Wedle choroby ty przyjechał, a graf ty takoż, to w byle jakiej dziurze mieszkać nie możesz. A co ty lubku jesz, to nikt nie wie. Co ty na miseczce płuczesz i na fotelikach suszysz — nikt nie wie. Ale gdzie ty stancję masz — każden wie. O!...

Po materacu i poduszce pomacał.

— Niema co! miękko i miło. Byle tylko bezpiecznie. Kto tam wie, jaki to czorcik za temi drzwiczkami siedzi. Grubo gada i od dragonów wymyśla; taż zły musi być jakiś i zabijaka!

Teraz worek skórzany na piersiach wiszący silnie obydwoma rękoma cisnął.

— Kto się w opiekę poda Panu swemu... — mruczeć zaczął i długo w noc zasnąć nie mógł, cały zgorączkowany, silnie podrażniony zmianą miejsca, ujrzanem w migotliwem świetle gazu miastem, lekkiem wspomnieniem księżniczki i trwogą o spoczywające na piersi pieniądze.

Szary świt, wkradający się przez zapuszczone story, zastał jeszcze czuwającego Brunona, który zżółkły, pomarszczony, leżał wśród bieli poduszek i prześcieradeł, świecąc w niepewnem świetle łysą, lśniącą czaszką.

. . . . . .

Jak pijawka tak się przyczepił do nieszczęsnego grafa Leon, znajdując dziwną rozkosz w dokuczaniu skąpcowi. Poznał go u Stanisławów i od tej chwili był nieodstępnym *attaché* przy boku Brunona.

— Pilotować będę hrabiego po mieście — mówił z uśmieszkiem, przyciskając na tytule z przesadzoną atencją.

Włóczył Brunona po mieście, po spieczonych flisach, odkładając swój wyjazd do Ostendy z dnia na dzień, pod pretekstem niemożności pozostawienia grafa na łasce losu, w wirze miasta, wśród operetkowych wrzasków, wydzierających się z łona uiluminowanych ogródków.

— Krew nie woda — mówił, mrużąc oczy—hrabia w swych mantyljonikach masz *cachet artistique!* Jak ćmy mogą do ciebie przylgnąć artystki lub woltyżerki.

Brunon silnie zaprzeczał.

— Serce, lubeńko, ja stary, opancerzony.

Leon ramionami wzruszył.

— Cóż to za starość? *L'été de Saint Martin,* hrabio. Niejeden młody chciałby mieć twój *pschutt.* Jesteś jeszcze *vlan* i zobaczysz, jak się zreenpapilotujesz tutaj pod mojem skrzydłem.

Marja, litością dla Brunona zdjęta, usiłowała upominać Leona.

— Pozwól mi pani — odpowiadał jej wtedy — pozwól mi się bawić serdecznie. Ja tak rzadko się bawię prawdziwie.

Młoda kobieta spojrzała na niego zdziwiona.

— Pan zawsze zdajesz się bawić wybornie.

— Doskonale pani powiedziałaś: pan zdajesz się bawić! Tak! tak! ja zdaję się bawić tylko... nic więcej!...

— Cóż to, melancholja?

— *Jamais!* mam wstręt do tej choroby. *Seulement il y a des moments...* zresztą, *enfin... bref... passons!...*

I menuetowym krokiem już ku Brunonowi sunął.

— Hrabia masz dzisiaj twarz weselszą i świeższą odemnie!... Oh! oh! *heureux gaillard!*

Za chwilę szli *bras dessous, bras dessous* — po ulicy, a ludzie stawali gromadkami, patrząc z podzi-

wem na kratkowany ubiór Brunona, jego pelerynę z jedwabnej mantyny, mieniącą się w słońcu, jak skrzydła olbrzymiej muchy.

Leon nie pozwolił mu przebrać się w strój modniejszy. Dusząc się ze śmiechu, on, zupełnie *correct* w swej granatowej marynarce, jasnych szerokich spodniach i angielskim o maluchnem rondku kapelusiku, prowadził pod rękę drepczącego obok siebie zabijanickiego grafa, budzącego ogólny podziw w bezczynnie włóczących się przechodniach.

— Pasjami lubię po ulicach flanować. A ty, hrabio?

Brunon oczy zmrużył.

— Pięty mnie trochę bolą.

— Idź hrabia na palcach. *Ca réussit quelqne fois.*

Przechodzili teraz obok kościoła Kapucynów.

— Czy to kościół, serce? — pyta Brunon.

Leon szybkę w oko wrzucił.

— Kościół.

— Wstąpmy; nie robiłem dziś jeszcze moich dewocji.

— Chodźmy.

Weszli teraz na schody, które podwójną wstęgą na chodnik płynęły.

— Cóż to za kościołek, serce?

— Kapucyński.

— A... a!... to tu jest święty Feliks, któremu mama senatorowa w opiekę mnie oddała.

— Nie wiem, ale prawdopodobnie.

— Toż, serce, poszukajmy.

Weszli do kościoła, który cały w cień i chłód spowity, zdawał się odpoczywać po jakiejś nużącej pracy. Drewniane sztachety dzieliły kaplice do głównej nawy. W oddali migotał płomień purpurowej lampy płonącej.

Za chwilę szli znów po ulicy, zalanej jaskrawem światłem słonecznem, prześladowani natrętnemi spojrzeniami przechodniów.

Co rano do numeru Brunona pukał Leon, przynosząc grafowi na dzień dobry stosy dzienników krajowych i zagranicznych, w których wiadomości o mor-

derstwach i kradzieży podkreślone były czerwonym ołówkiem.

Brunon słuchał tych wiadomości, stękając i pomadując na kolanie rozpiętą perukę. Czasem, włożywszy na nos binokle, zaszywał popsute mantyny i jedwabie, wywłócząc co chwila igłę.

Leon, rozparty na kanapce, zniżał głos i z miną poufną czytał ciągle przerażające sceny.

— W tych dniach, w Asniéres pod Paryżem zamordowano w okrutny sposób starca w celu kradzieży.

Brunon oczy mrużył.

— Zamordowano, powiadasz?

— Zakłuto, jak prosię i ze skóry odarto. Ze skóry tej zbrodniarze dla zatarcia zbrodni, zrobili z piekielną zręcznością eleganckie portmonetki, w które powkładali pieniądze pochodzące z rabunku w domu zamordowanego.

— Portmonetki, serdeńko?

— Takie szczegóły podaje „Gil Blas", „Evenement", „Eclair", „Matin", „Echo", „Intransigeant", „Voltaire", „Figaro", „Petit Journal", „Siècle", „France", „Petit Parisien", „Etendard"...

— Dosyć, dosyć, wierzę.

Leon ręce w kieszenie od spodni wpakował.

— I pomyśleć, że, dziś, jutro mogłoby się to mnie, albo tobie, hrabio, przytrafić, gdyby...

— Gdyby co?

— Gdybyśmy mieli przy sobie znaczniejsze sumy.

Twarz Brunona przeciągała się i szarzała z przestrachu.

— Tak myślisz, rybko?

— Jestem tego pewny.

Od pewnego czasu jednak dobre stosunki, trwające pomiędzy Leonem i Brunonem, naprężyły się cokolwiek.

Powodem tego był żart, jakiego się dopuścił Leon, wezwawszy anonimem sześć starych dewotek do numeru, zajmowanego przez Brunona, w którym, wedle słów listu, miał się znajdować ich bogaty, a świeżo z Ameryki przybyły krewny.

Ciemno ubrane kobiety zjawiły się równocześnie

w hotelu i przez kilka minut Brunon, który właśnie zajmował się maglowaniem chustek, owiniętych w karafkę zniknął poprostu w powodzi pisków kobiecych, czarnych welonów i rąk, błagalnie ku niemu wyciągniętych.

Powoli jednak Leon zdołał się znów wkraść w łaskę zabijanickiego grafa wskazaniem mu źródła papierowych kołnierzyków i mankietów. Gumowe, według Brunona, były jeszcze za drogie, a i tak w tej Warszawie pieniądze poprostu płynęły! płynęły!

— Ot, to, lubku, ani się obejrzysz, jak kopiejeczka za rubelkiem goni. Kichniesz, już ci ktoś nad karkiem stoi, ta płacić sobie każe. Nogą skrobniesz po kamiuszczku — płać... Z torbami na wieś wrócić przyjdzie.

— Ale hrabia użyjesz cokolwiek życia! Zreenpapilotowałeś się *d'une facon exceptionelle.* Cera zdrowa, oko błyszczące, *c'est inoui,* jak miasto pana animuje. Stajesz się poprostu niebezpiecznym. Ja, ja! *je suis écrasé par vous, écrasé complétement.*

Skąpiec ukradkiem w lustro zawieszone nad komodą spojrzał.

— Wolne żarty, trzy ćwierci do śmierci.

Leon wybuchnął śmiechem.

— Chyba do życia i użycia.

— Eh! eh! eh!

Nagle ktoś do drzwi lekko zapukał.

— *Entrez!* — zawołał Leon.

We drzwiach ukazał się Stanio.

— Ach! *soyez le bienvenu* — i Leon rękę do przyjaciela wyciągnął — potwierdzisz moje słowa. Hrabia się z każdym dniem odmładza.

— O! tak, bezwątpienia.

Nowoprzybyły roztargnionym wzrokiem dokoła spozierał.

— Hrabia wychodzisz? — zapytał Brunona.

— Na herbatkę, do marszałkowej Omelczykowskiej. Wiecie, z Rowieńskiego.

— *Vous allez faire des victimes.*

— Eh! eh! eh!...

Stanio do Leona się zwrócił!

— Szukam cię od rana.

— O cóż chodzi?

— Chciałem, byś nam do teatru towarzyszył. Te panie już pojechały.

— Które panie?...

— Jakto.

Leon wiewiórczą swą twarz w komiczny sposób skrzywił.

— Bo z tobą nigdy nie można być pewnym. Powiesz — te panie, myślę, że zobaczę Dolly... paf! wpadam na Jankę, której widzieć wcale nie pragnę.

— Żarty nie na miejscu. Mówię w tej chwili o Marji.

— O której!

— Jakto, o której?

— *Assurement* o której? Jest Marja numer pierwszy... numer trzeci, ta... Marion numer drugi i Maniuś słodka z *corps de balletu*. Czy tak?

Stanio niecierpliwie brwi zmarszczył.

— Zaprzestań tych dowcipów. Jestem dziś w teatrze z żoną i chcę, ażebyś nam towarzyszył.

— *Tiens! tiens!* a do czegoż ci jestem potrzebny?

Stanio nic nie odpowiedział.

Z roztargnieniem zdawał się śledzić ruchy rąk Brunona, który delikatnie nakładał na swą łysą czaszkę pocerowaną perukę.

— Co hrabia robisz z Horką? — zapytał nagle, o kant komody się opierając.

— Cóż robić kochaneńki! Antoni odchodzi, żyda poszukać przyjdzie.

— Cytryna podobno masz hrabia na oku.

— Cytryna, duszko. Niezły posesor, płaci rzetelnie...

— Właśnie miałem na niego zamiary. Chciałem mu Siemiatycze wypuścić. Widzę, że Smotrycki kradnie. Wolę posesora; hrabia mi Cytrynę odbierasz.

— Szmul, lubko, innego ci wyszpera.

— Dziękuję! Da mi kogo z familji.

— To cóż robić serdeńko. Już Siemiatycze się niemi na przepadłe obstawiły. Chcesz, nie chcesz, musisz z poręki Szmula wziąć.

— Wolałbym Cytrynę.

Leon nagle z kanapy powstał i, ciągle trzymając

ręce w kieszeniach od spodni, ku rozmawiającym podszedł.

— Dlaczego ty, Staniu, majątek w posesję wypuszczasz? — zapytał, bystro w oczy przyjaciela patrząc.

— Rządca mnie okrada.

— Dlaczego sam na wsi nie siedzisz?

Stanio o kilka kroków się cofnął.

— Ja?

Oczy szeroko otworzył z wyrazem najwyższego podziwienia.

— A... cóżbym ja na wsi robił? — zapytał po chwili.

Lecz Leon oka z niego nie spuszczał, uśmiechając się ironicznie.

— A... cóż ty w mieście robisz?

— Ja?

— Tak! ty!

Chwilę trwało milczenie.

— *Parbleu!...* Żyję! — odrzucił wreszcie Stanio.

Leon ramionami wzruszył.

— Jeśli się to nazywa życiem, to żyjesz. Jesz, pijesz, wstajesz późno, wyglądasz *comme le roi de la gaume,* zieleniejesz z dniem każdym, zaciągasz tu i owdzie długi, tłuczesz się od czasu do czasu po zagranicach, czytasz *Dubut Laforeste'a* i łysiejesz... *Voila.*

— Naśladuję ciebie.

— Och!... ja!

— Cóż ty?...

Leon pomyślał chwilę.

— Ja się nie liczę. Ja jestem *petit crevé;* zresztą ja nie mam żadnych obowiązków.

— *Décidément,* ile dzisiaj spałeś? Nie wiesz o obowiązkach! *Cest á etouffer de rire.*

— Etufuj jeśli chcesz. Gdybym jednak miał panią Marję, Jerzusia i Siemiatycze, nie walczyłbym o Cytrynę z hrabią. *Voila!...*

Odwrócił się do okna, które szeroko rozwarte ukazywało płaszczyznę placu i majaczące w oddali filary bramy ogrodu Saskiego.

— *Voilá!...* — powtórzył, wydobywając z kieszonki od kamizelki mały, w złoto oprawny, ołówek.

O ramę okna się oparł i pogrążył się w milczeniu. Tymczasem Stanio znów rozmowę z Brunonem nawiązał.

Powoli wypytywał skąpca o termin skończenia dzierżawy Horeckiej, o datę odjazdu Antoniego, o nową siedzibę posesora. Zdawało się z tych słów, że dyplomatycznie, układnie—Stanio pragnąłby całą duszą, aby Antoni nadal pozostał w Horce. Ślub Trejny odwlókłby się w ten sposób, a gdyby się odbył nawet, sąsiedztwo Siemiatycz z Horką umożliwiłoby Staniowi widywanie częstsze żydówki, która coraz bardziej zaczynała łaskotać drzemiące już nerwy zużytego światowca.

Przed poznaniem Trejny miał silny zamiar usunięcia nędzy i wypuszczenia majątku w dzierżawę. Ziemia, stan wogóle majątku — obchodziły go mało, nic prawie. Teraz jednak zmienił nagle postanowienie. Umyślnie mówił o Cytrynie, chcąc wybadać zamiary Brunona i dowiedzieć się o istotnym stanie rzeczy. Możność bezkarnego romansu z Trejną, zrzucenie wszelkich następstw i odpowiedzialności na ramiona posesora, wydawały się teraz Staniowi celem, do którego powinien był dążyć usilnie.

Nagle od okna oderwał się Leon i zaczął szukać kapelusza.

— Chodźmy! — wyrzekł, stojąc przed przyjacielem.

— Chodźmy!

— Mówiłeś, te panie... Któż jest z panią Marją w loży?

— Trejna.

— Ach!

Leon usta przygryzł.

Niepodoba ci się ta mała?

— Ależ przeciwnie! Jestem nią zachwycony. *Une simplicité hors ligne!...*

Roześmiał się ironicznie.

— Żartujesz. *Elle n'est pas si simple que...*

Leon jedno oko zmrużył.

— *Compris!...*

Brunon pomiędzy rozmawiających wdreptał.

— O kim mówicie?

— O narzeczonej twego posesora, hrabio.

— Antoniego?

— *Si,* żydówce wychrzczonej. — *Ma femme c'est toquée d'elle...* Bawi u nas.

Leon oczami przyjaciela świdrował.

— *Tiens! tiens!* — mówisz, *que c'est ta femme. Je pense le contraire!*

— Cóż znowu!

— Ale tak! *Et c'est bien malheureux,* bo ja adoruję pannę Trejnę. Adoruję!... — dodał z przyciskiem.

Stanio brwi zmarszczył i chmurnie na Leona spojrzał.

— Adoracja twoja powinna pozostać ukrytą Trejne jest narzeczoną.

— *Je sais!* — *c'est l'affaire* pana Antoniego i moja. *Tu n'as rien à faire la dedans, je suppose!*

Mierzyli się oczami przez chwilę! Leon spokojny, chłodny, ironiczny; Stanio wzburzony, zdenerwowany, widocznie szukający słów odpowiedzi. Nagle głos Brunona wpadł w tę ciszę lamentujący i nieszczęśliwy.

— Jezusie cudowny! ta cóż ja sierota pocznę! na kołnierzyku mi ten niegodzijasz nabazgrał imię i nazwisko! kołnierzyk zepsuł! ta gdzież i jak po inny się dobić!

Leon dusił się ze śmiechu, szybko za klamkę złapał i na korytarz wypadł, ciągnąc za sobą Stania.

Tymczasem w pokoju pozostał zrozpaczony Brunon, łamiący ręce nad jedynym papierowym kołnierzykiem, na którym Leon olbrzymiemi literami napisał:

— Brunon graf Zabijanicki.

. . . . . .

W głąb loży cofnięta Marja, znużonem okiem śledziła bieg tragedji, która jak barwna wstęga w purpurowych ramach proscenium, przed nią się roztaczała.

Już Uriel przeklęty cierpiał u Van der Straaty, kryjąc się w cieniu przed pomstą swych wyznawców...

W jasnej przestrzeni zapełnionej jakby tysiącem pyłków białawych, wirujących pod sufitem sali, rysowały się na tle ciemnych płócien, przedstawiających

izbę bogatego kupca, sylwetki Uriela, jego matki, wciśniętej w wysokie krzesło i klęczącej u jej stóp Judyty. Kolory ich szat miały harmonję ostrą starych flamandzkich obrazków. Seledynowa zieleń sukni Rakiewiczowej służyła za podkład bronzowawej szacie Marcellówny. W oddali czarny strój Kotarbińskiego ciemniał na tle jasno szarej kotary, maskującej wejście. Z kolorowych szyb okna padało niepewne światło, jakby krwawy refleks zachodzącego słońca. W głębi złotawe frendzle draperji, okrywającej stół, migotały chwilami jak ostrza sztyletów. Od rampy biło światło gorące i oślepiające, przecięte brudną białą plamą budki suflera.

Orkiestra opróżniona, jak przepaść najeżona pulpitami, na których walały się nuty, odcinała sobą scenę od krzeseł, które teraz przedłużały się zwartą masą, jak kolumny wojska, wciśniętego w wysoki dziedziniec forteczny. A ponad niemi proste i ostre wznosiły się ściany lóż, inkrustowanych niby popiersiami ludzkiemi. W wąskich przedziałkach aksamitu zniszczonego i zbielałego pod wpływem gazu, chyliły się ku scenie głowy kobiet jasne, jakby w białym pyle skąpane. Za niemi żółtemi plamami znaczyły się twarze mężczyzn. Im wyżej ku górze, tem więcej wszystkie głowy i popiersia zlewały się w szereg plam, gdzieniegdzie przeciętych jasną barwą stanika, lub jaskrawą czerwienią maków, zdobiących przód kapelusza. W rogu paradyzu, przy samej scenie, jakiś chłopiec przewiesił swe ręce przez balustradę, które odcinały się dziwnie dokładnie, jak dwie krótkie smugi na tle blado-żółtej malatury balkonu. Czarne koło dziwne i tajemnicze, z którego zwieszały się olbrzymie sznury żyrandola, wcinało się głęboko w brudną płaszczyznę sufitu. Jakby źrenica olbrzyma, czarna i melancholijna, wgłębienie to zdawało się spoglądać uważnie na tłumy ludzi wciśniętych w poręcze foteli. I tylko przed lożami snuło się gorące i migocące światło, ukazując z okrutną szczerością zniszczone fałdy aksamitu, opadłe tynki, wyszczerbione ornamenty i wątpliwą biel zanikających fresków.

Marja, o tył krzesła oparta, znużona, słuchała jęków ślepej matki Uriela. W nerwowem podrażnieniu, w ja-

kiem się znajdowała od pewnego czasu, wszystkie burze i łamania się uczuć w innych odczuwała z podwójną wrażliwością. Identyfikowała się mimowoli z łkającą i do ziemi przypadłą Judytą. Śledzenie tego cierpienia, wytwarzanie fikcyjnego celu silnej rozpaczy, sprawiało jej ulgę, odwracając myśl od bezustannego analizowania istotnego stanu własnej duszy.

Obok niej Trejne, w gorącej barwie koralowego muślinu, z ramionami zaledwie okrytemi lekką tkaniną, płonącą w świetle gazu krwawemi refleksy, gryzła ciągle usta, słuchając mało, zajęta jedynie tem, co się działo w sali.

Scena wyklęcia Uriela wywołała w niej niewyraźne uczucie przestrachu. Olbrzymia postać Leszczyńskiego, silnie zarysowana na tle jasnej dekoracji, okryta czarnym kirem wiekowego stroju, z białą plachtą zarzuconą na ramiona, wzbudziła w niej wspomnienie dziadka. Skurczyła się na krześle, wcisnęła głowę w ramiona, a oczy jej miały ten sam wyraz zwierzęcego przestrachu, jaki Marja dostrzegła w oczach neofitki poza siatką krat klasztornych. Przez całą scenę przekleństwa siedziała cicho, przyczajona jak kot czarny w kłębek zwinięty, obrzucony draperją koralowego muślinu. Lecz drzwi loży leciuchno skrzypnęły. Stanio wsunął się do ciasnej klatki, za nim Leon, ironicznie uśmiechnięty.

— Dziwna idea, smażyć, się w tej sali dla wysłuchania Gutzkowa — zaczął, zajmując miejsce poza Marją.

— Chciałam Joasi teatr pokazać — tłumaczyła się młoda kobieta.

— Jakież wrażenie wywiera? piorunujące?

— Na Joasię nic nie wywiera wrażenia piorunującego — nawet piorun sam!

Leon głową pokręcił.

— Proszę!... sądziłem, że jest wrażliwszą!

Zaczął przez chwilę przypatrywać się uważnie żydówce, która, czując poza plecami obecność Stania, dostała nagle wypieków na twarzy i zielonawych iskier w oczach.

— Spójrz pani na nią... zdaje się być silnie wzburzoną.

Marja wychyliła się z loży.

— Dwie lornetki zwrócone na nią z parteru wprowadzają ją w ten stan, w jakim ją pan widzisz.

— Pani ją zna dokładnie?

— Muszę! Jestem z nią bezustannie. Mimowoli śledzę objawy tej dziwacznej natury.

— Według mnie, nie ona jest tu dziwaczną naturą.

— O!... nie ona? któż więc?

Odwróciła się teraz prawie twarzą ku Leonowi i cień silny padał na jej głowę i piersi. Natomiast ramiona, szyja, włosy, zdawały się obwiedzione złotym wąskim paskiem światła w białawym odcieniu.

— Kto więc? — powtórzyła.

— Przedewszystkiem *vous, madame! Vous êtes toquée* na punkcie tej panienki.

Marja ramionami wzruszyła.

— *Toquée? ja?...* cóż znowu!

Nagle, jakby powściągając żywsze poruszenie, dodała:

— Lubię ją bardzo!

Leon oko przymrużył.

— *Allons donc!* Pani ją lubisz? *Vous la détestez madame!*

Marja próbowała zaprzeczyć.

— *Quelle idée!* Nienawidzieć jej — za co?

— Powiedziałem to już raz dość wyraźnie. Dziś powtarzam: jesteś pani zazdrosną. Pan Antoni...

Młoda kobieta drgnęła nerwowo.

— Co... Pan Antoni...

— Pan Antoni — ciągnął dalej Leon — uwolni panią zapewne wkrótce od tej niemiłej towarzyszki.

Marja odetchnęła swobodniej. Cień smutku powlókł jednak jej twarz pobladłą.

— Zapewne... ślub nastąpi niezadługo. Dziś tylko się Trejne opiera.

— Nie wiem... tajemnicza jest. Pilnie strzeże swych myśli. Mówi: nie chcę! to wystarcza.

— I Antoniemu to wystarcza?

— Cóż pan chcesz!... to także dziwna natura.

Odwróciła się ku scenie, na której teraz pozostała sama Judyta; koło okna oparta z wytężeniem śledziła Uriela. Leon pochylił się cokolwiek na poręcz krzesła.

— *Pour sur*, że dziwna! Tak ją kocha!

Marja nie odpowiedziała nic.

Patrzyła ciągle na scenę, tonącą w bladawo blond pyle i zdawała się nie słyszeć ostatnich słów Leona.

Jedynie tylko lekkie drżenie ujawniało jej silne wzruszenie.

Na scenie Judyta podniesionym głosem deklamowała:

Czy kobieta wciąż mężczyźnie
Wieczną będzie życia klątwą,
Dając rozkosz mu w truciznie?

Leon bacznie w profil Marji się wpatrzył. Zauważył jej bladość i drżenie podbródka, silnie wolą hamowane. Wzrok jego ześlizgnął się wzdłuż rąk, okrytych ciemno-szafirowemi aksamitnemi rękawami i dojrzał, że palce młodej kobiety kurczowo cisnęły aluminjową lornetkę.

— Cierpi — pomyślał, brwi marszcząc—cierpi dziś więcej, niż kiedykolwiek! Cierpi!... moja złota!...

Czuł w sercu jakieś dziwne ściśnienie, coś go dławiło w gardle. Próbował się uśmiechnąć, spojrzeć ku lożom, z których wychylały się znane mu głowy kobiet, lecz pobladły profil Marji zaciemniał mu wszystko. Ta hamowana i tłumiona całą siłą boleść uczciwej i nieskalanej kobiety sprawiała na nim silne wrażenie, z którego otrząsnąć się nie mógł...

Mimowoli wzrok jego poszukał Stania.

Siedział poza krzesłem Trejny, w niedbałej, wygodnej pozie. Blady, zniszczony, odcinał się ostrą sylwetką na tle czerwonych draperji. Oczy zaczerwienione od bezsenności utkwił z pożądliwością w cienki pasek ciała Trejny, który się odsłaniał pomiędzy rąbkiem muślinu i czarną linją włosów, wysoko na czaszce upiętych. Ciało to miało ton bledszy od koralowej barwy sukni i zaznaczało się nagle jak szmat różowej, o złotawych błyskach, porannej światłości.

Leon cofnął się w głąb loży i, zmrużywszy oczy, śledził teraz uparcie zachowanie się Trejny.

Siedziała wyprostowana, z rękami na kolana opuszczonemi, oddychając szybko. Zaledwie dostrzegalne dreszcze wstrząsały nią całą. Widocznie czuła wzrok Stania, w nią badawczo wlepiony. I, powoli, jakby ulegając magnetycznemu wpływowi, odwróciła się ku mężowi Marji, rzuciwszy przedtem okiem na smutnie zapatrzoną w przestrzeń swą matkę chrzestną.

Sekundę jedną spotkały się źrenice Trejny z szafirowemi oczami Stania. Przelotny uśmiech dwojga wspólników, rozumiejących się dokładnie, rozjaśnił ich twarze. Poczem Trejne, głowę do sceny zwróciwszy, zdawała się już słuchać uważnie, trochę uspokojona.

Natomiast Stanio zagryzł usta niecierpliwie. Przechylił się w tył i znów z pod obrzmiałych powiek na dziewczynę patrzył.

Kurtyna spadała teraz wolno, z szumem i zgrzytem kółek. I nagle jasny strumień światła oblał widownię, ujawniając zniszczenie sali, malowidło na twarzy kobiet, ostre tony kwiatów na koronkach kapeluszy, białość mankietów męskich, stłuszczenie i obszarpanie firanek ponad lożami.

Leon powstał z miejsca, skrzywiony, z twarzą zmarszczoną w dziwaczny sposób.

— Wychodzisz? — zapytał go Stanio.

— Widzę hrabiankę z matką; może pójdziesz ze mną?

— Pójdę wypić szklankę wody na dole. *Je meurs de soif...*

Wyszli obaj, skłoniwszy się paniom. Marja zdawała się nie dostrzegać ich wyjścia, pogrążona ciągle w smutnej zadumie.

Trejne odważnie naprzód loży się wysunęła, kąpiąc się w ogniu lornetek, które ku niej się zwracały.

Znalazłszy się na kurytarzu, Leon ujął ramię przyjaciela.

— Mam z tobą na pieńku!

— Za co?

— Za pannę Trejnę!

Stanio oczy szeroko otworzył.

— *Tiens!* Cóż ty masz do niej?

— Akaparujesz ją zanadto. Zawsze jesteś przy niej. *C'est indecent!* Dla innych przystępu niema.

— Po cóż ty masz do niej przystęp mieć? *Pour ricaner?*

— *Non... pour lui faire la cour!*

Stanio zatrzymał się na środku przedsionka.

— *La cour?* a to w jakim celu? w jakich zamiarach?

Leon śmiechem parsknął.

— *Parbleu!* w zamiarach matrymonjalnych. *Ne suis-je pas libre?*

— Ty — tak! ale ona — nie!

— Patrząc na ciebie obok niej trudno sobie przypomnieć *le spectre de son fiancé.*

Stanio nerwowo głową na wszystkie strony wykręcał.

— Ja umiem utrzymać się w granicach!...

— Oh! *par exemple!...*

Spojrzeli sobie w oczy.

Leon miał spokojne, ironiczne źrenice. W oczach Stania paliły się nerwowe płomyki. Teraz chwilę mierzyli się wzrokiem ci dwaj towarzysze rozpusty, którzy sieli przez długi czas ręka w rękę, skarby zdrowia, młodości, inteligencji i majątku po rynsztokach nocnych hulanek.

— Zresztą — podjął Leon — toczymy walkę o kwaśne winogrona. Pan Antoni byłby ci serdecznie wdzięczny za takie rycerskie bronienie praw jego narzeczeństwa. *C'est inoui,* mój Stasiu, *comme tu deviens ramoli!* Mówisz o... o szacunku. *Tiens tiens!...*

Smiał się uszczypliwie, włożywszy ręce w kieszenie od spodni.

— *Et tiens toi pour averti!* od dziś ja zaczynam kurtyzować pannę Trejnę. Ja także ją potrafię uszanować! Oh!... *ma mére!*

Szybko ku schodom się zwrócił.

— Idź napij się wody i wierz mi *que toujours je te gobe ma vieille!*

Gdy Stanio powrócił do loży, zastał Leona wygodnie zainstalowanego za krzesłem Trejny. Żydówka

uśmiechnięta, rozpromieniona, słuchała wykwintnych komplementów, jakiemi zarzucał ją Leon. Tak byli sobą zajęci, że zdawali się nie dostrzegać wejścia Stania, który, chmurny i zniecierpliwiony, zajął miejsce poza żoną.

Ben Akiba na scenie wywodził monotonnym głosem swoje poglądy, a Akosta odpowiadał mu zuchwale. Leon nie zwracał najmniejszej uwagi na scenę i ciągle chychotał z Trejną, która zdawała się być w siódmem niebie.

Stanio kilkakrotnie spoglądał na rozmawiających, gryząc usta i mnąc nerwowo bibułę afisza; wreszcie— wybuchnął.

— Proszę was—przestańcie!... przeszkadzacie mi słuchać Rapackiego.

Leon oko zmrużył.

— *Tiens!* odkąd cię zajmują tak żywo częstochowskie wiersze?

Stanio nie odpowiedział wprost, lecz zwrócił się ku Trejnie.

— Panna Trejne powinna także posłuchać trochę sztuki. Przecież to żydzi na scenie!

Trejne usta wydęła.

— A cóż mnie żydzi? cóż oni dla mnie?

Leon parsknął śmiechem, Trejne mu zawtórowała.

— A bo tak! — zawołała — cóż dla mnie takie żydy! Ja się nie chcę na nich patrzeć.

— Ma pani rację, niech się pani nie patrzy — chychotał Leon — lepiej patrz się pani na mnie.

— A bo pewnie — wolę — pan choć ucieszny.

Stanio, silnie zdenerwowany, zmarszczył brwi z wściekłością.

— Panno Trejno!... proszę!... bo...

Oczy dziewczyny błysnęły buntowniczo.

— Bo co?—zapytała charkotliwie, uśmiechając się zuchwale — bo co?

Wzrokiem ześlizgnęła się z twarzy Stania i szukała już oczów Leona, które rozweselały ją niepomiernie.

Lecz Leon w tej chwili śledził Marję, na której ustach pojawił się leciuchny uśmiech.

— Pani Marja się śmieje — zawołał — jeśli ona

nie gniewa się na nas, *toi Monsieur le quidam* możesz ronszoniować w swoim kącie... *ça nous importe très peu.*

I znów zaczął flirtować z Trejną, wisząc jednak wzrokiem przy twarzy Marji, która zdawała mu się teraz cokolwiek weselszą w przyćmionem świetle gazu, oblewającem ją od dołu blaskiem białawym.

XVII.

Od tego dnia Leon rozpoczął usilne i niezmiernie widoczne staranie się o względy Trejny. Dziewczyna, olśniona jego dobrym humorem, łatwością rozmowy, zresztą snopami kwiatów, które się codziennie w jej pokoju zjawiały, z nadzwyczajną kokieterją zachowywała się względem swego nowego wielbiciela. On prowadził całą tę sprawę ostentacyjnie, ciskając w oczy wszystkim swe uwielbienie dla córki chrzestnej, zagarniając ją bezustannie wyłącznie dla siebie, ciągle koło niej, uważny na jej skinienie, ironicznie w nią wpatrzony, szepcący jej z drwiącym uśmiechem czułe słówka do ucha.

Marja postanowiła zaoponować przeciw tej nagłej „tokadzie“ swego przyjaciela.

— Trejne jest mnie powierzoną wyłącznie. Co powie Antoni, gdy, powróciwszy, zastanie ją panem zajętą. Co pan zrobisz wtedy?

— Oddam ją sam narzeczonemu.

— Więc pan jej nie kochasz?

Leon milczał, tylko wiewiórcza twarz jego wykrzywiała się w dziwaczny sposób.

— Jeśli pan jej nie kochasz, dlaczego to robisz? dlaczego?

— *Pour m'amuser! C'est simple, comme le bon jour!*

— A jeśli ona...

— Cóż ona?

— Jeśli ona się do pana przywiąże?

— Ona? *Laissez donc!...* Niema obawy. A gdyby tak było, ha!... niech wybiera!

Nadstawiał się komicznie, rozrzucając klapy swego smockingu.

— Równe szanse.

Tymczasem Stanio, którego małżeństwo, wreszcie stanowisko gospodarza domu, krępowało bezustannie, zaledwie ukradkiem mógł dopaść do Trejny, którą przerażał po części brutalną złością, z jaką do niej teraz przemawiał. Nie mogąc otwarcie starać się o doprowadzenie do skutku powziętych zamiarów i rzucenia sobie dziewczyny w objęcia, śledził z wytężeniem rzadkie sposobności, podczas których mógł użyć sposobów uwodzenia i działania podstępną pieszczotą na zmysły dziewczyny. Był już na dobrej drodze; Trejne, podbita jego pięknością, ujarzmiona gorącem dotknięciem dłoni, zdawała się być bliską upadku, lecz — nagle, jak rudy Kobold, w sprawę tę wmieszał się Leon, i Trejne, ujęta przez niego, dumna z posiadania otwartego wielbiciela, zasypującego ją kwiatami i bombonierkami, zaczęła zapominać o Staniu. Jak każda brunetka, Trejne miała w sobie olbrzymi dar powściągania się, a zadowolenie z miłości własnej stawiała wyżej ponad wszystko. Początkowo, gdy Leon nie zwracał na nią uwagi, lgnęła do Stania z nałogu lgnięcia do wszystkiego tego, co stało wyżej od niej i imponowało jej czemkolwiek. Później ubieganie się o jej względy Leona przyćmiło ukradkowe pieszczoty Stania. Upajając się wonią kwiatów, sunąc palcami po pluszach bombonierek, z ustami wypchanemi cukierkami, czuła się teraz Trejne u szczytu swych marzeń.

Napróżno Stanio przeszywał ją spojrzeniem swych marzących oczu, napróżno czatował na nią poza portjerami lub w korytarzach. Trejne, wiecznie przy boku mając swego adjutanta, siedziała teraz ciągle prawie w salonie, wachlując się, jedząc czekoladki, śmiejąc się bezmyślnie z tanich dowcipów, które Leon całemi masami pod nogi jej rzucał. Marja, uspokojona zajmowała się dzieckiem, szyła sukienki, ciągle blada i zamyślona. Czasem na odgłos śmiechu tamtych dwojga mimowoli uśmiechała się, podlegając zaraźliwemu kurczowi nerwów. Jerzuś, uszczęśliwiony z wesołości panującej w salonie, dreptał pode drzwiami, prosząc o wpuszczenie go. Lecz Marja zatrzymywała dziecko w swej sypialni. Cały dzień jak zwierz w klatce, kręcił się po

mieszkaniu Stanio, i pod pozorem pakowania swych kufrów do Aix-les-Bains, nie wychodził prawie z domu.

Smutnem okiem śledziła go Marja.

Nie robiła sobie w tej chwili iluzji. Odczuwała doskonale stan duszy tego wyżytego człowieka. Trejne, jako ponętna dziewczyna, była dlań łakomym kąskiem. Zarzucił na nią siatki. Leon go ubiegł. Trejne zwróciła się ku temu, który pochlebiał jej swem jawnem uwielbieniem. Stanio wpadł w stan chorobliwego rozdrażnienia. Wyzywająca piękność żydówki gorącem tchnieniem napełniała dom cały. W atmosferze tej obracał się nieumiejący nakazać milczeć swej namiętności Stanio, pławiąc się w tem gorącu i w swej własnej wściekłości.

Bezczynne, bezcelowe życie, jakie pędził, dozwalało mu analizować stan swych nerwów i podniecać się dobrowolnie w tej piekielnej sarabandzie. Jak zwierz, któremu zbyt wysoko w klatce zawieszono szmat mięsa, tak się ciskał teraz dławiony własną złością. Chwilami miał ochotę wypędzić z domu Leona, zamknąć mu drzwi po zrobieniu gwałtownej sceny. To znów ręce mimowoli szukały szyi Trejny, aby kurczowo się koło niej zacisnąć i martwem ciałem dziewczyny o podłogę cisnąć.

Z daleka Marja śledziła tę walkę wewnętrzną. Nie miała odwagi przystąpić do męża z łagodniejszem słowem, choć w głębi czuła dlań silne politowanie. Widziała, że walczył i choć z trudem, ale pokonywał zwierzę, które się weń gwałtownie burzyło. Miała dlań za to litość i szacunek. Jak każda kobieta, potrzebująca pobłażania, stawała się wyrozumiałą na cudze zboczenia. W głębi duszy i ona myśl swą ciągle teraz ku innej zwracała stronie. Myśl ta uparcie koło Horki krążyła. Dlaczego? Tego nie umiała sobie wytłumaczyć. Czy przyszło to na nią nagle, wtedy, gdy we dwoje z Antonim pochyleni nad łóżeczkiem dziecka w ciszy sypialni, zamienili, długie, przeciągłe spojrzenie? Czy było to rzeczą zupełnie nową, czy tylko zbudzeniem się dawnego nad brzegiem Styru wykołysanego uczucia, które ukryte głęboko tkwiło zawsze w jej sercu, a tylko gorącą miłością dla Stania przy-

głuszone zostało? Dość, że myśl o Antonim, wspomnienie jego poczciwej, ogorzałej twarzy, jego głosu harmonijnego, pełnego niskich dźwięków, jego zacnej, szczerej, jak kryształ przezroczystej duszy, owładnęła nią całą, pomimo walk, jakie staczała. Sponiewierana i odepchnięta przez męża, wszelkiemi siłami czepiała się tego naturalnego punktu oparcia każdej stojącej już na pochyłości kobiety. Lecz on, goniący ciągle za Trejną, sam zdawał się popychać ją na rozstaje drażniąc bezustannie jej godność osobistą. I gdy w śmiertelnem znużeniu, w ciągłej rozterce z myślą własną, która skrępowana trzepotała się boleśnie w obcą stronę, szukała męża, aby przy jego boku odpocząć cokolwiek, znajdowała go chmurnego, wpatrzonego w chychoczącą z Leonem Trejnę, z twarzą, pobladłą ze złości i niezadowolenia.

Odwracała się smutnie i, zniechęcona, wracała do dziecka, które z rozkazu ojca zamknięte w pokoju Marji, bawiło się w kąciku. Z przestrachem chwytała w objęcia to maluchne ciałko! Boże!... czy i on, ten jej syn ukochany podlegać będzie wrażeniom zmysłów i rzucać im na pastwę młodość, siły, czas, inteligencję?

Lecz dziecko zdawało się dziedziczyć jej naturę, smutną i melancholijną.

— Nie płacz, mamusiu! — mówiło, ocierając łzy, płynące gradem po twarzy młodej kobiety.

Po usilnem wypróbowaniu swych sił, doszła Marja do przekonania, że nagle zbudzone jej uczucie dla Antoniego było dawno zakorzenione w jej sercu. Im dalej sięgała myślą, tem więcej przypominała sobie szczegółów, utwierdzających ją w tem mniemaniu. Przypominała sobie żywo scenę, gdy odeszła chmurna i wyniosła, pozostawiając Antoniego, klęczącego u brzegu Styru, w uroczysku Wołochowskiem. Jakby pod pokładem spieczonej ziemi, tak wtedy szamotało się w niej serce niewyraźnym bólem. Dziś nauczyła się w ból wsłuchiwać i wiedziała dobrze, co takie uczucie znaczy. Lecz dziś było zapóźno i jak w mogile, tak serce powinno w jej piersi leżeć cicho i nieruchomie. Na to miała dosyć siły.

Wyznawszy w ciszy nocnej przed samą sobą obecny stan swej duszy, ze łzami gorącemi w oczach towarzyszyła pogrzebowi swego szczęścia. Dziś w dziecku zjednoczyła wszystkie swe gorące pragnienia i uczucia. Poza tem nic dla niej nie zdawało się istnieć.

Przygasłem tylko okiem śledziła męża, będąc najsilniej i najmocniej przekonaną, że reszta uczciwości nakaże mu pokonać swą namiętność dla Trejny i uszanować dach, pod którym żyje jego żona i dziecko. O tem ani na chwilę nie wątpiła, wiedząc, że wszelkie jego miłosne awanturki działy się poza domem i jedynie tylko ich echo uderzało bolesnym razem w jej serce i dumę jej, do tej chwili nieposzlakowanej, duszy.

Tak stały rzeczy do pierwszych dni września.

Ani Leon, ani Stanio nie wyjeżdżali zagranicę, wbrew zwykłemu porządkowi rzeczy. Co do Marji, ta wybierała się wraz z Jerzusiem do kąpieli morskich, skoro tylko dzień ślubu Antoniego i Trejny naznaczonym stanowczo zostanie. Trejne rozbawiona i oszołomiona nadskakiwaniem Leona, teraz jeszcze mniej, niż kiedykolwiek, miała chęć zostania panią posesorową. Zamyślała się teraz często i objawiła nagłą chęć kształcenia się, zaczynając od abecadła. Czesała włosy gładko jak Marja, i zapinała staniki szczelnie pod szyję. Starała się mówić lepiej po polsku i przy stole jadła ryby zupełni przyzwoicie widelcem.

Pieściła coraz częściej Jerzusia i uważnie oglądała przybory toaletowe Marji. Pytała o szczegóły podróży poślubnych i wystawnego pożycia młodej pary w mieście.

Pewnego poranku, rozczesując włosy Marji, zapytała nagle:

— Proszę mi powiedzieć... czy ojciec chrzestny może się ożenić z córką chrzestną?

Marja, zdziwiona, wzruszyła ramionami.

— Nie wiem, ale zdaje mi się, że nie...

Ręka Trejny opadła. Szyldkretowy grzebień potoczył się po dywanie.

— Aj, aj!... nie może być!...

I nagle zasmucona, odeszła od tualety, pozostawiając Marję zdziwioną tem niezwykłem pytaniem.

— Czyżby Trejne przypuszczała, iż Leon się z nią ożeni?... cóż za szaleństwo! — myślała młoda kobieta.

— A gdyby!...

Antoni pozostałby wolny! wolny!

Myśl ta jak błyskawica przebiegła po jej umyśle, lecz natychmiast siłą woli Marja odpędziła ją precz od siebie. W gorączkowej chęci dopełnienia swych obowiązków, postanowiła rozmówić się szczegółowo z Leonem i prosić go, aby zaniechał tej komedji, której celu zrozumieć nie mogła.

Ściemniało się powoli i salonik znów utonął w tajemniczem, półcieniu.

Gdy Marja weszła do salonu, koło dużego stołu, pokrytego aksamitem, siedział Leon, rozkładający przed Trejną całe stosy kolorowanego abecadła

— Ba, be, bi, bo, powiadam pannie Trejnie, *tout ce qu'il y avait de plus chic.*

Monokl w oko wsadził i, spoglądając w drzwi gabinetu Stania, dodał:

— Zaczynajmy lekcję!

Lecz firanki gabinetu pozostały nieruchome. Stanio zmuszony dnia tego do wyjścia na miasto, dla załatwienia pożyczki, miał powrócić dopiero za godzinę.

Z tej chwili skorzystała Marja.

— Moja Joasiu, proszę cię, zostaw nas na chwilę samych.

Trejne nieufnie spojrzała na Marję i, powoli powstawszy, ku drzwiom się skierowała.

Gdy wyszła, Marja upewniła się, czy nie zatrzymała się pod drzwiami dla podsłuchiwania, co było zresztą jej zwyczajem i, do stołu się zbliżywszy, miejsce Trejny zajęła.

— *C'est solonnel?* — zapytał Leon, oczy mrużąc.

— Poniekąd — odparła młoda kobieta — chodzi mi o Trejnę.

— *Tiens!* nigdybym tego nie zgadł.

— Przestań pan żartować. Muszę nawet pana ostrzec, że żarty swoje posunąłeś za daleko: Tak, jak to przewidywałam, dziewczyna galanterję pana wzięła na serjo...

— *Allons donc!...*

— Nawet tak serjo, że myśli o małżeństwie!
— Ze mną?
— Z panem!
— *Epatant!*
— Cóż pan na to?
— Mówię: *épatant.*
— To nie wystarcza.
— Cóż pani chcesz? Może mam się z nią żenić?
Marja ramionami wzruszyła.
— O tem niema mowy.
— Więc o czem?
— Trzeba, ażebyś pan zaprzestał zbyt częstych wizyt. Kwiaty i cukierki z programu wykreślam. Powinnam to była odrazu uczynić.
— Więc?...
— Rzecz ułożona. *Vous cessez de faire la cour à Trejna.* To konieczne!
— To niepodobne!
— Dlaczego? kochasz ją pan?
Leon z krzesła się porwał i szybko salon przebiegać zaczął. Marja śledziła go uważnie.
— Kochasz ją pan? — nalegała.
— *Mais... au nom de Dieu...* nie pytaj pani oto...
Koło żardinierki się zatrzymał i liście palmy kruszył w palcach.
— Nie pytaj pani o to!...
— Dobrze, nie będę pana spowiadała. Ale zaprzestania tak częstych wizyt domagać się muszę, powinnam!
— Nie, nie powinnaś pani! Przeciwnie!...
— Dla dobra Antoniego!
— Właśnie dla jego dobra.
Spojrzeli na siebie, pomimo cieniu zgadując doskonale wyraz swych oczu.
— A! — wyrzekła wreszcie Marja — pan bronisz tę dziewczynę przed...
Zamilkła na chwilę, wreszcie dodała zdławionym głosem, ukazując na gabinet męża:
— Przed... nim?
Leon milczał, łamiąc ciągle liście palmy. Szarawy mrok wieczorny, padał mu na twarz, która lekko po-

bladła. Marja wpatrzyła się w tę drobną i skurczoną postać mężczyzny, poza którą gęste liście palmy koronkowy wachlarz tworzyły.

— Antoni byłby panu serdecznie wdzięczny—wyrzekła po chwili, jakby w zamyśleniu.

Lecz Leon porwał się nagle.

— Antoni?! — zawołał — a cóż mnie Antoni obchodzi? czem dla mnie jest Antoni w tej całej sprawie? Chciałem rzecz całą w tajemnicy doprowadzić do końca, chciałem w chwili ślubu Trejny zakończyć moją nużącą rolę i uciec w świat, *comme un pion inutil.* Pani formalnie zmusiła mnie do wyznania prawdy, narzucając mi wdzięczność człowieka, *qui m'est parfaitement indifférent.* Więc wiec, że nie dla Antoniego zmusiłem się do odegrywania tu roli *d'un paratonerre;* chciałem tobie, tak, tobie oszczędzić chwil zazdrości, która cię minowała. *Voila!...* Teraz burza zażegnana. Stanio nie myśli o Trejnie, ona o nim! O to mi chodziło.

— Mylisz się pan. Mąż mój jest stokroć więcej zajęty Trejną, niż kiedykolwiek.

Leon uważnie w twarz Marji patrzył.

— Mówisz to pani prawie obojętnie.

Młoda kobieta zrobiła rękami ruch, oznaczający rezygnację.

— Cóż robić? przeciw wodzie płynąć niepodobna.

— Myślałby kto, patrząc na panią, że ci tak łatwo rezygnować przyszło. *Mais moi j'en sais quelque chose!* Nienapróżno jestem przyjacielem domu. *J'observe bien,* i to od lat kilku... Wiem, jakie walki nieraz staczałaś pani z sobą, aby pokryć uśmiechem swe opuszczenie. Teraz jesteś znużona, walczysz jeszcze — *par habitude,* ale lada chwila maska opadnie ci z twarzy i sił zabraknie. Może już zabrakło! kto wie!...

Patrzył na nią usilnie, jakby chcąc wchłonąć w siebie tę postać kobiecą, doskonale piękną, owiniętą szczelnie jasną, o żółtawych tonach, płócienną suknią.

— Przedemną nie potrzebujesz pani grać dalej swej roli — podjął znowu miękkim głosem — *je suis un blagueur, un sceptique, un crétin, un idiot de Royal-*

Meilhac, enfin, je suis pourri chiqne, que diable!... to mój los: *mais — j'ai un culte* dla wszystkiego, co szanować się każe... szanować i... kochać!... kochać bez granic!

Ostatnie słowa wymówił prawie szeptem, wyciągając w stronę Marji rękę pożółkłą i żyłami przeciętą.

Młoda kobieta porwała się z miejsca, drżała jak w febrze. Poraz to pierwszy od chwili ślubu obcy mężczyzna rzucał jej pod stopy to słowo. I czuła dla samej siebie pogardę bez granic. Widocznie myśl grzeszna, która ją nurtowała, nadawała jej twarzy wyraz odmienny; widocznie umysł jej, zaprzątnięty wspomnieniem Antoniego, odbijał się w jej oczach kuszącymi blaski, skoro Leon mógł się odważyć rzucić w przestrzeń to słowo, siekące ją, jak uderzenie szpicruty, ją — żonę! ją — matkę dziecka szczebiocącego o kilka kroków od niej, poza aksamitną zasłoną.

Chciała odpowiedzieć, lecz Leon ją uprzedził. Widząc jej pomieszanie, uznał za stosowne złagodzić brutalność swego wyznania.

— Nie wypędzaj mnie, proszę, z twego domu! — zaczął znowu. — Nie wypędzaj za te słowa, które mi się same na usta wyrwały. Nie wiem, skąd poszły. Może stąd, co wy, kobiety, nazywacie... sercem! *Peut être!... qu'en sais-je, moi!* Wiem tylko to, że mi się coś z piersi ku pani wyrywa, *et que je ne suis calme qu'auprés de vous.* Niech to będzie uczucie brata dla siostry. Nazwijmy to takiem mianem i powróćmy do równowagi. *Voulez vous être soeur?*

Widocznem było, iż czynił wysiłki, aby słowa swe obwinąć jedwabiem dozwolonego uczucia.

Lecz Marja powoli odzyskała władzę i panowanie nad sobą.

— Pańską siostrą? — zapytała z gorzkim uśmiechem.—Siostrą może być tylko siostra; bratem tylko... brat! Wszystko inne jest fałszem wierutnym, fałszem i bajką, którą dwoje ludzi wzajemnie się okłamują, chcąc ukryć przed sobą przepaść, otwierającą się pod ich nogami!... Okrutną i niesprawiedliwą byłabym, czyniąc ci zarzut z twego uczucia dla mnie! Boże mój!... Rzecz taka przychodzi mimo naszej woli, ogar-

nia nas i wgryza się w serce, jak zwierzę straszne i niewidzialne...

Przyłożyła rękę do czoła i stała tak chwilkę, jakby pod wpływem wewnętrznej walki.

Pod otwartemi oknami z turkotem przeleciała dorożka. W oddali ktoś zaczął grać na rozstrojonym fortepianie nokturn Aschera w przyśpieszonem tempie polki. Zgłuszone tony zdawały się mijać okno i lecieć daleko, w ciemną szyję uliczną.

Marja odsłoniła wreszcie twarz wydłużoną i jakby szarym cieniem pokrytą.

— Nie czynię więc panu zarzutu z tego dobrego dla mnie uczucia, lecz z braku panowania nad sobą, z tego wybuchu, który pomiędzy panem i mną wykopał przepaść i rozłączył nas na zawsze.

Leon głowę opuszczoną podniósł.

— Jakto! wypędzasz mnie pani stąd? *tout carrément?*

— Muszę...

— *Mais... je vous jure...*

— Och, nie przysięgaj pan; to napróżno. Patrząc na pana, miałabym ciągle przed oczyma zniewagę, jaką mi wyrządziłeś, małą... żadną, dla ciebie! Dla mnie... olbrzymią! Stałabym się niejako wspólniczką pana, kryjąc w głębi swej duszy tajemnicę twoją i tolerując obecność twą przy mnie. Wydaję ci się w tej chwili dziwaczką, istotą przesadzającą prawdziwy stan rzeczy, lecz, co pan chcesz! Ja sama odpowiadam za siebie!... Sama!... Dlatego podwójnie strzec się muszę!... Teraz... nie drgnij, ale rzucę ci jedno banalne słowo... świat!...

— Ach!

— Świat otoczy kiedyś moje dziecko i zapyta: co robił w domu jego matki człowiek, który nie potrafił milczeć, nie umiał ukryć głęboko swego niedozwolonego uczucia, a zwłaszcza, co robiła wtedy ta matka, znająca dokładnie istotny stan rzeczy? Czy pan nie rozumiesz, że jestem kobietą opuszczoną, żoną wzgardzoną przez męża, i jako taka jestem łupem plotek i obmowy?... Gdybym była kochana, otoczona opieką, nawet może ukryte uczucie pana przeszłoby niedostrzeżone, tak, jak jest... jest przeciwnie. Za rok jeszcze, za dwa,

bezustanna obecność pana tutaj zostałaby komentowaną w hańbiący sposób. A może już teraz... o! Boże!...

Zachwiała się nagle i upadła na fotel, kryjąc głowę w dłoniach.

Leon stał ciągle koło okna, nieruchomy, jakby do miejsca przykuty.

Dopiero w tej chwili odsłoniła się przed nim iskra uczucia, jaka w sercu jego tlała. Zblazowany, zniszczony życiem, piekącym ogniem łatwych miłostek, od pierwszej młodości życia uczepiony u szyi kobiet, zdawał się być już zupełnie wystygłym kretynem. Pod czaszką czuł zawsze pustkę, w miejscu serca coś skamieniałego, jakiś fizyczny brak czucia, a zmysły nawet już nie drgały mu nigdy żywszem tempem. Marja działała nań w taki sposób, jak dalekie ognisko na zdrętwiałego z chłodu podróżnego. Z początku sceptycznie usposobiony, śledził chwilę, kiedy znużona zdradami i opuszczeniem męża, stanie dostatecznie dojrzałą do zerwania, jako owoc... zakazany. Powoli jednak żelazna wola, duma, poczucie godności tej kobiety zaczęły mu silnie imponować. I lata przeszły, a on, opuściwszy lożę woltyżerki, szedł odetchnąć przy boku Marji spokojem, lub prosto z gabinetu restauracyjnego, zgorączkowany po zbyt przedłużonem śniadaniu, biegł do purpurowego saloniku, w którym był pewny zastać pełno kwiatów, miły półcień i kobietę samotną, siedzącą nad książką lub bawiącą się z dzieckiem.

Dziś, podrażniony bólem głowy, zmęczony komedją z Trejną, rzucił niebacznie słowo, którego nie sformułował przed sobą nigdy, drwiąc z tej „inwencji", jak mówił czasem nad ranem po nieprzespanej nocy. I z chwilą wymówienia tego słowa odczuł je całą potęgą nagłą i niespodzianą. Zatargało się w nim uśpione i skamieniałe serce. Coś w nim żyło i poruszało się, drgało, wyrywało się ku tej kobiecie, bielejącej na tle ciemnych obić. Czuł, iż powinien odpowiedzieć, przerwać milczenie, lecz nie chciał wyrwać się z tej kontemplacji własnej istoty. Tak dawno, a może nigdy w życiu, nie odczuł tak silnego moralnego podniecenia; przymykał oczy i... wsłuchiwał się w przyśpieszone bicie serca. Był w tej chwili egoistą, lecz całą duszą

rwał się ku tej kobiecie, która zdołała obudzić go z letargu. Wydała mu się w tej chwili droższą, niż kiedykolwiek i jeśli kiedy, to teraz dopiero mógł rzucić jej słowo „kocham“ bez cienia sceptycyzmu i wiecznej, jakby do jego twarzy przykutej, ironji.

Wreszcie Marja powstała powoli, opierając się o stół, jakby w osłabieniu najwyższem.

— Żegnam pana!... — wyrzekła zdławionym głosem.

Leon wciąż stał nieruchomy.

— Żegnam!... — powtórzyła cokolwiek głośniej.

Mężczyzna drgnął, jakby ze snu zbudzony.

— Jutro wieczorem wyjadę — rzekł powoli, dziwiąc się sam zmienionemu dźwiękowi głosu; — on *a beau être cretin, on connait son dévoir.* Nie zobaczysz mnie pani więcej... Nie powiem ci: bądź szczęśliwą, bo wiem, że dla ciebie to jest niemożebne... Ja pójdę ogłupić się do reszty, *vous savez!... j'irai à Paris... cafe Riche, Bignon, Lelac, Royal, Meilhac, baron de Vaax,* coś tego... i wszystko się we mgle rozpłynie. Nie powiedz mi pani czasem na pożegnanie kazania o moich obowiązkach obywatela, członka społeczeństwa!.. *et tutti quanti!* ja to sam sobie zaaplikuję, wsiadając do wagonu! Pani jedynie podaj mi rękę i powiec — *va-t-en crêtin, va-t-en espéce d'idiot!*

Zbliżył się ku Marji i ujął jej rękę rozpaloną i od łez mokrą.

— Jaka to rozkosz całować rękę uczciwej kobiety! i to rękę, łzami oblaną!... To z życiem godzi!... Ucałuj pani Jerzusia odemnie!... *je lui enverrai un arlequin, une fois, que je serais là bas!...*

Wyciągnął rękę w ciemną przestrzeń, jakby przesyłał ostatnie pożegnanie murom, zupełnie w cień zapadającym.

— *Et d'une!* — zawołał już prawie wesołym głosem na progu pokoju.

Podniósł portjerę i do przedpokoju się wsunął.

Migocące światło oblało go nagle. Bizantyjska lampa, kolorowemi szkłami sadzona, płonęła po środku, rzucając różnobarwne blaski na ciemnozielone sukno portjer, maskujących drzwi do dalszych pokoi.

Leon zdjął z wieszadła swe wierzchnie okrycie i ku drzwiom się skierował, zdziwiony nieobecnością służącego. Już był przy drzwiach, nagle posłyszał szelest sukni poza jedną z portjer. Szalona nadzieja zamajaczyła przed jego wyobraźnią. Lecz już Trejne wysunęła się z fałd sukna z brwiami, ściągniętemi boleśnie, z ustami skurczonemi charakterystycznem skrzywieniem.

— Pan idzie? — zapytała przyciszonym głosem.

— Idę! — odparł, czując, iż każdy nerw zaczyna mu drgać osobno, a przed oczyma latają płomyki.

— A lekcja?

— Jutro... dziś niepodobna!

— Dlaczego?

Porwała go za rękę, silnie wpijając mu paznogcie w dłonie.

— Ja chcę!... — rzekła gardłowym głosem.

— Puść mnie, panno Trejno! Śpieszę się, czekają na mnie...

— Niech czekają! Pan niech się wróci!

Oczy jej się iskrzyły tysiącem światełek; Leon pomimo wzburzenia zrozumiał, że grał w grę niebezpieczną, podniecając szalone nadzieje w głowie tej dziewczyny. Postanowił je przeciąć odrazu i uwolnić się od jej szaleństw.

— Idę i nie wrócę tu więcej — wyrzekł z jakąś okrutną radością, jakby sprawienie komuś boleści ulżyło jego zgorączkowanej duszy.

Lecz Trejne, jak kot zwinęła się nagle i schwyciła Leona za ramiona.

— Nie! nie! nie! — wołała.

Byłoż to także nagłe zbudzenie się uczucia w tej istocie, która powoli, kocim krokiem ku wyżynom karjery dążyła?

— Trejne, opamiętaj się! co cię ja obchodzę, masz narzeczonego!

— Nie chcę narzeczonego! niech jego djabli porwą!... ja pana wolę!...

Z okrutną szczerością czepiała się tego człowieka, który podbił ją swą wesołością i wiewiórczem spojrzeniem oczu. Była w tej chwili sobą, zuchwałem

dzieckiem lasów, czyniącem wybór według przekonania i chęci, odrzucając konwenanse precz daleko od siebie.

Leon usta do krwi zagryzał. Ta dziewczyna, rzucająca się nagle na przejściu, zagradzająca mu drogę swem ciałem, doprowadzała go do szalonego gniewu. Nerwowo ściskał w ręku laskę, tak, że cienkie okucie srebrne wpijało mu się w dłoń, nieosłonioną rękawiczką.

— Pozwól mi pani odejść.

Nagle drzwi wejściowe, przez Leona już uchylone, otwarły się na roścież i stanął w nich Stanio, pobladły i znużony.

— Jednym rzutem oka objął całą scenę: Trejnę uczepioną u ramion Leona, rozczochraną, rozgorączkowaną. Obłok krwawy przesunął mu się przed oczami, postąpił kilka kroków i zdławionym głosem wyrzucił z siebie jedno słowo:

— *Sortez!*

Drżącą ręką ukazywał Leonowi drzwi. Oczy mu krwią nabiegły, rysy się rozszerzyły, usta wykrzywione nagle, jakby kurczem przedśmiertnym, ukazywały szereg lśniących zębów.

Leon zmrużył oczy i z mocą najwyższą ręce Trejny ze swych ramion odczepił. Poczem zwrócił się do przyjaciela.

— Do kogo pan mówisz?

— Do pana!

— A!... zresztą wszystko jedno; temi drzwiami przyjdą jutro moi świadkowie.

— Pojedynek! wybornie! lecz... bez świadków.

— Więc pojedynek amerykański.

— Tak...

To słowo zasyczało nagle w gardle Stania, jak syk nadeptanej gadziny. Dlaczego je wyrzucił? nie mógł zrozumieć. Chciał przyjąć pojedynek na szpady, na pistolety wreszcie, byle bez świadków, znajdując potworną rzeczą i niewłaściwą mieszać obcych ludzi pomiędzy siebie i swego przyjaciela. Leon rzucił słowo „pojedynek amerykański“, on je przyjął... Dlaczego? powinien był odrzucić.

Nie chciał jednak dać poznać po sobie tego, co się w nim działo, powstrzymując więc nerwowe drżenie, zapytał.

— Spotkamy się zatem?

— U mnie!

— Kiedy!

— Jutro!

— O godzinie?

— W samo południe.

Zamienili jeszcze jedno spojrzenie. Źrenice Leona nawpół przymknięte miały w tej chwili pogardę i silne postanowienie nie cofnięcia się przed rozegraniem ohydnej, śmiertelnej partji; oczy Stania przybrały wyraz obłąkanego zgnębienia. Z poza mgły spojrzał na swego towarzysza rozpusty, który w tej chwili potężniał przed nim straszny odwagą i lekceważeniem własnej egzystencji. Nagle ciche, lękliwe łkanie wyrwało go z odrętwienia. To Trejna, do firanki przyczepiona zawodziła z cicha, cała pod wpływem bolesnego uczucia rozstania się z Leonem. Rozmowy tych ludzi nie rozumiała, mówili bowiem po francusku.

W Staniu, zwierzę niezadowolnione, zwierzę ohydne uśpione w każdym mężczyźnie, ocuciło go z osłupienia i śmiertelnej grozy. Jednym skokiem znalazł się przy Trejnie i, schwyciwszy ją za ramiona, ku drzwiom popchnął.

— I ty... precz!

— Leon już był na schodach, gdy posłyszał nagle otwierające się drzwi. Wybiegła z nich Trejne i szybko ku niemu się rzuciła.

— Ja... wszędzie z panem — wyrzekła miękkim łaszczącym się głosem.

I tyle było jakiejś ufności w przytuleniu się tej czarnej, namiętnej dziewczyny do jego drobnego ramienia, że zużyty ten blagier uczuł się wstrząśnięty cały dotknięciem jej dłoni. W tej chwili, gdy śmierć zaglądała mu poprostu w oczy, zapragnął nagle jakiejś atmosfery miłości i bezgranicznego przywiązania.

— Ja... z panem — powtarzała śmiejąc się przez łzy żydówka.

— *Ma foi, c'est le sort!*

Wyszli teraz na ulicę, która bramowała się już białawą światłością rewerberów gazowych.

Trejne dreptała obok Leona, kurcząc się, jak kocię czarne, z rozstaju podniesione.

— Chodź — wyrzekł Leon, ujmując jej dłonie rozpalone.

I poszli, ginąc w cieniu trotuarów, sprzęgnięci nagle na śmierć i życie tajemniczą dłonią losu.

XVIII.

„Nie szukaj pani Trejny, uwożę ją z sobą. Żart zmienił się w rzeczywistość. Dziewczę to przywiązało się do mnie istotnie. Oszlifuję brylant i, kto wie, może do ołtarza powiodę. Nie mam nic do stracenia, smutny jestem dziwnie, pragnę mieć koło siebie jakieś przywiązane stworzenie. Być może jednak, iż plany moje nie ziszczą się. Cokolwiek się stanie, pamiętaj pani, że i w piersi takiego, jak ja, człowieka coś się kołacze... Jeśliby stało się to, czego przypuścić nie chcę, daruj mi! Szanse były równe... Pomyśl czasem o mnie, nie przeklinaj! *Je souffre de tout mon âme.*

Leon.“

O świcie oddano Marji ten list, pisany na oderwanym arkusiku papieru.

Młoda kobieta spędziła noc bezsenną.

Ucieczka Trejny z pod jej dachu, ucieczka nagła, zgnębiła ją moralnie. Po wyjściu Leona, Marja udała się do swego pokoju, i tam, oddzielona całą masą portjer i drzwi tapetowych, nie słyszała ani słowa z potwornego dramatu, jaki się w przedpokoju rozegrał.

Jerzuś, bawiąc się na dywanie u stóp łóżka, zdrzemnął się i leżał z buzią zanurzoną w białe włosy skór niedźwiedzich. Marja przyklękła przy dziecku i machinalnie zdejmować mu zaczęła z nóżek niebieskie pantofelki.

— Mamuś — wyszeptał chłopczyk, otwierając leniwie senne powieki.

— Tak, Mamuś — odparła Marja głosem od łez nadbrzmiałym — śpij synku! śpij kochanie!

Rozebrawszy dziecko, usiadła koło okna, wpatrzona w przezroczysty szafir nieba, na którym iskrzyły się tysiące gwiazd migotliwych.

Odejście Leona, jego wyjazd, pozostawił nagle wkoło niej pustkę niezapełnioną. W odosobnieniu, w jakiem żyła, w tym braku wszelkiej prawie styczności z ruchliwym światem, w którym na każdym kroku musiała ocierać się o kobiety, prześladowane względami męża, w tej samotności, jaką sobie sama dobrowolnie stworzyła, nie chcąc wtajemniczać obcych w bolesne koleje swego małżeńskiego pożycia, Leon zajął szerokie miejsce przyjaciela, doradcy i istoty, wnoszącej blask śmiechu na szare tło smutku i złamanych nadziei.

Inaczej jednak być nie mogło. Raz poznawszy istotny stan uczuć Leona, oddalić go musiała dla nienarażania się na słuszne zarzuty, zachęty i podniecania nadziei.

Postanowiła napisać do Antoniego, zmusić Trejnę do przyśpieszenia ślubu i, pozostawszy w ten sposób sam na sam z dzieckiem i mężem, zaproponować temu ostatniemu wspólny wyjazd na jakiś czas do Siemiatycz.

Antoni miał po ślubie z Trejną wyjechać na kilka tygodni z Horki, gdyż umysły żydów okolicznych nadto jeszcze chrztem Trejny wzburzone były. W ten sposób Marja mogła bezpiecznie przepędzić jesień w Siemiatyczach i z pewną ulgą myślała o tych dniach słonecznych, w których z drzew pada ulewa liści złotych o czerwonych odcieniach.

— Odpocznę! Zapomnę! Jerzuś nabierze kolorków, utyje, a kto wie!... może w Staniu zbudzi się teraz chęć do jakiejkolwiek pracy. Jest tak zmęczony, skołatany tem hulaszczem życiem; może i jego nerwy wypoczną w wiejskiej ciszy... i on zapomni...

Spojrzała przed siebie.

W ciemni nocnej wielkie mury sąsiednich kamienic zasłaniały jej horyzont, jak barykada, tamująca swobodę myśli. Z latarni płynął brudny strumień żół-

tawego światła i spadając na trotuary, rozwłóczył po nich niepewne i niezdrowe blaski. Od czas do czasu przemknęła sylwetka jakiegoś przechodnia, śpieszącego się i jakby przerażonego odgłosem własnych kroków. I tylko przyciszony, oddalony huk, jakby rwącej fali, całymi kłębami uderzał o milczące mury, w których powoli zapalały się światła, przecinając czarną masę jasnymi otworami. Z otwartych okien przeciwległego domu ciągle płynął nokturn Aubera, porwany, niecierpliwy, bez najmniejszego artyzmu z klawiszy wyszarpywany. Nokturn to był tak brutalny, jak cała ulica, jak światło gazu, jak ta woń niepewna, tłuszczem przesiąkła, która ulice miasta wypełnia.

Gdy Marja wreszcie oderwała się od okna, późna już była godzina. Młoda kobieta szybko cofnęła się ku drzwiom, prowadzącym do dziecinnego pokoju, w którym teraz sypiała Trejne. Zapewne dziewczyna, według swego zwyczaju, drzemała na sofce, czekając na herbatę.

Światło jednak lampy, którą Marja trzymała w ręku, padło na zupełną pustkę. Ani śladu Trejny. Nie była jednak zapewne daleko, bo mała pluszowa chustka, którą zawsze miała na sobie, leżała na środku pokoju. Marja powróciła do swej sypialni i weszła do salonu. I tu pustka zupełna. Przeszła jeszcze salę jadalną, zajrzała do małego pokoiku, obitego jasnym kretonem i obwieszonego japońszczyzną. Nigdzie nie znalazła Trejny.

Przed drzwiami, prowadzącemi do gabinetu Stania. zatrzymała się chwilę. Słyszała najdokładniej skrzyp butów męża, przechadzającego się wzdłuż pokoju. W chwilach silnego zdenerwowania Stanio chodził tak zawsze, jak zwierz, zamknięty w klatce.

Jak kobieta prawdziwa, poradziła się swego... przeczucia. Ten tajemniczy głos nie mówił jej, że razem ze Staniem znajduje się Trejne. Powróciła znów do siebie szarpana niepokojem.

Zadzwoniła.

Po chwili zjawiła się piastunka.

— Jaśnie pani dzwoniła? Może Jerzuś?

— Nie, Jerzuś śpi spokojnie. Gdzie jest panna Joanna?

Pokojówka uśmiechnęła się lekko.

— O... panna Joanna!... nie wiem, zdaje mi się...

Marja uczuła jakby upokorzenie wobec słów tej dziewczyny.

— Mów prędzej. Czy wyszła?

— Tak! przed kwadransem stałam przed bramą, o! tylko na chwilkę. Panienka wyszła razem z panem Leonem. Była zapłakana... i bez kapelusza... Panienka...

Lecz Marja przerwała jej szybko:

— Dość!

Dziewczyna wyszła, kryjąc uśmiech zadowolenia. Cała służba nienawidziła tej „wychrzcianki", która się stroiła, siedziała dnie całe z państwem i usługiwać sobie kazała.

— Dobrze tak pani — mruczała, wracając do kuchni — teraz despekt i skandal *bez* taką żydowicę.

Po wyjściu dziewczyny, Marja stała długą chwilę, jak do miejsca przykuta.

Leon? czyż to podobna? mógłżeby on się dopuścić tego kroku i sprawić jej boleść tak ciężką? Trejne była powierzona jej opiece! Z jakiem czołem stanie teraz przed Antonim? jak odpowie na jego rozpaczliwe pytania?

Przez godzinę jeszcze łudziła się, że Trejne powróci, że lada chwila zadzwoni do bramy, zmuszona do powrotu przez Leona; lecz północ wybiła na kolejowym zegarze, a milczenie panowało zupełne.

Powoli podniosła się Marja z fotelu, na który się była osunęła, i potarła ręką czoło.

Tak! uda się do męża. On, jako pan domu, powinien ochronić swój dach od skandalu, jaki stąd wyniknąć może. Musi, powinień.

Podszedłszy pod drzwi gabinetu, stała chwilę, nagłą nieśmiałością zdjęta. Byli teraz „wzorowem małżeństwem", widującem się tylko u wspólnego stołu. Marja nie wchodziła nigdy do pokojów męża podczas jego obecności. Z trudnością więc poruszyła za klamkę.

Drzwi były zamknięte wewnątrz, Marja lekko zastukała.

Skrzyp obuwia nagle ustał.

— Kto tam?

— Ja Marja!

— Czego!

Głos Stania zabrzmiał nagle jakby przerażony.

— Pragnę z tobą pomówić.

— Za chwilę!...

Marja usłyszała szelest papierów, pośpieszne zamykanie szuflad, wreszcie drzwi się otworzyły. W żółtawem świetle źle płonących świec, ukazał się jej oczom mąż, jakby znużony, zgnębiony, pochylony ku ziemi.

Cofnął się do biurka, na którem zostały porozrzucane jakieś świstki, pokwitowania i kawałki podartych listów.

Trzy świece, oprawione w srebrny kandelabr rzucały ponury blask pochodni na złoconą skórę, jaką ściany gabinetu były wybite.

— O co chodzi?

Marję uderzył zmieniony dźwięk głosu męża.

— Czy jesteś chory?...

On wzruszył ramionami.

— *Quelle idée!*

Ręką wskazał fotel z wysiłkiem kurtuazji.

Marja głową skinęła.

— Nie zajmę ci wiele czasu. Chcę tylko powiedzieć, że Trejna... wyszła z... Leonem... i...

Grymas wykrzywił usta Stania.

— I nie wróciła... Wiem o tem...

— A!...

— Tak! I to ja sam ją wypędziłem.

— Ty?... Ty śmiałeś. Ty mogłeś to uczynić?... Za co? dlaczego?...

— Musiało się tak stać. Pan Leon musiał zabrać swoją najdroższą! *Oh! le beau couple!*...

Usiadł nagle przy biurku, jakby złamany, i oparł głowę na ręku.

Marja zbliżyła się ku niemu.

— Trzeba, nie tracąc czasu, ażebyś pojechał do Leona i przemówił do jego honoru!

Oczy Stania zaświeciły nagłym blaskiem.

— Zbyt jesteś łaskawą, wyprawiając mnie do Leona. Bądź pewna, że usłucham twej rady i pójdę tam. Tylko nie teraz i nie po twoją Trejnę...

Zerwał się znów z miejsca i zaczął szybko pokój przebiegać. Marja śledziła, go z wzrastającem wzruszeniem. Sądziła, iż myśl po utracie Trejny przejmuje go taką rozpaczą. Przez chwilę szukała w umyśle czegokolwiek, czem by mogła uspokoić te rozszalałe nerwy.

— Może chcesz Jerzusia zobaczyć? — zapytała nieśmiało.

W swej wielkiej czystości uczuć sądziła, iż widok dziecka zdoła uspokoić rozigrane zmysły.

Lecz on rzucił się, jak szalony, przecinając rękami powietrze.

— Nie chcę! nie chcę! Nie mów mi o niczem!

Upadł na szeroką i niską sofę, wciśniętą pomiędzy szafy bibljoteki i zanurzył głowę w haftowane złotem poduszki.

— Nie chcę słyszeć o niczem!... Nie chcę!...

Marji ścisnęło się serce niewypowiedzianym bólem. Tak więc głęboko wpiła się w krew tego człowieka ta dziewczyna, że pada niemal bezprzytomny i z jękiem woła: „nie chcę słyszeć o niczem!?“

Zakryła twarz rękami i tak stała, jakby skamieniała, nie mogąc odejść, nie śmiejąc się poruszyć.

Nagle jęk Stania ustał. Mężczyzna porwał się z sofy i ku żonie się zwrócił.

— Czego tu stoisz, jak zły duch, sprowadzający mi nieszczęście? Czy nie widzisz, że szaleję, że od zmysłów odchodzę!?... Do Leona! do Leona każesz mi iść o! ty, złowróżbny kruku!...

Oczami, nabiegłemi krwią, wkoło potoczył. Nagle, wskazując na trzy świece, migocące w ramionach kandelabra zawołał:

— Zgaś jedną!... Zgaś! zgaś prędzej! Słyszysz!...

Marja, chwiejąc się, do biurka podeszła. Z wysiłkiem zdmuchnęła płomień dwóch świec. Pozostał tylko jeden płomień smutny, żałobny, chylący się pod wpły-

wem podmuchu wiatru, płynącego od przysłonionego draperją okna.

— Po co tu przyszłaś? — zaczął znów mąż. — Podpatrywać, szpiegować?... O! ty, święta!... Zawsze wyniosła i nietykalna!... Spadłaś mi nagle z testamentem, jak dachówka na... głowę!... *C'est du propre!*... Cała ta intryga była nieźle osnuta!...

Marja zachwiała się pod tym ciosem.

Jaki demon oplątywał umysł tego człowieka, że brutalnie, zwykłych, zimnych konwenansów się pozbywszy, ciskał jej w oczy obelgę i ranił boleśnie jej dumę?

Co się działo w głębi tej duszy, tragicznie się szarpiącej w jakiejś bezsilnej, potwornej trwodze? Jakie widma rozsnuwały się przed jej oczami w żółtym półcieniu tych ścian, złotem pokrytych? Kilkakrotnie Marja znosiła już ataki nerwowe męża, lecz nigdy nie zapomniał się tak strasznie i nie bryznął jej w oczy potokiem słów raniących.

Nie próbowała się bronić; przymknęła tylko oczy na chwilę, jak ci, którzy nie chcą widzieć przed sobą przepaści najeżonej odłamami zabójczych kamieni.

Lecz podczas tej krótkiej chwili myśl jej cała pobiegła do kołyski dziecka. Syn jej prosił o przebaczenie dla ojca i pod tym, nienawistnym jej od tej chwili, dachem, pozostać rozkazywał.

Milczenie zapanowało znów ciężkie, złowróżbne, gniotące.

Wreszcie Marja od biurka się oderwała.

— Odchodzę — wyrzekła przyciszonym głosem — widzę, że cierpisz, a obecność moja cię drażni.

Ku drzwiom się skierowała, lecz on drogę jej sobą zagrodził.

— Naturalnie! odchodzisz, wierna i kochająca żono; skoro mąż cierpi, żona odchodzi. *Ça va sans dire!*...

Rozśmiał się ironicznie i ręce na krzyż założył.

— Czegóż jednak mogę żądać od ciebie? Ty szukałaś pod dachem moim karjery, pozycji, *petit souillon*, jakim byłaś!

Ona ani drgnęła, oswajając się powoli z tą nową torturą, jaka na nią spadła.

Lecz on dalej ciągnął swe ironiczne słowa. Cała

nikczemność tego charakteru wyszła na jaw, wobec tchórzostwa, przepełniającego go na myśl o jutrzejszem z Leonem spotkaniu. Jak zwierz dziki, zraniony, zatapiał pazury i rwał na kawałki serce bezbronnej kobiety.

Do tej chwili szanował w niej kobietę i matkę syna; w zgniliźnie zepsucia miał jeszcze ten wzgląd wpojony razem z zasadami *savoir-vivre'u*, lecz w tym momencie śmiertelnej trwogi deptał wszystko, znajdując niejako ulgę w tej krwawej, z łez kobiety złożonej, biesiadzie.

Tak! bezwątpienia. Ona, a nie kto inny podsunął ciotce Elżbiecie myśl piekielną dodania do testamentu owego kodycylu. Dziś musi być szczęśliwa, marzenia jej się ziściły. Lecz... niech nie cieszy się przedwcześnie. Ten majątek, o który jej tak chodziło, nie istnieje... dawno już stopniał i poszedł gdzieś w świat! Tak! tak! nieinaczej; ani ona, ani jej syn nie dostaną nic w razie jego śmierci! i szczęśliwy jest, że się tak stało! szczęśliwy bardzo! nie pozostawi po sobie, nic! nic! przejrzał przed chwilą stan majątku... o tak, dla zabawy, i przekonał się, że nie ma nic, prócz długów!...

Wybuchnął śmiechem przeciągłym, nerwowym. Pot ściekał mu obficie z czoła i srebrzył się w niepewnym blasku świecy.

Nagle ręce do szyi podniósł.

— Duszę się!... — zawołał.

Marja podstąpiła kilka kroków, lecz on obłąkanym na nią spojrzał wzrokiem.

— Nie dotykaj się mnie! Idź! idź! ty mi nieszczęście przynosisz! i teraz mi nieszczęście przyniesiesz! Idź!...

Osunął się na krzesło, stojące koło drzwi, oddychając ciężko.

Tymczasem Marja szybko wysunęła się do salonu i, dopadłszy drzwi swego pokoju, na klucz je zamknęła.

Wśród rozrzuconej pościeli spał Jerzuś, uśmiechnięty, cały różowy, oblany łagodnem światłem *veilleusy*. Już od progu sypialni nogi odmówiły Marji posłuszeństwa. Upadła na klęczki i dowlokła się z trudem do łóżka dziecka.

— Boże! miej litość nad nami! — wyszeptała zdławionym od łez głosem.

. . . . . .

Kiedy wczesnym rankiem zastukano do drzwi jej sypialni, w przeczuciu ciągłych teraz nieszczęść, skoczyła śpiesznie z łóżka. Z febrycznem drżeniem przebiegła bilet Leona. Więc—stało się. Trejna pozostała przy nim! Lecz co znaczyły dalsze słowa listu. Czy miały się odnosić do porwania Trejny? Prośba o przebaczenie? o! zapewne, bo ciężka była wina tego człowieka! ciężka bardzo!

Kołatać o powrót Trejny, zmuszać ją do małżeństwa z Antonim, nie było rzeczą możliwą. Lepiej, że serce Trejny zbudziło się teraz, niż gdyby się to stać miało po ślubie. W każdym razie był-to jednak straszny cios dla Antoniego. Marja w tej chwili już rozbierała słowa, w jakich mu tę żałobną wiadomość zapowie.

Nie zwlekając, wysłała telegram, obmyła pobladłą twarz wodą — i kilkakrotnie podchodziła do gabinetu męża, nie śmiejąc jednak po wczorajszej scenie ani zapukać, ani wejść tembardziej.

Służba snuła się po pokojach cicho, zamieniając pomiędzy sobą znaczące spojrzenia.

Jedno z takich spojrzeń podchwyciła Marja i czemprędzej cofnęła się do swego pokoju. Te chłodne, ironiczne spojrzenia domowych wrogów sprawiały jej ból dotkliwy.

Po raz pierwszy uczuła, że straciła grunt pod nogami, że tonie w jakiemś rozmokłem błocie.

Około południa usłyszała drzwi gabinetu otwierające się gwałtownie. Szybko poskoczyła ku drzwiom salonu. Uniósłszy portjerę, zobaczyła męża, przechodzącego w kierunku przedpokoju. Miał na twarzy gorączkowe wypieki, a zapadłe oczy świeciły niezdrowym ogniem. Twarz mu się przedłużyła, nos występował silną linją. Marja z przerażeniem dostrzegła zmianę, jaką noc ta uczyniła w tych pięknych rysach. Jasne światło poranku, płynące z otwartych okien, wydoby-

wało jeszcze wyraźniej na jaw piętno cierpienia, rozlane na twarzy Stania.

Zobaczywszy żonę — stanął, jakby chcąc przemówić jakieś słowo, lecz wprędce zaciął wargi i ściągnął brwi. Przeszedł sztywno i prosto salon, poczem zniknął poza draperją portjery.

Marja stała jeszcze chwilę, jak przykuta, mając ciągle przed sobą tę postać męską, zdręczoną cierpieniem, a mimo to podnoszącą znów hardo głowę, jakby z wyzwaniem niewidzialnemu wrogowi.

Powróciła do kołyski Jerzusia.

Dziecko, wstawszy rano, zażądało znów snu i, ułożone na atłasie kołderki, zasnęło, cisnąc do piersi małego pajaca w purpurowej bluzie.

Marja sięgnęła po książkę, leżącą na stoliku, i zaczęła przewracać kartki. Była to *„Jeunesse d'un homme"* Charpentier'a, silne a głębokie studjum życia ludzkiego. Marja usiłowała ogłuszyć się i zmusić poniekąd do uwagi rwące się w bezładzie myśli.

Czytała krótką chwilę, nie wiedząc co czyta, niemogąc nic zrozumieć w chaosie liter, które jej się przed oczy tłoczyły.

Mały zegar, stojący na ozdobionej bronzami komódce, wydzwonił dwunastą.

I nagle, z łóżeczka porwał się Jerzuś z głośnem łkaniem.

— Tatuś!... tatuś!...

Marja do kołyski dopadła.

— Co ci, synku? dlaczego płaczesz!

Dziecko z przestrachem głowę do piersi matki tuliło.

— Tatuś w jamę wpadał...—wyszeptał urywanym głosem.

Marję przeszedł mimowoli dreszcz trwogi.

Śniło ci się, aniołku! Tatuś je teraz śniadanko!

Lecz dziecko, ciągle drżące, tuliło się do matki, zdjęte trwogą przed sennem widziadłem, szepcąc imię ojca, który prócz nieprzychylnego spojrzenia, nigdy nic więcej dla niego nie miał.

. . . . . .

Kelner, zdejmujący z tablicy klucze dwudziestego numeru, z pewnym niepokojem spojrzał na stojącego przed nim gościa.

— Trochę wysoko, jaśnie panie!

Młody człowiek nie odpowiedział nic, miał nerwowo zaciśnięte usta; skinął tylko nieznacznie ręką, pokazując kelnerowi białą linję schodów.

Służący poszedł pierwszy, skacząc po kilka stopni, obok płótna, pokrywającego czerwony wojłok chodnika.

Idąc, ukosem spoglądał na nowoprzybyłego.

Młody ten pan nie budził w nim zaufania. Wyglądał, jak człowiek, powracający z nocnej hulanki, dobrze podcięty. Szedł wprawdzie prosto, ale widać było, że przychodzi mu to z trudnością. Na zakręcie schwycił nawet sznur, a kelner dostrzegł wyraźnie, że ręka mu drżała.

Drugą rękę, prawą, trzymał uparcie w kieszeni od spodni, jakby ukrywał tam jakiś przedmiot.

Doszli wreszcie do drzwi numeru, na których czerwieniła się, jak plama, teczka „Dziennika anonsowego".

Kelner z brzękiem drzwi otworzył.

Przed przygasłemi oczyma Stania ukazał się niewielki, kwadratowy pokój, zalany poprostu strugami słońca. Dwa łóżka, pokryte czerwonemi adamaszkowemi kołdrami, wyciągały się po dwóch stronach ścian. Na lewo od wejścia stała czerwona, aksamitna kanapa, źle oczyszczona, jakby pyłem posypana. Przed nią stół, a na nim sakramentalne zapałki w porcelanowej podstawce, cztery asy imitującej. Pomiędzy oknami lustro, pod niem komoda z powyciąganemi szufladami. Kelner do komody dopadł i szuflady zasuwa szybko.

Stanio stał ciągle przy stole, wpatrzony w treflowego asa, czerniejącego na tle białej porcelanowej karty.

— Czy jaśnie pan tu pozostanie?

Stanio głową skinął.

— Może wody?

— Nie... chcę odpocząć trochę... zasnę... proszę mnie nie budzić... jestem zmęczony...

Odwrócił głowę, jakby kryjąc twarz przed badawczem spojrzeniem kelnera.

— Jaśnie panie...

— A!... o co chodzi?...

— Papiery, pasport... taki przepis.

Stanio ręką do kieszeni kurtki sięgnął.

— Proszę!...

Podał kelnerowi pasport, odebrany wczoraj w ratuszu. Miał mu służyć do Aix-les-Bains.

Kelner pasport za fartuch schował.

— Czy nic już nie potrzeba?

— Nic!... a!..! jeszcze... chciałbym koniaku. Jaki tu macie? Jest *Martel? fine Champagne?*

— Nie wiem, jaśnie panie, to nie mój wydział. Przyślę tu kelnera z restauracji.

— Nie! nie!... nie przysyłaj nikogo! przynieś sam!

— Dobrze jaśnie panie!

Wyszedł. Za kilka minut zastukano znów i w czarne sukno ubrana ręka wsunęła butelkę *fine Champagne'u* na srebrnej tacce i maluchny, przejrzysty kieliszek.

— Dziękuję... proszę mnie już nie nachodzić, dopóki nie zadzwonię!

Drzwi się zamknęły—i Stanio pozostał sam jeden.

Odsunął stół i usiadł na kanapie.

Siadając, wyjął z kieszeni mały rewolwer, niklowany, z hebanową rączką. Słońce jasną falą uderzyło w stal i zabłysło w niej tysiącem ostrych promieni. Stanio jakby zahypnotyzowany, wlepił oczy w tę promienną gwiazdę i siedział tak bez ruchu i napozór bez myśli.

A jednak—pod jego czaszką kłębiła się cała masa myśli krótkich, urywanych i piekących, jak ostrze żelaza. Tylko wrażenia te ciemniały w jakimś przygniatającym go chaosie. Nie miał już sił do szamotania się tak, jak to czynił noc całą. Nad ranem upadł na sofę, kamiennym snem zmożony. Zbudził się z niego, jak lunatyk, poddając się już biegowi wypadków. Nie chciał się cofnąć od śmiertelnej potyczki z Leonem; był zanadto dobrze wychowany, aby mógł odsunąć możliwość nawet amerykańskiego pojedynku. Przyjął

go. Dziś za nic, za skarby Golkondy, cofnąć się już nie mógł! Ludzie, żyjący w takim, jak on, świecie, nie drżą przed przegraną całych tysięcy w karty, nie cofają się przed wyciągnięciem czarnej gałki z cyzelowanego złotego kubka.

Dlatego-to Stanio nie drgnął także, sięgając do świecącej czarki, którą przed nim równie spokojny i blady postawił Leon.

Nie przemówił ani słowa, obaj zupełnie *correct*, jak ludzie, którzy czują, że za pierwszem słowem popłynąłby cały potok serdecznych wyrazów, rwących ręce do uścisku i wzajemnego przebaczenia.

Lecz żaden z nich, żaden z tych ludzi, stawiających z fałszywą odwagą nogę nad przepaścią grobu, nie dał nawet poznać po sobie, jak cierpiał, zanim zdołał opanować rozigrane nerwy, drżące muskuły.

I gdy w dłoni Stania zaciemniała mała, niewielka gałka szklanna, ciemnozielona, pożyczona u jasnowłosej dziewczynki sąsiadów, z tabliczki Solitera, Leon doznał nagłego olśnienia, jakby zahypnotyzowany tym czarnym punktem, który w przelocie zaciemniał na pokrajanej brózdami dłoni przeciwnika.

Było to jakby uczucie ulgi, ale zarazem ciężkie pchnięcie sztyletu w ten punkt naszej duszy, który ludzie nazywają sumieniem.

Poprawność jednak, prześladująca od kołyski dobrze urodzonych ludzi, nie dozwoliła mu ujawnić ani jednego ruchu, ani drgnienia muskułów, choć wszystko w głębi jego duszy rwało się na strzępki.

Nieruchomy, na tle czerwonych draperji, okrywających ściany jego saloniku, pozostał tak chwil kilka po odejściu Stania. Ważył w swym umyśle, co mu uczynić wypadało. Znał przecież kodeks honoru! Powinien milczeć i odepchnąć od siebie wszystkie podejrzenia. Zgłębił swe usposobienie. On w takim razie, gdyby jemu ciemna przypadła gałka, uczuł by się podwójnie znieważony rodzajem litości przeciwnika. Nie przyjąłby darowanego życia. Raczej po raz drugi stanąłby do śmiertelnych zapasów...

Powoli zaczął tłumić w sobie lepsze uczucie, jakie się na dnie jego serca ruszyło. Zabije się? *Dieu*

de ciel! umrze cokolwiek wcześniej, niż umrzećby powinien. Oswobodzi Marję i resztę zrujnowanego majątku ocalić jej pozwoli. Zresztą... szanse były równe.

Jedno czuł jeszcze dokładnie.

Marja dla niego, dla Leona, straconą była na zawsze. Śmierć Stania kładła pomiędzy nimi moralną barjerę. Stanio, jako człowiek *correct,* rzecz tę upozoruje samobójstwem zapewne, lecz on w głębi siebie wie, iż wdowa po jego przeciwniku jemu swą żałobę zawdzięcza. On *a beau être sceptique,* są rzeczy silniejsze nad wszelką blagę.

Trzeba więc wyjechać, wyjechać jaknajprędzej i w gorącem objęciu Trejny szukać zapomnienia. A jeżeli nie przyjdzie... samemu można stoczyć z sobą amerykański pojedynek. Na to czasu dosyć! „Smith i Wessou" — tyle ich migoce poza przezroczem szyb sklepowych.

Taką samą broń, artystycznie wyrobioną, położył przed sobą na stole hotelowym Stanio i uparcie wlepił w nią krwią nabiegłe źrenice.

Ta straszna, okrutna noc, podczas której widmo śmierci wstrząsało go konwulsyjnie dreszczami, rozwinęła w nim niezachwiane postanowienie.

W razie wyciągnięcia śmiertelnego wyroku, postanowił sobie niezwłocznie odebrać życie. Nie chciał się dłużej poddawać tej okropnej torturze. Miał dziś dość odwagi, aby ku sobie broń skierować, lecz... nie mógł przenieść na sobie myśli, że musi przestać istnieć. Czuł, że ogarnia go tchórzostwo, że jutro może nie zdołałby stać się własnym katem, a wtedy... wtedy cóżby się stało z jego... honorem? I człowiek ten, który ze słodkim uśmiechem plamił honor mężów i sławę żon i matek, człowiek, który, odziedziczywszy słoneczny szmat ziemi, niszczył ją, jak Wandal, zda się krew z niej dla trochy grosza wypijając, aby grosz ten roztrwonić następnie w Trouville lub Etretat, tonącem w blond świetle złotawego piasku, człowiek ten, dla ocalenia swego honoru, wyciągał rękę w kierunku hebanowej rączki rewolweru i ogłupiały, przybity, płacił życiem za kilka słów, zamienionych podniesionym głosem, słów banalnych, jak jego życie całe, jak życie *viveur'a,*

wlokące się szarem, trywjalnem pasmem, pomiędzy bulwarem paryskim, piaskiem ostendzkim, wanną w Aix la Chapelle i wreszcie ciasnemi ścianami mieszkania w Warszawie...

Twarz Stania, pomimo całej masy słońca, powlokła się szarawą barwą. Usta mu obwisły, a w kącikach zamigotała ślina. Poruszył się powoli, podniósł rękę i nalał sobie trzy miarki koniaku jedną po drugiej. Wstrząsnął się gwałtownie i ręce mu opadły wzdłuż bioder. Siedział znów nieruchomy, w świecące się ciało rewolweru wpatrzony...

W sąsiednim numerze krzątała się dziewczyna hotelowa, zmieniając pościel, przesuwając łóżko. Z poza drzwi zamkniętych i zasłonionych szafą słychać było wyraźnie jej głos czysty i dźwięczny, nucący jakąś urywaną piosenkę.

Chwilami piosenka ta urywała się nagle i znów nawiązywała z pewnym uporem, kręcąc się koło kilku nut przeciągłych, jak echo, włóczące się po lesie.

Stanio mimowoli nuty te echem łowił; ot... za chwilę powrócą... nikną... znów wracają!... Są!...

O żonie, o dziecku myśleć nie chciał. Po co? na co? Wpadło to małżeństwo mu w życie nagle, przyjął je, chwilę nawet upoił się dziewiczym wdziękiem żony. Później dwoje tych, napozór najbliższych osób, zajmowało tak mało miejsca w jego istnieniu! Czem był dla nich? czem oni dla niego? Egoista, samolub, spróchniały z gruntu, nie czuł piękna w uśmiechu dziecka, w spokojnym uścisku żony. Nie miał więc w tej chwili okruszyny żalu za niemi. Jeśli żałował kogo... to — samego siebie!

Sięgnął znów po butelkę z koniakiem.

Nie nalewał już płynu w kieliszek, przytknął szyjkę do warg i wlewał wprost w usta. Tak lepiej, odrazu pochłonie więcej. Odurzy się może, choć...

Ostry zapach napoju, zapach ananasu i truskawek świeżych przypomniał mu nagle *Café riche i Tour d'Argent*. Postawił butelkę, przeniósł się myślą do suteren Orpheum, lub mizernych klombów Jardin de Paris. We mgle przemknęły przed nim zwartym szeregiem kankanujące tancerki w kłębach batystu i koro-

nek. Jedna z nich miała rozfryzowane pióro i obszarpaną spódnicę. Była *rigolo*, Leon się w niej zakochał. Leon!

Głowa Stania mimowoli cofnęła się nagle wstecz, dolna szczęka opadała coraz niżej, urywany oddech wydobywał się z piersi.

Numerowa wciąż śpiewała.

Teraz otworzyła okno i trzepała dywanik.

Każde uderzenie derki o ramę okna sprawiało na Staniu wstrząsające wrażenie. Zdawało mu się, że ktoś płaską deską bije go po czaszce. I nagle postanowił skończyć. Życie było głupie i nieznośne... Wszystko się psuło... Dalsze istnienie przedstawiło mu się nagle, jak czarna przepaść.

Pewną, silną ręką sięgnął po rewolwer. Czekał teraz tylko oddalenia się dziewczyny. Zamknęła okno i, śpiewając ciągle, wyszła z pokoju, trzaskając drzwiami. Szła teraz przez korytarz, a piosenka jękliwie się za nią wlokła, do drzwi numerów kołacąc...

Stanio pomacał się po skroni, otworzył oczy i zaraz je przymknął, unosząc wrażenie jasnej strugi słońca i niepewnej zieleni drzew, ciemniejących na środku hotelowego dziedzińca.

Prawie bezwłasnowolnie cyngiel nacisnął chwilę jeszcze zawahał się półkorpusem, i nagle... osunął się na kanapę, waląc się głową naprzód na zniszczone sprężyny, które przeciągle jęknęły pod tym śmiertelnym ciężarem.

Honorowi... stało się zadość...

* * *

Nie już niebieska, ale szafirowa poprostu włóczyła się w przestrzeni barwa, malując na błękit kępy drzew, leszczyny i paproci Wołochowskiego uroczyska. I była to jesień tak przejrzysta, czysta, ze srebrnemi nićmi, przecinającemi powietrze, że Styr cały srebrzył w niej, jak tafla szkła w kryształ rznięta i masy wierzb karłowatych, ciemnych i do ziemi przysiadłych oprawna. I tylko z poza tych barw błękitnych złociły się już zżółkłe liście, od spodu poczerwienione, które jak stado

wyzłoconych ptaków, podrywały się z gałęzi drzew i razem z wiatrem kręciły się w powietrzu. Poczem wszystko umilkło; jakiś lekki zapach, jakby spalonego drzewa, powiewał z głębi lasu i tylko trzcina zakołysała się nieznacznie i Styr mruczał, sunąc coraz dalej. Niebo miało błękit przejrzysty, jakby lekką białą gazą pokryty. Gaza ta kłębiła się ku górze i z niej wypływała jasna tarcza słoneczna. Poza wzgórzami uroczyska w błękitnych linjach, ginęły dalsze plany. Czasem nagi szmat pagórka błysnął białym bokiem. Czasem kopuła cerkiewki zamigotała w blasku. I było to nieprzejrzane morze błękitu, w którym tonęły drzewa, pola, łąki i zakręty rzeki. Jak płaszcz królewski, tak rozsuwał się dokoła ten szafir przeczysty, wypełniał przestrzeń, przypadał ku ziemi, ciągnął się po ściernikach. Były to całe płaty krepy błękitnej, nagle na ziemię opadłej i łagodną, słodką barwą owiewającej wszystko, łagodzącej ostre tony złota jesiennego.

W błękit ten wpatrzona, stała nad brzegiem rzeki Marja w ciemnych swych szatach żałobnych. Lecz po jej twarzy pobladłej igrał już płomień pogodny, piersi całą siłą wciągały zapach poruszonej ziemi, ziemi tłustej, ciemnej, wielkiemi płatami z pod pługa się odwalającej. Obok niej, w fałdy jej kiru wciśnięty, Jerzuś wychylał swą kędzierzawą główkę i, cały zaróżowiony od rozkosznego powietrza, z uśmiechem fale Styru śledził, po których gałązki wierzbiny płynęły, goniąc kawałki kory, zczerniałe i nawpół przegniłe w wodzie.

I nagle dziecko wyciągnęło rączkę i w dal ją skierowało.

— Mamusiu, to nasze?

— Nasze, synku, nasze!

Głos jej brzmiał radością serdeczną.

Od roku już bawiła w Siemiatyczach po to, aby pozostać w nich na zawsze. Po otrzymaniu strasznej wieści, która ją okryła kirem wdowim, zapadła ciężko na zdrowiu, nie mogąc, jak prawdziwa kobieta, przenieść z męską odwagą nagłej śmierci męża. Lecz z czasem, zmuszona koniecznością zajęcia się okruchami majątku, który ocalić należało dla dziecka, podniosła się siłą woli i stanęła gotowa do czynu. Samobój-

stwo Stania, do ostatniej chwili dla niej niezrozumiałe i niewytłumaczone, przez długi czas bezustannie zajmowało jej umysł. Przebaczyła mu wszystkie błędy, zapomniała o opuszczeniu, w jakiem ją mąż pozostawiał i, przypominając sobie pierwsze chwile małżeńskiego pożycia, budowała w sercu swem maleńką kapliczkę dla zmarłego, kapliczkę serdecznego przywiązania i smutnej litości, którą miała kiedyś otworzyć przed oczyma syna, skoroby jakaś wątpliwość w umyśle dziecka zbudzić się miała.

Z całej powodzi długów zdołała, przy pomocy Antoniego, uratować Siemiatycze, i do nich, jak do portu cichego, dążyła teraz w swych wdowich szatach i z dzieckiem u boku. Odświeżyć dom, uczynić go mieszkalnym, zająć się sama gospodarstwem, ulepszyć, o ile możności, smutny stan ziemi i lasów, usunąć Szmula, wyrzucić po wyekspirowaniu, przez ciotkę Elżbietę zawartych kontraktów Niemców, oto był teraz cel młodej kobiety.

I po dniu pracowicie spędzonym, jak ongi, przed laty, szła teraz w stronę uroczyska, prowadząc dziecko, słuchając jego szczebiotu, pławiąc się w słońcu, w barwach, w przestrzeni...

Doszedłszy do uroczyska, spoglądała w stronę Horki, i tak, jak ongi, przed laty, na Styr patrząc... czekała.

Nagle po wężu srebrzystym, lekko się chybocząc, z poza grupy wierzb do ziemi przypadłych, wysunęła się łódka, a głos męski, dźwięczny, wołał radośnie.

— Hop! hop!

Ona uśmiechnęła się tylko spokojnie, cała wyzłocona w blasku słonecznym i zamiast niej Jerzuś po brzegu skacząc, wołał, rączki do ust przytuliwszy:

— Hop! hop!

Wówczas z łódki podniosła się powoli biała wyżlica i przedniemi łapami o drzewo się oparłszy, radośnie ogonem kręciła.

Jerzuś tymczasem rączki wyciągał.

— „Cytra"! pójdź tu psina!...

Łódka do brzegu przybiła, kołysząc się dzwoniąc

łańcuchem. Antoni w piasek ją wbił i za chwilę na brzegu Jerzusia wysoko podniósł.

Chłopiec śmiał się przeciągle, a „Cytra“ podskakiwała w górę, starając się małe nóżki, ubrane w czarne długie kamaszki, pochwycić.

— Jerzusiu!... dosyć! Ależ... panie Antoni! przywitaj się pan ze mną!

I młoda kobieta wyciągnęła obie ręce do przyjaciela, który, dziecko na ziemi postawiwszy, do matki przypadał.

— O, Jezu! jakem szczęśliwy! taż myślałem, że się już dzień dzisiejszy nie skończy!

Siadali oboje zawsze na zwalonym pniaku, a Jerzuś, w masie liści i mchu szeleszcząc, przewracał się z „Cytrą“, która białem swem cielskiem na tle jego czarnego ubranka jak plama się znaczyła.

— Co pani dziś robiłaś? — pytał posesor.

— Och!... co ja też dziś nie robiłam! Zapytaj pan Bukowskiej i Władysławowej, zapytaj pan ogrodnika i leśniczego, i dyrektora Smolarenki, i... Szmula.

— O! zwłaszcza Szmula!

— Co pan chcesz! pozbyć się go nie mogę! Pan wiesz, postanowiłam! Niema sposobu!

— Wiem, niema sposobu!

Milczeli oboje... nagle posmutnieli.

— Może, z czasem — wyrzekł wreszcie Antoni.

— A może on się zmieni, kto wie, kto to wiedzieć może!

Antoni roześmiał się ironicznie.

— On?

— Jeśli nie on, to jego następcy.

Mężczyzna milczał znów chwilę.

— Ta, daj Boże! — wyrzekł cicho.

Oboje nie wspomnieli nigdy o tem, co nad ich głowami przeciągnęło, jak klęska, jak ręka upiora.

Trejne zdawała się nigdy nie istnieć na świecie.

Z większą, niż się spodziewała Marja, energją, zniósł Antoni wiadomość o jej ucieczce. Cały przejęty nieszczęściem Marji, samobójstwem Stania, ruiną ich majątku, w pierwszej chwili jedynie zachwiał się, lecz wkrótce odzyskał równowagę. Zdrów, silny cia-

łem i duchem, otrząsnął się z miłosnego cierpienia. Tak on, jak i Marja, w walce swej życiowej wiedzieli, że „miłość nie jest rdzeniem życia". Poza upojeniem zmysłów mieli jeszcze szerokie horyzonty pracy i obowiązków. I dlatego pierwszem zawsze słowem powitania było dla nich:

— Co pani dziś robiła?

I ona spowiadała się ze swych trosk i kłopotów gospodarskich, radziła się, badała, a on, uśmiechnięty radośnie, odpowiadał jej swym dźwięcznym męskim głosem, który het, w dal po uroczysku się rozlegał, zdrowo, jasno, donośnie, jak harmonja nieskończona.

Jerzuś tymczasem wciąż biegał, jak czarna kulka, po złotym pokładzie liści, a „Cytra" szalała za nim, rozrzucając z szumem zeschłe, łamiące się gałęzie. Dziecko promieniało zdrowiem i weselem, ramionka rozwijały się, zarodki choroby zwyciężyła rozkoszna woń ziemi i jasne, przeczyste słońce.

Lecz oczy Antoniego powlokły się powoli cieniem łagodnej melancholji. Cień tej zadumy zdawał się płynąć od Marji, siedzącej cicho i zapatrzonej w przestrzeń.

Wzrok mężczyzny popłynął w ślad za spojrzeniem kobiety i zawisnął w błękitnej przestrzeni. I oboje, pogrążeni w tem bezgranicznem spojrzeniu, mieli prawdopodobnie myśl jedną, myśl w serdecznem uczuciu skąpaną, bo milczeli, jakby im słów nagle zabrakło, i tylko ręce ich prawie bezwiednie splotły się uściskiem...

KONIEC.

25780L/10/69 48

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA
BIBLIOTE
78720
L-P

Biblioteka WSP Kielce
0173887



ZAKŁADY GRAFICZNE
WE WŁOCŁAWKU
H. NEUMANA